

Kogo odnajdziesz
po drugiej stronie lustra?

w
ydawnic
ab
two

Agnieszka Hałas

OLGA I OSTY

Agnieszka Hałas

OLGA I OSTY



Copyright © by Agnieszka Hałas, MMXVI
Wydanie I
Warszawa, MMXVI

Spis treści

Część I

Piotr

Sen wewnątrz snu

Olga

Kocie nieszczęście

Próba błękitnej latarni

Dominik

Współpasażer

Olga

Za siedmioma górami była sobie kucharka

Dmuchawce, latawce, Hannes

Kwiaty i osty

Część II

Olga

Wtedy i teraz

Dominik

Portret na ścianie

Zaświat

Hannes a porządek rzeczy

Olga

Nad jeziorem Szept

Zaświat

Królowa Ostów

Wyspa wśród mgły

Olga

Koc i rzeka

Królowa Ostów

Słuczone lustro

Piotr

Dziewczyna na moście

Olga

Wtedy. Szklana kula

Dominik

Im dalej w las

Olga

Wtedy. Styczniowy talizman

Dominik

Kto szuka, znajduje. Przynajmniej czasami

Piotr

Podróż z powrotem

Część III

Olga

Pierwsze wycięcie serca

Dominik

Tylko jedna nić

Olga

Zima. Penumbra

Obraz i lustro

Drugie wycięcie serca

Dominik

Dziewczynka ze starego domu

Epilog I

Królowa Ostów

Epilog II

Hannes

Epilog III

Olga (jedna z Olg)

Przypisy

Część I

*I'm on the street of my dreams
Or on the road to hell*

At Vance, Streets of my Dreams

Piotr

Sen wewnątrz snu

Stary dom stoi na obrzeżach miasta. Wybite okna zasłonięte dyktą, rozwalające się ogrodzenie z siatki, na podwórzu chaszczę po pas. Zdaje się, że jest przeznaczony do rozbiórki, ale obecnie nikt się nim nie interesuje. Bezdomni wolą koczować na działkach. Nikt tutaj nie przychodzi, nawet dzieciaki omijają to miejsce z daleka. I bardzo dobrze.

Odkąd wiedźma zmarła, żyję tu sam. Jakoś sobie radzę, choć jest ciężko, a gdy przyjdzie zima, będzie jeszcze ciężiej. Ale na razie nie ma sensu myśleć o zimie. Nie sądzę, bym jej doczekał, bo szarych przybywa z każdym dniem i tylko patrzeć, kiedy się zorientują, że jestem ich wrogiem.

Na razie jednak nikt mnie tu nie niepokoi.

Może sprawiły to zaklęcia, które wiedźma szeptała po nocach; słowa w siedmiu językach, sypiące się jak piasek z rozbitej klepsydry. A może styczniowy talizman, który noszę na szyi.

Pamiętam, do czego służy, choć nie potrafię powiedzieć, kim jestem. Wiem na pewno, że tak naprawdę nie nazywam się Piotr. W Zaświecie znałem kogoś o podobnym imieniu, a mój styczniowy talizman należał wcześniej do niego. Wiem też, że w Zaświecie byłem kimś innym, podobnie jak moja towarzyszka, lecz wygnano nas tutaj, a przechodząc przez granicę, utraciliśmy pamięć. I nic więcej.

To wiedźma zawsze zwracała się do mnie „Piotrze”. Przypuszczam, że miała po temu jakiś powód, choć nigdy go nie poznałem. Nie mam jednak nic przeciwko, żeby być Piotrem. Imię dobre jak każde inne.

Styczniowy talizman też dostałem od wiedźmy.

Żyję tu jak rozbitek na wyspie, całkiem sam, nie licząc szczurów, a nawet one nie naprzykrzają mi się zanadto. W okolicy mają wystarczająco dużo pokarmu. Wzdłuż ścieżki rowerowej co

kilkanaście kroków stoją śmietniki, a wędkarze zostawiają nad rzeką resztki przynęty, puszki po piwie i papierki po kanapkach.

Staram się wychodzić i wracać o takiej porze, żeby nikt nie zauważył, że stary dom ma lokatora. Ostrożności nigdy za wiele.

Wodę noszę z rzeki. Na parterze, w pomieszczeniu, które kiedyś było kuchnią, stoi żelazny piecyk typu koza. Palę w nim tym, co uda mi się zebrać w ciągu dnia – połamanymi suchymi gałęziami, kawałkami starych mebli, czasem makulaturą. Dni są coraz krótsze, chaszczuje już żółkną, zbrązowiała nawłóć sieje siwym puchem. Nocami zimno wpełza do mojego legowiska, wślizgując się przez najmniejsze szpary niczym łasica.

Po wiedźmie nie zostało wiele. Trochę złachmanionych ubrań, wyszczerbiony kubek i stary koc, szyty z wielu różnobarwnych kwadratów zrobionych ręcznie na drutach. Różowe, zielone, niebieskie, fioletowe. Jeden róg koca jest nadpalony. Choć pytałem, staruszka nie potrafiła mi powiedzieć, jak do tego doszło; jąkała się i trzęsała, słowa grzęzły jej w gardle, daremnie gestykulowała chudymi rękami.

Teraz wieczorami przy świeczce pruję jej koc, a z uzyskanej w ten sposób włóczki splatam bransoletki. Amulety.

Dni spędzam w mieście. Chodzę ulicami i oferuję przechodniom moje kolorowe dzieła. Amuletu nie wolno oddać za darmo – żeby działał, musi zostać kupiony za pieniądze.

Kiedy mówię to ludziom, zwykle uśmiechają się dziwnie – z litością, zakłopotaniem? Czasem sięgają do portfela, żeby wygrzebać drobne, a gdy wręczam im amulet, dziękują z przylepionym uśmiechem, sztucznym do bólu. Inni tylko odwracają wzrok, zaciskają usta i przyśpieszają kroku.

Czasem ktoś spyta, czy mi czegoś nie kupić. Może bułkę, kanapkę? Gorącą kawę? Ale zdarza się to coraz rzadziej.

Do ludzi, w których siedzą szare, nawet się nie zbliżam, rzecz jasna. Na szczęście można ich łatwo rozpoznać. Twarze mają pozbawione wyrazu, bez rumieńców, oczy bezbarwne, spojrzenie oziębiające. Chodzą zgarbieni, w wymiętych ubraniach, a na widok moich bransoletek syczą nienawistnie. Nie wąż się uczynić nic więcej. Na razie jeszcze się boją, boją się styczniowego talizmanu. Ale to długo nie potrwa, bo szarych przybywa, a ja z każdym dniem

jestem słabszy. Gdy wędruję ulicami, czuję, jak zimne myśli szarych krążą wokół mnie i tną, tną, tną jak komary, a przez te malutkie ranki pomalutku wycieka ze mnie całe ciepło, wyciekają barwy, smutek i śmiech; wycieka to, co Piotra czyni Piotrem.

Szary zapuszcza w człowieku korzenie i ssie jak pasożyt, jak kaniańka albo jemioła. Wysysa uczucia, myśli, pragnienia i rośnie, rośnie, aż w końcu nie ma już człowieka, tylko skorupa pełna szarego dymu. Ciało nadal oddycha, je i wydała, oczy widzą, usta mówią – ale to już nie jest człowiek.

Gdy wędruję ulicami i coraz częściej widzę wokół siebie blade, nieruchome twarze o tępych spojrzeniach, gdy czuję chłód, który wionie od tych ożywionych kukieł, łapię się na myśli, że nic nie zatrzyma epidemii, że z moimi bransoletkami z kolorowej włóczki jestem równie śmieszny jak handlarze sprzedający podczas zarazy bukieciki kwiatów, których woń, jak wierzą, chroniła przed morowym powietrzem. Ale wiedźma powtarzała, że muszę pleść i sprzedawać amulety, dopóki starczy mi sił. Więc plotę i sprzedaję, tłumacząc, do czego służą, choć widzę, że ludzie mnie nie słuchają. Chowają bransoletki do kieszeni, a niejeden pewnie wyrzuca je za rogiem do najbliższego kosza na śmieci, jakby to były ulotki z reklamą kursu językowego czy nowego baru sushi.

To, co uda mi się zarobić, w całości wydaję na jedzenie. Chleb, kluski, margaryna, cebula, kefiry, najtańszy żółty ser. Teraz już tylko dla siebie, do niedawna – dla siebie i wiedźmy. Dopóki wiedźma żyła, przędła dla mnie nici. Jej drżące palce, zniekształcone artretyzmem, wciąż jeszcze umiały sprawnie posługiwać się wrzecionem. Nie wiem, skąd brała przędzę. Wieczorem, tuż po zachodzie słońca, zawsze wychodziła na dwór, a gdy wracała, niosła w podołku mieniący się barwami puch, lżejszy niż ten, który osypuje się z dmuchawców i nawłoci. Nie umiałbym skręcić czegoś takiego w nić, ale ona umiała. Potem nocami, przy świeczce, nuciła piosenki o słońcu i ścieżkach przez las, o malinach i ostach, i przędła dla mnie nici. Niebieskie, fioletowe, zielone i różowe.

A teraz mogę już tylko pruć jej koc.

Każdy dzień jest podobny do poprzednich. Każdego ranka budzę się trochę słabszy. Oczy mi ropieją; przy posłaniu zawsze trzymam

butelkę z przegotowaną wodą i paczkę chusteczek, żeby je przemyć po obudzeniu, bo często nie mogą rozkleić powiek.

Woda z rzeki, nawet długo gotowana, zachowuje nieprzyjemny rzeczny zapach, ale piję ją od miesięcy i żyję. Szkoda mi drobnych na butelkowaną.

Nie mam wszy i staram się nie śmierdzieć, choć oznacza to mycie się w rzece, po ciemku, i pranie w niej ubrań. Sprzedaję nieco więcej amuletów, odkąd noszę porządniejsze ubrania – te, które dał mi ojciec Daniel, dominikanin. Tak się przedstawił: „Ojciec Daniel jestem, dominikanin”. Wdał się ze mną w rozmowę jeszcze w czerwcu. To był gorący, słoneczny dzień. Przysiadłem w cieniu pod furta kościoła Dominikanów na deptaku, żeby odpocząć, a po chwili ze środka wyszedł siwowłosy mężczyzna w habicie. Najpierw zapytał, czy dobrze się czuję i czy nie chcę wody. Potem, czy jestem głodny i czy mam gdzie mieszkać. W końcu kazał mi chwilę poczekać, po czym wrócił lekko zdyszany, z triumfalnym uśmiechem, i wręczył mi siatkę używanych ubrań. Zabrałem je, bo niegrzecznie byłoby odmówić.

Kiedy wróciłem do domu i opowiedziałem, co się stało, wiedźma się skrzywiła, ale pozwoliła mi obejrzeć zawartość siatki. W środku znajdowały się przyduże dzinsy, dwie bluzy, dwa T-shirty, skarpety i bielizna. Jeszcze ręcznik tam był, butelka szamponu rodzinnego i Pismo Święte, starannie zawinięte w ciekawą reklamówkę.

Wiedźma powiedziała, że mogę zatrzymać ubrania, ale Biblię kazała wyrzucić, więc wieczorem poszedłem nad rzekę i zakopałem ją pod drzewem. Po kilku dniach wróciłem w to miejsce i z ciekawości rozkopałem dół. Już nie było tam Biblii, tylko wijące się, tłuste, białe robaki, takie same jak te, których wędkarze chętnie używają jako przynęty.

Przez całe lato staruszka czuła się dobrze. Podkradałem dla niej na działkach owoce – wiśnie, śliwki, małe kwaśne jabłka, drobne twarde gruszki, których nikt nie zbiera, bo po co, skoro w sklepie można dostać słodkie i soczyste. Gryzła je pośliskami, ale mocnymi zębami, podobnymi do mysich, i uśmiechała się do mnie.

– Dobry chłopak – mówiła z błyskiem w ciemnych oczach, po czym mrugała porozumiewawczo, jakby w tych słowach krył się żart zrozumiały wyłącznie dla niej.

A potem zachorowała. Przez szare, jak sędzę, choć nigdy nie widziałem żadnego w pobliżu naszego domu. Pewnego ranka zbudziłem się i zobaczyłem, że staruszka nie krząta się jak zwykle wokół piecyka (codziennie rano piła tanią sypaną kawę z dwiema łyżeczkami cukru – drobna słabość, na którą mogliśmy sobie pozwolić), tylko leży skulona pod przykryciem, drżąc na całym ciele.

– Zimno mi – poskarżyła się, szczękając zębami.

Położyłem rękę na jej czole – było rozpalone.

– Kim ty jesteś? – spytała, mrużąc oczy, wyraźnie zdezorientowana. – Gdzie Aroldo?

Nie wiedziałem, o kim mówi. Na szczęście po chwili staruszka już sama nie pamiętała, o co pytała. Napaliłem w piecyku, zaparzyłem herbaty, lecz wiedźma mimo namawiania nie chciała pić.

Wkrótce zaczęła bredzić. Mamrotała o szarych, ostach i bagnach, i o dwóch siostrach, z których jedna żyje nad ziemią, a druga pod. Gdy słuchałem tego wszystkiego, po plecach pełzały mi ciarki. Wiedziałem, że nie są to zwykłe majaki, że gorączka – niczym nurt rzeki – przynosi do niej z powrotem strzępy przeszłości, strzępy tego, co pozostawiliśmy za sobą, gdy wygnano nas z Zaświatu. Ale ja zapomniałem więcej niż ona, zapomniałem prawie wszystko. Osty, które rosły na podwórzu wokół naszego schronienia, były dla mnie ostami i niczym więcej.

Potem wiedźma zamilkła. Leżała bez ruchu, bezgłośnie mamlając wargami, i patrzyła na krople spływające po brudnej szybie. Godziny mijały.

Wtem – stało się to tak nagle, że aż się wzdrygnąłem – na zewnętrzny parapet okna wskoczył kot. Zbliżył pyszczek do szyby, przypatrując się nam. Mógłbym przysiąc, że nie miał jednego ucha. Z jakiegoś powodu ten widok mnie zmroził. Ale jeszcze bardziej przeraził wiedźmę.

W jednej chwili zerwała się z pośłania. Próbowałem jej zastąpić drogę, ale odtrąciła mnie i wybiegła z domu tak, jak stała, w deszcz, w kocu narzuconym na ramiona i boso, w starej koszuli nocnej, spod której wystawały pokryte żyłakami nogi.

– Felicita! – zaczęła krzyczeć. – Olga! Olga! Felicita!

Pobiegłem za nią, daremnie usiłowałem tłumaczyć, że nie znam żadnej Olgi ani Felicity i żeby się uspokoiła. Krzyczała, póki nie zabrakło jej tchu i nie zachrypla; wtedy padła na kolana w mokrą trawę i zaczęła płakać. Stałem bezradnie, trzymając nad nią zepsuta, ale dającą się jeszcze od biedy rozłożyć parasolkę, a deszcz szumiał. W końcu wiedźma ochłonęła na tyle, żeby pozwolić, bym ją zaprowadził z powrotem pod dach. W domu wytarłem ją i pomogłem się przebrać w suche rzeczy, myśląc ponuro, że teraz już na pewno dostanie zapalenia płuc.

Kot oczywiście zniknął. Wcale nie byłem już pewien, czyśmy go naprawdę widzieli.

Ten wieczór sączył się jak deszczówka z dziurek w przerdzewiałej beczce stojącej na podwórzu. Wiedźma leżała na swoim nędznym posłaniu, otulona starą kołdrą bez poszewki oraz nadpalonym kocem z kolorowych kwadratów. Mamrotała bez ładu i składu, powtarzając imiona, które nic mi nie mówiły, a ja grzałem wodę i parzyłem jej herbatę, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Miałem trochę drobnych, bałem się jednak zostawić staruszkę samą, żeby iść do apteki po aspirynę. Zawiesiłem jej na szyi styczniowy talizman, ale niewiele to dało. Tymczasem deszcz szumiał bez ustanku, pluskał miarowo, ciurkał z zepsutych rynien i kapał do środka przez przeciekający dach.

Nad ranem staruszka uspokoiła się i zapadła w sen. Oddychała chrapliwie, przy każdym wdechu świszcząco jej w płucach. Siedziałem przy niej, oczy kleiły mi się coraz bardziej, deszcz szumiał, aż w końcu zorientowałem się, że idę ścieżyną przez ciemny las, woda kapie z gałęzi, a zarośla chwytają mnie za ubranie. Usłyszałem hukanie sowy, podniosłem wzrok i wtedy ją zobaczyłem.

Wiedźma siedziała na konarze starego drzewa. Jej ciało i rozczochrane włosy były teraz zupełnie białe, białe jak śnieg, oczy też miała białe i ślepe, a w ręku trzymała pęk kolorowych bransoletek.

– Pleć amulety – wychrypiała – chroń miasto przed szarymi...
A moje kości zakop pod progiem...

Krzyknąłem i zacząłem uciekać, lecz potknąłem się o korzeń i runąłem w bagienną wodę, która zamknęła się nad moją głową.

A gdy się ocknąłem, staruszki już nie było. Na posłaniu leżały suche patyki, trochę ciemnego proszku oraz kilka kości, zmurszałych i zzieleniałych, pokrytych warstewką pleśni.

Zakopałem szczątki wiedźmy pod progiem, tak jak prosiła. Posłuszny jej ostatniemu życzeniu, wytrwale plotę amulety i sprzedaję je przechodniom, choć wiem, że to nic nie da, bo szare krążą po mieście i wciąż ich przybywa. Nocami, gdy wokół starego domu panuje cisza, słyszę dolatujące z oddali echa ich zimnych, zimnych myśli.

Olga

Kocie nieszczęście

Zawsze może być gorzej.

Pamiętam, że wisielczo pocieszałam się tymi słowami, brnąc przez zawalone śniegiem uliczki na osiedlu Górki z kartką, na której zapisałam sobie adres Ryśka Wierzbickiego. Czułam, jak palce w rękawiczkach drętwieją mi z zimna, i zastanawiałam się, czy mój ból gardła do jutra przeistoczy się w anginę.

Od trzech i pół roku nie miałam stałego źródła dochodów. Księgarnia, w której udało mi się zaczepić po znajomości krótko po skończeniu studiów i szczęśliwie przepracować prawie pięć lat, przestała istnieć – nie pierwsza, która padła ofiarą kryzysu na rynku wydawniczym. Od tamtej pory utrzymywałam się ze zleceń. Oczywiście szukałam stałej pracy, ale po bezowocnym wysłaniu nie wiem już ilu CV mój zapal znacznie przygasł. Kolejne energiczne zrywy z rozsyłaniem aplikacji na prawo i lewo przeplatały się z coraz dłuższymi okresami zniechęcenia i marazmu, gdy ograniczałam się do mechanicznego dłubania w kiepsko opłacanych korektach. Obecnie, prawdę mówiąc, niespecjalnie już wierzyłam, że w realnej przyszłości uda mi się znaleźć jakąś sensowną czy choćby ledwie znośną posadę. Nie uśmiechało mi się smażenie frytek w McDonalddie ani kasa w Biedronce, a jeśli chodzi o pracę na stanowisku konsultantki czy telemarketerki, kilka razy próbowałam aplikować, ale przepadałam w procesie rekrutacji – ktoś, kto pracuje na słuchawce, nie powinien się jękać z nerwów. Na razie radziłam sobie, jak umiałam, pracując jako redaktor i korektor, i czekałam, wściekła, na wiecznie spóźniające się płatności.

Zgodnie z testamentem mamy, ponieważ ja zostałam z mieszkaniem i samochodem, skromne kwoty na lokatach i znacznie od nich wyższą sumę z ubezpieczenia na życie odziedziczył mój brat, obciążony rodziną oraz kredytami zaciągniętymi na rozkręcenie świeżo założonej firmy. Jeśli chodzi o gotówkę, byłam teraz zdana na siebie. Przed końcem roku

zapłacono mi część zaległości, ale za mało, żeby starczyło na dłużej niż miesiąc. A potem, na początku stycznia, pech wczepił mi się pazurami w kark i nie odpuszczał.

Najpierw stłukłam okulary, a dokładniej – rozdeptałam je na kafelkach, tak skutecznie, że poszły nie tylko szkła, ale i oprawki. Duża wada wzroku oznaczała, że aby sprawić sobie nowe, musiałam wydać ponad osiemset złotych. Potem w starym aucie popsuła się skrzynia biegów. Trzy telefony do wydawnictw w sprawie pozostałych zaległych kwot nie przyniosły efektów, pożegnałam się zatem z resztką oszczędności. A dwa dni później bez ostrzeżenia odmówił mi posłuszeństwa laptop. Podstawowe narzędzie pracy. W serwisie zdiagnozowano, że poszła płyta główna i coś tam jeszcze. Miły pan stwierdził, że naprawić zasadniczo można, ale on nie ręczy za efekt, „bo wie pani, to zabytek jest”. Kiedy podał orientacyjny koszt naprawy, już wiedziałam, że muszę zacisnąć zęby i kupić nowy sprzęt. Pytanie brzmiało: za co.

Telefon do brata z prośbą o pożyczkę momentalnie zaowocował ostrym spięciem. Artur i ja jesteśmy równie kompatybilni jak woda i stężony kwas siarkowy – jedno niewłaściwe słowo, a próba dojścia do porozumienia kończy się eksplozją pary i żrących rozbryzgów. Tym razem mogłam mieć co najwyżej tę marną satysfakcję, że nie ja pierwsza podniosłam głos. Siłąc się na spokój, podziękowałam bratu za okazaną empatię oraz chęć pomocy i zakończyłam rozmowę. Po dziesięciu minutach Artur zadzwonił ponownie, przepaszając, że zaczął na mnie krzyczeć, po czym zaproponował, że przeleje mi potrzebną kwotę i nie chce słyszeć o zwrocie (nienawidzę takiego stawiania spraw – kiedy mówię, że oddam pieniądze, to znaczy, że je oddam – lecz tym razem przełknęłam dumę i nic już nie mówiłam), ale pod warunkiem, że zgodzę się spotkać z jego dobrym kumplem Ryśkiem Wierzbickim, którego żona jest doradcą zawodowym i „może mogłaby ci pomóc się zahaczyć w jakimś sensownym miejscu”. Z początku protestowałam, bo wiem mniej więcej, z jakimi ludźmi przyjaźni się mój brat – a gdybym się nadawała do pracy w korporacji, już dawno byłabym w jakiejś zatrudniona – ale szybko dałam za wygraną.

Tym sposobem kilka dni później znalazłam się wieczorną porą na osiedlu Górki z kartką w ręku. Przyjechałam autobusem, bo

samochód wciąż jeszcze stał w warsztacie. Przez dobry kwadrans błąkałam się po ulicy Wyżynnej, bezskutecznie usiłując sobie przełożyć w głowie obraz z Google Maps na nocną i zaśnieżoną rzeczywistość. Kiedy już miałam wyjąć telefon i poprosić Ryśka, żeby wyszedł przed blok, zadzwoniła do mnie kobieta, która przedstawiła się jako jego żona. Była tak zaaferowana, że od pierwszych słów domyśliłam się, co jest grane. Na śmierć zapomnieli o umówionym spotkaniu, a ona siedziała teraz w pracy po godzinach, walcząc z zaległą papierkologią. Zapewniłam ją, że nie szkodzi, każdemu może się zdarzyć, i że na pewno uda się nam umówić w innym terminie, po czym rozłączyłam się wściekła – niepotrzebnie straciłam czas. Cóż robić, pozostawało tylko wrócić do domu. Nie było mnie stać na taksówkę – nowy laptop został już kupiony, nadwyżka funduszy poszła na zapłacenie czynszu, zrobienie zakupów i znowu byłam bez grosza. Dysponowałam paroma biletami MPK i to wszystko. Ruszyłam w stronę najbliższego przystanku, wbijając zgrabiałe ręce w kieszenie i próbując nie myśleć, jak podsumowałaby całą sytuację moja świętej pamięci rodzicielka.

Chwilę później te myśli wywietrzały mi z głowy, bo usłyszałam rozpaczliwe, pełne bólu miauczenie dobiegające z pobliskiego śmietnika. Nie mogłam pójść dalej, nie sprawdzwszy, co się dzieje.

Kot był nieduży, czarny i lamentował tonem, od którego serce się krajało. Ponieważ nie uciekał, ostrożnie wzięłam go na ręce, a wtedy wrzasnął tak, że omal biedaka nie upuściłam.

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy zobaczyłam, że futro na karku i części grzbietu ma spalone, zbite w zwęgloną, śmierdzącą masę, a z jednego ucha została skurczona resztką. Jakiś skurwiel polał go czymś łatwopalnym i podpalił.

Łzy stanęły mi w oczach. Stałam po kostki w śniegu, zziębnięta na kość, i tuliłam do siebie poparzonego kociaka, nie mając w kieszeni nawet dwóch złotych na krzyż.

Ostrożnie otuliłam go szalikiem, zastanawiając się, jak rozległe są oparzenia i co powinnam zrobić. Pomyślałam z rozpaczą, że zabiorę biedactwo do mojej niestety już byłej przyjaciółki, Mańki Jaworskiej. Pokłóciłyśmy się parę miesięcy wcześniej i trwającą od szkoły średniej znajomość trafił szlag. Ale Mańka, po pierwsze,

mieszkała blisko, na Turniowej, po drugie, była nocnym markiem, a po trzecie i najważniejsze, kochała koty. Wiedziałam, że o tej porze raczej jeszcze nie śpi i nawet jeśli mnie nie wpuści za próg, nie odmówi pomocy cierpiącemu stworzeniu. Jaworscy mają samochód, będą mogli szybko podjechać do całodobowej kliniki weterynaryjnej.

Dziesięć minut później, kiedy dobrnęłam pod blok Mańki i odnalazłam właściwą klatkę, los po raz kolejny złośliwie zachichotał i wypiął się tyłkiem. Choć dzwoniłam domofonem kilka razy, nikt nie odbierał, dzwonienie na komórkę Mańki też nic nie dało. Jaworscy właśnie się kąpali, uprawiali seks, byli na imprezie lub spali kamiennym snem. Na jedno wychodziło.

Kot na szczęście nie próbował się wyrywać, chyba nie miał siły. Skulił się w moich ramionach, żałośnie pomiaukując i dygocząc z zimna. Nie było innej rady, jak tylko wracać do domu i szukać pomocy w necie. Z powrotem skierowałam się na przystanek, z rezygnacją sprawdzając godzinę. Dochodziła dwudziesta druga. Nagle czyjś ostry głos osadził mnie w miejscu:

– Młoda damo, co jest temu kotu?

Starsza pani, która mnie zaczepiła, była wysoka, ubrana w palto z wielkim futrzanym kołnierzem, chyba ze srebrnego lisa. Zmierzyła nas srogim spojrzeniem zza okularów w rogowych oprawkach. Kot cicho zamiauczał i kurczowo wczepił się pazurami w mój rękaw. Wyjaśniłam pośpiesznie, co i jak, z nikłą nadzieją, że może przypadkowo spotkana osoba okaże się gotowa do pomocy.

– Hm – mruknęła starsza pani, przypatrując się kotu. Czubkiem palca dotknęła spalonego futra, po czym znów prześwidrowała mnie wzrokiem zza grubych szkieł. Kojarzyła mi się trochę z babcią Weatherwax. – Hm – powtórzyła i w geście namysłu przyłożyła palec do ust. – Ile ty masz lat, młoda damo?

Obcesowe pytanie nawet mnie nie zirytowało – złożyłam je na karb okularów, półmroku oraz tego, że młodość rozmówczyni zapewne upłynęła pod znakiem trwałej ondulacji i mocnego makijażu.

– Trzydzieści trzy – odparłam.

– Hm – skwitowała tę informację, ale było to już inne „hm” niż wcześniej. A potem stwierdziła: – Chodź.

Coś kazało mi usłuchać, tak po prostu, bez zadawania pytań. Podążyłam śladem nieznanego, tuląc kota i modląc się, by nie uznał w pewnej chwili, że ma dość przebywania na rękach. Na szczęście albo był tak wyczerpany, że nie miał siły protestować, albo wyczuwał instynktownie, że osoba, która go niesie, chce mu pomóc. A może jedno i drugie.

Tajemnicza dama skręciła z osiedlowej uliczki w bok i zeszła po zaśnieżonych schodach, stąpając tak pewnie i energicznie, jakby miała dwadzieścia lat, a nie – na oko – ponad sześćdziesiąt. Kiedy wyszliśmy z wąwozu na chodnik, odważyłam się spytać:

– Ale dokąd idziemy?

– Tam, gdzie nam pomogą – rzuciła enigmatycznie.

Wizja wracania o północy przez zaśnieżony Lublin nie była pociągająca, ale pomyślałam, że w najgorszym razie pożyczę od tej kobiety pieniądze na taksówkę, zostawiając jej swój adres. Nie wyglądała na kogoś, kto cierpi na brak gotówki. Już nic nie mówiąc, posłusznie ruszyłam za nią. Śnieg sypał coraz gęściej, tłumiąc dźwięki. Jezdnie były białe i niemal puste, od czasu do czasu mijają nas sunący wolniutko samochód. Jakiś kwadrans później, gdy wchodziliśmy w cień wiaduktu, zmierzając w stronę ścieżki rowerowej wzdłuż Bystrzycy, zapytałam ostrożnie:

– Daleko jeszcze?

– Nie – odparła, co było wprawdzie konkretną, ale niewiele mówiącą odpowiedzią.

Zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno dobrze robię, idąc z nią nie wiadomo dokąd, ale coś – może intuicja – ponownie kazało mi milczeć, nie zadawać zbędnych pytań.

Przeszedłszy jakieś sto kroków ścieżką rowerową, moja zagadkowa towarzyszka skręciła w prawo, na dróżkę wydeptaną wśród krzaków i chaszczy. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymałyśmy się przed domkiem ukrytym w kępie drzew. Najbliższe latarnie świeciły spory kawałek dalej – było zbyt ciemno, abym mogła dostrzec szczegóły.

Furtka w ogrodzeniu ze zwykłej siatki zaskrzypiała głośno. Brodząc prawie po kolana w zaspach, podeszliśmy do frontowych drzwi i moja towarzyszka otworzyła je kluczem, po czym zapaliła światło w sieni i zaprosiła mnie do środka.

Otrząsnąwszy w progu śnieg z butów, weszłam. Wewnątrz było zimno i pachniało piwniczną stęchlizną. W żółtawym blasku nieosłoniętej żarówki zobaczyłam, że ze ścian w sieni łuszczy się tynk.

– Jestem Zofia – poinformowała mnie starsza pani.

Teraz, w lepszym świetle, przekonałam się, że jej włosy pod szarym filcowym kapelusikiem są białe jak mleko, starannie ułożone w fale, a w uszach błyszczą duże srebrne kolczyki w kształcie rombów, ozdobione kryształkami Swarovskiego. Policzki miała blade, bez śladu różu, pokryte pajęczyną zmarszczek, nos lekko haczykowaty, usta wąskie i stanowcze. Oczy za grubymi szklami okularów, podkreślone perłowymi cieniami, były lodowato błękitne.

Kot zamiauczał cichutko, żałośnie.

– Daj go. – Zofia ostrożnie wzięła ode mnie zwierzaka. Zdjęłam rękawiczki i zaczęłam chuchać w zmarznięte ręce. – Chodź.

Wprowadziła mnie do pokoju, w którym okna zasłonięte były dyktą. Światło wpadające z sieni pozwalało rozróżnić jedynie zarysy mebli. Podłoga skrzypiała przy każdym kroku, a w powietrzu wisiała woń stęchlizny, kurzu i starego drewna. Dałabym sobie rękę uciąć, że nikt w tym domu nie mieszka, choć z drugiej strony zdziwiło mnie, że w budynku, który stoi opuszczony na uboczu, nie koczują bezdomni.

Zofia otworzyła drugie drzwi. Rozwarły się bezgłośnie, ukazując nieprzebitą mrok.

– Chodź – powtórzyła i weszła tam pierwsza, niosąc ostrożnie kota.

Zawahałam się, ale ruszyłam za nią po skrzypiących deskach. Gdy wkraczałam w ciemność, serce zabiło mi szybciej. Wiedziałam już, że dzieje się coś dziwnego.

Do moich nozdrzy przyplęnęła woń świeżo upieczonego chleba.

Zatrzymałam się tuż obok Zofii. Kot w jej ramionach znowu zamiauczał żałośnie.

– Cicho, cicho, biedaczku – powiedziała łagodnie. – Cicho, już, zaraz się tobą zajmujemy. – Potem krzyknęła: – Pe-etr!

Gdzieś w nieprzebitym mroku trzasnęły drzwi, rozległ się tupot i młodzieńczy głos odkrzyknął:

– Idę!

Chwilę później wysoko przed nami pojawiło się światełko – płomyk świecy. Zwątpiłam, czy to wszystko dzieje się naprawdę, i uszczypnęłam się mocno w dłoń. Zabolalo, ale nadal nie byłam pewna, czy nie śnię.

Świecę niósł chłopak odziany w staromodną kaptotę i kamizelkę. Ubranie było na niego wyraźnie za duże, jakby dostał je w spadku po kimś starszym. Mógł mieć jakieś czternaście, piętnaście lat. Schodził po schodach, trzymając się ozdobnej balustrady. Kiedy mnie zobaczył, wytrzeszczył oczy.

– Zofio! Przyprowadziłaś tu piaskomyślną?

Ku mojemu zdumieniu mówił najzupełniej normalną, współczesną polszczyzną.

– Czy Aroldo jest w domu? – zapytała starsza dama.

– Nie. Wróci dopiero rano.

– Robi się z niego drugi Hannes, słowo daję – mruknęła z niezadowoleniem Zofia. – Nie szkodzi, poradzimy sobie bez niego. Przynieś drugą świecę i trochę tej waszej białej maści.

Oczy chłopaka zaokrągliły się jeszcze bardziej.

– Ona tego potrzebuje?

– Nie ona. Kot. No, leć!

Kwadrans później siedzieliśmy wszyscy troje przy pociemniałym ze starości stole w obszernej, wspaniałej staroświeckiej kuchni, w której całą jedną ścianę zajmował potężny kredens pełen półeczek, szafeczek i skrytek. Okiennice były pozamykane, od pieca biło przyjazne ciepło. Z belek niskiego sufitu zwieszały się pęczki ziół i wianki czosnku. Podłogze, jak zauważyłam, przydałoby się gruntowne szorowanie, w kredensie panował nieład, a w kącie za piecem leżały zwalone byle jak szczapy drewna. Wychwyciłam też smrodek przepełnionego wiadra na odpadki. Nie było to miejsce, do jakiego spodziewałabym się trafić, odnalazłszy drzwi do Narnii czy też przejście na drugą stronę lustra.

Trzymałam biednego kota, a Zofia szeptała do niego w nieznanym mi języku. Zwierzak zachowywał się jak zahipnotyzowany: nie próbował się wyrywać, ba – nawet nie miauczał. Petr tymczasem ostrożnie smarował oparzone miejsca tłustą białą maścią. Zdążyłam się już zorientować, że kot jest kotką, kilkumiesięczną na oko

i okropnie chudą, o szylkretowym umaszczeniu, a nie czarnym, jak wydało mi się w słabym świetle na ulicy. Ślepią miała bursztynowe, wielkie i ufne. Tam, gdzie jej sierść nie uległa spaleni, była dłuższa i gęstsza niż u typowego dachowca, ale zmatowiała i nastroszona.

– Ona to wszystko zliże – odważyłam się zaprotestować, kiedy skończył. – A jak nie zliże, to wypačka sobie maścią legowisko.

Petr zmarszczył brwi, myślał chwilę, po czym przyniósł z kredensu trzy czyste lniane ściereczki. Podarłszy je na pasy, jął opatrywać kotce grzbiet i kark. Udało mu się osłonić większość wysmarowanych maścią miejsc. Gdy skończył, pieszczotliwie dotknął wilgotnego kociego nosa.

– I jak? Już ci troszkę lepiej, prawda? Prawda, Felicita?

Chude ciało zaczęło delikatnie wibrować pod moimi dłońmi; uświadomiłam sobie, że nieszczęsne, zmaltretowane stworzenie mruży. Oparzenia, na ile dało się to ocenić, na szczęście nie były bardzo rozległe, choć na pewno okropnie bolesne – futro ucierpiało bardziej niż skóra.

– Dam jej teraz coś do zjedzenia – dodał Petr.

Wytarł ręce w jeden z niewykorzystanych pasków płótna, po czym znów zaczął szperać w kredensie. Po chwili przyniósł glinianą miseczkę z rozdrobnionymi kawałkami zimnego pieczonego mięsa. Kotka rzuciła się na nie tak łapczywie, jakby nie jadła od tygodnia. Miałam nadzieję, że wszystkiego nie zwróci.

– Lepiej zorganizuj jej jakieś pudełko z piaskiem – poradziłam.

– Coś skombinuję. – Zmierzył mnie niezyczliwym wzrokiem, potem popatrzył na Zofię. – Po co ją tu przyprowadziłaś? Aroldo wyjdzie z siebie, kiedy się dowie...

– Tu, to znaczy gdzie? – odważyłam się zapytać.

Niestety, oboje zignorowali moje pytanie.

– Przygotuj jej jakieś posłanie – poleciała starsza dama, delikatnie głaszcząc kotkę za zdrowym uchem.

Petr przyniósł starą, dziurawą wełnianą opończę i położył ją w rogu ławy.

– Chodź, Felicita – zaprosił, a kotka ostrożnie zeskoczyła ze stołu, żeby obwąchać swoje nowe leże.

Obróciła się kilka razy, następnie zaś umościła się wygodnie, kładąc pyszczek na przednich łapach.

Za moją sugestią dostała jeszcze pod nos miseczkę z wodą, wychłptała trochę, po czym przymknęła oczy. Nie mogłam się powstrzymać, żeby jej nie podrapać po łebku. Miała brzydki strup nad okiem, doszczętnie spalone wąsy i straciła mniej więcej połowę jednego ucha.

Przeżyje – pomyślałam. – Je i mruczy, więc przeżyje. Koty są twarde. Twardsze niż ludzie.

– Przeżyje. – Zofia zawtórowała moim myślom. – Petr, jeśli łaska, nastaw wodę na herbatę. Olga zmarzła, kiedy tu szliśmy.

Nie mogłam sobie przypomnieć, abym jej powiedziała, jak mam na imię.

Chłopak, teraz już nachmurzony jak gradowa chmura, spełnił polecenie.

W kuchni było na tyle ciepło, że zdążyłam się ogrzać, kiedy zajmowaliśmy się kotką, ale ucieszyłam się, że zostaniemy w tym miejscu jeszcze chwilę. Obie z Zofią już wcześniej zdjęliśmy okrycia, które Petr zabrał do sieni. Przekonałam się, że starsza pani najwyraźniej gustuje w barwach zimy: miała na sobie puszysty biały sweter oraz wełnianą spódnice w odcieniu gołębiej szarości. Na jej szyi błyszczał ostrokątny srebrny wisior z kryształkami Swarovskiego, pasujący do kolczyków.

Wkrótce kuchnia wypełniła się śpiewem mosiężnego samowara. Herbatę dostałyśmy w dużych fajansowych kubkach, na których – ku mojemu zdziwieniu – widniały postacie z commedii dell'arte, malowane niebieską farbą na białym tle, podpisane po włosku. Mój kubek zdobila podobizna Colombiny, Zofii dostał się Pulcinella, Petr pił z Arlekina. Do herbaty był chleb i domowe powidła śliwkowe.

– Mojego wyrobu – poinformowała mnie starsza dama. Potem wycelowała długi, chudy, wymanikiurowany palec w Petra. – Kto upiekł chleb?

– Młynarka – padła niechętnie udzielona odpowiedź.

– Trzeba wam gospodyni, moi drodzy, oj, jak wam trzeba gospodyni... – Wzrok Zofii prześliznął się po kuchni.

Odruchowo powędrowałam za jej spojrzeniem, odnotowując panujący wszędzie nieporządek, walające się okruchy, ogryzki i brudne naczynia.

Spod pieca dobiegł chrobot, a potem poruszyło się tam coś ciemnego. Przetarłam oczy, myśląc, że już doprawdy nic nie zdziwi mnie bardziej. Z długiej szpary wylazł kudłaty stworek, wyglądający jak szczotka do butelek z dredami przebrana za Koszałka-Opałka. Miał czerwone buty i futrzaną czapeczkę. Ziewnął, po czym zaświergotał przeciągle. Petr przymrużył oczy, złożył usta w ciup i wydał taki sam świergot.

Znów uszczypnęłam się w rękę, sprawdzając, czy to aby na pewno nie sen. Ale nie. Siedziałam przy kuchennym stole w zabałaganionej kuchni wiejskiego domu, znajdującego się... gdzieś, gdzie pod piecami żyją skrzaty.

Stworek rozejrzał się, a dostrzegłszy mnie, zeszywniał, węsząc. Petr zaświergotał ponownie uspokajającym tonem, po czym ukroił skibkę chleba, posmarował powidłami i zaoferował stworzeniu w wyciągniętej dłoni. Krasnal – jeśli można było go tak nazwać – zbliżył się nieufnie i powoli, niczym częściowo tylko oswojone zwierzątko. Dłuższą chwilę zbierał odwagę, nim chwycił kasek i smyrnął z powrotem do norki.

– Domowik – wyjaśniła Zofia. – U Arolda żyje ich cała rodzinka.

– Strzegą domu, tak? – Chciałam pokazać, że coś niecoś wiem o istotach rodem z baśni. – Od pożaru, złodziei...

– To chyba w twoim wymiarze, piaskomyślna – odparł chłopiec wzgardliwie. – Tu, w Zaświecie, głównie śpią i jedzą. Ale Aroldo uważa, że są zabawne.

– Aroldo to jego mistrz – pośpieszyła z wyjaśnieniem Zofia.

Zaświat. Jeśli to jednak był sen, obym nie obudziła się zbyt prędko.

– Gdzie leży ten wasz Zaświat? Gdzie jesteście?

– Daleko i blisko. – Petr prychnął. – Wysoko i nisko. Jesteśmy tam, gdzie słońce wschodzi na zachodzie i gdzie z trzech ziaren rzuconych w trzy skiby wykiełkują trzy sny. I nie powinno cię tu być, piaskomyślna.

– Czemu mnie tak nazywasz?

– Bo wasze myśli są bez życia, jak piasek.

Trochę mnie zirytował, muszę powiedzieć.

– A wy kim jesteście?

Chłopiec popatrzył na Zofię. Wyczułam niepewność – jakby nie wiedział, ile może czy powinien mi mówić. Starsza pani zanurzyła łyżeczkę w powidłach i oblizała ją.

– Ja tylko pilnuję wejścia, przez które tu trafiłaś – odrzekła. – Przypuszczam, że możesz mnie określić mianem odźwiernej. Zimowej odźwiernej. – Zachichotała z cicha, jakby te słowa kryły żart zrozumiały jedynie dla niej. – A Petr, no cóż, Petr jest uczniem Arolda.

– Ale za pół roku będę już czeladnikiem – uzupełnił z dumą chłopiec.

– A kim jest Aroldo?

– Aroldo jest czarodziejem. Jednym z najlepszych w Zaświecie. – Petr zerknął na zegar ścienny, bardzo dziwny, jak teraz zauważyłam: z trzema wahadłami i dwiema tarczami, z których każda zawierała po trzy kręgi symboli. Rozpoznałam tylko jeden – znaki zodiaku. Dochodziła pierwsza. – Posłuchajcie, jest strasznie późno. Mój mistrz wróci dopiero o świcie...

Zaczęłam się zastanawiać, która będzie godzina w Lublinie, kiedy powrócę na swoją stronę lustra, i jak ja teraz dotrę do domu. Już otwierałam usta, żeby spytać, czy nie mogłabym tutaj przenocować, choćby na kuchennej ławie, ale nie potrafiłam się zdobyć na odwagę.

Zofia tymczasem podeszła do kredensu i bezceremonialnie przeciągnęła palcem po jednej z półek, oceniając grubość warstwy kurzu. Popatrzyła na chłopca, potem na mnie, chrząknęła, po czym stwierdziła:

– Petr, mam propozycję. Zatrudnijcie Olgę jako gospodynię.

Oboje wytrzeszczyliśmy na nią oczy. Chłopak parsknął.

– A to dobre, he, he. Powtórzę Aroldowi. – Potem spoważniał. – No właśnie, ale co z nią będzie? To piaskomyślna, zgodnie z prawem nie może teraz wrócić na tamtą stronę, chyba że...

– Zaraz, zaraz – wmieszałam się – co mówi wasze prawo? Jakie prawo?

– Zgodnie z prawem Zaświata, jeśli raz przekroczysz granicę naszej krainy, z nastaniem świtu umierasz dla swojego świata i pozostajesz tutaj – odparła Zofia. – Chyba że przejdiesz próbę

błękitnej latarni i zostaniesz naszą siostrą, wtedy możesz żyć równolegle w dwóch światach.

Było tego trochę za dużo naraz. Nie wiedziałam nawet, o co powinnam spytać najpierw, więc tylko siedziałam i gapiłam się na nich. Felicita poruszyła się na swoim posłaniu, miauknęła z cicha, podczas gdy ja usiłowałam poukładać sobie w głowie wszystko, czego się dowiedziałam.

Z nagłą zaświtała mi myśl, że... może nie warto wracać na tamtą stronę. Co mnie tam trzymało? Co czekało na mnie w Lublinie? Puste mieszkanie, kierat zleceń, notoryczny brak pieniędzy i brat, z którym nie potrafiłam się dogadać. Z drugiej strony o świecie, do którego trafiłam, nie wiedziałam praktycznie nic – a przy bliższym poznaniu wcale nie musiał się okazać piękny i przyjazny.

– Na czym polega próba błękitnej latarni? – spytałam ostrożnie.

– Nie możemy ci tego powiedzieć, dopóki nie zdecydujesz się jej poddać – odrzekła starsza dama.

– W takim razie chcę to zrobić – oznajmiłam bez wahania.

Znow zerknęłam na kotkę, czując lekkie wyrzuty sumienia, że zostawię ją tu, z nieznanymi, ale wyglądało na to, że już zdążyła się zadomowić w nowym miejscu. Nie byłam przekonana, czy u mnie mogłaby liczyć na lepsze warunki.

Petr popatrzył na Zofię. Skinęła głową. Chłopak skrzywił się, ale podszedł do kredensu i z górnej szafki wyjął staroświecką latarnię, podobną do tej, którą kiedyś, dawno temu, oglądałam w Muzeum Górnictwa, z jedną różnicą – szklane części były zabarwione na niebiesko. Wytarł ją ściereczką z kurzu i postawił na stole.

– To jest błękitna latarnia – stwierdził. – Próba polega na tym, że pójdziesz z nią w las i będziesz szła przed siebie, póki nie wzejdzie słońce. Jeśli las uzna za stosowne, przyprowadzi cię z powrotem.

Musiał dostrzec zachwyt w moich oczach – prawdziwa przygoda w magicznym świecie! – bo dorzucił:

– Nie ciesz się tak. Nie jest powiedziane, że wrócisz. Niektórzy nie wracają.

Zerknęłam na zegar, poważniejąc. Ponieważ palili w piecu, a od szpar w okiennicach ciągnął ziąb, należało się spodziewać, że w tym świecie również panuje zima. Spędzenie nocy w zaśnieżonym lesie rzeczywiście mogło się skończyć pozostaniem na zawsze w jakiejś

zaspie. Ale ta część mnie, która kiedyś namiętnie grała w RPG, mimo wszystko nie posiadała się z zachwytem.

Przygoda!

– Chodź – powiedziała Zofia, wstając. – Jeśli masz się poddać próbie, nie ma czasu do stracenia.

Próba błękitnej latarni

Na zewnątrz, tak jak podejrzewałam, leżał śnieg. Łagodził kontury i odrealniał kształty chochołów, których rzędy stały w rozległym ogrodzie. Gdy tylko znaleźliśmy się na dworze i wzięłam ją do ręki, latarnia rozgorzała zimnym, tajemniczym, błękitnym światłem. W jej blasku wszyscy wyglądaliśmy jak upiory.

Petr, okutany w kozuch, w czapce uszance, zamknął drzwi kuchenne na klucz, po czym ruszył przodem wydeptaną ścieżką między chochołami. Ja szłam za nim, a Zofia zamykała pochód. Nad nami migotały gwiazdy, ponad czarnymi zarysami drzew owocowych w sadzie dostrzegłam blady sierp księżyca. Zadałam sobie pytanie, co kryje się za horyzontem: pola i uśpione wioski pod zimowym niebem czy też nieznanne mi dziwy, zakłete puszcze, szklane góry i jeziora zamieszkałe przez rusalki? Zarazem ta część mnie, która wychowała się na fantastyce, zastanawiała się, czy Zaświat to jakiś ożywiony wytwór zbiorowej wyobraźni, karmionej baśniami z naszego (a może nie tylko naszego) kręgu kulturowego, czy raczej kraina, która tym baśniom dała początek.

A może to jednak był sen?

Doszliśmy do opasującego ogród kamiennego muru. W blasku latarni zobaczyłam, że jest stary i zniszczony. Wyschnięte, zaśnieżone chwasty, które latem wyrosły w szczelinach, zwieszały się niczym brody. Po drugiej stronie czerniała ściana lasu – gęste świerki z gałęziami ciężkimi od śniegu, pod którymi panowała ciemność tak nieprzebita, tak atramentowa, że aż zjeżyły mi się włoski na karku. Przypomniałam sobie stare legendy słowiańskie, zgodnie z którymi kraina umarłych miała się mieścić w głębi puszczy, a rządził nią bóg o trzech kozich głowach. Potem

pomyślałam cierpko, że wystarczy, aby w tym lesie żyły wilki, i jakby w odpowiedzi z oddali przypląnęło smętne wycie. Zadrżałam.

Petr ze złośliwym uśmiechem wskazał zaryglowaną furtkę.

– Otwórz ją, piaskomyślna, i idź przed siebie. Pamiętaj, nie wolno ci zawrócić. Jeśli cofniesz się z drogi, nie przeszłaś próby.

Spełniłam polecenie. Zawiasy furtki przeciągle zaskrzypiały.

Wstrzymując oddech, na uginających się z lekka nogach, ale z dumnie podniesioną głową, wkroczyłam w zaśnieżony świerkowy gąszcz.

Jeśli kiedykolwiek próbowaliście przedzierać się zimą przez las, wiecie, że nie jest to przyjemne ani łatwe. Potykałam się o korzenie, zapadałam po kolana w zaspach, gałęzie smagały mnie po twarzy, drapiąc igłami i obsypując sytkim śniegiem. Kurczowo trzymałam błękitną latarnię, uważając, żeby się nie stłukła, i modliłam się, żeby nie skręcić nogi w jakiejś rozpadlinie.

Po kilkudziesięciu krokach drzewa się przerzedziły, szło się łatwiej. Blask błękitnej latarni oświetlał drogę, wokół tańczyły długie, rozedrgane cienie. Zadyszawszy się w gąszczu, prawie nie czułam zimna. Otrzeptałam płaszcz i kaptur ze śniegu.

Las rzedł, świerki ustąpiły miejsca bukom. Wspięłam się po zboczu, przedarłam przez pas zarośli, depcząc suche badyle oraz łodygi jeżyn, i ujrzałam przed sobą pustą przestrzeń. Stałam na pozbawionym drzew wierzchołku niedużego wzniesienia. Pod wygwieżdżonym niebem rozpościerała się gładka płaszczyzna bieli, gdzieś tam oznaczona tropami zwierząt. Zimno zaczynało mi doskwierać: przenikało przez warstwy odzieży, wciskało się pod gruby flauszowy płaszcz, sweter, wełnianą spódnice, getry i rajstopy, które wieki temu włożyłam, wychodząc z domu. Zastanawiałam się, jakie stworzenia mogą żyć w krainie, gdzie w kuchniach gnieźdzą się domowiki. Może lada chwila zza drzewa wychynie leszy albo z zarośli dobiegnie chichot złego licha?

Nagle zeszywniałam, gdy błękitna latarnia drgnęła i nieznacznie szarpnęła się w mojej dłoni. Po chwili stała się lekka, tak lekka, jakby przemieniła się w balon wypełniony helem, a ja wraz z nią.

Czułam, że ważę teraz mniej niż piórko, że lada moment oderwę się od ziemi.

Powiał wiatr, wzbiłyśmy się i wolno, dostojnie poszybowałyśmy w powietrze, wznosząc się ku mrugającym w oddali gwiazdom. Czarodziejski krąg światła zamkniętego w niebieskim szkłe i ja, w płaszczu, czapce i szaliku, w zimowych butach, łopocząca wełnianą spódnicą. Leciałyśmy ponad uśpionym, cichym światem, całym z bladych płaszczyzn i atramentowych cieni. Teraz nie czułam już zimna, nie czułam nawet pędu powietrza na twarzy, jakby moc latarni otoczyła mnie kokonem z ciepłego powietrza. Zachwycona, zaśmiałam się cichutko.

Latarnia znów szarpnęła się w mojej dłoni, jakby dopraszając się, żebym ją wzięła w obie ręce. Wtedy zobaczyłam, że w jej błękitnym świetlistym wnętrzu przesuwają się obrazy niczym w szklanej kuli. Kiedy zatrzymałam na nich wzrok, ze zdumieniem rozpoznałam, co przedstawiają.

Powiększyły się, otaczając mnie, i oto znalazłam się tam w środku, w sercu latarni, które nie było już błękitne. Padał deszcz, koła samochodów i autobusów rozbryzgiwały brudną wodę z kałuż, a ja stałam na przystanku i gapiłam się na SMS od Mariusza o treści prostej jak cios pięścią między oczy:

„Przemyślałem sprawę i tak, to już koniec. Bardzo Cię przepraszam. Nie dzwoń, proszę”.

Na nowo poczułam tamte emocje – wzbierające w oczach łzy i gulę w gardle, później wściekłość, gniołąca za mostkiem jak kolczasty kłęb, a w końcu zobojętnienie. Było, minęło. W końcu upłynęło... ile czasu? Ładnych kilka lat.

Kiedy otarłam oczy i podniosłam wzrok, zobaczyłam, że już nie frunę, tylko stoję na ziemi, na tym samym pagórku co przedtem. Nadal nie czułam zimna, latarnia świeciła jasno, a księżyc skrył się za drzewami.

– Po co mi to pokazałaś? – spytałam na głos.

Odpowiedziała mi cisza.

Ponownie wpatrzyłam się we wnętrze latarni, przekonana, że jeśli gdzieś kryją się odpowiedzi, to właśnie tam. Chłodny błękitny blask hipnotyzował, aż nie sposób było oderwać wzroku od szklanej krzywizny.

Po chwili przede mną znów pojawiły się obrazy, ale tym razem nie zostałam wciągnięta w ich środek, patrzyłam tylko na małe figurki poruszające się za szkłem, jak w telewizorze. Zobaczyłam siebie w białej bluzce i eleganckim żakiecie, w biurze – kserowałam dokumenty, pisałam na komputerze, rozmawiałam przez telefon. Pewnie w tej mitycznej świetnej pracy, którą matka wymarzyła sobie dla mnie i której latami nie potrafiłam znaleźć. Potem moja bardziej udana wersja wyszła z biurowca i wsiadła do samochodu, żeby pojechać na nieznaną mi osiedle w nieznanym mieście, po drodze robiąc zakupy i odbierając dziecko z przedszkola. Należało przypuszczać, że w domu czeka kochający mąż, zarabiający przyzwoite pieniądze w jakimś szanowanym zawodzie. Ale obraz zniknął, gdy tamta druga Olga wchodziła po schodach na piętro, stukając obcasami, z siatką w jednej ręce, a drugą prowadząc dziewczynkę w różowej kurtce, o ciemnych warkoczykach.

– Po co mi to pokazujesz? – spytałam znowu.

I znowu nie było odpowiedzi. Tylko cisza, para unosząca się z ust i uśpiony, zaśnięzony las.

Wtem włosy zjeżyły mi się na karku. Wyczułam obecność. Nie było dźwięku, szelestu, trzaśnięcia gałązki – a jednak wyczułam, że nie jestem na polanie sama, że ktoś lub coś przypatruje mi się z ciemności.

Lodowate dreszcze popęzły mi po plecach. Odwróciłam się, unosząc latarnię. Nikogo. Błękitny śnieg, cienie i mrok pod drzewami.

– Kto tam?! – zawołałam, starając się opanować drżenie głosu. Niewidzialny kokon ciepłego powietrza rozproszył się i mróz ukąsił mnie w gardło.

Zesztywniałam, gdy coś drgnęło wśród buków, a potem bezszelestnie zaczęło sunąć w moją stronę. Cofnęłam się o kilka kroków, unosząc latarnię przed sobą niczym broń w nadziei, że jej moc – jakakolwiek była – zapewni mi ochronę.

Spomiędzy drzew wyłonił się czarny kształt, jakby postać w długim płaszczu z kapturem. Straszdyło zbliżało się, płynąc w powietrzu, a ja się cofałam, oniemiała ze zgrozy.

– Czego chcesz?! – krzyknęłam, a wtedy tam, gdzie postać miała głowę, zapaliły się dwa ogniki. Dwoje oczu.

Strach zalał mnie niczym zimna, lepka galareta, w której ugrzęzłam, nie mogąc zrobić już ani kroku wstecz. A czarna postać znów zaczęła sunąć ku mnie, wolniutko, centymetr za centymetrem. Uniosła i wyciągnęła ramiona.

Wiedząc, że nie dam rady uciec przez zasy, w ułamku sekundy przekalkulowałam możliwe warianty i podjęłam decyzję. Z niesprecyzowanym bojowym okrzykiem złapałam pierwszy lepszy wystający ze śniegu patyk i zaszarżowałam na stwora.

Okazał się niematerialny – był czystą ciemnością, w którą wpadłam jak okruch materii międzygwiazdnej w czarną dziurę. Zniknął zimowy las, zgasł blask latarni, płynęłam w nieprzebitym mroku, nie czując bólu, tylko strach – ale on także po chwili zaczął słabnąć.

I znowu ujrzałam przed sobą obrazy, tak jakbym oglądała fragment filmu bez dialogów. W mieszkaniu urządzonym zgodnie z modą sprzed trzydziestu lat – meble z ciemną politurą, koronkowe serwety, paprotki – wysoki mężczyzna w garniturze i okularach wygrażał pięścią chudemu nastolatkowi o półdługich potarganych włosach. Nie słyszałam żadnych dźwięków, ale widziałam, jak chłopak zaciska zęby, jakby ze wszystkich sił powstrzymywał się od reakcji, jak człowiek w okularach łapie go za bluzę i potrząsa, pewnie krzycząc coś w stylu: „No co, szczeniaku, głuchy jesteś, mówię do ciebie!”.

Obraz zamarł, a potem zmienił się, tak jakby ktoś przewinął odtwarzanie. Zesztywniałam, gdy pojęłam, co widzę.

Łazienka, zaparowane lustro i wanna pełna po brzegi ciemnej wody – w błękitnej latarni czerwień miała barwę zgaszonej purpury. Chłopak klęczał obok, oparty czołem o krawędź, opadające włosy kryły twarz. Podciął sobie żyły i zanurzył ręce po łokcie w gorącej wodzie, żeby przyspieszyć upływ krwi.

A potem drzwi łazienki zniecka się otworzyły i stanął w nich człowiek w okularach, pod krawatem, z teczką pod pachą, jakby

właśnie przyszedł z pracy. Przez nieskończenie długą chwilę stał bez ruchu, gapiąc się, a ja patrzyłam na zaskoczone „O” jego ust i zastanawiałam się, co zrobi, gdy otrząśnie się z pierwszego szoku – pobiegnie dzwonić na pogotowie czy będzie próbował ratować syna (skądś wiedziałam, że to jego syn), a może jest już za późno?

Ale nie dane mi było tego zobaczyć, bo w następnej sekundzie sama znalazłam się wewnątrz szklanej kuli. Leżałam pośrodku równiny zarośniętej gęstwiną kolczastych zarośli, zaś z wypukłej krzywizny nieba sypały się białe płatki. Było mi ciepło, powieki ciążyły, obezwładniająca senność paraliżowała całe ciało. Pomyślałam leniwie, że nie należy zasypiać w zamieci, bo można zamarznąć, ale to była moja ostatnia przytomna myśl.

Zimno. Mokro.

Biel.

Leżałam w śniegu, a gdy podniosłam się na łokciach i otworzyłam oczy, natychmiast je zmrużyłam, porażona blaskiem słońca. Był jasny dzień.

Wstałam z jękiem i otrzepałam ubranie, zeszywniała i przemarznięta do szpiku kości. Rozejrzawszy się, podniosłam błękitną latarnię, która już nie świeciła. Z ulgą przekonałam się, że żadna z szybek nie jest rozbita.

Przeżyłam próbę. Pozostawało liczyć, że jakoś trafię z powrotem do starego domu, Zofii i Petra.

Chwilę błądziłam po lesie, ale dość szybko zobaczyłam, że między drzewami biegnie droga z koleinami wyjeżdżonymi przez wozy. Wyszłam na nią, przedarłszy się przez krzaki, które obsypały mnie białym puchem od stóp do głów. Ponownie się otrzepałam i zastanawiałam się właśnie, w którą stronę powinnam pójść, kiedy zza zakrętu wyłonił się mężczyzna. Pomyślałam z ulgą, że będę mogła go zapytać, gdzie jestem.

Był wysoki i chudy, odziany tak, jakby zupełnie nie czuł mrozu – w niebieski surdut, żółtą kamizelkę i kraciaste tabaczkowe spodnie, niczym Pan Kleks na ilustracjach Jana Marcina Szancera, tyle że nie miał brody. Mógł sobie liczyć około czterdziestu pięciu lat, ale wyraźnie starał się wyglądać jak najmłodziej, z wygoloną smagłą twarzą i czarnymi włosami pociągniętymi brylantyną. Cienkie wąsy,

sterczące w górę każdy pod innym kątem, sprawiły, że skojarzył mi się z Salvadorem Dalim. W ręku niósł cylinder.

Rozpromienił się na mój widok.

– Ach, Greto! A więc udało ci się nie zgubić w puszczy!

– Nazywam się Olga – poprawiłam go.

Pokręcił głową, unosząc palec wskazujący, jakby strofował niegrzeczną dziewczynkę.

– Jesteś w błędzie, drogie dziecko. Skoro masz być moją gospodynią, musisz się nazywać Greta. Moje gospodynie nigdy nie noszą innego imienia.

– To pan jest mistrzem Petra? – spytałam.

Zamknął oczy i z powagą skinął głową, po czym nagle zmierzył mnie spojrzeniem tak przesywającym, że odruchowo się cofnęłam. W następnej chwili roześmiał się, demonstrując garnitur olśniewająco białych zębów niczym prezenter telewizyjny.

– Tak, jestem Aroldo Gazza. Wielki Aroldo Gazza – podkreślił i podkreślił węża.

Mosiężne guziki surduta zalśniły w słońcu, błysnął złoty łańcuszek od zegarka w przedniej kieszonce. Zauważyłam, że na żółtym atłasie kamizelki widnieją dwa wyhaftowane kolorowymi nićmi smoki – jeden skierowany głową ku górze, drugi w dół.

Dominik

Współpasażer

Wsiadając do pociągu, Dominik Budrewicz przyłapał się na myśli, że śmierć byłaby najlepszym wyjściem z sytuacji. Zaraz potem błysnęła mu cierpka refleksja, że doprowadzając do końca to, czego nie zrealizował w wieku osiemnastu lat, wyświadczyłby Róży przysługę. A to, rzecz jasna, stanowiło dobry powód, żeby mimo wszystko pozostać przy życiu.

Odwrócił się i pomógł jakiejś kobiecie z ciężką walizką. Myśl o śmierci nadal bzyczała mu w uchu jak natrętny komar.

Szedł wzdłuż wagonu, aż znalazł pusty przedział. Wrzucił torbę na półkę, powiesił kurtkę na haczyku i usiadł przy oknie. Komórka cicho piknęła mu w kieszeni, sygnalizując, że przyszedł SMS. Wyjął ją i przeczytał wiadomość od kolegi.

„Przemyslałem sprawę i odpowiedź brzmi nie bo nie sadze abym mogl cos pomoc jako swiadek przepraszam”.

Zacisnął zęby, tłumiąc chęć wyrzucenia telefonu przez okno. Wziął głęboki oddech i odpisał:

„Rozumiem, dzięki za jasne postawienie sprawy, trzymaj się”.

Wagonem lekko szarpnęło; pociąg ruszył. Dominik wygrzebał z kieszeni listek z małymi białymi tabletkami i łyknął jedną, popijając wodą z butelki.

Tydzień wcześniej wyprosił u zaprzyjaźnionej lekarki recepty na hydroksyzynę i relanium. Prochy lekko go otępiały, ale wolał to niż bezsenne noce, rozdygotane ręce i trzęsący się głos.

Lekarka chciała mu dać skierowanie do psychiatry, ale odmówił, mając w pamięci radę prawnika, żeby unikać wszystkiego, co może zostać wykorzystane przeciwko niemu. Po tym, co Róża

zaprezentowała do tej pory, był już skłonny uwierzyć, że mogłaby dotrzeć absolutnie wszędzie i dokopać się do informacji teoretycznie chronionych tajemnicą lekarską.

Znali się od prawie dziesięciu lat, byli małżeństwem od siedmiu. Czasem się kłócili, właściwie nie tak rzadko; ona była wybuchowa z tendencjami do zazdrości, on zamknięty w sobie, niechętnie okazujący uczucia, ale wszystkie małżeństwa przeżywają lepsze i gorsze chwile, prawda?

Dałby sobie rękę uciąć, że są kochającą się parą i wszystko jest dobrze. Do czasu, gdy Róża złożyła pozew o rozwód z jego winy, oskarżając go o to, że jest niezrównoważony, niedojrzały, narcystyczny, znęca się nad nią psychicznie i fizycznie (jeden jedyny raz – przed trzema laty – faktycznie zdarzyło się, że doprowadzony do furii popchnął ją i upadła), pije, jest uzależniony od pornografii i regularnie grozi samobójstwem.

Drzwi przedziału się odsunęły.

– Dzień dobry, można?

– Dzień dobry – odpowiedział machinalnie.

Brzuchaty starszy mężczyzna wsunął walizeczkę na półkę, zdjął płaszcz i zajął miejsce przy drzwiach.

Pociąg nabierał prędkości, słupy migały w oczach. Miejsce osiedli zajęły burobrązowe połacie zaoranej ziemi, zagajniki i chaszczce. Od tygodnia trwała odwilż, resztki brudnego śniegu już prawie zniknęły z rowów. Dominik pomyślał, że powinien wyjąć z torby laptopa i zająć się pracą, ale tylko siedział i patrzył tępo na krajobraz przesuwany za szybą – słupy, pola, słupy, pola oraz żółtoszare niebo wyglądające tak, jakby namalowano je akwarelami. Zastanawiał się, czy gdyby w porę wychwycił sygnały ostrzegawcze, coś by to zmieniło. Gdy teraz wspominał ostatni rok, docierało do niego, że Róża już od miesięcy traktowała go chłodno czy wręcz pogardliwie, tylko on uparcie nie chciał tego przyjąć do wiadomości. W myślach ją usprawiedliwiał – jest przemęczona pracą i przybita nieudanymi staraniami o dziecko. Poza tym, co tu dużo mówić, wolał jej chłód i milczenie niż awantury co drugi dzień. Choć nawet najgorsza kłótnia z Różą i tak była lepsza od tego, co pamiętał z dzieciństwa, z rodzinnego domu.

Przypomniał sobie, jak blisko dwadzieścia lat wcześniej trafił na oddział zamknięty. Przymusowa hospitalizacja po próbie samobójczej. Podciął sobie żyły, bo już nie mógł wytrzymać. Nie tylko ciągłych kłótni z rodzicami o stopnie, o długie włosy, o rysowanie, matki przeglądającej jego rzeczy w poszukiwaniu nieistniejących narkotyków, retorycznych pytań ojca: „Czy ja wychowałem pedała”. Coś popsło mu się w głowie tamtej zimy, tak jakby prawdziwy Dominik w środku umarł i gnił zżerany przez robactwo, a została tylko chodząca, mówiąca skorupa. Nie potrafił już wytrzymać sam ze sobą. I stąd wanna pełna gorącej wody, stąd żyletka.

Nie zadał sobie trudu pisania listu pożegnalnego, ale wybrał dzień, kiedy matka miała dyżur w klinice, bo chciał, żeby to ojciec go znalazł. Nie przewidział jednego – że akurat wtedy Budrewicz senior czegoś zapomni, może jakiegoś dokumentu, faktury czy notesu z numerami telefonów, przyjedzie w południe do domu i zadzwoni na pogotowie.

Odratowali go. A później, ponieważ odgrażał się, że zrobi to samo jeszcze raz, zamknęli go na dwa miesiące w tym cholernym psychiatryku, z dorosłymi, bo oddział dla dzieci i młodzieży był przepełniony. Pojawiły się podejrzenia, że może to zaburzenie schizofreniczne, może coś tam. Więc został na obserwacji. Z Napoleonami, Jezusami i przybyszami z innych planet, z takimi, których regularnie związywano pasami, i takimi, co całymi dniami tylko siedzieli albo stali bez ruchu jak rzeźby z wosku. Nafaszerowano go prochami, po których było mu wszystko jedno, że jeden pacjent z tej samej sali wygłasza tyrady o Balcerowiczu i spisku nacierzy, drugi opowiada, że podczas operacji kręgosłupa wszczepiono mu nadajnik, aby KGB mogło podsłuchiwać jego myśli, a trzeci masturbuje się o ścianę.

A potem stał się cud i Dominika wypisano do domu, zamiast mu zafundować kolejne dwa miesiące na oddziale półotwartym. Mimo opinii lekarzy, że jest trudny i nie współpracuje, a depresja została tylko stłumiona lekami – tak jakby zatynkować po wierzchu zagrzybioną ścianę. W części budynków szpitala trwał remont i sale były tak przepełnione, że łóżka stały na korytarzach, więc

pozbywano się każdego pacjenta, którego można było z czystym sumieniem wypuścić na łono społeczeństwa.

Miał dalej brać antydepresanty, ale po niedługim czasie odstawił je, nie pytając nikogo o zdanie. Zaczął chodzić na terapię grupową poleconą przez psychologa szkolnego, a wkrótce potem wyniósł się z domu rodziców do ciotki. Siostra już wtedy studiowała w Warszawie. Dyrekcja w liceum poszła mu na rękę, nauczyciele pozwolili stopniowo nadrobić materiał ze straconych miesięcy, świadectwo ukończenia trzeciej klasy miał nawet nie najgorsze. Rok później zdał maturę, może nie śpiewająco, ale przyzwoicie, i też uciekł na studia do stolicy.

Coś zaszeleściło – to towarzysz podróży rozwijał kanapkę, w którą następnie wbił z apetytem zęby. Dominik poczuł lekkie mdłości. Z powrotem zapatrzył się na bure pola przesuwane się za upstrzoną deszczem szybą.

Róża wyprowadziła się od niego pod koniec grudnia. Nagle, bez ostrzeżenia. Pewnego dnia po prostu wrócił do domu i znalazł na stole list.

Początkowo prawda nie chciała do niego dotrzeć. Jego umysł wbrew rozsądkowi uparcie usiłował wierzyć, że nic strasznego się nie dzieje, Róży coś strzeliło do głowy po siedmiu latach małżeństwa i poszła pomieszkać u rodziców przez tydzień czy dwa, ale lada chwila wróci; zostawiła w mieszkaniu tyle swoich rzeczy, książki, ciuchy, torebki, albumy ze zdjęciami, a on odbierał SMS-y i maile z życzeniami noworocznymi od nieświadomych niczego znajomych... Dwa tygodnie później pocztą przyszły papiery rozwodowe.

Gdy ochłonął z szoku na tyle, by powiedzieć o wszystkim siostrze, Asia z miejsca stwierdziła: „Słuchaj, to jasne jak słońce: znalazła sobie kogoś. Kobieta jest jak małpa, nie puszcza się jednej gałęzi, póki nie złapie się drugiej”.

Pomogła mu znaleźć prawnika specjalizującego się w sprawach rozwodowych. Ten po wysłuchaniu całej historii pokiwał głową i postawił taką samą diagnozę, tylko w bardziej eleganckich słowach. Za jego radą Dominik wynajął detektywa. Wydał siedem tysięcy złotych polskich na to, żeby się dowiedzieć, że jego żona wyprowadziła się do rodziców, nocuje u nich, a poza tym prowadzi

nadal taki sam tryb życia, jaki prowadziła od ślubu: przez pięć dni w tygodniu spędza codziennie dziesięć do dwunastu godzin w firmie, potem wraca do domu, czasem zahaczywszy po drodze o centrum handlowe, a w weekendy uczęszcza na fitness i jogę. Również lista połączeń z jej komórki – z tego, co Dominik zrozumiał, biuro detektywistyczne formalnie nie mogło pozyskiwać billingów, ale pracownicy mieli swoje chytne sztuczki – nie ujawniła niczego podejrzanego. Jak twierdził detektyw, romans łatwo wykryć: kochankowie dzwonią do siebie regularnie, nie są w stanie wytrzymać dnia bez zamienienia choćby kilku słów. Róża codziennie wysyłała tylko SMS-y do dwóch przyjaciółek, a rozmowy prowadziła krótkie, w godzinach pracy, z różnymi numerami – ewidentnie kontakty służbowe.

Detektyw próbował wysondować sytuację w agencji reklamowej, w której pracowała, ale szybko dał za wygraną.

– Pańska żona pracuje w bardzo zgranym zespole i jest niezwykle lubianą osobą – poinformował przy ostatnim spotkaniu. – Oni jej tam dosłownie jedzą z ręki. Będą ją kryli, cokolwiek zrobi.

Dominik tylko uśmiechnął się smutno. Wiedział, o czym mowa. Róża jak nikt umiała roztaczać wokół siebie urok – czarować uśmiechem, entuzjazmem, zaangażowaniem (szczerym bądź udawanym).

Detektyw powiedział mu jeszcze, że gdyby miał obstawiać, to stawiałby na szefa Róży, który niedawno rozwiódł się z żoną. I że romans najprawdopodobniej toczy się już od dłuższego czasu, za zamkniętymi drzwiami biura.

– Co zamierza pan teraz zrobić? – spytał na koniec.

– Nie wiem – odpowiedział Dominik zgodnie z prawdą. – Nie mam pojęcia.

Chciałbym, żeby umarła – pomyślał wtedy. Ta myśl nachodziła go za każdym razem, gdy rozmawiał z prawnikiem, za każdym razem, gdy czytał pozew Róży i zastanawiał się, jak napisać odpowiedź. – Dowiedzieć się pewnego dnia, że już po wszystkim, nie będzie walki w sądzie i wywlekania na wierzch brudów, nie będę musiał udowadniać, że nie byłem narcystycznym dupkiem, pijakiem i damskim bokserem.

Przystąpiły na rozwód bez orzekania o winie, ale Róża nie chciała o tym słyszeć. zaproponowała drakońskie warunki podziału majątku, a on zupełnie nie wiedział, jak się bronić. Napisała w pozwie, że żonę traktował „wyłącznie jak maszynę do sprzątanía w domu, zarabiania pieniędzy i świadczenia usług seksualnych”. Najgorsze było to, że najwyraźniej zdołała przekonać kilkoro znajomych, aby potwierdzili w sądzie jej wersję wydarzeń, a on nie miał po swojej stronie nikogo poza Asią, której zeznania, jak uprzedził prawnik, niewiele dadzą, bo sędzia założy, że siostra zeznaje na korzyść brata.

Dominik specjalnie pojechał do Torunia, żeby porozmawiać w cztery oczy ze znajomym, który bywał świadkiem scysji z Różą w roli głównej. Mógłby potwierdzić, że Róża nie jest aniołem, że kiedyś na ulicy rozbiła Dominikowi telefon, bo jej się nie podobało, że pisał SMS-y do koleżanki, a przede wszystkim, że to ona w ostatnich miesiącach robiła mu publicznie awantury, bo on nie miał w zwyczaju podnosić głosu przy ludziach.

Ale Andrzej – choć początkowo zgodził się zeznawać – teraz wycofał się rakiem. A próby skontaktowania się z ekszoną szefa Róży na razie spełzły na niczym.

Znów usłyszał szelest, a potem chrupanie. Brzuchaty pasażer przeżuwał orzeszki, czytając „Gazetę Polską”. Wsunął do ust jeszcze kilka i przewrócił stronę. Dominik przechylił głowę, oparł czoło na dłoni i zamknął oczy, wsłuchując się w jednostajny szum pędzących wagonów.

Gdy się ocknął, pociąg stał na jakiejś małej stacji, a przedział był pusty. Dominik poruszył głową, skrzywił się i pomasaował obolały kark, potem przetarł oczy. Krótka drzemka sprawiła tylko, że czuł się jeszcze bardziej otępiały i rozbity.

Drzwi przedziału się odsunęły.

– Dzień dobry.

Nowy pasażer zajął miejsce przy oknie, naprzeciwko Dominika, który mruknięciem odpowiedział na powitanie.

Pociąg ruszył, mijając tablicę z nazwą stacji. Krople deszczu znów zmoczyły szybę. Wagon lekko szarpnął na zwrotnicy, zakołysał się, stopniowo nabierając prędkości.

– Przepraszam – odezwał się nieznajomy.

Dominik niechętnie podniósł na niego wzrok. I zdziwił się. Towarzysz podróży był śniady jak Cygan, ale nie krępy jak większość przedstawicieli tej nacji, tylko chudy; nie miał też skórzanej kurtki ani ortalionowych spodni, ani złotego łańcucha na szyi. Był ubrany jak satanizujący subkulturowiec z poprzedniego pokolenia: zniszczone dżinsy, czarna bluza sprana na grafit, jakieś naszywki na wyblakłej dżinsowej kamizelce, w tym odwrócony pentagram. Ascetyczna twarz o cienkich ustach, ze szczeciną zarostu wzdłuż szczęki, nie pozwalała określić wieku; mężczyzna mógł być rówieśnikiem Dominika, ale równie dobrze mógł być i dziesięć lat starszy, choć w sięgających ramion ciemnych włosach nie miał śladów siwizny.

Pachniał dymem. Nie papierosami – dymem, jakby wracał z ogniska na działce.

– Proszę wybaczyć, że poruszam przykry temat – podjął łagodnym tonem, ale jego oczy wpatrzone w Dominika były niczym czarne wyloty luf. – Ma pan kłopoty z żoną, prawda?

– To nie pańska sprawa – warknął Dominik.

– Mówił pan przez sen – kontynuował nieznajomy, nadal świdrując go spojrzeniem.

Zanim jeszcze zdążył pomyśleć, że coś tu się nie zgadza, bo przecież ten człowiek dopiero co wsiadł (chyba że rzeczywiście dosiadł się już wcześniej, a teraz tylko wyszedł na chwilę na korytarz), Dominik wstał, ściągnął torbę z półki, wziął kurtkę i chciał wyjść z przedziału.

Drzwi się zablokowały.

Zaklął i naparł na nie całym ciężarem. Bez skutku. Tkwiły w miejscu jak przymurowane.

Śniady pasażer siedział bez ruchu, uśmiechając się złośliwie. Dominik zwalczył przemożną chęć rąbnięcia go pięścią.

I wtedy spostrzegł, że z włosów nieznajomego wystają nad czołem dwa drobne różki.

Nadal śnię – olśniło go i uczepił się tej myśli jak liny ratunkowej. Zamknął oczy i spróbował zrobić to, czego nauczył się jeszcze w dzieciństwie, gdy śniły mu się koszmary – wyrwać się

z rzeczywistości snu, zrzucić ją z siebie jak koc, wracając do prawdziwego świata.

Ale nic się nie stało. Pociąg gnał przed siebie, wagon lekko kołysał się w pędzie.

Dominik otworzył oczy i ponownie napotkał spojrzenie współpasażera: zimny mrok, dwie kadzie zastygłej smoły, źrenice nieodróżnialne od tęczy. Czym prędzej umknął wzrokiem, zapatrzył się na buty tamtego – zniszczone martensy z popękany licem.

– Nie, to nie sen – powiedział szatan, a w jego głosie zadźwięczała nutka śmiechu. – Przychodzę do tych, którym przyda się moja pomoc. Nie zdrowym potrzeba lekarza, ale tym, którzy mają się źle.

– Spadaj – wycedził Dominik przez zaciśnięte zęby. – Nic od ciebie nie chcę.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony. – Również przechodząc na „ty”, Zły poufale zniżył głos. – Ale wiem, że jest ci ciężko.

Na moment zapadło milczenie. Dominik popatrzył w okno. Czuł, że za mostkiem uwiera go bolesne napięcie, jakby tkwił tam kłęb kolczastego zielska.

Pociąg zwolnił, mijając wiejską stacyjkę. Gdy ponownie przyśpieszył, szatan podjął:

– Kiedy ukochana osoba nagle pokazuje prawdziwe oblicze, jest tak, jakby świat się walił, prawda? Róża zabrała ci to co najcenniejsze, miłość i zaufanie, a chce zabrać jeszcze więcej.

Dominik zacisnął zęby. Nagle wyobraził sobie stracha na wróble ze złamaną podpórką, leżącego na ugorze wśród ostów. Mniej więcej tak się czuł od końca grudnia.

Zły nachylił się, opierając łokcie na kolanach, i spytał jeszcze ciszej:

– Chciałbyś, żebym pomógł rozwiązać ten... problem?

Dominik otworzył usta, po czym zamknął je. Głupi sen – pomyślała trzeźwo ta część jego umysłu, która starała się zawsze zachowywać zdrowy rozsądek i dystans do wszystkiego. – Usnąłeś po hydroksyzynie, twoja podświadomość odreagowuje stresy, zaraz się zbudzisz i wszystko będzie dobrze.

– Chcę się obudzić – powiedział, a potem wrzasnął na cały głos: – Chcę się obudzić! *Chcę się obudzić!!!*

Nic się nie stało. Z sąsiednich przedziałów nie wybiegli pasażerowie, nie pojawił się zdenerwowany konduktor. Szatan popatrzył na Dominika z politowaniem.

– Nie musisz tak krzyczeć. Chcę tylko usłyszeć prawdę. To żaden wstyd przyznać, że potrzebujesz pomocy.

Nie, chciał odpowiedzieć Dominik, ale zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie wydobyć dźwięku ze ściśniętego gardła.

Szatan pstryknął palcami.

– Będziemy w kontakcie – oznajmił.

A potem rozpląnął się w pachnącej dymem mgłę, która nagle spowiła przedział.

Dominik otworzył oczy. W pierwszej chwili doznał uczucia całkowitej dezorientacji, a w następnej go zmroziło.

Stał w przejściu podziemnym na Dworcu Centralnym niedaleko toalet, z torbą w ręku i kurtką przewieszoną przez ramię, kompletnie ogłupiały. Nie pamiętał, kiedy wysiadł z pociągu i jak się tu znalazł.

Szlag. Oblał go zimny pot. Hydroksyzyna nie powinna tak działać. Żadne środki uspokajającebrane zgodnie z zaleceniem nie powinny robić z człowiekiem takich rzeczy. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej tracił kontakt z rzeczywistością, nawet wtedy w psychiatryku, na cholera wie jakich prochach, po których był oklapły jak mokra szmata i ledwo potrafił powiedzieć, jak się nazywa.

Rozglądał się tępo, aż jego wzrok przykuły jaskrawe plamy koloru. Wnętrze pobliskiej kawiarni zdobiły czerwone i różowe papierowe serca oraz serpentyny. Witrynę znajdującej się obok księgarni również udekorowano w podobnym stylu, dodając jeszcze plakat z amorkiem. Amorek miał wstrętą pucołowatą buźkę i natchnionym wzrokiem spoglądał w górę, dzierżąc w tłustej łapce strzałę, a nad nim, w chmurce, widniał napis: „14 lutego daj się uwieść naszej ofercie specjalnej!”.

Najpiękniejszy prezent dla Róży: odpierdoliło mi, kurwa, akurat na walentynki – pomyślał Dominik i nagle zaczął się śmiać. Śmiał się i śmiał, nie mógł przestać, podczas gdy mijający go ludzie oglądali się dyskretnie, zaciskali usta i przyśpieszali kroku.

W końcu się opanował. Wziął taksówkę spod dworca i pojechał do domu.

Mieszkanie na Ursynowie na szczęście należało do niego – kupione, zanim jeszcze poznał Różę, za pieniądze ze spadku po ojcu. Zanosiło się na to, że po rozwodzie nie zostanie mu nic więcej.

Gdy zdejmował buty w przedpokoju, coś ścisnęło go w gardle (przestań) jak zwykle na widok zamkniętych drzwi po prawej. Za nimi, w sypialni, było ciemno, ale wiedział, że wnętrze wygląda jak po trzęsieniu ziemi. Wyprowadzając się, Róża zostawiła część swoich rzeczy skłębionych byle jak na łóżku i podłodze i leżały tak, zbierając kurz. Sukienki, sweterki, koszulki, duperełki. Słaby zapach perfum Chanel numer ileś unosił się nad tym wszystkim jak wyrzut sumienia i to wystarczyło, żeby Dominik nie był w stanie tam wejść. Postanowił, że nie kiwnie palcem, żeby sprzątnąć jej manatki – będą tak leżeć do czasu, aż Róża łaskawie przyjedzie i je zabierze, a jeśli nie zabierze, to on poprosi siostrę, żeby wzięła rolkę plastikowych worków, spakowała ten cały kram i wyniosła, dokąd zechce, sprzedała na Allegro czy wrzuciła do kontenera PCK, wszystko jedno.

Reszta mieszkania wyglądała w miarę przyzwoicie, bo zawziął się, że jeśli Róża zjawi się tu bez zapowiedzi, nie zastanie chlewu. Tak mu radziła Asia: „Ona chce cię widzieć załamane, więc nie możesz się rozsypać, łykaj leki, ale dbaj o siebie, na litość boską, jedz, śpij i noś czyste ciuchy”. O czyste ciuchy z tego wszystkiego najłatwiej było się zatroszczyć, bo jedzenie stawało mu w gardle, a sen nie chciał przychodzić nawet po lekach. Najłatwiej było zasnąć przy komputerze, nad programem graficznym, w połowie obrabiania obiektu, bo jeśli już wziął prysznic, przebrał się w piżamę i położył do łóżka, wtedy zaczynał (kurwa) myśleć o Róży.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł, ale nie był głodny. Z rozsądku wmusił w siebie banana i trochę chleba z camembertem, wypił herbatę, łyknął hydroksyzynę, po czym poszedł do pokoju, który wcześniej służył za salon i jego pracownię w jednym, a teraz stał się również sypialnią.

W szafce stała butelka dość drogiej whisky, urodzinowy prezent od kolegi – ledwie napoczęta. Dominik nalał sobie kieliszek. Z reguły był rozsądny i nie mieszał leków z alkoholem; w ogóle pił

niewiele i rzadko, nawet na studiach nigdy się nie upijał na imprezach. Po części dlatego, że bał się skończyć jak ojciec, który latami przychodził z pracy, zalatując wódką – nigdy nie pijany, ale nigdy też nie do końca trzeźwy. Kiedy przeszedł na wcześniejszą emeryturę, twarz miał w pajęczkach rozszerzonych żyłek i pił już od rana, zaczynał każdy dzień od piwa, czasem dwóch. A rok później zmarł w szpitalu na niewydolność wątroby, nieprzytomny, ze śmierdzącym oddechem i rozdętym brzuchem, na którym żyły układały się w wieniec jak węże wokół głowy Meduzy.

W połowie drugiego kieliszka komórka piknęła. SMS.

Od Asi.

„Jesteś w domu? Można zadzwonić?”.

„Nie dzwon, jestem w domu, ale nie mam siły gadac, przepraszam” – odpisał, po czym wychylił resztę whisky; zapiekło go w gardle, zakaszłał.

Wyciągnął się na kanapie tak jak stał, w ubraniu, podkładając pod głowę flanelową koszulę zgarniętą z krzesła. Bolesny kłęb napięcia za mostkiem wreszcie zaczynał się rozsupływać i topnieć, w miarę jak napływała błogosławiona senność. Wszystko nagle wydało się Dominikowi nieważne, tak jakby od świata odcięta go dźwiękoszczelna szyba – jakby znalazł się, bezpieczny, w miękko wyścielonej bańce z grubego szkła. Przemknęło mu przez głowę, że właściwie dobrze byłoby wyłączyć telefon, ale już nie chciało mu się wstawać.

Gdy zasypiał, przed oczami stanęła mu Róża osiem lat wcześniej, w złotym upale na Połoninie Wetlińskiej, opalona na brązowo, w szortach i koszulce bez rękawów, i cienkie ostrze szłochu raz jeszcze przewierciło mu krtań, ale potem zmęczenie i alkohol w połączeniu z hydroksyzyną zrobiły swoje, otulając go ciepłym pledem zapomnienia.

Coś grało. Znajome blaszane trach-taram-trach wesołej hardrockowej piosenki przepuszczonej przez kiepski głośniczek.

Dzwonił telefon.

Kurwa.

Telefon dalej awanturował się rockowo.

Dominik wyciągnął rękę i podniósł go. W przelocie odnotował godzinę – była siódma rano. Dla niego – niespętanego etatem – prawie środek nocy. Dzwoniono z nieznanego numeru. Odebrał.

W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co takiego usiłuje mu powiedzieć poważny męski głos po drugiej stronie. Znaczenie poszczególnych słów było jasne, ale treść zdań nie chciała dotrzeć do świadomości.

– Dziś rano o piątej dwadzieścia... szary opel corsa zarejestrowany na pańską żonę... wypadek za miastem... zginęła na miejscu... dokumenty... Róża Budrewicz.

Róża Budrewicz.

Róża Budrewicz.

Imię i nazwisko bzyczały w jego otępiełej od snu głowie jak muchy latające w kółko pod sufitem. Przetarł twarz, usiłując pozbierać myśli i wykrztusić coś sensownego, niepewny, czy nie bredzi. Z całej rozmowy tak naprawdę dotarło do niego tylko jedno zdanie.

– Będzie pan musiał dokonać identyfikacji zwłok.

A potem jego umysł wreszcie dodał dwa do dwóch.

Dominik rozłączył rozmowę i opadł na wznak, oddychając szybko, coraz szybciej, w narastającej panice.

Znów ujrzał przed sobą śniadą fizjonomię towarzysza podróży, złośliwy uśmiech i przeszywające spojrzenie czarnych oczu. W uszach zadźwięczały mu słowa: „Będziemy w kontakcie”...

Za siedmioma górami była sobie kucharka

Służba w domu Arolda miała sporo uroku. Na pewno więcej niż praca w korporacji.

Miała przy tym jedną prozaiczną zaletę: mój pracodawca płacił normalnymi polskimi pieniędzmi. Gdy już ustaliliśmy warunki zatrudnienia, delikatnie, lecz stanowczo wymogłam na Aroldzie, by mi sprezentował niewielką zaliczkę. Ku mojej uldze po przejściu do zwyczajnego świata banknoty nie zamieniły się w błoto, gnój ani etykiety po wodzie mineralnej. Bez problemu zapłaciłam nimi za zakupy w Stokrotce, a wieczorem poszłam spać tak szczęśliwa, jak tylko może być ktoś, kto już tylko jedną nogą żyje w prawdziwym świecie, a drugą w baśni. Nie przeszkadzało mi, że w tej opowieści nie będę księżniczką ani nawet czarodziejką, tylko kucharką w domu czarodzieja.

(Tak, wiem, skojarzenie z *Ruchomym zamkiem Hauru* nasuwa się samo. Tak, pewnie, że lubię filmy Miyazakiego. Niestety, Aroldo nie był nawet w połowie tak uroczy jak Hauru).

Nowa praca oznaczała diametralną zmianę trybu życia. Mój dzień zaczynał się teraz o czwartej rano. Ziewając, półprzytomna wychodziłam z domu o czwartej trzydziści i pierwszym autobusem jechałam na peryferie miasta, a później szłam do opuszczonego domu nad Bystrzycą, gdzie mniej więcej dziesięć po piątej przechodziłam przez portal. Długą listę obowiązków do wypełnienia w domu Arolda rozpoczynałam zawsze od napalenia w starym kaflowym piecu w kuchni i przyniesienia wody, następnie zaś szykowałam śniadanie. Mleko dostarczał nam milczący mieszkaniec Zaświatu, odziany w kufajkę i watowane portki, mający zamiast twarzy włochaty szcurzy pysk. Codziennie mniej więcej dwadzieścia po piątej przyjeżdżał wozem zaprzężonym w olbrzymiego czarnego chrząszcza (nie znam się na entomologii, ale zaryzykowałabym stwierdzenie, że był to biegacz), zostawiał nam pełną bańkę i zabierał pustą. (Tak, wiem, że w realnym świecie

owady giną na mrozie, ale ponieważ chrząszcz rozmiarów konia tak czy inaczej łamie kilka praw biologii, to równie dobrze mógł być chrząszczem stałocieplnym, nie wnikałam w to).

Świeżutkie, tłuste mleko pachniało sianem i koniczyną. Gotowałam na nim owsiankę, kaszę jęczmienną, gryczaną albo lane kluski – codziennie co innego. W spiżarni stały worki z konopnego płótna pełne zapasów: kasze, mąka, kartofle, fasola i groch.

Masło i jajka Petr kupował po sąsiedzku, od staruszki, która mieszkała w kotlinie zaraz za potokiem. On i Aroldo nazywali ją Młynarką, bo jej domem był stary młyn, w którym od dawna już niczego nie mielono. Budynek chylił się ku ziemi, a drewniane młyńskie koło tkwiło nieruchomo w potoku, porastając mchem. Młynarka liczyła sobie na pewno dobrze ponad siedemdziesiąt lat, ale choć poruszała się zgarbiona i o lasce, zachowała dziarskość jak wiele wiejskich kobiet w tym wieku. Gdy do nas przychodziła, często towarzyszył jej wnuczek, piegowaty chłopiec w baranym kozuszk. Hodowała kury, świnię oraz krowę, od której za nic nie chciała nam sprzedawać mleka. Masło tak, ale mleka za żadne skarby. Petr wyjaśnił mi dlaczego. Staruszka bała się, że gdybyśmy dostali choć odrobinę mleka od jej krowy, moglibyśmy rzucić urok, żeby móc je doić u siebie z rzemienia albo starej torby.

Miód mieliśmy z własnej pasieki. Szybko nauczyłam się robić ze zsiadłego mleka twaróg, a Zofia pokazała mi, jak piec w piecu żytni chleb na zakwasie, drożdżowe ciasto i pierniki.

Na obiad, zgodnie z dyspozycjami, które na samym początku wydał mi Aroldo, jedliśmy proste, ale sycące jarskie dania. W domu czarodzieja mięso nie jest pożądanym pożywieniem. Jedynym zdeklarowanym mięsożercą w naszej małej rodzinie była, z oczywistych względów, Felicita. Jej oparzenia, kilka razy dziennie smarowane maścią, pomału się goiły, ale było oczywiste, że nie może polować, dlatego mój pracodawca zarządził, aby Młynarka przynosiła dla niej kurze podroby, a Petr zastawiał pułapki na myszy. Nie byłam przekonana, czy kotka wychowana w mieście, wyglądająca na domową, będzie chciała jeść martwe gryzonie z przetrąconymi karkami, ale instynkt drapieżnika okazał się silniejszy od cywilizacyjnych naleciałości: z braku kociej karmy pochłaniała myszy z apetytem, zaczynając od głowy, a ogon

zostawiając na deser. Nie gardziła też poranną miseczką mleka i zdrowiała w oczach, choć nie byłam pewna, czy sierść w najsilniej oparzonych miejscach na karku i grzbiecie odrośnie.

Czasami, rzadko, mój pracodawca przynosił do domu pęto suchej kiełbasy przyprawionej jałowcem albo trochę wędzonej szynki, które otrzymał od kogoś w podarunku i nie miał serca odmówić. Oddawałam wtedy lwią część wędliny Młynarce, trochę zjadałam sama, częstowałam kotkę, ale Aroldo i Petr nie brali do ust ani kęsa.

Aroldo w ogóle rzadko siadał z nami do stołu. Czasem przychodził o losowych porach i pytał, czy mam coś do zjedzenia; częściej jednak gdzieś znikał z samego rana i nie widzieliśmy go przez cały dzień. Wiedziałam wtedy, że niechybnie będzie gospodarował w kuchni nocą, a nazajutrz znajdę ślady jego bytności w postaci brudnych naczyń oraz nieładu w spiżarni. Ale kiedy przychodził na śniadanie czy obiad, jadł zawsze to co Petr i ja z apetytem i bez słowa krytyki.

Domowiki, które gnieździły się w naszej kuchni, były zdecydowanie bardziej wybredne, a ja musiałam je karmić. Pod piecem mieszkało ich ośmioro – zgarbiony dziadek z długą siwą brodą, chodząca o kuli gderliwa babka, czworo młodszych i dwoje malutkich domowiatek, z których jedno jeszcze ssało pierś. Te starsze odziewały się w skórki własnoręcznie upolowanych myszy, w kapoty splecione z suchych źdźbeł i ptasiego puchu oraz łapcie z łyka. Jadały cztery razy dziennie i potrafiły grymasić jak małe dzieci. Ubóstwiały lane kluski na mleku, naleśniki oraz kaszę gryczaną z cebulą i twarogiem, chętnie piły samo ciepłe mleko z miodem, ale już zupa jarzynowa czy chleb z masłem nie znajdowały ich uznania.

Kiedy nie byłam zajęta w kuchni, sprzątałam stary dom – zamiatałam i zmywałam drewniane podłogi, ścierałam kurze, usuwałam pajęczyny, które bezustannie pojawiały się po kątach, utrzymywałam porządek w bibliotece i sypialniach. Naszym praniem zajmowała się Młynarka, a do pracowni Arolda nie miałam wstępu.

W pierwszych dniach próbowałam przynosić do Zaświatu rzeczy kupione w normalnym świecie, które ułatwiłyby mi pracę – środki czystości, przyprawy, kostki rosółowe, proszek do pieczenia i mąkę

ziemniaczaną – ale po przejściu do Zaświatu wszystko zmieniało się albo w zjełczałą i/lub zapleśniałą masę, albo (w przypadku chemii gospodarczej) w zlepione szarawe grudy, jakby od daty ważności upłynęło co najmniej pięćdziesiąt lat. Zmuszona byłam polegać tylko na tym, co zawierała spiżarnia w domu Arola. Z obawą myślałam o dniu, kiedy będę musiała się nauczyć sporządzać mydło, ale na razie w wielkim słoju mieliśmy go pod dostatkiem – śliskiego, brązowego, nieprzyjemnie pachnącego mydła domowego wyrobu.

Gdy naczynia po obiedzie były już pozmywane, wystawiałam za drzwi wiadro z pomyjami, które Młynarka zabierała dla swoich świń, odwiązywałam fartuch, stawiałam przy piecu miseczkę ze świeżą wodą, żeby domowiki miały co pić w nocy, wkładałam płaszcz i zabierałam naszykowane wcześniej zawiniątko, zawierające chleb, twaróg oraz trochę naleśników albo jarskiego pasztetu z soczewicy, albo drożdżowego ciasta, co tam akurat miałam pod ręką. Ostatni raz rzucałam okiem na moje królestwo – piec, w którym dogasały resztki żaru, poustawiane schludnie garnki, wytarty stół – i opuszczałam dom Arola. Szłam dróżką na szczyt najbliższego pagórka, skąd rozciągał się piękny widok: po jednej stronie wzgórze zarośnięte czernią świerkowego boru i kotlina, gdzie w kępie brzoź było widać dach starego młyna, po drugiej – szachownica łąk i zagajników, dalej znowu czerni lasu, a jeszcze dalej, na horyzoncie – zamglony masyw górski.

Na pagórku stała pozbawiona twarzy kamienna figura, zniszczona przez wiatry i deszcze, uwieńczona girlandą z kolczastych gałązek. Wedle słów Arola był to posąg Królowej Ostów, potężnej i nie do końca przyjaznej mu istoty. Gazza nie chciał mi wyjawić nic więcej. Codziennie zostawiałam jedzenie w miseczkach u stóp rzeźby, tak jak w dawnych czasach składano ofiary bóstwom, a nazajutrz już go nie było.

– Jak duży jest Zaświat? – spytałam Petra drugiego dnia rano, kiedy jedliśmy śniadanie.

Nie nabrałam jeszcze wprawy w gotowaniu na piecu i zrobienie owsianki zajęło mi znacznie więcej czasu, niż powinno, ale przynajmniej nie była przypalona.

Pierwszego dnia, gdy Aroldo oprowadzał mnie po swoim domu i wydawał dyspozycje, zadałam mu mnóstwo pytań, ale większość

z nich albo zignorował, albo udzielił frustrująco niekonkretnych odpowiedzi. Miałam nadzieję, że jego uczeń okaże się bardziej rozmowny.

Chłopak odłożył łyżkę i zmierzył mnie wzrokiem.

– Siedem dni wzdłuż i dziewięć wszerek lotem białej chmury, piaskomyślna.

– A ilu ludzi tu mieszka? – drążyłam.

– Ludzi? – prychnął. – Tu nie ma zwyczajnych ludzi.

– A na czym polega ich niezwykłość?

– No, taka na przykład Młynarka w ogóle nie jest człowiekiem. – Petr odsunął miskę z niedojedzoną owsianką. – Jest... ucieleśnieniem.

– Jak to ucieleśnieniem?

– Wcieleniem. Symbolem. Rozumiesz, jak ten olbrzym z harfą w baśni o czarodziejskiej łodydze fasoli. Fe fi fo fum... – zanucił. – Ale ma to znaczenie tylko dla tych, którym udziela gościny. – Zajrzał do dzbanka z zabieloną mlekiem kawą, powąchał i się skrzywił. – Wolę mocniejszą kawę.

– Zapamiętam.

Petr zaczął smarować masłem kromkę czerstwego razowca made by Młynarka. Z bochenka niewiele już zostało; wiedziałam, że tego dnia będę musiała podjąć pierwszą w życiu próbę samodzielnego upieczenia chleba. Fermentujący zaczyn już czekał na ławie w misce przykrytej czystą ściereczką.

Widziałam, że uczeń Arola nie pali się do udzielania mi informacji, i właśnie dlatego z czystej przekory zadałam kolejne pytanie.

– A dokąd prowadzi ta droga, która biegnie obok naszego domu?

– To jest Ścieżka. – Z tonu Petra wynikało jasno, że słowo zaczyna się wielką literą. – Biegnie przez cały Zaświat. I nie wolno ci nią chodzić, piaskomyślna, dalej niż do figury na wzgórzu oraz do domu Młynarki.

– Wiem. – Westchnęłam.

Aroldo oznajmił mi to już pierwszego dnia.

Ścieżka kusila mnie. Kojarzyła mi się z żółtym gościńcem w krainie Oz. Marzyłam, żeby pewnego dnia powędrować nią daleko, daleko

za horyzont, poznać rubieże Zaświatu oraz kryjące się tam cuda i dziwy.

Aroldo powiedział, że Ścieżką podróżują różne istoty, nie zawsze pochodzące z Zaświatu i nie zawsze przyjaźnie nastawione. Poinstruował mnie z poważną miną, że gdy zobaczę na niej kogoś nieznanego, mam go jak najszybciej pozdrowić słowami: „Bracie moich braci, siostrze moich sióstr!”. Jeśli odwzajemni pozdrowienie, to znaczy, że nie ma się czego bać. Jeśli nie, trzeba uciekać – najlepiej do domu, a gdyby nie było takiej możliwości, to jak najdalej od Ścieżki.

Nie powiedział jednak, co może mi grozić. A mnie z wrodzonej przekory kusilo, żeby sprawdzić, jak zasadne są jego ostrzeżenia. Rozmowa z Petrem jeszcze wzmogła to pragnienie. Dlatego gdy już zmyłam naczynia po śniadaniu, sprzątnęłam sypialnię na górze, zamiotłam piętro i schody, nastawiłam wywar na zupe, przygotowałam ciasto na chleb i postawiłam przy piecu, żeby rosło, włożyłam płaszcz i wyszłam na dwór – przespacerować się po Ścieżce.

Dzień był mroźny i bezchmurny, słońce migotało tysiącami iskierkami w świeżo spadłym śniegu. Na drodze widniały koleiny oraz odciski kopyt. Wspięłam się na wzniesienie, gdzie znajdował się kamienny posąg przybrany w grubą białą pelerynę i czapę. Było bardzo cicho, tak cicho, jakby wszystkie dźwięki świata zamarły pod śnieżną pierzyną. W kotlinie, gdzie stał dom Młynarki, zza drzew pięła się w niebo smuga siwego dymu.

Przez chwilę zbierałam odwagę na szczycie pagórka, po czym – z biciem serca, świadoma, że łamię zakaz Arolda – ruszyłam dalej. Wóz, który wygniótł ślady w śniegu pokrywającym Ścieżkę, miał szerokie koła i musiał być ciężki. Dzięki temu szłam wygodnie, zamiast zapadać się po kolana. Droga wiodła w dół, w głąb płytkiego wąwozu o zboczach zarośniętych krzakami i niskimi drzewkami. Pomyślałam, że zobaczę tylko, co jest za zakrętem, i zaraz wrócę. Po co kusić lichu.

Gdy wyszłam z wąwozu, stanęłam jak wryta. Zaraz za jego wylotem znajdowała się łączka, a na niej siedziało stworzenie. Stworzenie wielkości konia.

Usadowiło się w śniegu i jakby nigdy nic wypuszczało nozdrzami smuzki pary. Nie przypominało żadnego ze znanych mi zwierząt, ani realnie istniejących, ani mitycznych. Od szyi w dół było jaskrawożółte – tak żółte jak jaskry i kaczeńce – o dużych spiczastych uszach oraz ludzkim, oszałamiająco pięknym obliczu, ni to męskim, ni kobiecym. Przednie łapy miało jak lew, tylne nogi i ogon – jak koń, na grzbiecie zaś ognistopióre skrzydła. Z kędzierzawych czarnych włosów wyrastało coś, co w pierwszej chwili wzięłam za dziwną złotą koronę; dopiero po chwili dotarło do mnie, że jest to podwójny wieniec rogów różnej wielkości, lśniących w słońcu jak polerowany metal. Ciemne oczy zlustrowały mnie powoli, od stóp do głów. Coś w tym nieruchomym spojrzeniu przejęło mnie grozą.

– Bracie moich braci – zaryzykowałam. Nie było reakcji. – Siostrze moich sióstr?

Zwierzę wstało, płynnie i miękko jak kot, a mnie z opóźnieniem włączył się instynkt przytłumiony przez lata życia w cywilizowanym świecie. Okręciłam się na pięcie i rzuciłam do ucieczki. Już biegnąc wąwozem z powrotem pod górę, usłyszałam za sobą jakby odgłos wciąganego oddechu... a potem w złowrogim crescendo zabrzmiało brzęczenie tysięcy małych skrzydełek.

W następnej sekundzie spadła na mnie bzycząca wściekle, chłuszcząca i tnąca chmura malutkich stworzonek o metalicznie lśniących skrzydłach. W panice zaczęłam się oganiać, strząsać je z włosów, strzepywać z płaszcza – daremnie. Czułam, że oblażą mnie jak mrówki, wciskając się w każdą szparę, kęsają odsłoniętą skórę, wpełzają pod ubranie. Pomyślałam rozpaczliwie, że lada chwila będę ich mieć pełno w nosie i ustach, wyjedzą mi oczy, a potem pożąra mnie od środka.

– Olgo! – usłyszałam nagle i kilkanaście kroków przede mną zabłyśło białe światło, przebijając się przez mrok kłębiącej się upiornej szarańczy.

Petr stał na pagórku obok kamiennej figury, trzymając w dłoni coś, co jaśniało niczym okruszek księżyca. Uczynił gest tym błyszczącym przedmiotem i nagle chmura paskudztw zniknęła, tak po prostu. Nie zwolniłam, choć buty grzęzły mi w śniegu – biegłam dalej, z trudem łapiąc oddech w lodowatym powietrzu. W ustach

czułam smak krwi i czegoś gorzkiego, obrzydliwego, co pachniało jak mikstura, którą pędzlowano mi gardło, kiedy w dzieciństwie chorowałam na zapalenie migdałków.

Minęłam posąg i Petra, zbiegłam ze Ścieżki i pognałam przez podwórze domu Arolda do otwartych tylnych drzwi. Dysząc, wpadłam do domu i w panice zaczęłam obmacywać twarz, oglądać ręce... Powoli docierało do mnie, że nic strasznego się nie stało, na skórze nie było widać ani jednego ukąszenia. Czymkolwiek zionął na mnie żółty potwór, nie wyrządziło mi to żadnej fizycznej szkody.

– Złotorożec, pupilek Królowej Ostów – oznajmił Petr, który zjawił się chwilę później. On nie biegł, szedł z godnością. Starannie zamknął za sobą drzwi i zasunął rygiel. – Masz więcej szczęścia niż rozumu, piaskomyślna.

– Czemu mnie nie ostrzegłeś? – wydyszałam z wyrzutem.

– Aroldo cię ostrzegał. – Kącik jego ust drgnął w złośliwym uśmiešku. – Nie słuchałaś.

Ochłonawszy z przestachu, poczułam zawstydzenie i złość. Prawda – aż za dobrze pamiętałam ostrzeżenie Gazy. Ale zawsze wychodziłam z założenia, że jeśli się chce, aby zakazy były przestrzegane, należy je poprzeć racjonalnym uzasadnieniem.

– Co to było, to błyszczące? – spytałam, by przynajmniej pokazać, że już odzyskałam zimną krew.

– To mój styczniowy talizman. – Petr uśmiechnął się z dumą. Wyjął wisiołek zza koszuli i pokazał mi. Była to cienka srebrna blaszka pokryta wydrapanymi znakami, zwinięta w rulonik i zamocowana na łańcuszku. – Napojony światłem pierwszej noworocznej pełni. Boją się go wszystkie stwory Królowej Ostów.

Otworzyłam usta – w mojej głowie kłębiły się dziesiątki pytań – ale Petr odwrócił się do mnie plecami i pomaszerował na górę.

Chleb się nie udał, może dlatego, że byłam roztrzęsiona po przygodzie ze złotorożcem. Po wyjęciu z pieca okazało się, że skórę ma spieczoną i twardą, a w środku jest gliniasty. Petr tak marudził, że nazajutrz rano, żeby go udobruchać, usmażyłam naleśniki. Jedliśmy je właśnie, polane śmietaną i miodem, kiedy do kuchni wkroczył Aroldo z wąsami sterczącymi na baczość i zawadiackim błyskiem w oku.

– Greto, czy wiesz, czemu muchomor ma kropki? – Zawiesił wyczekująco głos, a wobec braku reakcji zakończył: – Nie przejmuj się, on też nie wie! Ha, ha, ha!

Uśmiechnęliśmy się z grzeczności. Aroldo Gazza zasiadł za stołem – zawsze stawiałam dla niego nakrycie, niezależnie od tego, czy zapowiedział wcześniej, że przyjdzie – i zabrał się do naleśników. Wstałam, żeby dosmażyć ostatnią porcję. Ni z tego, ni z owego mój pracodawca oznajmił, unosząc widelec:

– Greto, kiedy pozmywasz naczynia, chcę, żebyś przyszła do mojej pracowni.

– A po co? – spytałam zaskoczona, bo do tej pory było to jedyne pomieszczenie, do którego nie pozwalano mi wchodzić.

– Chcę, żebyś popatrzyła w lustro.

Potem zamilkł i nie odpowiadał już na żadne pytania, uśmiechał się tylko pod wąsem. Dobrze znałam ten pełen wyższości uśmieszek i nieodmiennie działał mi on na nerwy, ale nic nie powiedziałam. Dojedliśmy naleśniki (ostatni, pokrojony na kawałeczki, dostał się domowikom), obaj panowie dopili kawę i udali się do swoich spraw. Jeśli nie panował zbyt duży mróz, Petr zwykle spędzał przedpołudnia w ogrodzie, medytując pod jabłonią, co wyglądało tak, że stał sztywno wyprostowany z zamkniętymi oczami i nie reagował na żadne dźwięki.

Zmyłam naczynia, odwiązałam fartuch, przycesałam włosy i udałam się na górę, zastanawiając się z ciekawością, co zastanę w pracowni Arolda. W małej, ascetycznie urządzonej sypialni Petra nie było żadnych magicznych akcesoriów. Z pochyłego drewnianego sufitu na nitkach kolorowej włóczki zwieszało się za to kilkanaście papierowych żurawi, a w kącie na podłodze leżał zepsuty latawiec i zbierał kurz.

Drzwi pracowni były uchylone, a z wnętrza, ku memu zaskoczeniu, dolatywały dźwięki katarynki. Zastukałam.

– Zapraszam! – zawołał Aroldo, więc z biciem serca przekroczyłam próg. Zabrział delikatny trel, cieniutko zadzwoniły dzwoneczki i melodia dobiegła końca.

W pomieszczeniu pachniało starymi księgami i drewnem, wyczułam też smrodek formaliny z nutą rozkładu, który znałam z muzeów przyrodniczych. Pod oknem pyszniła się dorodna paproć

w glinianej donicy. Na półce zaraz przy drzwiach stało kilka pękatych słoików zawierających pływające w żółtawym płynie rozmoczone, wyblakłe truchła jakichś paskudnych stworzeń z mackami, a z sufitu zwieszały się dwa wypchane legwany z kolczastymi wyrostkami wzdłuż grzbietów i długimi ogonami. Jednemu z pyska wystawał wiecheć słomy. Na stole dostrzegłam na wpół ukończony model statku, a obok cienkie deszczułki, pudełeczko z pociętą bibułą i naczynko z klejem.

Aroldo stał obok skrzyni z malowanego drewna, kręcąc korbą zamocowaną z boku. Po chwili puścił ją i dźwięki katarynki zabrzmiały ponownie. Bez trudu rozpoznałam melodię: to był walc Straussa *Nad pięknym, modrym Dunajem*.

– Chodź i popatrz – zachęcił z uśmiechem mój pracodawca, więc podeszłam.

Na wierzchu skrzyni stał drewniany domek, którego drzwi otwierały się co kilkanaście sekund i z wnętrza wyjeżdżały rzeźbione figurki. W tle niekiedy odzywało się turkotanie i poskrzypywanie niewidocznych elementów mechanizmu – w trzewiach urządzenia obracały się małe tryby, a dźwignie i przekładnie wykonywały swoją pracę. Tirlilili, dyń, dyń (stuk, stuk) – tirlilili, dyń, dyń (stuk, stuk) – tirlilili, dyń, dyń (stuk, trrr)... Drewniane ręce podnosiły się i opadały, drewniane głowy z namalowanymi uśmiechami przekrzywiały się, figurka dwukrotnie przejeżdżała tam i z powrotem, po czym znikwała w prostokątnym otworze przy samym brzegu skrzyni. Nieduża klapka unosiła się, a potem opadała – klap!

Aroldo nic nie mówił, więc ja także się nie odzywałam. Katarynka grała, we wnętrzu skrzyni ledwie słyszalnie turkotały mechaniczne wnętrzości, a drewniane laleczki kontynuowały swój sztywny, niezgrabny, lecz dziwnie hipnotyzujący taniec.

Nagle tknęło mnie, że domek ze spiczastym zielonym dachem ma w sobie coś znajomego. Przyjrzałam się dokładniej. Ależ tak! To była miniatura domu Arolda. A jedna z figurek miała czarne włosy i wąsik, nosiła niebieski surdut i żółtą kamizelkę, inna zaś wyobrażała siwowłosą damę w białym swetrze i szarej spódnicy... Otworzyłam usta, ale nim zdążyłam zadać pytanie, rozległ się zgrzyt, potem chrupnięcie i cichy stukot i z drzwi domku wyjechała

wystrugana z drewna Olga w fartuszku, trzymająca szczotkę do zamywania i śmietniczkę.

Aroldo parsknął radosnym śmiechem na widok mojej miny.

– Do czego służy to... urządzenie? – zapytałam.

– Och, do niczego – odparł radośnie. – To tylko zabawka, którą zbudowałem z nudów.

Melodia dobiegła końca. Tym razem nie nakręcił mechanizmu ponownie, tylko wskazał półeczkę wiszącą nad drzwiami.

– Spójrz tutaj, to ci się spodoba.

Na półce stały rzędem wyjątkowo brzydkie lalki. Przyjrzawszy się uważniej, pojęłam, że to gruzłowate, zdrewniałe korzenie, rozwidlane w połowie, tak że kształtem przypominały miniaturowe ludzkie sylwetki. Miały peruczki z lnianej przędzy i były poubierane w szydełkowane włóczkowe sukienki oraz kapelusiki w żywych kolorach.

– Mandragora – domyśliłam się, a mój pracodawca przytaknął.

Gdzieś blisko rozlegał się jednostajny, miarowy chrobot. Rozejrzawszy się, spostrzegłam stojącą na stoliczku klatkę, w której biały szczur niestrudzenie biegł w kółeczku.

– A to – Aroldo podszedł do wiszącego na ścianie lustro w pozłacanej barokowej ramie – to moje zwierciadło pozwalające patrzeć w niezmierzone dale. – Pieszczotliwie pogładził je dłonią. – Może ci pokazać wszystko, co tylko zechcesz.

– Skoro tak, pokaż mi siedzibę Królowej Ostów.

Nie mam pojęcia, czemu to powiedziałam, słowa po prostu same wysliznęły się z moich ust.

Cienkie czarne brwi podjechały do góry, Aroldo gwizdnął z cicha, po czym uśmiechnął się tym swoim łobuzerskim, bezczelnym uśmiechem.

– Powiadasz?

I dotknął tafli.

Przez chwilę nic się nie działo, nadal widziałam w lustrze odbicie pokoju. Potem wszystko rozmyło się w ciemne wiry, długie kształty falujące jak wodorosty. Rzedły powoli, aż zanikły, ukazując szarobrazową równinę pod ołowianym niebem, zarośniętą ostami. Całe morze zeschniętych ostów, siejących siwym puchem, poruszanych przez wiatr.

– Tak wygląda jej królestwo – oznajmił Aroldo. – Leży daleko stąd, za górami.

– Wygląda ponuro – stwierdziłam. – Mieszkają tam jacyś ludzie?

– Nie. Królowa woli, by jej ziemie pozostawały bezludne.

Zupełnie mnie to nie zdziwiło.

– Widzisz ten pagórek? – spytał tymczasem Aroldo, wskazując łagodne wzniesienie. Obraz przybliżył się i ujrzałam bramę splecioną z ciernistych pędów, a pośrodku ciemny otwór w zboczu. Strzegły go dwa złotorożce siedzące po obu stronach w pozach sfinksów. – Oto wejście do siedziby Królowej Ostów. Królowa mieszka głęboko pod ziemią, w kolczastej twierdzy. Bardzo rzadko ją opuszcza. Tylko jej słudzy bez ustanku krążą po Zaświecie.

– Po co? – zastanawiałam się z ciekawością.

Mój pracodawca wzruszył ramionami.

– Są częścią porządku rzeczy. Ale nie czynią tu większych szkód – zaznaczył. – Kilka gąsienic nie zaszkodzi drzewu. Zaświat ma swoich obrońców, na przykład – dumnie wypiął pierś – mnie.

Z fascynacją przyjrzałam się złotorożcom. Trwały w miejscu, nieruchome jak rzeźby. Tylko ich ogony co jakiś czas się poruszały, smagając żółte boki.

– Kim właściwie jest Królowa? – spytałam. – Albo czym?

Aroldo zerknął na mnie z ukosa. Zmarszczył brwi, szarpnął przyczernionego wąsa.

– Strupem bez rany. Cierniem bez róży. Korzeniem, który rośnie w mrok i w głąb. Nie umiem ci tego lepiej wytłumaczyć, piaskomyślna. Teraz idź już – zażądał nieoczekiwanie. – Poświęciłem ci dość czasu. Wracaj do swoich zajęć.

Wskazał mi drzwi. Zaskoczona i urażona, usłuchałam, bojąc się sprzeciwić. Kiedy schodziłam po schodach, do moich uszu ponownie doleciały dźwięki katarynki.

Dmuchawce, latawce, Hannes

Kolejne dni mijały niczym upływająca w rzece woda, szare i nudne, jeden podobny do drugiego. Banalne obowiązki zaczynały mi ciążyć,

coraz częściej odczuwałam rozdrażnienie. Parę razy pokłóciłam się z Petrem o to, że wchodzi na schody w zabłoconych butach, a z Aroldem o to, że mi bałagani w spiżarni i kroi chleb nożem umazanym w twarożku. Czułam się coraz bardziej rozczarowana tym, że choć spędzam całe dni w Zaświecie, oglądam głównie wnętrze domu i podwórze. Grymaśne domowiki coraz bardziej działały mi na nerwy – raz, kiedy nie posmakowała im zabelona śmietaną zupa, złośliwie porozlewały ją po podłodze, kiedy indziej w nocy wyjadły połowę świeżo upieczonego ciasta. Zofia odwiedzała nas co kilka dni, ale jej wizyty również nie poprawiały mi humoru, bo zawsze sprawdzała, czy kurze są wytarte i czy w kuchni nie marnuje się czerstwy chleb.

Dopiero w połowie lutego senną rutynę naszej codzienności urozmaiciła wyprawa do miasteczka na jarmark.

Zgodnie z poleceniem Arola zjawiłam się w Zaświecie dwie godziny wcześniej niż zwykle, półprzytomna mimo wypitej w domu mocnej kawy. Mój pracodawca oraz ziewający Petr już znosili z pracowni różne tajemnicze pakunki. Przed gankiem czekał dobrze mi znany wóz, tym razem zaprzężony w dwa chrząszcze, a na koźle siedział woźnica o szczurzym obliczu, zakutany w kozuch i futrzaną czapę.

Ponad zaśnieżonymi polami trwała milcząca, mroźna noc. Pomogłam znieść na dół skrzynki i zawiniątka. Zapytałam, co w nich jest, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Gdy już załadowaliśmy wszystko i wsiedliśmy sami, szczirowaty woźnica zawiózł nas swoim skrzypiącym wehikułem do miasteczka leżącego za wzgórzem, w kotlinie. Kiedy dotarliśmy na miejsce, byłam solidnie zmarznięta, mimo że przezornie ubrałam się w kilka swetrów.

Z daleka dostrzegłam dziwną łunę, której odbłaski tańczyły na śniegu, i usłyszałam niesioną wiatrem muzykę. Pośrodku miasteczka znajdował się rynek, na którym płonęło gigantyczne ognisko. Wokół piętrzyły się sterty rupieci – połamane meble, dziurawe beczki i cebrzyki, a także sztachety, deski i szmaty. Dwóch rosłych mężczyzn w czarnych płaszczach i kapturach z wyciętymi otworami na oczy dokładało do ognia, a niski, gruby człowieczek w puszystym

białym futrze i długim, spiczastym czerwonym kapeluszu grał na akordeonie skoczną melodię.

Na obrzeżach ryneczku rozstawione były zbite z desek stragany. Na niektórych przekupnie właśnie rozkładali towar, inne stały puste. Aroldo wskazał jeden i kazał woźnicy zatrzymać się obok, a Petrowi i mnie – wyładować z wozu to, cośmy przywieźli.

Okazało się, że pakunki i skrzynki kryją rozmaite cudeńka: modele domów i statków, mozolnie klejone z deszczułek i bibuły, wystrugane z drewna figurki ludzi i zwierząt, a także dziwne ruchome konstrukcje z kółek, wstążek i przekładni, wszystko pieczołowicie poowijane sianem. Teraz stało się jasne, czym zajmował się Aroldo przez te długie tygodnie, kiedy zamykał się w pracowni i z niej nie wychodził.

Kiedy wszystko zostało porozkładane tak, żeby prezentowało się jak najefektowniej, Aroldo otworzył ostatnią skrzynkę i wyjął z niej błękitną latarnię. Ostrożnie powiesił ją na haku pod daszkiem straganu i pstryknął palcami, a ona ożyła światłem. Natychmiast otoczył nas niewidzialny bąbel ciepłego powietrza. Z ulgą zdjęłam czapkę, szalik i rozpięłam płaszcz. W czarodziejskim niebieskim świetle cały nasz asortyment wyglądał jeszcze dziwniej; zastanawiałam się, ile kosztują te rzeczy i czy znajdą tu nabywców.

Na rynku tymczasem przybywało ludzi. Przyjeżdżali wozami, bryczkami, dwukólkami lub przybywali pieszo. Do grubasa z akordeonem dołączył skrzypek, potem saksofonista (skąd tu saksofonista? – zdziwiłam się przelotnie), a na koniec – chyba po to, żeby było jeszcze bardziej eklektycznie – dziewczyna w króliczej szubce potrząsająca tamburynkiem.

Ognisko płonęło, trzeszcząc, iskry leciały w niebo. Melodia wiła się wokół nas jak srebrny wąż. Aż nagle w jej skoczny, wesoły rytm wdarło się ponure bum, bum, bum. Z mroku między domami wyłonił się brzuchaty, trochę podobny do niedźwiedzia stwór, cały porośnięty ciemnym futrem. Szedł na tylnych łapach, a przednimi walił w wielki bęben. Jakby to był umówiony sygnał, na rynku zapadła cisza – wszyscy stanęli bez ruchu i patrzyli.

Aroldo Gazza podbiegł do muzyków, trzymając w każdej ręce po trzy żonglerskie pałki. Podpalił je od stosu i zaczął żonglować wszystkimi sześcioma naraz, podrzucając je coraz wyżej. Nie

przerywając, zerwał z głowy kapelusz i żonglował dalej – sześcioma płonącymi pałkami oraz cylindrem. Zabrzmiały nieśmiałe oklaski, ale po chwili ucichły. Skrzypce, akordeon i saksofon płynnie zmieniły melodię. Teraz w mroźnym powietrzu płynęły wyższe, bardziej marzycielskie nuty w rytmie walca – zorientowałam się, że to improwizacja oparta na dobrze mi znanym motywie *Nad pięknym, modrym Dunajem*, zabawnie kontrapunktowana dzwonieniem tamburyńka. Ludzie gapili się z otwartymi ustami, bo oto Aroldo zaczął podrzucać swoje pałki wyżej i wyżej – wylatywały teraz aż ponad dachy i spadały ze świstem niczym meteory. Za każdym razem łapał je bez wysiłku.

Na koniec cisnął je wszystkie w górę, a one wybuchły jak fajerwerki, sypiąc deszczem ognistych gwiazd – czerwonych, białych i złotych. Bęben zahuczał grzmiącym werblem i zapadła cisza.

Zerwała się burza oklasków i wiwatów. Aroldo uklonił się kilkakrotnie, promieniejąc, po czym wrócił do nas, zdyszany i zarumieniony. Wyjął z kieszeni chustkę i osuszył sobie czoło, a następnie włożył cylinder.

– Bądźcie gotowi, zaraz zjawią się klienci – oznajmił jakby nigdy nic.

Teraz, gdy muzyka umilkła, na placu zrobiło się zaskakująco cicho. Nikt ze sprzedawców nie zachwalał towaru krzykiem. Oddechy parowały, w mroźnym powietrzu niosły się szmery rozmów oraz pobrzękiwanie monet. Na pozostałych straganach oferowano to, czego można się spodziewać na zimowym jarmarku: wyroby z wełny, derki i baranice, buty i rzemienie, siodła i uprząż, gliniane naczynia, świece i mydło, miód, pierniki i ciastka, jabłka smażone w karmelu, a dla zgłodniałych – grzane piwo, opiekana kiełbasę, kruche pierożki, bigos i naleśniki.

Dniało.

Do naszego straganu zaczęli podchodzić pierwsi klienci. Przeważali wśród nich ludzie starsi, zgarbieni, o pobrużdżonych twarzach. Ku mojemu zdziwieniu z zainteresowaniem oglądali towar i zapytywali o ceny. Aroldo i Petr targowali się z nimi uprzejmie, lecz cicho, tak że mało co słyszałam. Trzymałam się z tyłu, pilnując jedynie, żeby nikt niczego nie ukradł ani nie uszkodził. Nie miałam pojęcia, do czego mieszkańcom tej krainy mogą się przydać nasze

kruche cudeńka z deszczulek i bibuły. Ale kupowali je. Zauważyłam, że nie płacą pieniędzmi – wręczali Aroldowi rozmaite drobiazgi, niektóre na pierwszy rzut oka całkiem bezużyteczne. Zdjęcia w ramkach, dziecięce ubranka, włóczkowy szalik, sznur koralii, gliniany kubek, pojedynczy biały pantofelek... Mój pracodawca za każdym razem dziękował z ukłonem, a wszystkie otrzymane rzeczy chował do wielkiego aksamitnego worka.

Mieszkańcy Zaświatu wyglądali rozmaicie: jedni w baranich kozuchach, inni w kosztownych futrach. Jedni cuchnęli brudem, inni pachnieli dobrą wodą kolońską i perfumami. Oprócz zwykłych ludzi dostrzegłam w tłumie dziwaczne stworzenia o głowach wilków i kóz, okutane w niezliczone warstwy łachmanów. W pewnej chwili przy naszym straganie przystanął karłowaty stworek o pucołowatej, okropnie brzydkiej gębie i wielkich uszach, odziany w czerwoną kapotę i takąż czapkę. Gdy uśmiechnął się do mnie, zobaczyłam, że jego zęby fosforyzują zielono. Kiedy indziej na krawędzi ciżby mignął mi złotorożec – odblaski ognia zatańczyły na podwójnym wieńcu jego rogów. Wycofał się i zniknął między ośnieżonymi domami. Zauważyłam też Zofię i Młynarkę, które chodziły od stoiska do stoiska, rozmawiając wesoło jak stare przyjaciółki – jedna w swym eleganckim palcie z kołnierzem ze srebrnego lisa, druga w półkożuszku i pasiastej wełnianej spódnicy. Pozdrowiły nas z daleka, ale później straciłam je z oczu.

Po paru godzinach, gdy wszyscy zgłodnieliśmy, wyjęłam koszyk z prowiantem, a Petr poszedł kupić grzane piwo. Po chwili wrócił, ostrożnie niosąc tacę, na której stały trzy kufle parującego złotego napoju, pachnącego cynamonem i goździkami. Piwo było smaczne, hojnie posłodzone i przyjemnie rozgrzewające. Przysiadłam na jednej ze skrzyń, żeby wypić je w spokoju.

Chwilę później dostrzegłam snującą się między straganami mglistą postać, podobną do smugi dymu. Zatrzymała się obok stoiska, gdzie sprzedawano bigos i naleśniki; wyglądało na to, że tęsknie węszy. Potem popłynęła dalej, wymijając ludzi, którzy nie zwracali na nią uwagi. Chciałam zapytać Arolda, co to za dziwo, ale akurat odstawił kufel i targował się z grubą kobietą w szubie, a Petr gdzieś zniknął.

Szarawa istota minęła stragan z butami, podpłynęła bliżej i zatrzymała się w odległości kilku kroków od naszego stoiska. Teraz uderzyło mnie, że sprawia wrażenie wyobcowanej, może nawet zagubionej wśród tłumu kupujących, wśród gwaru, śmiechu i zapachu potraw. Choć nie miała rysów, a tylko niewyraźny kontur głowy i ramion, mogłabym przysiąc, że spogląda na nas wyczekująco. Obudziła we mnie swego rodzaju niepewną, podszytą lękiem tkliwość.

Zawahałam się, a potem wyciągnęłam ku zjawie mój kufel, nadal w trzech czwartych pełen, bo piłam gorący płyn powoli, małymi łykami.

– Może piwa?

Stworzenie wyraźnie się ożywiło. Podpłynęło bliżej, ujęło mglistymi dłońmi kufel, przechyliło go i gorące piwo polało się złotą, parującą strugą, znikając w powietrzu, tak jakby bezpostaciowa szarość wessała je w siebie. Obserwowałam to z ciekawością, teraz już bez strachu.

– Zjesz coś? – zaryzykowałam, wyciągając koszyk.

Zostało w nim jeszcze kilka kanapek z twarogiem oraz drożdżowych bułeczek. Mglisty stwór po krótkim namyśle poczęstował się bułeczką, która zniknęła równie szybko jak piwo. Lekko skłonił głowę, jakby dziękując, a potem poszybował dalej, aż przesłonił go tłum.

Raptem przypomniała mi się Buka z książek o Muminkach. Ale to stworzenie nie tchnęło morderczym mrozem jak ona. Nie wydawało się groźne, tylko zagubione, tak jakby znalazło się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Może zabłąkało się tutaj z innej baśniowej krainy i nie potrafiło odnaleźć drogi do domu?

Chwilę później wrócił Petr, zjadając ze smakiem naleśnik. Opowiedziałam mu o dziwnej istocie.

– To był szary z krainy ostów! – stwierdził, zdumiony i trochę wystraszony. – Naprawdę dałaś mu jeść?

– Tak, a nie powinnam?

– Szare służą Królowej Ostów!

– No dobrze, ale co z tego wynika? Kim ona właściwie jest?

Petr uciszył mnie syknięciem, spoglądając w kierunku Arola, który nadal targował się z grubą klientką, gestykulując jedną ręką,

bo w drugiej trzymał kufel, z którego popijał.

– Później o tym porozmawiamy.

– Ale...

– Później!

I chociaż dobrze wiedział, że pali mnie ciekawość, przez resztę dnia nie wrócił do tego tematu.

Gdy słońce zawisło nisko nad horyzontem, rynek zaczął pustoszeć. Ognisko dopalało się, po otaczających je stertach rupieci pozostał jedynie zdeptany, zaśmiecony drzazgami śnieg. Muzykanci jeden po drugim gdzieś zniknęli, tylko saksofonista wytrwale chodził tam i z powrotem, wygrywając niekończącą się brawurową solówkę. Przekupnie zwijali stoiska, wozy odjeżdżały jeden za drugim. Pojawił się nasz woźnica razem ze swoim wehikułem. Spakowaliśmy nieliczne niesprzedane drobiazgi z powrotem do skrzynek. Zdjęłam ze straganu błękitną latarnię, Aroldo i Petr dźwignęli aksamitny worek, tak wypchany, że groził pęknięciem w szwach, i załadowaliśmy wszystko na wóz. Dym z pozostałości ogniska leniwie wznosił się w niebo. Lutowy jarmark dobiegł końca.

Nazajutrz Aroldo nie raczył zejść na śniadanie. Zamknął się w swojej pracowni i zza drzwi poprosił, żebym mu przyniosła jedzenie na górę, bo jest zbyt zajęty, żeby przerywać pracę. Słyszałam, jak szczeka nożycami, ani chybi tnąc bibułę.

Tego dnia znowu zrobiłam naleśniki, żeby sprawić przyjemność Petrowi, który je lubił. Żywiłam cichą nadzieję, że uzna za stosowne mi się odwdzięczyć, bo wiedział, na co czekam. I nie zawiodłam się. Kiedy już pochłonął sześć naleśników z miodem i popił gorącym mlekiem, poprosił, żebym usiadła na chwilę, bo ma mi coś do powiedzenia.

– Greto – chrząknął, odsuwając talerz – pytałaś Arolda o Królową Ostów...

– Powiesz mi w końcu, kim ona jest?

– Królowa Ostów... – Zawahał się, jakby szukając słów. – W sumie niewiele można o niej powiedzieć. Jest bardzo, bardzo potężna – podkreślił to gestem obu dłoni – i gdyby chciała, mogłaby rządzić nami wszystkimi, ale nie chce. Żyje w odległym zakątku Zaświatu,

niektórzy nazywają go królestwem ostów. Służą jej złotorożce, szare i szczuropajaki. Krążą po świecie i wykonują jej rozkazy.

– Co w zasadzie robią? Szpiegują dla niej?

– Nie. A w każdym razie nie tylko. Złotorożce... ale nie będziesz się śmiała?

– Nie – zapewniłam go.

Słuchałam z ciekawością, acz nękało mnie niejasne, irytujące wrażenie, że kiedyś już słyszałam to wszystko. Mogłabym przysiąc, że nazwy dziwnych stworzeń latami tkwiły w mojej głowie na wpół zapomniane, a teraz Petr przywołał je z powrotem. Czyżbym czytała o nich w jakiejś książce? W podręczniku do RPG? Nie pasowały do żadnego znanego mi uniwersum.

– Złotorożce... każdego ranka malują Zaświat kolorami. – Petr nadal patrzył na mnie tak, jakby nie był pewien, czy go nie wyśmieję. – Szare co wieczór wysysają z niego barwy. A szczuropajaki pilnują, żeby żaden intruz nie dostał się do królestwa ostów.

– Ładne, mogę to zapisać?

– A po co? – W okamgnieniu stał się znowu pewnym siebie, złośliwym uczniem Arola. – I tak tego nie wykorzystasz, przestałaś pisać wiersze jeszcze w liceum.

– Skąd wiesz?! – Aż się poderwałam.

Petr roześmiał się z wyższością.

– Uczę się na czarodzieja, zapomniałaś? A wracając do Królowej Ostów, mam dla ciebie propozycję, piaskomyślna.

– Jaką?

– Mógłbym ci pokazać jej siedzibę i jej stwory. Jeśli coś mi przyniesiesz z twojego świata.

– Co? – spytałam ochoczo.

– Na regale w twoim pokoju, na drugiej półce od dołu, stoi album ze zdjęciami. Chcę dostać te zdjęcia.

Tym razem nawet nie zapytałam, skąd wie o ich istnieniu. Oczywiście doskonale wiedziałam, o jakich zdjęciach mówi. Album w kiczowate czerwone róże, a w albumie...

– Po co ci one? – zapytałam nieufnie.

Petr uśmiechnął się enigmatycznym uśmiechem, który wielokrotnie widywałam na twarzy Arola.

– To moja słodka tajemnica. Ale bez zdjęć nie będzie wycieczki krajoznawczej. To jak?

Zawahałam się. Fotografie liczyły sobie prawie trzydzieści lat – nie przypuszczałam, aby gdzieś w domu jeszcze leżały klisze od nich (a nawet jeśli, to nie widziałam szans na ich odnalezienie w szufladach zapchanych po brzegi szpargałami mamy, jej starymi ubraniami i mnóstwem nieprzydatnych drobiazgów, których nie uznała za stosowne wyrzucić). Jeśli oddam album, to tak, jakbym pozbyła się kawałka mojego życia. Z drugiej strony te konkretne zdjęcia nie kojarzyły mi się z niczym dobrym; nie lubiłam ich oglądać, sam ich widok przyprawiał mnie o ucisk w gardle. Wspomnienie lat, kiedy wszystko jeszcze było tak, jak być powinno, zostało nieodwracalnie skażone przez to, co nastąpiło potem. Właściwie po cholere mi ta gorzka pamiątka – chyba tylko po to, żeby przypominać o wszystkim, co w moim życiu poszło nie tak, choć przecież (tu poczułam pod powiekami zdradzieckie gorąco łez) mogło być zupełnie inaczej... (gdyby nie siódme urodziny i szczeniak – ale nie myśl o tym, nie myśl, nie myśl).

A ta część mojej natury, która zawsze i wszędzie musi wtrącić jakiś obcesowy komentarz, zapytała retorycznie: po cholere ci zdjęcia z czasów, kiedy byłaś jeszcze śliczną i roześmianą dziewczynką z warkoczykami, a nie grubą, sfrustrowaną, samotną babą?

– Zgoda – oznajmiłam szybko, żeby nie dać sobie czasu na zastanowienie i zmianę zdania, po czym przypieczętowałam umowę uściskiem dłoni.

Tydzień później Aroldo postanowił się wybrać do miasteczka, żeby tam załatwić to i owo. Kiedy obwieścił, że wyrusza – gdy podróżował sam, nie potrzebował wozu, wystarczyły mu zaczarowane buty – Petr szturchnął mnie lekko, porozumiewawczo.

– W południe za domem – wyszeptał ledwo słyszalnie, gdy zostaliśmy sami w kuchni.

Z bijącym sercem sprzątnęłam stół po śniadaniu, pozmywałam naczynia, zamiotłam schody i zaserwowałam domowikom drugi posiłek tego dnia. Petr w tym czasie dokonywał ostatnich przygotowań do naszej potajemnej podróży. Nie miałam pojęcia,

czym pojedziemy i co będzie, jeśli Aroldo mimo wszystko się dowie, cośmy zrobili. Niemniej jednak nie zamierzałam tchórzyc. Paliła mnie ciekawość. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd moja noga po raz pierwszy postąpiła w Zaświecie, a wszystkie jego tajemnice nadal były dla mnie niedostępne.

Kiedy w południe wyszłam na zaśnieżone podwórze, Petr już tam był. Obok niego stała taczka, na której leżały cztery wielkie latawce. Na mój widok uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Polecimy! – oznajmił.

– Ale jak to? – W pierwszej chwili pomyślałam, że żartuje.

– Normalnie. Latawce nas poniosą.

– Jak?

Petr spojrział na mnie z politowaniem.

– Wciąż jeszcze nie oduczyłaś się myśleć jak piaskomyślna. To wszystko – zatoczył dłonią krąg – to sen, Olgo, ten cały świat jest snem. A we śnie wszystko może się zdarzyć.

Pomyślałam o tym, co widziałam w pracowni Arolda oraz na lutowym jarmarku. No tak, jeśli patrzeć od tej strony... Nie byłam pewna, co chłopak ma na myśli, mówiąc o snach, ale czemu stara taczka uwiązana do czterech latawców nie miałaby wzbić się pod chmury z taką samą łatwością, z jaką domowiki wyjadały kaszę z miseczki, mglisty stwór wypił moje grzane piwo, a złotorożec wydmuchnął chmurę szarańczy, która zniknęła, gdy błysnął styczniowy talizman?

– Obejrzyj sobie z bliska te latawce – dodał Petr z błyskiem w oku. – Spodobają ci się.

Latawce miały kształt rombów i zostały zrobione z cienkiego papieru naciągniętego na deszczułkowe szkielety. Ich kolory – niebieski, zielony, różowy i fioletowy – przyprawiły mnie o niejasny niepokój: z czymś mi się kojarzyły, ale nie umiałam nazwać tego skojarzenia. Ze zdziwieniem spostrzegłam, że wszystkie są oklejone zdjęciami. Zrozumiałam, do czego Petrowi potrzebny był mój album w róże.

Uczeń Arolda wykleił latawce moimi zdjęciami z dzieciństwa. Plaża w Bułgarii, mama w kwiecistej sukience, opalony tata z tym swoim uśmiechem niczym Clark Gable... Boże Narodzenie tyle lat temu, choinka pokryta watą udającą śnieg, prezenty opakowane

w kolorową bibułę i Artur siedzący koło taty... Mała Olga w czerwonej czapce z pomponem, lepiąca bałwana... Moje piąte urodziny, biały tort z cukierni, bo mama nigdy nie piekła ciast...

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytałam.

Prychnął.

– Magia rządzi się logiką symbolicznych powiązań. Chyba nawet ty jesteś w stanie rozgryźć, o co tutaj chodzi.

– Moje beztroskie dzieciństwo ma nas unieść pod chmury? – podchwyciłam jego ton. – Rzeczywiście, dość to banalne.

– Grunt, żeby zadziało. – Poklepał taczkę. – Wsiadaj.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Zobacz, specjalnie wyścieliłem ją rogożą. Jest też futrzany pled, bo tam na górze może być...

– Tam na górze będzie tak zimno, że podmrażam sobie wszystko co możliwe i żaden pled mi nie pomoże – przerwałam mu ostro. – Poza tym nie wiem, jak sobie wyobrażasz latanie w taczce! Przecież wysypimy się z niej jak ulęgałki!

– Oj, Greto, Greto. Trochę więcej zaufania do magii. Przypomnij sobie próbę błękitnej latarni.

Dałam za wygraną i usadowiłam się w wehikule, otulając się starym, nadjeżdżonym przez mole pledem. Petr usiadł obok mnie, podkulając kolana. Zmieściliśmy się idealnie.

– Trzymaj się mocno – ostrzegł, po czym wyjął z kieszeni piszczałkę i trzykrotnie w nią dmuchnął.

Zerwał się wiatr, silny, porywisty – taki, który bezczelnie bawi się długimi spódnicami i zmusza ludzi do chwytania za kapelusze. Drzewa w sadzie zaszumiały, suche badyle w ogrodzie zaszleściły, a latawce – niczym żywe stworzenia – momentalnie wzbiły się w powietrze, napinając linki. Jedno, drugie szarpnięcie i taczka oderwała się od ziemi. Ledwo zdążyłam chwycić się krawędzi. Chwilę później dom Arola już malał w oczach, oddalając się. Drzewa, Ścieżka, dach starego młyna – wszystko kurczyło się i uciekało wstecz, gdy cztery wyklejone zdjęciami romby niosły nas aż pod chmury.

Tkwiąc w taczce – taczce! – bez żadnego zabezpieczenia, powinnam czuć strach, że zaraz wypadnę, ale nie bałam się nic a nic. Przyjęłam na wiarę, że magia, która umożliwiła nam lot,

zadba też, aby nie stała się nam żadna krzywda. I rzeczywiście, taczka nawet nie kołysała, czułam się w niej tak pewnie i bezpiecznie, jakbym siedziała na fotelu w przedziale pociągu.

Wstrzymując oddech, patrzyłam w dół na umykający krajobraz. Chociaż nie mieliśmy ze sobą błękitnej latarni, nie czułam przenikliwego zimna; wiatr, który smagał mi twarz i rozwiewał włosy, wydawał się zaledwie chłodny. Słońce świeciło na bladym zimowym niebie, po którym leniwie sunęło kilka obłoczków. Pod nami jak okiem sięgnąć rozciągała się biel zaśnieżonych pól i lasów. Tu i tam wznoszące się smugi dymu wskazywały, gdzie znajdują się wioski i miasteczka. Wypatrzyłam też kreskę, która mogła być jedynie Ścieżką.

Lecieliśmy długo. Teren w dole stopniowo stał się bardziej pofałdowany, górzysty, a pola ustąpiły miejsca gęstym świerkowym lasom. Na niebie z każdą chwilą przybywało chmur. Próbowiałam podpytywać Petra o Królową Ostów, a także o to, czym zajmuje się Aroldo, ale odpowiadał albo wymijająco, albo zgoła niezrozumiale. Tymczasem chmury spowiły cały nieboskłon i zaczęły przysyć śnieg.

– Spójrz – odezwał się w końcu Petr, wskazując w dół.

Wstrzymałam oddech.

Pod nami nie było już ani bieli, ani wzniesień, ani lasu. Teraz po horyzont ciągnęła się płaska jak stół szarobrazowa równina bez śladu dróg czy ludzkich osiedli. Co najdziwniejsze, nie umiałam powiedzieć, kiedy krajobraz się zmienił; byłabym skłonna przysiąc, że nastąpiło to w jednej sekundzie.

– To kraina ostów. Całe morze ostów i ani jednej ścieżki, wyobrażasz to sobie?

– A czy coś tam żyje?

– Szare, złotorożce i szczuropajaki. O! – zawołał nagle. – Zobacz, złotorożec!

Obróciłam się pośpiesznie, by spojrzeć we wskazanym kierunku. Żółte stworzenie galopowało przez obłoki jak po twardej ziemi, oddalając się od nas, a kopyta jego tylnych nóg pozostawiały w powietrzu tęczowe smugi. Wkrótce zniknęło wśród chmur. W mojej głowie zakiełkowało pytanie.

– Jeśli złotorożce malują Zaświat kolorami, czemu kraina Królowej Ostów jest tak posępna i wyschnięta?

– No cóż, teraz mamy zimą. – Petr wzruszył ramionami. – Latem osty są zielone. Oczywiście dzięki złotorożcom mogłyby być zielone przez cały rok, ale Królowa tego nie chce. Jej natura łaknie martwoty i ciszy.

Istotnie, wokół nas było bardzo cicho. Zdałam sobie sprawę, że wiatr ustał. Zaklęte latawce wciąż jeszcze utrzymywały się w powietrzu, ale lecieliśmy teraz wolniej niż przedtem. Szarobrazowe pustkowie nadal rozciągało się aż po horyzont. Spróbowałam sobie wyobrazić, jak może wyglądać istota, która rządzi tą pustą, melancholijną krainą. Śpiąca Królowna spała w zamku otoczonym przez cierniowe mury – tu był ocean kolczastych zarośli i żadnego zamku.

– Tam, pod tym wzgórzem – Petr, jakby czytając mi w myślach, wskazał samotny, łagodnie zaokrąglony wierzchołek – znajduje się siedziba Królowej Ostów. Widzisz kolczastą bramę? Strzegą jej dwa złotorożce.

– Wiem, widziałam to już w lustrze Arola.

– Pozwolił ci patrzeć w swoje lustro? – zdziwił się Petr.

– Pozwolił. Widziałam to wzgórze i bramę.

– Ale wnętrza twierdzy nie?

– Nie.

– Szkoda. – Westchnął. – Sam jestem ciekaw, jak siedziba Królowej wygląda od środka.

Przypomniały mi się czytane w dzieciństwie baśnie Andersena. Wyobraziłam sobie amfilady podziemnych komnat oświetlonych przez robaczki świętojańskie, parkiety wypastowane do połysku ślimaczym śluzem, kłaniających się dworzan o żabich i krecich obliczach, damy dworu w sukniach z pajęczyn, obwieszane biżuterią z kasztanów i żółędzi.

– A gdybyśmy tak sfrunęli na ziemię, żeby obejrzeć bramę z bliska? – zaproponowałam.

– Nie ma mowy.

– Czemu nie?

– Bo to niebezpieczne, piaskomyślna. Wtargnęliśmy bez zaproszenia na ziemię Królowej. Jej stwory zaatakowałyby nas. No, dość już się naoglądałaś. – Cmoknął na latawce jak na konie, a one

okręciły się, szarpiąc linkami, i taczka zawróciła tak gładko, jakbyśmy jechali po asfalcie. – Wracamy.

Poczułam się rozczarowana i wściekła. Wracamy, choć nie ujrzałam nic ponad to, co Aroldo pokazał mi już wcześniej w swym zwierciadle? I nagle czara goryczy się przelała. Niby od miesięcy spędzałam mnóstwo czasu w baśniowym świecie, a nie było mi dane poczuć jego cudowności. Wciąż tylko sprzątanie, gotowanie, zmywanie garów i znoszenie protekcyjnego tonu, jakim się do mnie zwracano. I co mi przyszło z tego, że oddałam Petrowi album? Miałam zobaczyć siedzibę Królowej Ostów i poznać odpowiedzi na swoje pytania, a tak naprawdę niczego nie zobaczyłam ani się nie dowiedziałam.

Ach, chrzanić to – pomyślałam złośliwie pod adresem czarodziejskiego latającego wehikułu. – Lądujemy!

I latawce, dotąd unoszące się na napiętych linkach, posłuchały. Zaczęliśmy obniżać lot, zataczając szeroki krąg niczym samolot kołujący nad lotniskiem.

– Coś ty narobiła! – przestraszył się Petr. – Nie możemy tu lądować!

– Czemu nie?

– Już ci mówiłem! Zaatakują nas słudzy Królowej!

– Przecież mówiłeś, że ten świat jest snem, a skoro tak, nie mamy się czego obawiać. – Nie darowałam sobie tej złośliwości.

Petr spiorunował mnie wzrokiem.

– To bardziej skomplikowane, niż myślisz, piaskomyślna. Lećcie! Proszę, lećcie! – zawołał rozpaczliwie, szarpiąc linki latawców, ale te go nie posłuchały.

Nieubłaganie sfruwaliśmy coraz niżej, równina rosła w oczach, wyraźnie widziałam już porastający ją gąszcz, zwiędły, zbrązowiały i pozbawiony życia. W końcu taczka z lekkim wstrząsem wylądowała na kawałku nagiej ziemi, a latawce spłynęły z gracją, osiadając obok niej.

Petr natychmiast się poderwał, spięty i czujny. Nie zobaczył wiele, bo rosnące wokół osty przesłaniały wszystko. Były olbrzymie, ich rozgałęzione łodygi wznosiły się wyżej niż moja głowa, a kolczaste liście miały szerokość dłoni. Uschnięte kwiatostany siały siwym puchem.

Nagle za naszymi plecami coś zaszeleściło. Odskoczyłam odruchowo, a Petr odciągnął mnie w tył. Oniemiali patrzyliśmy, jak spomiędzy badyli wypełza straszdyło o licznych odnóżach i ohydny ryju z małymi błyszczącymi oczkami, ni to gigantyczny owad, ni gryzoń. Posuwało się wolno w naszym kierunku, wężąc.

– To szczuropajak! – wykrzyknął mój towarzysz.

Stwór uniósł brzydki pysk i rozdziawił go, ukazując długie, ostre kły. Zasyczał.

Dobrze pamiętałam przygodę ze złotorożcem i chmarą owadów, kiedy to najadłam się wstydu. Tym razem z jakiegoś powodu zupełnie się nie bałam. Szturchnęłam Petra.

– Gdzie twój styczniowy talizman?

– Zostawiłem go w domu! – jęknął.

Miał minę kogoś, kto lada chwila wpadnie w panikę, co w innych okolicznościach może dostarczyłoby mi drobnej satysfakcji – wreszcie trafiła się sytuacja, w której nie zachowywał się tak, jakby pozjadał wszelkie rozumy. Pomacał się gorączkowo po kieszeniach kubraka i z jednej wyciągnął czerwoną wstążkę. Pstryknął palcami i wyszeptał coś, po czym rzucił ją w powietrze.

Wstążka zajęła się ogniem i spłonęła, nim dotknęła ziemi. Szczuropajak zamarł w pół kroku, po czym... rozsypał się w proch tak nagle, że ledwo zdążyłam zarejestrować, co w ogóle się stało.

– Wskakuj! – zawołał Petr, wskazując taczkę, i sam wlaź za mną.

Wyjął piszczałkę, dmuchnął w nią trzykrotnie. Zerwał się wiatr, zaświstał nam w uszach. Latawce targnęły linkami i uniosły nas w powietrze. Kraina ostów malała pod nami. Byliśmy uratowani.

Kiedy dolecieliśmy z powrotem do domu, zapadał zmierzch. Byłam pewna, że w progu powita nas wściekły Aroldo, ale nie – domostwo stało ciemne i puste. Rychło odkryłam, że w kuchni na stole leży kartka, na której pochyłym, kaligraficznym pismem z licznymi zawijasami napisano:

„Wracam pojutrze. Jutro w porze śniadania będziecie mieli gościa”.

Nie miałam pojęcia, o kogo może chodzić, i nie chciałam o to pytać Petra, który słał się na nogach ze zmęczenia. Wypił szklanek wody, wziął z kredensu skibkę chleba i powlókł się na górę do swojej sypialni.

Ja także czułam się znużona, choć nie aż tak bardzo jak po zwykłym dniu sprzątania i gotowania. Przechodząc przez portal z powrotem do świata jawy, zreflektowałam się melancholijnie, że moje prawdziwe życie w Lublinie coraz bardziej przypomina szary sen. Codziennie wieczorem wracałam do pustego, zarastającego kurzem mieszkania, myśląc niechętnie, że muszę tam w końcu gruntownie posprzątać. Łazienka z ciepłą bieżącą wodą, pachnące mydło i szampon przypominały mi, że współczesny świat ma pod paroma względami przewagę nad krainą, w której trzeba nosić ze studni ciężkie wiadra, a włosy myć nad balią, ale tej nocy byłam zbyt zmęczona, żeby docenić uroki cywilizacji. Wzięłam szybki prysznic i poszłam spać, pamiętając, żeby nastawić budzik.

Nazajutrz zjawiłam się w Zaświecie o zwykłej porze. Napaliłam w piecu, trochę ogarnęłam kuchnię i naszykowałam śniadanie, starając się nie przypalić owsianki. Na dworze było jeszcze prawie całkiem ciemno. Mgła spowijała sad, drzewa majaczyły w niej jak duchy. Przypomniałam sobie powiedzenie Zofii: „Mgła na Ścieżce, przyjdą nieproszeni goście”. Ale Aroldo zostawił kartkę, więc jego gość raczej nie zaliczał się do nieproszonych. Chyba.

Kilka minut po siódmej do kuchni zszedł Petr, zaspany i ziewający. Gdy zasiadł do stołu, spytałam, czy wie, kto ma się zjawić z wizytą. Pokręcił głową.

Bez entuzjazmu gmerał łyżką w owsiance, do której swoim zwyczajem dodał śmietany, masła i miodu. W końcu odsunął na wół opróżniony talerz.

– Daj ją domowikom. Przepraszam, kiepsko się czuję.

Nalał sobie kawy i wyszedł, zabierając kubek.

Zerknęłam za okno – świtało, ale mgła ani myślała się podnosić. Postawiłam talerz Petra na podłodze w kącie – domowiki wprawdzie dostały już swoją porcję, ale wiedziałam z doświadczenia, że nigdy nie odmawiają dokładki. Zawinęłam garnek z owsianką w wełnianą chustę, żeby trzymał ciepło, po czym zabrałam się do zmywania. Mniej więcej kwadrans później ktoś zastukał do kuchennych drzwi.

Pobiegłam odsunąć skobel i stanęłam twarzą w twarz z uśmiechającym się nieznajomym.

– Siostrzo moich sióstr, czy zastałem Arola?

– Nie – odparłam – ale zapowiedział, że się pojawi. Jestem Greta. Proszę, wejdź.

– Hannes – przedstawił się, wyciągając dłoń. Uścisk miał mocny, serdeczny.

O ile Aroldo był jegomościem, który z czterdziestką na karku zachowuje elegancką sylwetkę bez brzuszka, to Hannes wyglądał tak, jakby słońce i wiatr wypłyły z niego wszystkie soki i spaliły każdą odrobinę zbędnego ciała. Miał gęste kędzierzawe włosy w nieokreślonym słowiańskim odcieniu burości, przetykane siwymi nitkami, i ogorzałą, sympatyczną twarz. Jego odzież wyglądała jak skompletowana w kilku epokach – kurtka od dziewiętnastowiecznego munduru wojskowego, lniana koszula wykończona krajką, najzupełniej współczesne bojówki oraz zniszczony, zdefasonowany kapelusz. Wszystko spłowiałe, wytarte, cerowane tu i ówdzie. Miał w sobie, prawdę mówiąc, coś ze stracha na wróble – bardzo uroczego stracha na wróble. Zielonoszare czy też szarozielone oczy z wesołymi zmarszczkami w kącikach śmiały się do mnie, kiedy jadł owsiankę z miodem, a ja szykowałam świeżą kawę. „Włóczykij” – to skojarzenie było tak oczywiste, że aż się uśmiechnęłam w duchu.

W wiadrze zabrakło wody, więc wyszłam na podwórze, żeby przynieść jej więcej, a gdy wróciłam, na blacie stołu siedziały dwa domowiki – rudy samczyk i piegowata samiczka – zaś Hannes zagadywał do nich w ich języku, częstując je okruchami chleba i sera. Słuchając, z jaką ekscytacją świergoczą i pomrukują, pożałowałam, że nie rozumiem, czego dotyczy rozmowa.

Zabrałam się do czyszczenia i krojenia warzyw na wywar. Domowiki na widok tego przybiegły, żeby mi pomóc, nadal świergocząc jak opętane. Hannes słuchał, grzejąc dłonie o kubek z kawą.

– One mówią, że wczoraj poleciliście do królestwa ostów, chciał was tam zaatakować szcziropajak i że Petr przegnał go, paląc czerwoną wstążkę – powiedział, gdy stworki umilkły. – Jak on się teraz czuje, Olgo?

– Jestem Greta – poprawiłam go.

– Nie, nie jesteś – odparł życzliwie, lecz z naciskiem. – Jesteś Olga. Powiedz mi, czy Petr jest zdrow?

– Narzekał przy śniadaniu, że marnie się czuje – stwierdziłam, zastanawiając się, kim właściwie jest znajomy Arola i czy mogę go o to zapytać, nie łamiąc którejś z zasad obowiązujących na Ścieżce.

– Zawołaj go – polecił Hannes, dopijając kawę.

Petr zszedł niechętnie, powłócząc nogami. Gdy znalazł się w kuchni, gdzie było więcej światła niż na schodach, zobaczyłam, że wygląda fatalnie, zielony na twarzy. Zaciskał usta, jakby było mu niedobrze.

Hannes popatrzył na niego przeciągle, nic nie mówiąc. Potem zanurzył dłoń w wiadrze z wodą i prysnął nią na chłopca, szepcząc bezgłośnie. Światło w kuchni przygasło, a mnie oddech raptem uwiązał w płucach – poczułam się tak, jakby powietrze wokół zamieniło się w kłajster. Trwało to ledwie sekundę, potem znów zrobiło się jasno, a paskudne uczucie zniknęło. Petr z westchnieniem ulgi osunął się na krzesło.

– Załatwione – odezwał się nasz gość. W jego oczach nie było teraz ani śladu wesołości. – Młody człowieku, następnym razem trzymaj się z dala od sług Królowej Ostów. Nie jesteś jeszcze na tyle silny, żeby palić czerwone wstążki.

– Znam słowa ognia i słowa wody – zaprotestował Petr. – W tym roku po raz trzeci szykowałam styczniowy talizman...

– Trzymaj się z dala od Królowej Ostów i od jej krainy – powtórzył Hannes. Odwrócił się do mnie. – Olgo, czy nie wydaje ci się, że ta zima już za długo trwa?

Zagapiłam się na niego; nagła zmiana tematu kompletnie zbiła mnie z tropu. Rzeczywiście, był marzec i w Lublinie już od dwóch tygodni trwała odwilż, podczas gdy w Zaświecie nadal panowały mrozy. Hannes kontynuował:

– Przyszedłem powiedzieć Arolowi, że musi odprawić rytuał siedmiu luster, inaczej zima w Zaświecie nigdy się nie skończy. Przekażcie mu to, jeśli łaska.

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami. On tymczasem dodał:

– Dziękuję za śniadanie. Do zobaczenia, moi mili.

Skłonił się, włożył kapelusz i wyszedł, a my z Petrem zagapiliśmy się na siebie.

– Ach tak, rytuał siedmiu luster – rzucił Aroldo Gazza jakby nigdy nic, gdy powtórzyłam mu słowa tajemniczego gościa. Kleił kolejny stateczek w promieniach wpadającego przez okno słońca. Na zewnątrz był jasny zimowy dzień. Wrony krakały, obsiadłszy drzewa podobne do ozdób z cukru. W nocy znów napadało śniegu, zasy w ogrodzie sięgały teraz powyżej pasa. – Zastanawiałem się właśnie, kiedy ktoś uzna za stosowne mi o tym przypomnieć.

– Co to za rytuał? I co ma wspólnego z wiosną?

– Takich rzeczy nie tłumaczy się piaskomyślnym – oznajmił mój pracodawca. Zamoczył pędzelek w kleju i jął nim starannie smarować deszczułkę, po czym przylepił do niej kwadrat bibuły. – Poproszę Zofię, żeby przyszła pojutrze.

– Zofię? – zdziwiłam się. – Dlaczego?

– Jeśli mamy odprawić rytuał siedmiu luster, potrzebujemy jej.

Dwa dni później Zofia przyszła do domu Arollda, wymuskana i elegancka jak zawsze. Przyniosła w koszyku kruche ciastka własnego wypieku. Miała na sobie ten sam puszysty biały sweter, szarą spódnicę i srebrną biżuterię z kryształkami Swarovskiego co w dniu, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Raptem zdałam sobie sprawę, że nigdy nie zapytałam, gdzie mieszka – odruchowo założyłam, że pewnie w miasteczku. Jakoś głupio było zadać jej teraz to pytanie ni z gruszki, ni z pietruszki.

Aroldo kazał nam pójść nie do swojej pracowni, a do pokoju obok, który do tej pory stał zamknięty na klucz, nie sprzątałam tam ani razu. Wewnątrz nie było żadnych mebli, tylko goła drewniana podłoga i spadzisty sufit, taki sam jak w sypialni Petra. Na środku stało siedem dużych prostokątnych luster ustawionych w kręgu taflami do środka, a w kącie – katarynka, ale inna niż ta w pracowni Arollda, bez rzeźbionego domku i figurek.

– Usiądź sobie gdzieś z boku, Greto – polecił mój pracodawca.

Usiadłam na podłodze przy ścianie, zawstydzona tym, że nie mam zielonego pojęcia, jak ten cały rytuał ma wyglądać i do czego jestem

potrzebna.

Zofia stanęła pośrodku pustej przestrzeni między lustrami. Poprawiła włosy i znieruchomiła, zamykając oczy, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Aroldo zaczął kręcić korbą katarynki, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

Katarynka zagrała. Tym razem nie walca, a szalony irlandzki taniec, sprawiający, że stopy same rwały się do przytupywania. I Zofia zaczęła tańczyć, obracając się w miejscu pomiędzy lustrami, które odbijały jej postać. Rozkloszowana spódnica wirowała, obcasy botków przytupywały, błyskały cekiny na białym swetrze, siwe loki rozmyły mi się w oczach. Nie mogłam dłużej na nią patrzeć, bo poczułam zawrót głowy. Zamknęłam oczy i otworzyłam je dopiero, gdy muzyka umilkła.

Zofii nigdzie nie było widać, lustro odbijały tylko siebie nawzajem – siedem niekończących się lustrzanych korytarzy. Aroldo wręczył mi szklankę pełną przezroczystej cieczy.

– Wypij – nakazał.

Zamknęłam oczy i wychyliłam duszkiem zawartość szklanki. Płyn był bez smaku, tak zimny, że momentalnie ścierpły mi usta i język.

– Teraz biegnij – powiedział Aroldo, wskazując lustro, a ja zobaczyłam, że ich tafle już nie są z twardego szkła, przestrzeń zyskała dodatkowy wymiar i wbiegłam na chybił trafił w pierwszy z siedmiu lustrzanych korytarzy, i pędziłam nim, wiedząc – z tą pewnością, którą ma się w snach – że kiedy wybiegnę po drugiej stronie, zobaczę Zaświat bez śniegu, zieleniący się od młodej trawy, szumiące strumienie i drzewa obsypane pączkami...

Ale lustrzany korytarz wydłużał się i wydłużał, aż zdyszałam się i zaczęłam zwalniać. Potem wyłociał się światłem, którego źródła jeszcze nie widziałam, zakręcił pod kątem prostym... i nagle się skończył.

Spadłam w zimną pustkę, wiatr gwizdał mi w uszach. Złotorożce cwałowały po niebie w blasku wschodzącego słońca, a Olga leciała w przepaść pełną chmur, gdzie rozbrzmiewały dźwięki saksofonu. Daleko w dole ptaki o metalowych dziobach dziobały śnieg, a dziewczyna w białej sukni i welonie tańczyła wśród morza uschniętych ostów...

Gdy otwierałam oczy, wciąż jeszcze lekko kręciło mi się w głowie. Siedziałam na podłodze, a prócz mnie w pokoju znajdował się jedynie Aroldo.

– Gdzie Zofia? – spytałam.

– Kto? – zdziwił się.

– Jak to kto? Zofia, zimowa odźwierna. Ta, która mnie tu przyprowadziła przez portal...

Patrzył na mnie jak na dziecko, które wygaduje głupstwa.

– O kim ty mówisz?

– No jak to! – Rozzłościłam się, pewna, że mnie prowokuje. – Ta, która mnie tutaj sprowadziła w styczniu! Przed chwilą była tu z nami! Tańczyła pomiędzy lustrami...

– Nie znam żadnej Zofii – powtórzył. – Coś wymyślasz, Greto. Ale nie martw się. Po lustrzanym eliksirze nie takie rzeczy mogą się przywidzieć.

Poddałam się. Już tyle dziwnych rzeczy spotkało mnie w Zaświecie, że bez trudu mogłam uwierzyć nawet w to, iż nagle przeniosłam się do jego alternatywnej wersji, gdzie nasza siwowłosa znajoma nigdy nie istniała.

Kwiaty i osty

Nie umiem powiedzieć, co stało się z Zofią. Nigdy więcej nie pojawiła się w domu Arolda. Ale nazajutrz po tym, jak odprawiliśmy rytuał siedmiu luster, nadeszła odwilż.

Kap, kap – woda kapała z gałęzi drzew, szumiała w rynnach, płynęła po podwórzu i po drodze. Idąc do studni, musiałam brodzić w błocie. Śniegu ubywało niemal w oczach, słońce grzało, w kałużach na Ścieżce odbijało się błękitne niebo.

Czwartego dnia po odprawieniu rytuału, gdy przed południem wyjmowałam z pieca gorące, smakowicie pachnące bochenki razowca, Aroldo wszedł do kuchni i oznajmił:

– Greto, chcę, żebyś jutro przeszła się na Krucze Uroczysko i zaniósła ode mnie wiosenny podarek leśnej jędry. Przygotuj

koszyk, a do koszyka włóż chleb, masło, jajka, ciasto i co tam jeszcze wymyślisz.

– Mam włożyć czerwony płaszczyk i uważać na złego wilka? – Nie mogłam się powstrzymać, ale Aroldowi tego dnia coś źle poszło w pracowni i nie zbywało mu na poczuciu humoru.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– To nie żarty. Jeśli leśna jędra nie dostanie wiosennego podarku, wyciągnie ze skrzyni swoją białą chustę, zacznie na nią chuchać i będziemy mieli w kwietniu mróz i zawieruchę.

– Pójdę – zapewniłam, próbując się nie uśmiechać. – Tylko musisz mi wytłumaczyć, którą się tam idzie.

Wytłumaczył. Narysował nawet mapkę. Później naszykowałam ciasto drożdżowe i postawiłam w ciepłe, żeby rosło.

Nazajutrz po śniadaniu zabrałam koszyk nakryty czystą lnianą ściereczką i wyruszyłam Ścieżką w kierunku starego młyna. Petrowi zostawiłam w kuchni garnek fasoli w sosie do odgrzania, na wypadek gdyby zgłodniał, zanim wrócę. W lesie, w cieniu drzew, wciąż jeszcze leżał śnieg, ale słońce przygrzewało, ptaki ćwierkały jak szalone, a na leszczynach kołysały się baze.

Przy starym młynie siedział na kamieniu wnuczek Młynarki i strugał sobie fujarkę.

– Dokąd idziecie, Greto? – spytał.

– Na Krucze Uroczysko, niosę leśnej jędry różne dobre rzeczy.

– Uważajcie, żeby nie zabłądzić – ostrzegł mnie z dziecięcą powagą.

Za młynem Ścieżka opuszczała kotlinę i wspinała się na wzniesienie, porośnięte brzozowym zagajnikiem. Tuż za pierwszymi brzozami odnalazłam wydeptaną w śniegu dróżkę. Podążyłam nią w dół, w chłód zacienionego parowu, a potem dalej, wzdłuż strumyka, bo spodziewałam się, że gdzieś niżej musiał on uchodzić do tego potoku, przy którym stał młyn. Niewidoczne strużki wody ciurkały i szemrały, las rozbrzmiewał głosami ptaków. Było na tyle ciepło, że zdjęłam czapkę i schowałam ją do kieszeni. Szłam i cieszyłam się, że wiosna już blisko.

Dróżka opuściła parów i zaczęła się piąć na kolejne wzniesienie, wyższe od poprzedniego, porośnięte rzadką buczyną. Wkrótce

usłyszałam trzask łamanych gałązek; między drzewami przemknęły dwie uciekające sarny.

Potem owionął mnie chłód. Wiedziona instynktem czy przecuciem spojrzałam w kierunku, skąd napłynął zimny powiew, i ujrzałam kilka mglistych sylwetek szybujących między bukami.

Zamarłam, a szare zwolniły – chyba wyczuły moją obecność. Jeden zawrócił i podpłynął kawałek w moją stronę. Wyglądało to tak, jakby węszył, próbując wychwycić mój zapach. Zaczęłam się niepewnie wycofywać, ale stwór po sekundzie zatrzymał się i poszybował z powrotem do towarzyszy. Powiał wiatr i cała grupka podryfowała w górę, znikając wśród gałęzi. Odczekałam jeszcze chwilę, nim z bijącym sercem podjęłam marsz.

Wędrując dalej, myślałam o szarych. Ten, którego widziałam na jarmarku, nie zachowywał się wrogo, ale te tutaj, w lesie, wyzwały we mnie instynktowny lęk i chęć ucieczki, zwłaszcza że byłam sama i nie miałam przy sobie styczniowego talizmanu. Czy rzeczywiście należało się ich obawiać? Co mogły mi zrobić? Kolejne pytania, na które nie znałam odpowiedzi, kolejna kwestia, której Aroldo i Petr nie uznali za stosowne mi wyjaśnić...

Dróżka doprowadziła mnie do częściowo zarośniętej trawą drogi, na której widniały koleiny – jeździły tędy wozy. Gdzieś w pobliżu musiała leżeć jedna z wiosek Zaświatu. Wkrótce usłyszałam dziecięcy śmiech, a zaraz potem zza drzew wyłoniły się dwie dziewczynki w identycznych czerwonych płaszczkach oraz beretach w szkocką kratę, w szkockich spódniczkach, grubych rajstopach i zgrabnych czarnych botkach. Jedna miała jasne włosy, druga ciemne. Szły, trzymając się za ręce i nucąc piosenkę. Minęły mnie obojętnie, bez jednego spojrzenia. Gdy obejrzałam się za nimi – już ich nie było, jakby rozplynęły się w powietrzu.

Wyjęłam mapę, by się upewnić, że dobrze idę, i zobaczyłam, że jestem blisko celu. Narysowane przez Arolda strzałki wiodły drogą, a później odbijały w bok, w zalesioną dolinkę, wzdłuż strumienia. Należało wędrować ścieżyną do momentu, gdy zza drzew wyłoni się chatka leśnej jędzy.

Dwadzieścia minut później, przebrnąwszy przez grząski odcinek, gdzie zeschniętą trawę pokrywała woda z topniejącego śniegu, stanęłam przed chałupką stojącą wśród wierzb. Nie miała kurzej

nózki, za to na krytym strzechą dachu wylegiwał się pręgowany kot. Syknął na mnie, gdy podeszłam, i długim susem czmychnął w zarośla.

Leśna jędra okazała się zgiętą wpół babuleńką w chuście, burej wełnianej sukni i pasiastym fartuchu, o trzęsących się, powykręcanych artretyzmem rękach. Przyjęła koszyk, podziękowała drżącym głosem, po czym zaprosiła mnie na herbatę.

Wnętrze chałupki było mroczne, lecz schludne, pachnące drewnem i pobielonymi ścianami. Na łóżku piętrzyły się poduchy i pierzyny w wykrochmalonych lnianych powłóczkach, od pieca biło przyjemne ciepło. Grzecznie usiadłam na malowanej skrzyni, a leśna jędra zakrzętała się koło herbaty. Nastawiła samowar, wytarła szklanki z kurzu, zapytując przez ramię, jak się nazywam, od jak dawna pracuję u Arola i skąd się wzięłam w Zaświecie. Odpowiadałam na wszystkie pytania zgodnie z prawdą, bo obawiałam się kłamać. Staruszka potakiwała, uśmiechając się z lekka, lecz nie skomentowała ani słowem.

Wypiłam herbatę z mosiężnego samowara, podaną w szklance umieszczonej w wiklinowym koszyczku, zjadłam spodeczek słodkich wiśniowych konfitur, a kiedy stary zegar z kukułką wybił pierwszą, powiedziałam, że muszę wracać.

– Uważaj w powrotnej drodze, Greto – ostrzegła mnie na pożegnanie leśna jędra. – Kto zabłądzi w moim lesie, tego odnajdzie Królowa Ostów.

I pogroziła mi zniekształconym przez artretyzm palcem, uśmiechając się bezzębnie.

Gdy wyszłam z chatki, zobaczyłam, że zmieniła się pogoda. Niebo zasnuwały teraz chmury, wiał chłodny wiatr. Ruszyłam z powrotem ścieżką wijącą się pomiędzy wierzbami, rozmyślając o tym, jak niewiele wiem o Zaświecie i jego dziwnych mieszkańcach.

Kilkadziesiąt kroków dalej przystanęłam, widząc przed sobą rozwidlenie. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy mijałam je wcześniej. Obejrzałam się; z tego miejsca nie było już widać chatki, lecz odniosłam wrażenie, że kierunek się zgadza, a obie dróżki biegnęły mniej więcej równoległe do siebie, przedzielone pasem zarośli. Wybrałam tę, która wydawała się mniej zarośnięta trawą,

ale mniej więcej kwadrans później zorientowałam się, że zmyliłam drogę. Ścieżka, zamiast biec dnem dolinki, zaczęła piąć się ostro w górę zbocza i wkrótce zagłębiła się między ponure świerki, których na pewno nie mijalam, idąc w przeciwną stronę.

Natychmiast zawróciłam, lecz – jak we śnie – wszystko wokół wyglądało teraz inaczej, zupełnie obco. Choć dawno powinnam zejść z powrotem do dolinki i ujrzeć przed sobą chatkę leśnej jędry, nadal otaczał mnie mroczny iglasty las. Świerki były tak wysokie, że niemal nie widziałam nieba, więc nie potrafiłam określić stron świata. Nie umiałam powiedzieć, w jakim kierunku idę, ale dałabym sobie rękę uciąć, że nie we właściwym.

Dróżka wkrótce rozszerzyła się w gruntową drogę, przy której w regularnych odstępach leżały kamienie z wrytymi symbolami. Mój niepokój wzrósł, gdy uświadomiłam sobie, że na co trzecim kamieniu spoczywa wieniec z cierni i ostów. Zawahałam się, czy nie zawrócić – ale przecież zawracałam już raz i nic to nie dało. Potem ujrzałam w oddali prześwit, więc uznałam, że podejść tam, a nuż uda mi się rozejrzeć po okolicy i ustalić, gdzie jestem.

Minawszy ostatnie świerki, wyszłam na polankę i... ujrzałam przed sobą złotorożca.

Leżał na trawie wśród krzaczków jagód, wyciągnięty leniwie. Był tak słonecznie żółty, że wyglądał jak wklejony tu w Photoshopie. Zamarłam. Nogi ugięły się pode mną. Wiedziałam, że powinnam uciekać, ale nie potrafiłam uczynić kroku.

Stworzenie obróciło głowę, spojrzało na mnie ciemnym okiem.

– Królowa Ostów pragnie się z tobą zobaczyć – oznajmiło melodyjnym głosem, a potem nabrało tchu i chuchnęło.

Z jego ust wydobył się seledynowy opar, zasnuwając polankę. Pachniał, nie wiedzieć czemu, jak sosnowy płyn do kąpieli.

Świat wokół mnie zaczął falować i chybotać się, jakby powietrze było wodą w akwarium, którym ktoś potrząsa. Osunęłam się na ziemię, tracąc przytomność.

Pierwszym, co dotarło do mojego otumanionego mózgu, był zapach. Od razu pomyślałam, że tak mógłby pachnieć raj. I nie, nie była to woń czekolady.

Czułam na twarzy łagodne ciepło oraz pieszczotę wiatru. Powoli otworzyłam oczy i natychmiast je zmrużyłam, oślepiona blaskiem słońca.

Po błękitnym niebie sunęły obłoki, a ja stałam pośrodku ciągnącej się po horyzont równiny, na której rosły kwiaty. Mnóstwo kwiatów. Ocean kwiatów. Ogrodowych, swojskich, dobrze mi znanych. Róże, piwonie, floksy, goździki, smolinosy, lawenda, maki. Nad nimi w nagrzanym powietrzu (i ta woń, ta woń, od której kręciło się w głowie) brzęczały pszczoły, trzepotały motyle.

Sen czy nie? Uszczypnęłam się w rękę, zabołało.

Instynkt podszeptał mi, że nie jestem sama. Rozejrzałam się i rzeczywiście – kilkanaście kroków dalej, odwrócona tyłem, stała dziewczyna w białej sukni ślubnej. Wiatr bawił się jej welonem i pasmami ciemnych włosów skręconych w luźne loki.

– Hej! – zawołałam. Nie zareagowała. – Hej, słyszysz mnie?

Cisza. Jakbym wołała do powietrza. Czy nieznajoma w ogóle mnie słyszała? Może byłam tutaj jak duch, niewidoczna, a mój głos docierał wyłącznie do moich uszu?

Obłok przesłonił słońce. Powiało zimnem... i nagle wokół mnie nie było już kwiatów. Tylko osty. Setki, tysiące uschniętych ostów o kolczastych liściach i kolczastych łodygach.

Dziewczyna w białej sukience odwróciła się powoli. Zmroził mnie dreszcz, gdy ujrzałam, że w miejscu twarzy ma drewnianą malowaną maskę.

Nabrawszy tchu, zaczęłam krzyczeć, lecz z moich ust, jak w złym śnie, nie wydobywał się dźwięk. I wtedy postać w masce przemówiła.

– Wróć do Arola, kucharko, i powiedz, że jego miejsce jest w ziemi – odezwała się dźwięcznym kobiecym głosem, który brzmiał dziwnie znajomo.

Potem zaniósł się śmiechem przypominającym brzęk monet albo rozsypujących się sztucców. Zaszumiało mi w uszach, ogarnęła mnie ciemność, spadałam...

– Olgo?

Przytomność wracała powoli. Poczułam przenikliwy ziąb oraz świdrujący ból głowy, jakby ktoś dźgał mnie w oczodół rozżarzonym

drutem. Z jękiem rozkleiłam powieki, ale zobaczyłam tylko półmrok i pochyłoną nade mną ciemną postać.

– Olgo? – zabrzmiało ponownie. Poznałam ten głos: Hannes. Poklepał mnie lekko po policzku. – Słyszysz mnie?

Odszedł na moment, potem wrócił. Poczułam na twarzy mokre zimno, gdy przyłożył mi do policzka garść topniejącego śniegu.

– Olgo, ocknij się, proszę.

Zbierając wszystkie siły, zdołałam usiąść. Las tonął w szarówce, co oznaczało, że przeleżałam nieprzytomna dobre kilka godzin. Nic dziwnego, że byłam przemarznięta do szpiku kości.

– Gdzie jestem? – spytałam niepewnie.

– W lesie powyżej Kruczego Uroczyska. Zgubiłaś drogę. Co się stało?

Wzięłam głęboki oddech, obawiając się, że znowu zasłabnę, po czym w kilku zdaniach streściłam Hannesowi, co się wydarzyło. Słuchał, nachmurzony i ponury. Gdy doszłam do tego, jak morze kwiatów przemieniło się w osty, przerwał mi gestem.

– Starczy, Olgo. Później opowiesz mi resztę. – Zerknął w górę, na widoczne między gałęziami ciemniejące niebo. – Nie zdążymy wrócić do domu Arolda przed nocą. Zabiorę cię z powrotem do twojego świata.

– Miałam powtórzyć Aroldowi... – Przełknęłam; mdliło mnie. – Miałam mu powtórzyć, że jego miejsce jest w ziemi.

Hannes powoli skinął głową.

– Obawiam się – powiedział – że już za późno.

Coś w jego głosie sprawiło, że poczułam chłód.

– Co masz na myśli?

– Arolda już nie ma w Zaświecie. Królowa Ostów zabrała go do swojej krainy.

Chwilę przetrawiałam tę wiadomość, zastanawiając się, co to oznacza. Początek wielkiej przygody w stylu RPG, w której ruszam na poszukiwanie mojego pracodawcy, rzucam wyzwanie Królowej Ostów, zostaję bohaterką Zaświata – albo ginę? Ale na dobrą sprawę, czy byłam to Aroldowi winna? Co w ogóle mogłam tutaj zdziałać, w tym dziwnym świecie, którego reguł prawie nie znałam? Czy powinnam się mieszać w sprawy, które mnie nie dotyczą, czy raczej powrócić do swojej rzeczywistości i zapomnieć o wszystkim?

Zarazem miałam irytujące wrażenie, że coś mi umyka – tak jakby Hannes przemilczał ważny szczegół albo jakbym nie rozumiała czegoś, co powinno być oczywiste.

– Co mam zrobić? – zapytałam. – Czy Królowa...

– Nie tutaj – uciął Hannes. – Wracajmy do twojego świata. Tam spróbuję ci wszystko wyjaśnić, jeśli wystarczy czasu.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać.

Wsparta na jego ramieniu patrzyłam, jak kreśli dłonią okrąg w powietrzu... a potem rzeczywistość Zaświata rozstała się i przed nami otworzyła się brama, ukazując pograżone w zmierzchu miasto. Przeszliśmy pomiędzy drzew prosto na osiedlowy parking, skąpany w poświacie sodówek. Wokół wznosiły się bloki, kawałek dalej jarzył się podświetlony szyld Stokrotki, po prawej widać było boisko szkolne.

Po sekundzie oszołomienia uzmysłowiłam sobie, że stoimy na Czechowie, a do domu dotrę stąd w dwie minuty. Odwróciłam się, ale portal już zniknął, a o tym, skąd przybyłam, przypominały mi już tylko ubłocone buty oraz smugi ziemi i mokrego igliwia na płaszczu. Hannes rozglądał się bez zaciekawienia, jakby dobrze znał to miasto i to osiedle.

– Odprowadzisz mnie do domu? – spytałam.

– Oczywiście.

Starłam się ukryć to, że słaniam się na nogach, ale gdyby nie pomoc Hannesa, nie dałabym rady przejść nawet tak niedużej odległości. Nie wiedziałam, czemu jestem tak słaba; czyżby Królowa Ostów wysłała ze mnie krew jak wampir? Odruchowo pomacałam szyję, lecz nie wyczułam żadnej ranki.

W końcu wspieiliśmy się po schodach na czwarte piętro. Wyjęłam klucz, po czym zawahałam się na ułamek sekundy, przypominając sobie, że ostatni raz sprzątałam moją norę co najmniej tydzień wcześniej. Nie spodziewałam się gości. Trudno. Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w domu Arola, ich kuchnia wyglądała gorzej.

W mieszkaniu Hannes kazał mi się położyć na kanapie, a sam poszedł zaparzyć herbatę. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że ani bieżąca woda w kranie, ani czajnik elektryczny nie są mu obce.

– Herbata jest w szafce! – krzyknęłam.

Miałam tylko taką w torebkach, ale założyłam, że skoro zna zdobycze cywilizacji, to pewnie i torebki go nie zdziwią. Nie myliłam się. Po chwili wrócił z dwoma parującymi kubkami, które ostrożnie postawił na stole. Tu, w realnym świecie, wyglądał trochę inaczej, jakby węższy i starszy; w jego kędzierzawych włosach wyraźniej odznaczała się siwizna. A może tylko w elektrycznym świetle tak mi się zdawało.

– Powinnaś teraz coś zjeść – powiedział.

– Nie chcę – wymamrotałam. – Ale jeśli ty jesteś głodny, to w szafce powinien być makaron i jakieś puszki.

Lodówka świeciła pustkami, bo wszystkie posiłki od dawna jadałam w domu Arola.

– Dziękuję, nic mi nie trzeba. Słodzisz?

Zaprzeczyłam. Upiłam łyżeczek gorącej herbaty, parząc sobie usta, i nagle poczułam się tak, jakby spotkanie z Królową Ostów było jedynie snem. Ale nasze płaszcze, wciąż ubrudzone ziemią i igliwem, wisiały w przedpokoju, ubłocone buty stały przy drzwiach. A Hannes siedział na mojej kanapie w swoich dziwnych ciuchach z kilku epok, grzał ręce o kubek i wydawał się stuprocentowo rzeczywisty, od szpakowatej czupryny po wełniane turystyczne skarpety.

– Kim jest Królowa Ostów i czego chce od Arola? – zapytałam.

Westchnął, pomilczał chwilę, grzejąc dłonie o kubek.

– To... skomplikowane – odrzekł wreszcie, a ja przez moment miałam ochotę zerwać się i zacząć wrzeszczeć. Kolejna osoba z Zaświata odmawiała mi odpowiedzi na pytania o Królową!

– Obiecałeś, że wyjaśnisz mi wszystko, kiedy tu wrócimy – przypomniałam.

– Kłopot w tym, że nie wszystko da się wyjaśnić. W każdym razie nie w słowach, które będziesz w stanie zrozumieć. – Patrzył na mnie, a w jego spojrzeniu wyczytałam troskę oraz coś jeszcze – pobłażliwość, jakby rozmawiał z dzieckiem? – Może tak: Królowa Ostów jest kimś innym, niż myślisz, i Zaświat jest czymś innym, niż myślisz.

– Nie mów do mnie zagadkami! – zirytowałam się. – Obiecałeś...

– Na pewno mogę ci powiedzieć jedną ważną rzecz. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Śniłaś, Olgo.

– Jak to śniłam? – Zagapiłam się na niego.
– Zaświat był dla ciebie snem wewnątrz większego snu. – Spojrzał na półkę regału, na której stał mój budzik, i zmarszczył brwi. – Obawiam się, że teraz musisz się obudzić.
– Ja... – Otworzyłam usta, nie wiedząc, co odrzec.
Zakiełkowało we mnie lodowate podejrzenie, ale nim zdążyłam zadać kolejne pytanie, Hannes dotknął mojego czoła.
– Wracaj do swojego czasu.
I wszystko wokół mnie zawirowało, tak jakby ktoś zamieszał patykami w wiadrze, do którego wiano różnokolorowe farby.
– Han... – Mój głos urwał się jak ucięty nożem.
I obudziłam się.

Siadam na łóżku, przecieram oczy. Jestem w moim mieszkaniu, w mojej sypialni. Za oknem widać niebo, zielen drzew i sąsiedni blok, słyszeć dziecięce pokrzykiwania. Ale coś jest nie tak, coś się zmieniło, coś...

Sprawdzam godzinę na wyświetlaczu komórki – ósma dziesięć. Potem spoglądam na datę. Patrzę długo, a rzeczywistość pomału układa się z powrotem w zrozumiałe kształty, pamięć odnajduje znajome, oczywiste fakty.

Jest dwudziesty szósty sierpnia 2013 roku. Moja matka żyje. Walczy z rakiem.

Część II

*Tiefe Brunnen muss man graben
Wenn man klares Wasser will
Rosenrot, o, Rosenrot
Tiefe Wasser sind nicht still*

Rammstein, *Rosenrot*

Olga

Wtedy i teraz

Jest dwudziesty szósty sierpnia, piękny słoneczny ranek, siedemnaście po ósmej. I powinnam się zmusić do konstruktywnych działań, zamiast tkwić przy kuchennym stole. Ale siedzę bez ruchu, rozczochrana, w piżamie, a wszelkie konstruktywne działania chwilowo mnie przerastają.

Dwudziesty szósty sierpnia.

Tępo wpatruję się w cyfry na kalendarzu pod obłądnie kolorowym zdjęciem papug. Mama dostała ten kalendarz w prezencie od którejś z koleżanek emerytek, tych, które noszą trwałę przypominające obskubaną watę cukrową i z życzliwą ciekawością pytają przy każdym spotkaniu, czy przypadkiem kogoś sobie nie znalazłam.

Gwizd czajnika wyrywa mnie z letargu. Wyłączyć, zalać szczura, no i wypadałoby zjeść jakieś śniadanie. Kromka pełnoziarnistego chleba z białym serem to jakieś sto pięćdziesiąt kalorii (ale w szufladzie biurka i tak mam napoczętą paczkę wafelków w czekoladzie oraz kilka batoników Pawełek, które raczej nie dotrważą do wieczora). Niemrawo bełtam torebką w kubku i patrzę, jak gorąca woda zabarwia się na brązowo, a ostatnie powidoki skomplikowanego, przedziwnego snu (papugi na fotografii uruchomiły w moim mózgu jakieś niemożliwe do nazwania skojarzenie – złote pióra, skrzydła, brzęcząca chmara) ulatują, rozmywają się, nikną.

Oddział onkologiczny to kawałek piekła, sprytnie zamaskowanego pozorami nijakiej szpitalnej schludności. Ściany do połowy pomalowane beżową farbą olejną, wyżej otynkowane na białą (całe skrzydło budynku jest świeżo po remoncie), piaskowoszare płytki na podłodze, odnowione, czyste łazienki i WC. W każdej sali telewizor uruchamiany przez wrzucenie monety.

Pierwsze, co rzuca się tutaj w oczy, to ruch. Pacjentów jest mnóstwo, bezustanny młyn przyjęć i wypisów. Chorzy są

przeważnie w wieku średnim i starszym. Jedni chodzą, ciągnąc za sobą opatrzone kółkami stojaki od kroplówek, inni leżą. Głowy skryte pod kolorowymi bandanami, twarze nienaturalnie blade, wychudzone lub odwrotnie, napuchnięte, przypominające księżyc w pełni.

Mama wróciła tu ze względu na złe wyniki badań krwi, odwodnienie (tym razem chemia spowodowała uporczywe biegunki) i kiepski stan ogólny. Dostaje tlen, kroplówki i mnóstwo leków, część dożylnie, część doustnie: dwa antybiotyki, środek przeciwgrzybiczy, substancje pobudzające funkcję szpiku, po których łamie ją w kościach jak przy grypie, witaminy, syrop na apetyt... Dziesięć dni temu przyjęła ostatnią porcję cytostatyków; z tego, co zrozumiałam, lekarze wyczerpali swój arsenał trucizn mogący na jakiś czas spowolnić rozrost intruza niszczącego jej ciało. Nie wygramy – teraz to tylko kwestia wywalczenia kolejnych miesięcy. Wiadomo już, że mama prawie na pewno nie doczeka swoich sześćdziesiątych drugich urodzin. Wykonane przed tygodniem USG wykazało, że pojawiły się przerzuty w wątrobie.

Obie zdawałyśmy sobie sprawę, że okres remisji choroby to czas wydarty kosztusze spod kosy, loteria: czy odparty najeźdźca wróci czy nie? Mama robiła wszystko, aby w tym czasie żyć normalnie. Włosy jej odrosły, dorabiała do emerytury, spotykała się z koleżankami przy kawie i ciasteczkach, jeździła do Warszawy w odwiedziny do Artura i wnuków. W listopadzie zeszłego roku zdiagnozowana została wznowa, a dokładniej – przerzut do drugiego płuca, niemożliwy do zoperowania ze względu na umiejscowienie blisko dużych naczyń. Pierwszą chemię przerwano po tym, jak okazało się, że nie spowalnia wzrostu guza. Doktor Czyż dobrała inny zestaw leków, w tym jeden podobno świetny, najnowszej generacji. Mama źle tolerowała leczenie, chyba gorzej niż przed dwoma laty – bardzo męczyły ją objawy żołądkowo-jelitowe, ale trzymała się dzielnie. Ostateczny wyrok zapadł w maju, gdy nowotwór zaczął dokonywać inwazji na szkielet. Małeńkie przyczółki, najpierw widoczne jako ciemne plamki na zdjęciach rentgenowskich, stopniowo przeistoczyły się w jamy wyżarte w tkance kostnej, z każdym dniem większe. Mama dostaje środek

o nazwie Zometa, który ma spowalniać ten proces, ale rak jest silniejszy.

Trawione, pochłaniane po kawałku kości bołą, to oczywiste. Ból kęsa i rwie, jakby średniowieczny kat szarpał i miażdżył żelaznymi szczypcami żebra oraz lewą goleń. Ani ketonal, ani tramal nie są w stanie go pokonać. Matka nie chce się zgodzić na morfinę: dla niej morfina to narkotyk, narkomani w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wykradali ją z aptek – znaczy, to Czyste Zło, pod wpływem którego człowiek stopniowo się stacza, aż w końcu ląduje na Dworcu Centralnym.

Nie chce rozmawiać, czytać nie ma siły, więc całymi dniami leży i patrzy w sufit albo śpi. Sypia teraz bardzo dużo, po szesnaście, osiemnaście godzin na dobę. Staruszka z sąsiedniego łóżka zazdrości jej, bo jak powiada: „Pani, takie mam duszności, że w ogóle spać nie mogę”. Cały czas kaszle i odpluwa cuchnącą szarą wydzielinę, oddycha chrapliwie, z trudem, chrzrr-hyy. *Dum spiro, spero*. Trzecia pacjentka z tej samej sali, rak piersi z przerzutami do kręgosłupa i mózgu, zmarła dziś wczesnym rankiem – wystąpiły jakieś komplikacje po naświetlaniach.

Przychodzę tu codziennie, patrzę na ludzi, którzy odwiedzają swoich bliskich. Są roztrzęsieni, nie potrafią uwierzyć w prawdę o śmiertelnej chorobie, czepiają się każdego okruszka nadziei. Patrzę na matkę, która z trudnością podnosi się z łóżka, potrzebuje chodzika, aby przejść kilkanaście kroków do toalety, i myślę, że jestem zmęczona, cholernie już zmęczona tym wszystkim. Ale nie mam poczucia, jakby mój świat się walił. Łapię się na tym, że chociaż powinnam płakać jak te zrozpaczone córki, których wypowiedzi czytam na forach onkologicznych, to poza zmęczeniem i zwykłym ludzkim smutkiem w obliczu cierpienia, w którym nie można choremu ulżyć, nie czuję nic więcej.

Bo ja jestem zdrowa. Zadziwiająco, jak dogłębnie nauczyłam się doceniać ten prosty fakt.

Bo przestałam być tą, o którą trzeba się martwić, tym nieudanym dzieckiem, które nie potrafi dorosnąć i radzić sobie w życiu.

Bo wreszcie ucichły wyrzuty, których słuchałam przez tyle lat.

Komórka dzwoni. To Artur. Odbieram.

– Hej, co tam?

Mój brat najpierw pyta, czemu mama nie odbiera komórki, więc uświadamiam mu, jaka jest sytuacja, i pytam, czemu dzwoni. On wyjaśnia, że w Warszawie prowadzone są badania kliniczne nowego leku, dowiadywał się o kryteria kwalifikacji pacjentów i mama prawie na pewno je spełnia, więc trzeba porozmawiać z lekarzami, czy nie dałoby się jej włączyć do tego programu. Pyta o żółtą teczkę, która leży na szafce w jej sypialni, i czy w środku są jakieś tam wyniki badań, więc mówię mu, że jestem w szpitalu, sprawdzę to później i oddzwonię.

Chowam komórkę. Pielęgniarka śpiesząca dokądś z opakowaniem gazy opatrunkowej zatrzymuje się na mój widok. Zerka na zamknięte drzwi gabinetu i ponownie na mnie.

– Czekaj pani na doktor Czyż? To jeszcze chwilę.

Kiwam głową. Jestem przyzwyczajona do czekania na tym białobezowym korytarzu, wśród ludzi w szlafrokach i chustkach, wlokących za sobą kroplówki.

Był taki czas, kilkanaście lat temu, kiedy czułam się tak, jakby wszystko we mnie w środku zgniło, jakbym zamiast twarzy nosiła maskę, pod którą kłębią się muchy i robactwo. Teraz wiem, że to była depresja i że można ją leczyć, ale wtedy nie wiedziałam. Zresztą nawet gdyby ktoś mi poradził, żeby pójść do psychiatry, najpierw musiałabym powiedzieć o wszystkim matce, a matka uznałaby, że to jakaś przedziwna odmiana nastoletniego buntu, objawiająca się wymyślaniem niestworzonych historii, żeby zwrócić na siebie uwagę. Psychiatra? Taki wstyd? Nigdy w życiu.

Odkąd ojciec nas zostawił, nie rozmawiałam z nim ani razu. Pamiętam, że gdy jeszcze mieszkał z nami, rodzice często się kłócili, ale chyba nie częściej, niż to się zdarza w normalnych małżeństwach, to znaczy takich, które się nie rozwodzą. Nie tłukli naczyń, nie rzucali w siebie przedmiotami i nikt nikogo nie bił, tylko krzyczeli, a dokładniej – krzyczała głównie mama. Kiedy malutka Olga nie była w stanie znieść tych krzyków, czasami chowała się do szafy, wtulała buzię w palta i popłakując, czekała, aż burza się przewali. Mama uważała, że ojciec jest nieodpowiedzialny, że powinien znaleźć stałą pracę i się ustatkować, zamiast zarabiać pisaniem artykułów do gazet. Niespełniony literat, tak o nim

mówiła, trochę z goryczą, trochę ze wzgardą. Spłodził w swoim życiu całe pół książki: jeśli wierzyć mamie, była to powieść, której akcja toczy się na początku XIX wieku w alternatywnej baśniowej Europie, powieść o astrologu i filozofie imieniem Aroldo Gazza, pasjonacie sztuk tajemnych – kimś w rodzaju Fausta, jak sądzę. Nie wiem, co się stało z tym maszynopisem, pewnie zabrał go ze sobą, wyprowadzając się.

Może nie wyprowadziłby się, gdyby...

Cholera, no właśnie, gdyby. Pół mojego dzieciństwa upłynęło w cieniu wielkiego Gdyby. Co by było, Gdyby To Się Nie Stało. Gdyby nie ja. Gdyby nie piesek. Gdyby nie ten cholerny szczeniak.

Jako sześciolatka marzyłam, żeby mieć pieska, ale mama stanowczo nie zgadzała się na zwierzę w domu. Bo będzie bałaganić, niszczyć meble, sikać po kątach, gryźć kapcie i wyć po nocach, bo kto będzie go codziennie wyprowadzał, bo psy chorują i mają robaki, bo ona zgłasza weto i koniec, kropka, pozamiatane. Kiedy tata ni z tego, ni z owego kupił mi szczeniaka na siódme urodziny, byłam wniebowzięta, ale ona zrobiła mu awanturę, po której wyszedł z domu i nie wrócił ani tej nocy, ani następnej i następnej. A kilkanaście miesięcy po zakończeniu sprawy rozwodowej (na wszystkich rozprawach odwracał wzrok, żeby na nas nie patrzeć), gdy mama już znowu się uśmiechała jak dawniej i malowała paznokcie, ale do mnie i Artura jeszcze nie dotarło na dobre, że nie, rodzice się nie pogodzą i nie będziemy z powrotem szczęśliwą rodziną, dowiedzieliśmy się pewnego dnia, że ojciec wyjechał do Szwecji, gdzie znajomi ze studiów załatwili mu pracę. Tak oto zostaliśmy ostatecznie i nieodwołalnie we trójkę: mama, Artur i ja.

Mama pracowała wtedy jako sekretarka w kancelarii prawnej. Często zostawała w pracy po godzinach, czasem do ósmej wieczorem. Ale w niedzielę rano, kiedy miała czas, lubiła mi rozczesać włosy i potem długo zaplatać z nich jakąś skomplikowaną fryzurę.

Nie pozwalała mi się bawić na podwórku z innymi dziećmi. Artur mógł kopać piłkę z kolegami, ile mu się żywnie podobało, ale mama nie chciała, żebym ja, dziewczynka, nauczyła się od starszych chłopaków krzyczeć i przeklinać. Poza tym bała się, że mogłoby mi się coś stać: ktoś mnie popchnie, kopnie, nabije mi siniaka albo

upadnę, skaleczę się w buzię i będę miała bliznę jak Kasia z parteru, która spadła z huśtawki na placu zabaw, rozcięła sobie wargę i został jej ślad na całe życie.

Dopóki byłam mała, to Artur odprowadzał mnie do szkoły i przyprowadzał ze szkoły. Poza tym wyręczał mamę, w czym tylko mógł: zmywał naczynia, sprzątał, robił zakupy, obierał ziemniaki, czasem nawet gotował zupę albo smażył kotlety. Ja mu pomagałam, jak umiałam, ale byłam o siedem lat młodsza i często złościł się, że tylko przeszkadzam, plącze się pod nogami.

Mama z dumą opowiadała znajomym, jakiego ma wspaniałego syna. O mnie ani słowa. Ja ciągle słyszałam tylko: cicho, nie krzycz, nie biegaj, bo się przewrócisz, nie obgryzaj paznokci, czy odrobiłaś już lekcje, czemu ten zeszyt taki nieporządkny, nie niszczy tych spodni – przebierz się w dres, łokcie ze stołu, nie mów z pełną buzią, nie jedz tyle, bo będziesz gruba. Wiedziałam, że chciałaby, żebym była grzeczna, bo dziewczynki powinny być grzeczne, i śliczna jak lalka, żeby można było stawiać moje zdjęcia na półce i chwalić się nimi, ale nie umie mnie kochać tak do końca, bo jestem dziwna, śniada i dzika jak nasz tata czarodziej, który na imieninach zabawiał gości, pokazując sztuczki z kartami, na dobranoc opowiadał mi historie o szarych, szcziropająkach i złotorożcach, a pewnego dnia pokłócił się z mamą o jeden raz za dużo, wyszedł, trzaskając drzwiami, i nie wrócił.

Artur bez problemu dostał się do najlepszego liceum w mieście, do klasy o profilu matematyczno-fizycznym. Gdy zdał maturę – śpiewająco, rzecz jasna – poszedł na studia w Warszawie, na ekonomię. I zostałyśmy we dwie.

Mama zmieniła pracę; zajmowała się teraz wyceną nieruchomości, zarabiała więcej, ale zrobiła się bardziej nerwowa, a nic nie uspokajało jej tak jak papieros. Wokół ust porobiły jej się pionowe zmarszczki, opuszki palców miała wiecznie zażółcone. Zapachem dymu były przesiąknięte nasze meble, firanki i ubrania w szafach.

Mimo palenia przybrała na wadze; spodnie i spódnice jej kostiumów były teraz trochę za ciasne, nad paskiem zawsze wylewał się wałeczek ciała. Rano w pośpiechu jadła bułkę z białym serem, piła kawę z odrobiną mleka i dwiema łyżeczkami cukru, a potem

długo, starannie malowała się przed lustrem, tuszując fluidem sińce pod oczami i podkrecając na szczoteczce grubo pokryte tuszem rzęsy.

Farbowała włosy, żeby nie było widać pierwszych nitek siwizny. Zawsze robiła to w domu, wypełniając łazienkę ostrym chemicznym zapachem. Co kilka miesięcy wybierała inny kolor – to burgund, to mahoń, to znów czekoladowy brąz lub inny zbliżony odcień.

Raz była czuła, życzliwa i kochana, kiedy indziej patrzyła na mnie z ledwie maskowaną niechęcią.

– Okropnie przytyłaś – powiedziała kiedyś pod koniec maja, kiedy stałyśmy na przystanku (słońce przygrzewało, byłam ubrana w krótką spódniczkę, sandały i obcisłą bluzkę). – Jesz za dużo słodyczy.

Miałam wtedy szesnaście lat. W domu obejrzałam się od stóp do głów w dużym lustrze, z przodu i z profilu. Ze wstydem doszłam do wniosku, że mama ma rację – za mało ruchu, za dużo nauki, batoników podjadanych na przerwach oraz ciastek chrupanych nad zeszytem zamiast kolacji i przez ostatnią zimę zaokrągliłam się jak pączek. Krótkie spódniczki powędrowały na dno szafy, a ja zaczęłam liczyć kalorie.

– Nie chcę kotleta – oznajmiłam nazajutrz przy obiedzie, kiedy mama chciała mi nałożyć na talerz schabowego w panierce.

Obraziła się.

– Jak to nie chcesz kotleta? To po co ja się męczyłam?

Do końca lata usiłowałam trzymać dietę, a wieczorami wkładałam dres i przełamując wstyd, biegałam po osiedlu. Trochę schudłam, ale kiedy przyszła jesień i zaczął się nowy rok szkolny, złamałam się i zaczęłam znowu jeść czekoladę i ciastka. W miesiąc wróciłam do poprzedniej wagi.

Artur tymczasem miał już narzeczoną, wysoką blondynkę ostrzyżoną na wyzywającego jeża, wyglądającą niczym sobowtór młodej Marie Fredriksson. Studiowała japonistykę, trenowała aikido, miała słabość do kolorowych martensów i rewelacyjnie wyglądała w mini.

Jakoś na jesieni – byłam wtedy w trzeciej klasie liceum – mama zaczęła się spotykać z panem Antonim. Pan Antoni, przedwcześnie posiwiał rozwodnik w średnim wieku, prawnik-garnitur-mercedes,

z początku był nawet miły. Potem, stopniowo, zaczął Się Poczuciwać do dawania mi Ojcowskich Rad, z życzliwej troski oczywiście. Na wszystko miał gotową receptę: jak powinnam się ubierać, czesać, mówić, uśmiechać i jakie mieć plany na przyszłość. „To dla twojego dobra – powtarzał – mówię ci to tylko dla twojego dobra, bo jesteś młoda i z wielu rzeczy nie zdajesz sobie sprawy”.

Tamtej zimy zaczęło się ze mną dziać coś złego. Tak jakby coś w mojej głowie umarło i powoli, nieubłaganie gniło.

Pan Antoni uważał, że fantastyka jest szkodliwa, bo to uciekanie od rzeczywistości. Że jestem za mało ambitna, że przy moich zdolnościach powinnam mieć znacznie lepsze stopnie i że wszystkiemu na pewno winna jest głośna muzyka, której słucham, bo utrudnia koncentrację, a kto wie, czy nie uszkadza mózgu. Któregoś dnia po powrocie ze szkoły odkryłam, że matka zabrała z mojego pokoju sprzęt grający, a słuchawki schowała. „To dla twojego dobra” – usłyszałam. Zaczęłam się awanturować, że jak to, dlaczego, jakim prawem, a wtedy matka usiadła na kanapie i się rozplakała. „Ja się tak staram, żyły sobie wypruwam, tyle poświęciłam, żeby cię wychować na ludzi, i co, chcesz, żeby to wszystko poszło na marne?”.

Nie koniec na tym. Pan Antoni z dnia na dzień miał coraz więcej zastrzeżeń do mojego wyglądu. Powtarzał, że dawno nie widział tak nietwarzowej fryzury, że młoda dziewczyna powinna mieć ładnie zaznaczoną talię, a nie „brzuchol”, że jego córki codziennie się gimnastykują i... Już nawet nie pamiętam co jeszcze, ale było tego do wyboru, do koloru.

Stopniowo zaczęłam się brzydzić własnego ciała. Czułam się jak rozlazłe, ociążałe babsko. Nosłam na okrągło kilka tych samych swetrów i męskich sztruksowych koszul, obszernych jak worki. Nie chciało mi się myć włosów, czasem przez cztery, pięć dni. Zwisały w posklejanych strąkach, a mnie było wszystko jedno. I tak przecież byłam niskim tłuściochem z brzydką cerą, więc co za różnica, czy włosy mam czyste, czy nie?

Kiedy wiedziałam, że pan Antoni ma przyjść do mamy, przesiadywałam po lekcjach w bibliotece szkolnej, u Penumbry albo włóczyłam się po mieście, byle tylko nie wracać do domu. Chociaż wiedziałam, czym to się skończy, bez ustanku podjadałam słodycze

– kruche ciastka, batoniki, kasztanki, markizy, ptasie mleczko, wedlowską gorzką czekoladę. W trzy miesiące przytyłam do siedemdziesięciu kilo przy wzroście metr pięćdziesiąt osiem, mieściłam się już tylko w dwie pary spodni i starałam się nie patrzeć na siebie w lustrze. Źle się czułam w świetle dziennym, zaszuwałam zasłony w pokoju, żeby panował w nim półmrok. Nie mogłam się skupić na nauce, na lekcjach gapiłam się tępo w zeszyt, bo notowanie mnie przerastało, i spisywałam prace domowe od koleżanek. Wieczorami, zamiast się uczyć, pisałam wiersze – paskudne w treści, oddające mój stan ducha, więc przypuszczalnie historyczne i grafomańskie, choć dzisiaj trudno mi to ocenić, bo nie zachowałam ani jednego. Przez cały tydzień powtarzałam sobie, że już niedługo będzie sobota, spotkam się z Raistlinem, Zygfydem, Ciri i Penumbra. Z nimi przez chwilę stawałam się z powrotem sobą. Przez resztę czasu czułam się jak gnijąca roślina doniczkowa, której korzenie i dolne liście tkwią w mętnej wodzie, powoli rozkładając się w brązową, śmierdzącą maź.

A potem, w lutym, w moim życiu po raz pierwszy wydarzyło się coś Naprawdę Dziwnego.

Od drugiej klasy liceum chodziłam na korepetycje z matematyki i fizyki, których udzielała nauczycielka mieszkająca w starej kamienicy przy ulicy Górnej. Dom naprzeciwko był jeszcze starszy, bardzo zniszczony, kwalifikujący się do generalnego remontu. Ilekroć tamtędy przechodziłam, spoglądałam w zasłonięte tekturą piwniczne okienka i z nudów wyobrażałam sobie, że w suterenie tej klimatycznej rudery mieszka podstarzały fotograf o żyłastych rękach i interesująco zniszczonej twarzy jak Keith Richards. Że ma tam studio oraz ładnie, nowocześnie urządzone mieszkanie: lśniący parkiet bez dywanów, mało mebli, na ścianach oprawione plakaty filmowe. I że ja jestem modelką – wysoką, szczupłą i piękną – która przychodzi do niego na pikantną sesję zdjęciową. Pijemy wino, a później rozbieram się i kładę naga na szerokim łóżku, w satynowej pościeli. On robi mi kilkanaście zdjęć w różnych pozach: z rozłożonymi nogami, z otwartymi ustami, oblizującej palce, na czworakach, a później uprawiamy seks.

Takie tam fantazjowanie grubej i samotnej nastolatki.

Któregoś dnia na początku nowego semestru wróciłam ze szkoły może nie wesoła, ale w zupełnie przyzwoitym nastroju jak na siebie. Dostałam czwórkę ze sprawdzianu z fizyki oraz szóstkę z wypracowania, nazajutrz szykowałam się sesja z nowym, zachwalanym przez Zygryda mistrzem gry, Bomburem, a od Ciri pożyczyłam discmana i dwie płyty – jedną Black Sabbath i jedną Iron Maiden.

W domu pachniało świeżo zaparzoną kawą. Mama krzątała się w kuchni. W przedpokoju zobaczyłam buty i płaszcz pana Antoniego i mój dobry humor momentalnie się ulotnił. Postanowiłam, że tylko zjem obiad i wyjdę do Penumbry.

Zgubił mnie moment nieuwagi – dosłownie na chwilę zostawiłam w przedpokoju rozpięty plecak. Pan Antoni, który nie wiadomo kiedy wyszedł z salonu, wyciągnął z niego płyty, rzucił tylko okiem na okładki i oznajmił, że konfiskuje obie. Wywiązała się awantura: ja domagałam się, żeby płyty oddał, bo pożyczone, on spytał, od kogo, po czym uparł się, że osobiście odwiezie je rodzicom Ciri i poinformuje ich, czego córka słucha. Ponieważ ojciec Ciri sam był ateistą i fanem Black Sabbath, w innych okolicznościach mogłoby mi się to wydać zabawne, ale tamtej zimy moje poczucie humoru skurczyło się do rozmiarów niewykrywalnych.

Udałam, że z rezygnacją przyjmuję werdykt. Grzecznie zjadłam odgrzany przez mamę obiad, po czym zamknęłam się w swoim pokoju. Położyłam się w ubraniu na łóżku i patrzyłam w sufit, czując, jak za mostkiem gniecie mnie kolczasty kłęb tłumionej wściekłości, aż w końcu zapadłam w sen.

Kiedy się zbudziłam, w mieszkaniu było ciemno, a mój zegarek pokazywał wpół do pierwszej. Nie wiedziałam, czy pan Antoni pojechał do siebie, czy został u nas na noc, ale prawdę mówiąc, mało mnie to obchodziło. Wiedziałam już, co zrobię, zamierzałam tylko działać bardzo, bardzo cicho i ostrożnie. Wykradłam się do przedpokoju, zgarnęłam kurtkę, szalik, czapkę i buty, po czym ze zręcznością, której nie powstydziliby się wytrawny złodziej, odsunęłam zasuwę i otworzyłam drzwi wyjściowe. Ubrałam się dopiero na klatce schodowej, na samym dole.

Autobusy o tej porze już nie kursowały, nie licząc komunikacji nocnej. Gdyby był duży mróz, może zastanowiłabym się dwa razy,

ale panowała odwilż. O tym, że ktoś może chcieć mnie po ciemku napaść i obrabować, nawet nie pomyślałam – nie uznałam za stosowne zabrać portmonetki, a komórki nie były wtedy jeszcze w powszechnym użyciu. Powędrowałam pieszo aż na ulicę Górną.

Drzwi starej kamienicy nie były zamknięte na klucz. Na klatce schodowej cuchnęło stęchlizną i moczem. Bez lęku zeszłam do piwnicy, w nieprzebitą ciemność. Coś mnie tam ciągnęło jak magnes.

U stóp schodów przystanąłam na moment z bijącym sercem. Nie czułam strachu, raczej specyficzną ekscytację, świadomość, że zapuszczając się tutaj, przekroczyłam jakąś niewidzialną granicę i już za chwilę Coś Się Wydarzy. Z dreszczem wróciłam myślami do fantazji o fotografii mieszkającym w suterenie. Teraz wyobraziłam sobie, że za chwilę otworzy mi drzwi i powie:

– Czekałem na ciebie.

Wtedy powiem mu, czego chcę, a on spełni to życzenie. Będzie się ze mną kochać, czule, namiętnie i długo, a później mnie zabije i zamuruje ciało w piwnicznej wnęce.

Po omacku odnalazłam kontakt, zapaliłam światło. W żółtawym blasku pojedynczej żarówki ujrzałam spiętrzone w wąskim korytarzyku rupiecie, a dalej – drzwi. Masywne, potężne, okute drzwi z ozdobną kołatką, jakich można byłoby się spodziewać w średniowiecznym ratuszu, a nie w piwnicy w środku miasta. Kołatka, jak zauważyłam, miała kształt żaby.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że już nie jestem ubrana w zimową kurtkę, dzinsy i kozaki, tylko w czarną tunikę z dekoltem, legginsy w lamparci wzorek i buty na obcasach. Żadnej z tych rzeczy nie miałam na sobie co najmniej od szesnastych urodzin. Wiedziałam też, że w lamparcie legginsy dawno przestałam się mieścić. I wtedy dotarło do mnie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że śnię. Złękałam się, że zaraz się obudzę, ale nie.

Nim zdążyłam zakołatać, drzwi otworzyły się bez jednego skrzypnięcia. W pomieszczeniu za nimi płonęła pojedyncza świeca, rozpraszając mrok. I stał tam szatan.

– Czekałem na ciebie – powiedział z lekkim ukłonem. – Mam nadzieję, że domyślasz się, jak mam na imię.

Nie wyglądał jak Keith Richards. Z miejsca pomyślałam, że jest zaskakująco młody. Szczupły, niewiele wyższy ode mnie, o ładnych rysach i długich ciemnoblonde włosach, z kolczykiem w uchu. Miał na sobie dziwną ozdobną kurtkę o jakby pirackim kroju, czarny kowbojski kapelusz i dżinsy rozszerzone u dołu. Przypominał mi kogoś, lecz nie umiałam określić kogo.

– Nie bój się – dodał, choć nie było to potrzebne. Trupy nie odczuwają strachu ani na jawie, ani we śnie. – Wiem, że nie żyjesz.

Ja również wiedziałam, że już od miesięcy jestem w środku martwa. Na zewnątrz gipsowa maska udająca twarz, a pod nią – smród, muchy i robactwo. Znów pomyślałam, że moje miejsce jest tutaj, pod ziemią. Obym została w tej piwnicy już na zawsze.

– Nadszedł czas, żebym zabrał to, co nosisz w głowie – oznajmił szatan, uśmiechając się kącikiem ust. W jego oczach widziałam głód, jakby za okienkami źrenic czał się smok: wielki chytry Smaug, dyszący płomykami.

– Dobrze, ale chcę czegoś w zamian – odparłam.

Nie byłam pewna, co konkretnie zamierza mi zabrać, za to nie miałam wątpliwości, że on wie, jakiej zapłaty żądam. Był w końcu szatanem, prawda?

– W porządku – zgodził się.

Pozwoliłam, żeby dmuchnął mi w oczy, a potem przyciągnął mnie blisko i zaczął delikatnie całować. Poczułam ucisk w krtani pod wpływem myśli, że na jawie nikt nigdy nie będzie mnie, trupa, całował w ten sposób. Rozpłakałam się, a szatan głaskał moje włosy i szeptał do ucha słowa pocieszenia.

Był ciepły i pachniał jak nagrzana słońcem ściółka sosnowego lasu. We śnie wydało mi się to oczywiste i naturalne.

Gdy się zbudziłam, miałam na policzkach ślady łez, ale czułam się spokojna. Pusta, czysta i obojętna jak zimowe niebo. Znów byłam sobą, Olgą. Nie trupem. Tak jakby ktoś rozciął gnijący wrzód, który nosiłam w środku, i wypłukał ze mnie cały syf.

Szatan dotrzymał słowa. Mama rozstała się z panem Antonim. Nie wyjaśniła mi przyczyn – po prostu z dnia na dzień zniknął z jej życia, tak jakby nigdy go nie było.

Dopiero dużo później zdałam sobie sprawę, co jeszcze się zmieniło. Po tamtej nocy, kiedy szatan mnie pocałował, przestałam

pisać wiersze. Nigdy już nie napisałam ani jednego.

Jakoś dotrwałam do matury i jakoś ją przetrwałam. Po maturze miałam zdawać na prawo. To było oczywistą oczywistością. Absolwent prawa zawsze znajdzie pracę, jeśli nie w kancelarii, to w urzędzie albo w korporacji. Ale na egzaminie wstępnym zabrakło mi sześciu punktów. Poszłam na polonistykę, gdzie miałam tylko przeczekać rok i spróbować drugi raz. Kiedy znowu się nie udało, matka przyjęła informację o wynikach w milczeniu, ale z taką miną, że skuliłam się mimo woli. Wiedziałam, że znowu ją zawiodłam, jak zwykle.

– I co, chcesz być nauczycielką polskiego? – spytała nazajutrz przy obiedzie. – Użerać się z cudzymi bachorami za marne pieniądze? Gratuluję pomysłu na życie, panno Pańkowska. Poza tym idzie niż demograficzny, szkoły będą zwalniać nauczycieli. Nigdzie nie znajdziesz pracy.

– Wyjadę do Irlandii na zmywak – wymamrotałam, dziubiąc widelcem rozgotowane kartofle.

– Nie mów takich rzeczy. Nie po to tyle poświęciłam, żeby cię wychować na ludzi. Za rok musisz zacząć drugi kierunek.

Rok później posłusznie zaczęłam studiować socjologię, ale rzuciłam ją po pierwszym semestrze, doszedłszy do wniosku, że to nie moja bajka, poza tym zbyt ciężko będzie pogodzić dwa kierunki i nie chcę zawalić polonistyki, na której zależało mi bardziej.

W czasie awantury, która wybuchła, gdy zakomunikowałam o tym mamie, rozbiłam jej ulubioną szklaną popielniczkę. Później, zbierając odłamki, skaleczyłam się w palec i odkryłam, że ból oraz widok krwi uspokajają mnie, tak jakby łatwiej było mieć ranę na skórze niż w sobie, w środku. Zachowałam duży odłamek z ostrą krawędzią i cięłam nim płytko wewnątrz dłoni, ilekroć chciałam stłumić pragnienie płaczu.

Kilka dni później kupiłam w kiosku żyletkę. Schowałam ją w kasetce z biżuterią i wyjmowałam po każdej kłótni z matką. Płytkie ranki polewałam spirytusem, żeby bardziej piekły i krwawiły. Ilekroć ktoś spostrzegawczy pytał, co mi się stało w dłoń, kłamałam, że uczę się robić ozdobne kartki i pokaleczyłam się nożykiem do papieru.

Zabawa żyłkami nie należy do bezpiecznych nawet wtedy, kiedy zasadniczo nie chcemy sobie zrobić krzywdy. Skóra we wnętrzu dłoni jest cieniutka i wrażliwa, tak że ciężko ją naciąć zbyt głęboko, ale raz, gdy byłam szczególnie wściekła i przez to znieczulona na ból, mimo wszystko przeholowałam. Przestraszyłam się, że trzeba będzie pojechać na pogotowie i założyć szwy. W końcu udało mi się zatamować krew. Umyłam zabrudzoną na czerwono umywalkę, wywaliłam zaplamione papierowe chusteczki do sedesu i spuściłam wodę, a kiedy mama spytała o oklejony dwoma plastrami kciuk, skłamałam, że skaleczyłam się przy obieraniu ziemniaków.

Żyłkę najpierw chciałam wyrzucić, ale nie zdobyłam się na to. Odłożyłam ją z powrotem do kasetki i przeleżała tam, nietykana, ponad dwa lata. Ponownie użyłam jej dopiero po zerwaniu z narzeczonym.

Czy ja wspomniałam, że miałam narzeczonego? Nie?

Miałam narzeczonego. Nazywał się Mariusz – Mariusz Chosiński. Poznaliśmy się, kiedy Ciri – która wtedy już studiowała w Krakowie na UJ, ale na wakacje i ferie przyjeżdżała do Lublina – przyprowadziła go na sesję u Penumbry po tym, jak się zgadali na Krakowie. Trzy lata starszy ode mnie, studiował dziennikarstwo. Pochodził z małej miejscowości koło Chełma, miał dwie młodsze siostry i był sympatycznym, wesołym facetem. Dał się wciągnąć do naszej paczki, grywał z nami w Warhammera – miał fajną postać, lekko zwariowanego wojownika z Kislevu. Przez pewien czas chyba był zainteresowany Ciri, ona nim niekoniecznie, a potem jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy się spotykać. Najpierw po prostu po to, żeby wychodzić na spacer i rozmawiać, a raczej zwierzać się sobie nawzajem z różnych rzeczy. Mariusz nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo dręczą kompleksy czy smutki, ale w rzeczywistości pod roześmianą fasadą skrywał ich trochę. Nie dogadywał się z ojcem i nie układało mu się z dwiema poprzednimi dziewczynami. Twierdził, że nigdy wcześniej nikomu nie potrafił tak zaufać jak mnie i że nikt go równie cierpliwie nie słuchał.

Zmotywowana przez niego, ograniczyłam słodczyce, wróciłam do biegania i w pół roku schudłam na tyle, że znowu zaczęłam nosić spódniczki przed kolano.

Wiosną zdecydowaliśmy, że jesteśmy już oficjalnie razem. W lipcu, tuż po tym, jak obronił magisterkę, pojechaliśmy razem na Roztocze i tam, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, Mariusz mi się oświadczył. Byłam wniebowzięta, a mama – gdy się dowiedziała – jeszcze bardziej, co mnie zaskoczyło, bo wcześniej za nim nie przepadała.

Minęło trochę czasu, zanim znalazł pracę, ale w końcu się udało. Dostał robotę w Warszawie, w jednej ze stacji telewizyjnych: angażującą, wyczerpującą, niezłe płatną. Kiedy obroniłam licencjat, namawiał mnie, żebym zrezygnowała na razie ze studiów magisterskich, przeniosła się do niego, poszukała pracy w stolicy i zrobiła później magisterium zaocznie. Plan wydawał się rozsądny, poparła go nawet – choć bez entuzjazmu – moja matka, udobruchana wizją ślubu córki już za rok. Jednak nie udało się go zrealizować, bo pracy w stolicy nie znalazłam. Spędziłam miesiąc na bezpłatnym stażu w firmie budowlanej, parząc kawę, kserując dokumenty i wprowadzając dane do komputera, a potem miesiąc na drugim, w redakcji czasopisma, gdzie zajmowałam się korektą artykułów o ogrodnictwie i majsterkowaniu. Po rozesłaniu ponad stu CV, zaliczywszy szesnaście rozmów kwalifikacyjnych zakończonych odbiciem się od niewidocznej szyby, miałam dość. Mariusz twierdził, że niewystarczająco się staram, nie umiem się zaprezentować, słowem – to wszystko moja wina. Po tym, jak powiedział to o jeden raz za dużo, po szesnastej rozmowie kwalifikacyjnej i szesnastej odmowie, wyszłam z siebie. Zrobiłam mu pierwszą i ostatnią awanturę z wrzaskami, tłuczeniem naczyń i takimi tam. Potem w nocy spakowałam się i nazajutrz porannym pociągami wróciłam do Lublina – akurat kończył się wrzesień, w następnym tygodniu zaczynały się zajęcia na uczelni. Matce skłamałam, że przemyślałam sprawę, że jednak chcę mieć to magisterium w trybie dziennym za dwa lata, że dowiadywałam się o możliwość przeniesienia się na studia magisterskie w Warszawie i jedyną możliwością byłyby studia płatne.

Kilka dni po apokalipsie talerzowo-szklankowej Mariusz zatelefonował z przeprosinami i później przez krótki czas wszystko było tak jakby po staremu. Dzwoniliśmy do siebie, pisaliśmy maile, parę razy pojechałam do niego na weekend. Ale między nami

powstała rysa, której nic już nie mogło skleić. Słuchałam anegdot z jego pracy, plotek z jego pracy, skarg na jego pracę albo mówił mi, żebym w tym tygodniu nie przyjeżdżała, bo on będzie w pracy, i wyczuwałam, że Mariusz coraz częściej dzwoni z obowiązku, że tak naprawdę nie mamy sobie wiele do powiedzenia, a miłe słowa zaczynają brzmieć, jakbyśmy je recytowali z przyzwyczajenia, bo tak wypada.

Aż w końcu pod koniec listopada przysłał mi SMS-a, że poznał kogoś. Tak właśnie to ujął: „Poznałem kogoś”. I jeszcze „Życzę Ci jak najlepiej”. Kiedy w szoku oddzwoniłam, nie chciał odebrać komórki, a na wysłaną wiadomość odpisał krótko, że tak, przemyślał sprawę i to już koniec: „Nie dzwoń, proszę”. Pierścionek zaręczynowy odesłałam mu następnego dnia, w kopercie, listem poleconym. Pamiętam, że najbardziej bolała świadomość, jak bardzo zawiedziona i wściekła będzie moja mama. I była.

– Taki fajny chłopak, dlaczego nie mogłaś się bardziej postarać? Dlaczego z nim nie zostałaś w tej Warszawie?

Tego wieczoru po kolacji powiedziałam, że boli mnie głowa, i uciekłam do swojego pokoju. Zgasiłam światło i w ubraniu położyłam się na łóżku, wiedząc, że na pewno nie zasnę. Patrzyłam w ciemność suchymi oczami, a wściekłość rosła we mnie jak kolczasty kłęb.

W środku nocy, kiedy już nie byłam w stanie tego dłużej znieść, wstałam i przyświecając sobie kieszonkową latarką, odszukałam żyletkę. Nie chciałam kaleczyć ramion, bo przypomniałam sobie, ile mam bluzek bez rękawów, więc zdjęłam rajstopy, podwinęłam spódnicę i zaczęłam ranić uda. Cięłam raz za razem, głęboko, z milczącą furją. Czerwone krople rosły, łaskocząc, i wsiąkały w kolejne chusteczki higieniczne, aż w końcu poczułam, że bolesny ucisk za mostkiem słabnie. Na koniec polałam wszystkie krwawe pręgi przyniesioną z łazienki wodą utlenioną i patrząc, jak na skórze wykwita ruda piana, a krwi przybywa, czułam się coraz lepiej.

Najgłębsze ze skaleczeń zagoiły się dopiero po trzech tygodniach, pozostawiając różowe, swędzące blizny. Matka nigdy się nie dowiedziała.

Doktor Czyż jest wysoka i koścista, zęby ma pożółkłe od tytoniu, a włosy utlenione na bardzo jasno, z siwiejącymi odrostami. Mówiąc, lekko cedzi sylaby. Informuje, że wyniki badań krwi się poprawiły, więc jeśli przez weekend nic nie wybuchnie, to w poniedziałek możemy się spodziewać wypisu. Pytam, co będzie teraz; ona zaczyna mówić o morfinie i o radioterapii paliatywnej, wpadając w medyczny żargon, po czym raptownie porzuca temat i tłumaczy, jak załatwić mamie opiekę hospicyjną, gdy stanie się to konieczne.

Kiedy wychodzę z oddziału, za uchylonymi drzwiami jednej z sal pacjentka w piżamie i ciepłej bluzie oraz druga, pulchna, w bordowym szlafroku, obie zachustkowane i zakropłówkowane, kłócą się o politykę. Jedna podnosi głos: „...a bo Komorowski...”. Pielęgniarka ucisza je stanowczo; trzecia kobieta z sali leży bez ruchu pod tlenem, maska z niebieskawego plastiku zasłania nos i usta, oczy gapią się szkliscie w sufit jak u śniętego karpia.

Czekając na windę, widzę jeszcze, jak doktor Czyż wychodzi na schody przeciwpożarowe i zapala papierosa.

Opuszczając szpital, z ulgą wdycham chłodne powietrze, pachnące deszczem. Nad Lublinem niedawno przeszła burza, może ostatnia z sierpniowych burz. Powoli, lecz nieubłaganie zbliża się jesień. Idę na parking, wsiadam do auta i jadę do domu.

Mieszkanie wita mnie ciszą, duchotą z powodu zamkniętych okien i bałaganem. Na parapetach, na półkach kurz, na podłodze w kątach i pod kaloryferami delikatne szare kłaczkę. Kiedy nie jeżdżę do szpitala, ślęczę nad zleceniami, a później brakuje mi energii, żeby posprzątać.

Gdy idę do kuchni po coś do picia, zniemacka dzwoni telefon stacjonarny. Raz, drugi, trzeci. Biegnę do salonu, odbieram.

– Olga Pańkowska, słucham?

Po drugiej stronie cisza.

– Halo? – mówię ostrzej. – Halo?

Ciche kliknięcie i włącza się sygnał ciągły. Ktokolwiek do mnie dzwonił, odłożył słuchawkę.

Dominik

Portret na ścianie

Bolało.

Bolało jak cholera. Powtarzał sobie, że czas leczy rany i trzeba po prostu przeczekać ten najgorszy okres. Ale czuł się fatalnie, choć starał się trzymać fason i udawać, że nic się nie dzieje. Wspominał, rozpamiętywał, zadreślał się myślami o tym, co mógł zrobić inaczej tych kilka lat wcześniej.

Asia chyba nie do końca dawała się zwieść jego zapewnieniom, że wszystko jest w porządku. Dzwoniła co wieczór i robiła, co mogła, żeby go podnieść na duchu, opowiadała anegdoty z pracy, żartowała; ciepły, wesoły głos, kochana Asia.

Nic nie było łatwe. Ani pogrzeb, ani załatwianie formalności związanych ze spadkiem. Pogrzebu Dominik właściwie nie pamiętał, wypchnął go ze świadomości. Stypę zorganizowali za niego teściowie. On przetrwał ten dzień otępiony środkami uspokajającymi, które zażył głównie po to, żeby się nie zastanawiać, które z wymuskanych koleżanek Róży, składających mu teraz uprzejme kondolencje, wiedziały przez cały czas o biurowym romansie i planowanym rozwodzie.

W kolejnych dniach ogarnęła go apatia. Wstawał koło południa, a nocami – wiedząc, że i tak nie zaśnie – do trzeciej nad ranem surfował po sieci, niezdolny zająć się czymkolwiek konstruktywnym. Nie miał ochoty nawet brać tabletu do ręki, z trudem zmuszał się do tego, żeby chwilę podłubać przy niedokończonych grafikach – wprowadzenie paru zasugerowanych przez wydawcę poprawek w projekcie okładki nagle stało się zadaniem ponad siły. W końcu musiał się zmobilizować, poganiany przez upływające terminy. Na ponaglający mail w sprawie najpilniejszego zlecenia odpisał ogólnikowo, że ma problemy rodzinne, przeprasza i wyrobi się do końca następnego tygodnia.

Wszystkie należące do Róży drobiazgi, których nie zabrała, wyprowadzając się – kubek z Muminkiem, czerwoną parasolkę,

stare zimowe buty, niemodny płaszczyk – wyniósł do sypialni, gdzie dołączyły do pokrywającej się kurzem kolekcji niechcianych pamiątek. Wiedział, że powinien być wdzięczny losowi za to, że auto wpadło w poślizg na zakręcie, zjechało do rowu i dachowało. Wypadek spowodowany przez Różę, która przekroczyła dozwoloną prędkość, oszczędził mu przedłużonego koszmaru, jakim byłby rozwód. Czyste cięcie goi się szybciej.

Czyste cięcie.

Kłopot w tym, że wszystko stało się za szybko. Przyparty do muru, musiałby przyznać, zgodnie z prawdą, że cholernie tęskni za Różą, za latami, kiedy wszystko jeszcze było dobrze. Mniej więcej na takiej zasadzie, na jakiej mózg pacjenta, któremu amputowano nogę, nadal odczuwa bóle w odciętej kończynie.

„Potrzebujesz czasu” – powtarzał sobie. Ale dni, a potem tygodnie mijały i nic się nie zmieniało. Nadal łykał hydroksyzynę, żywił się kanapkami, bananami i czekoladą, bo wszystko inne stawało mu w gardle. Nadal miał kłopoty z zasypianiem. I nadal śnił o Róży, a także o zagadkowym mężczyźnie z pociągu (wmawiał sobie, że tamto spotkanie również musiało być tylko snem, wytworem zestresowanego, wyczerpanego umysłu).

Rozważał pójście na psychoterapię – prywatnie, żeby sobie nie zawracać głowy zbędnymi formalnościami i czekaniem – ale bał się, że nasłucha się komunałów i efekty będą niewspółmierne do wyłożonych pieniędzy. Albo jeszcze gorzej – że terapeuta będzie miał klapki na oczach i uprze się przy rozdrapywaniu zastarzałych, zabliznionych ran sprzed lat, będzie drażyć kwestię relacji Dominika z ojcem, wmawiać mu, że jako dorosły człowiek nieświadomie odtwarza zachowania, których naoglądał się w rodzinnym domu, i tłumaczyć, w jakim stopniu jest współwinny rozpadu swojego małżeństwa. Doprawdy tylko tego brakowało, żeby płacąc jak za zboże za pięćdziesiąt minut czasu specjalisty, dostał w pakiecie ostateczne załamanie psychiczne, rozpad tej kruchej wysepki normalności, na której na razie udawało mu się dryfować, nie tonąc.

Tygodnie płynęły, zmieniając się w miesiące, odmierzane rytmem zleceń. Codziennie rozmawiał przez telefon z Asią, prawie w każdy weekend szedł do niej na herbatę i chwilę pogawędki w rodzinnym ciepłku (Asia należała do tych kobiet, u których w sobotni wieczór

kuchnia pachnie świeżo upieczonym ciastem), czasem nawet zdobywał się na to, żeby pożartować z jej dziećmi. Raz na parę dni zdawkowo meldował się matce. Na pytanie: „Co słychać?”, odpowiadał zawsze: „Pracuję”. Bo rzeczywiście – pracował. Odkąd pozbierał się na tyle, żeby móc w miarę normalnie funkcjonować, uciekał w pracę. I jakoś żył. Dzień po dniu.

W drugiej połowie kwietnia udało się pozajątwiać ostatnie kwestie związane ze spadkiem po Róży. Dni stawały się coraz cieplejsze i dłuższe. Wiedząc, że musi zadbać o kondycję, Dominik zaczął wychodzić na spacer, wyciągnął z piwnicy rower, Asia namawiała (na razie bezskutecznie), żeby zapisał się na siłownię. W zamkniętej sypialni przybywało kurzu. Nadal nie potrafił tam wejść i posprzątać.

Od czasu do czasu wracał myślami do niezwykłego spotkania w pociągu. Nie umiał tego zdarzenia racjonalnie wytłumaczyć, więc za każdym razem powtarzał sobie, że widocznie przemęczony umysł spletał mu figla.

W maju, namówiony przez znajomą pracującą w domu kultury, która w przeszłości organizowała tam wystawy jego zdjęć, wyciągnął z szafki dawno nieużywane farby akrylowe, kupił kilka blejtramów i postanowił przypomnieć sobie, jak się maluje metodą tradycyjną, a nie na tablecie. Ambitnie postawił sobie cel: stworzyć do października dwanaście obrazów połączonych wspólnym motywem. Zainspirowany jedną ze swoich ulubionych płyt, zdecydował, że będą nim strachy na wróble. Niesiony entuzjazmem, jeszcze tego samego wieczoru sklecił modela z kilku desek i patyków, poszewki na poduszkę wypełnionej sianem oraz swoich starych ciuchów.

Pierwszy obraz nadawał się tylko na śmietnik, ale kolejne były już całkiem udane. Strach na wróble siedzący przy stoliku, na którym leżą jabłka i stoi filiżanka kawy; strach na wróble na ulicy, patrzący na wystawę sklepu; strach na wróble kąpiący się w wannie...

A potem...

Potem, w czerwcu, Dominik po raz drugi zobaczył człowieka o czarnych oczach.

Zaczął się od zdjęć. Dokładniej – wszystkiemu winne były kłopoty z tabletem. Wysłużony kilkuletni sprzęt wymagał wymiany

baterii, ale po włożeniu nowej za cholere nie chciał się uruchomić. Szukając w zabałaganionych szufladach biurka instrukcji obsługi, Dominik natrafił na teczkę, którą od razu rozpoznał. Zrobiło mu się gorąco. Wiedział, że nie powinien jej otwierać, ale i tak to zrobił.

Jak w transie długo oglądał zdjęcia Róży. Znał je doskonale, w końcu były jego dziełem. Artystyczne sesje zdjęciowe sprzed trzech czy czterech lat – w Łazienkach w czerwcu (Róża w słomkowym kapeluszu na tle krzewów jaśminu, leżąca na wznak na marmurowym obramowaniu fontanny, wachająca kwiaty, mrużąc oczy w słońcu), w Lesie Kabackim późną jesienią (Róża podrzucająca garście suchych liści, biegnąca ścieżką z rozwianymi włosami, płosząca wrony, klęcząca przy sadzawce, w której odbijają się bezlistne drzewa), na osiedlu wiosną... Zaledwie dwa czy trzy zdjęcia w bieliźnie – od ślubu trochę przybrała na wadze i nie lubiła teraz, żeby ją fotografować rozebraną.

Prawie z każdego kadru patrzyła wprost na niego, uśmiechając się lub kapryśnie wydymając usta. Bez zastanowienia zgarnął wszystkie zdjęcia z powrotem i poszedł do sypialni. Otworzył drzwi i z rozmachem rzucił teczką, celowo niezamkniętą. Przeleciała przez cały pokój, a zawartość rozsypała się po zakurzonej podłodze. Zatrzasnął drzwi.

Tej nocy przyśniło mu się, że kocha się z Różą – ciepłą, oddychającą szybko, pachnącą waniliowym balsamem do ciała – a równocześnie wiedział, że jest martwa, w jej brzuchu już wzbiera zielonkawy rozkład. Ocknął się, oddychając ciężko, z wrażeniem, że zaraz zwymiotuje.

Odczekał chwilę, przygryzając usta, aż mdłości trochę zelżały. Potem poszedł do kuchni, napił się wody, łyknął magiczną białą tabletkę i stopniowo poczuł się lepiej. Wiedział jednak, że o ponownym zaśnięciu nie ma co marzyć.

Przeszedł się niespokojnie tam i z powrotem, wyjrzał przez okno. Na zewnątrz zaczynało świtać. Raptem doszedł do wniosku, że nie wytrzyma dłużej sam w mieszkaniu. Narastał w nim irracjonalny strach, że lada chwila usłyszy kroki i w drzwiach kuchni ktoś się pojawi – albo Róża, albo obcy śniady mężczyzna w zniszczonych subkulturowych ciuchach.

Po krótkim wahaniu Dominik ubrał się i wyszedł się przewietrzyć, zabierając tylko klucze i portfel. Na dworze było jeszcze chłodno, ale bezchmurne niebo zapowiadało upalny dzień. Ulicami z rzadka przejeżdżały samochody. Poszedł w kierunku Lasu Kabackiego jedną ze swoich stałych tras spacerowych. Świeże powietrze szybko pomogło mu ochłoniąć, uspokoić się do reszty. Zaczął rozmyślać o tym, co ma do zrobienia w tym tygodniu, czy stać go na nowy, lepszy tablet i co kupić Asi na czterdzieste pierwsze urodziny.

Spędził na dworze dobrze ponad godzinę. Kiedy wracał, słońce już wzeszło, a na ulicach pojawili się pierwsi przechodnie. Mijając sklep spożywczy, gdzie mimo wczesnej pory drzwi były otwarte, nagle poczuł, że właściwie chyba jest głodny.

Sprzedawczyni akurat kłóciła się z podpitym typem w brudnej dżinsowej kurtce, który upierał się, że wydała mu za mało reszty. Dominik poczekał cierpliwie, aż zirytowanej kobiecie uda się wreszcie spacyfikować kłopotliwego klienta i przekonać go, żeby opuścił sklep, zabierając reklamówkę z pobrękującą zawartością.

Kupił dwie świeże drożdżówki z serem i banana. Gdy wyszedł na zewnątrz, zaraz za progiem sklepu ktoś szturchnął go w ramię. Dominik odwrócił się i zamarł, napotykając znajome spojrzenie czarnych, bezdennych oczu w śniadej twarzy o zapadniętych policzkach.

– Mówiłem, że potrzebujesz pomocy, ale nie chciałeś mi wierzyć – powiedział szatan, uśmiechając się drwiąco. – Do zobaczenia wkrótce. Będę czekał w lesie.

Dominik gapił się na niego oniemiały, w pierwszej chwili zbyt zaskoczony, żeby się wystraszyć. Dopiero po sekundzie zrobiło mu się zimno. Zachwiał się i niewiele brakowało, żeby się przewrócił.

– Szszepraszam, szefie – wybełkotał nieznajomy. Dominik otrząsnął się, zamrugał. Teraz stał przed nim najzwyklejszy w świecie bezzębny żul, zarośnięty i cuchnący przetrawionym alkoholem. – Złotóweczki pan nie ma?

(Idioto, przestraszyłeś się bezdomnego, który bredził nie wiadomo co).

Rozdygotany z ulgi, wcisnął mężczyźnie w rękę drobne, które wydała mu ekspedientka. Wrócił do domu, zjadł nieszczęsne drożdżówki, wypił gorącą herbatę, sprawdził pocztę (cztery nowe

wiadomości, ale nic pilnego ani ważnego). Podłubał trochę przy projekcie logo dla fundacji organizującej szkolenia dla bezrobotnych (jedno z tych małych, nudnych zleceń, co do których zawsze obiecywał sobie, że przestanie je przyjmować), ale szybko poczuł, że powieki zaczynają mu ciążyć. Zaciągnął żaluzje w salonie i położył się na kanapie, żeby złapać jeszcze trochę snu. Tym razem nie przyśniło mu się nic.

Kolejne dni miały bez żadnych niepokojących wydarzeń. Dopiero pod koniec czerwca wydarzyło się to.

Klient, który zamówił u niego plakat reklamujący studia podyplomowe z psychologii komunikacji i psychologii biznesu, zażyczył sobie motyw: „Miasto i ludzie, ale niech będzie optymistycznie, wie pan, niebieskie niebo”, więc Dominik spędził rano w centrum miasta, fotografując słońce odbijające się w szybach kamienic oraz przechodniów na chodnikach. Wrócił do domu koło południa, przegryzł coś naprędce i włączył komputer, żeby przejrzeć zdjęcia oraz sprawdzić pocztę.

W skrzynce czekała niemiła niespodzianka – mail z firmy, w której pracowała Róża. Proszono go, żeby sprawdził, czy gdzieś w mieszkaniu nie leży duży zielony skoroszyt podpisany „Praktykanci 2009” lub podobnie. „Przepraszamy za kłopot, z góry bardzo dziękujemy za pomoc” i tak dalej. Klnąc pod nosem, Dominik przetrząsnął salon i mały pokój, sprawdził nawet stół w przedpokoju i parapet w kuchni, ale żadnego skoroszytu nie znalazł.

Kusiło go, żeby odpisać na odczepnego, że nie, niestety, bardzo mu przykro. Uznał jednak, że przyzwoitość wymaga, aby sprawdzić jeszcze w sypialni. Róża faktycznie miała w zwyczaju zabierać pracę do domu, i pamiętał, że często kładła swój dyżurny święty notes oraz inne materiały na szafce przy łóżku.

Na samą myśl, że musi tam wejść, serce zaczęło mu łomotać. Nie wygłupiaj się – powiedział sobie stanowczo. – To nic takiego, po prostu wejdiesz tam na chwilę i zaraz wyjdiesz. Nie panikuj.

Podszedł do drzwi sypialni i zatrzymał się z ręką na klamce, czując, jak zasycha mu w gardle.

Nie wygłupiaj się, jesteś dorosły, po prostu to zrób.

Wziął głęboki oddech, nacisnął klamkę, wszedł do środka i włączył światło.

I zamarł.

Ściany w sypialni były turkusowe – ulubiony kolor Róży – i puste, bo wyprowadzając się, zabrała oprawione zdjęcia, które tam wcześniej wisały. Teraz pół metra nad łóżkiem widniała twarz namalowana czarną i białą farbą, nieco przypominająca sitodruki Andy’ego Warhola.

I była to twarz jego żony. Róża uśmiechała się do niego tym swoim ni to drwiącym, ni to wyzywającym uśmieszkiem, mrużąc oczy.

Dominik zamrugał. Cofnął się o krok.

Twarz Róży nadal na niego patrzyła.

Określił się na pięcie i uciekł do kuchni, oddychając ciężko.

Zwariowałem. Boże, zwariowałem. Oparł się o blat i stał tak, usiłując się uspokoić. Policzył powoli do dwudziestu i wrócił do sypialni. Drzwi były zamknięte, musiał zatrzaskać je za sobą, choć nawet nie pamiętał kiedy. Wstrzymując oddech, z sercem walącym jak młot nacisnął klamkę i otworzył je powoli, tylko na taką szerokość, żeby móc zajrzeć do środka.

Twarz nadal tam była.

Zatrzaskał drzwi i ponownie schronił się w kuchni. Dyszał jak po biegu, a skronie zwilgotniały mu od potu. Mechanicznie wziął z szafki napoczęty listek hydroksyzyny i łyknął dwie białe tabletki. Potem poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Popatrzył w lustro, we własne szeroko otwarte, rozgorączkowane oczy.

– Oszalałem – powiedział na głos.

Gdy nieco ochłonął, zadzwonił do Asi. Pilnując się, żeby mówić spokojnie, spytał, czy nie znalazłaby czasu, żeby wpaść do niego po pracy i zabrać rzeczy Róży z sypialni. Zdziwiła się, czemu akurat dzisiaj, ale potwierdziła, że owszem, przyjedzie. Odłożył telefon i otarł pot z czoła.

Godziny oczekiwania dłużyły mu się nieznośnie. Co rusz zerkał w stronę zamkniętych drzwi, czując, jak lęk pełza mu po plecach chmarami zimnych mrówek. Siostra zjawiała się po szesnastej. Gdy weszła do sypialni, czekał, wstrzymując oddech, jaka będzie jej

reakcja. Asia rozejrzała się i zacmokała, patrząc na bałagan na łóżku.

– Oj, Dominiś – powiedziała, bardziej ze współczuciem niż z dezaprobatą. – Masz worki na śmieci?

Poszedł do kuchni i przyniósł całą rolkę niebieskich foliowych worków marki Jan Niezbędny. Nie odważył się pytać, czy siostra widzi coś na ścianie, ale był więcej niż pewien, że gdyby zobaczyła tam portret Róży, zareagowałaby w jakiś sposób.

W przelocie zerknął na szafkę oraz na parapet, ale nigdzie nie dostrzegł zielonego skoroszytu. Mógł zatem bez wyrzutów sumienia odpisać współpracownikom Róży, że niestety, bardzo mu przykro, muszą szukać dalej.

Asia sprawnie spakowała do worków wszystko, co poniewierało się na łóżku, nawet nie zadając sobie trudu wytrzepania ciuszków z kurzu. Później razem wynieśli je do stojącego przed blokiem kontenera PCK.

– O, wielkie porządki? – zapytała życzliwie spotkana w windzie sąsiadka z dołu.

Dominik chciał coś wesoło odpowiedzieć na odczepnego i z przerażeniem odkrył, że nie jest w stanie – gardło miał stężałe, nie mógł wykrztusić słowa. Na szczęście Asia uratowała sytuację, rzucając z uśmiechem jakiś banał.

Później, w mieszkaniu, pili kawę ze starego ekspresu – on gorzką bez mleka, jego siostra z mlekiem i cukrem. Wyszukała w szafce zapomniane opakowanie owsianych ciasteczek, kupionych jeszcze przez Różę, i otworzyła, nie pytając go o zdanie. Ciasteczka smakowały cynamonowo i lepiły się do zębów.

Asia przysiadła na kuchennym blacie: zadbana czterdziestolatka w żakieciku i biurowej spódnicy do kolan, odsłaniającej zgrabne nogi. Skończyła dietetykę, kiedyś pracowała w szpitalu, teraz w prywatnej przychodni.

– Jak ci się podoba moja fryzura? – zapytała z uśmiechem, zakładając za ucho niesforny rudy kosmyk. – Zauważyłeś w ogóle, że ścięłam włosy?

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą, bo dopiero teraz zwrócił na to uwagę.

Asia dosyć często zmieniała fryzury. Od kilku lat farbowała się, żeby ukryć siwiznę. Oboje z Dominikiem mieli takie same włosy, ciemne i falujące, odziedziczone po matce, i oboje zaczęli siwieć wcześniej, niedługo po trzydziestych urodzinach.

– Jest w porządku – dodał.

Asia się roześmiała.

– To znaczy, że ci się nie podoba, tylko boisz się powiedzieć?

Wzięła sobie jeszcze jedno ciastko i zaczęła je chrupać.

– Nie no, wiesz, że ja się po prostu na tym nie znam. Spytaj Michała.

Prychnęła.

– A idź! Nic mi nie mów. Wiesz, jaki on ma gust? Chciałby, żebym się tleniła na taki odcień jak Doda.

Dominik uśmiechnął się blado. Przypomniawszy sobie twarz Róży na ścianie i rozmowa o głupstwach nagle przestała go bawić. Poczuli się cholernie zmęczony. Dolał sobie kawy. Asia cmoknęła, patrząc na niego.

– Boże, Dominiś, jaki ty jesteś chudy. Jadłeś dzisiaj obiad? W ogóle jadłeś cokolwiek czy tylko pijesz dziesiątą kawę od rana?

Niecierpliwie machnął ręką. Słyszał to nie pierwszy raz.

– A ty znowu swoje?

– No co? Martwię się o ciebie.

– Weź pomartw się dla odmiany o męża – rzucił. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał, dlatego dodał szybko, siląc się na żartobliwy ton: – Tyłu masz pacjentów, którzy chcą schudnąć, a mnie nękasz, żebym przytył?

– Wiesz, że nie żartuję. Pijesz za dużo kawy i żywisz się kanapkami. Zobaczysz, dorobisz się wrzodów żołądka i awitaminozy.

– Lepiej, żebym żarł hamburgery? I tylko nie mów, że zaczniesz mi znowu przywozić jedzenie w słoikach.

– Nie zacznę, nie bój się. Wiem, że szkoda mojego czasu.

W pierwszych dniach po pogrzebie Asia uparła się, żeby mu dostarczać co parę dni domowe obiady – tłumaczyła, że zawsze i tak gotuje więcej – ale po tym, jak kilka razy nie zjadł tego, co przywozła, bo zupa pomidorowa, kluski śląskie i kotlety stawały mu w gardle jak za dziecinnych czasów, kiedy mama próbowała

karmić go na siłę łyżką („Za tatusia, za siostrzyczkę...”), obraziła się i przestała.

– Musisz wreszcie zadbać o zdrowie – podjęła teraz. – Jest lato, wyjedź gdzieś.

– Mam robotę.

– Dominiś, posłuchaj. – Asia pochyliła się w jego stronę, opierając łokcie na kolanach. – Musisz zadbać o siebie, rozumiesz? Wegetujesz tutaj za zaciągniętymi żaluzjami – wskazała okno – i zarzynasz się pracą, jeszcze trochę i znowu dorobisz się depresji. – Jej głos złagodniał. – Wiem, że ci ciężko...

„Gównu wiesz” – chciał odwarknąć, ale tego nie zrobił. Nie miał ochoty się kłócić. Ona tymczasem ciągnęła:

– Powinieneś się na jakiś czas wynieść z tego mieszkania. Wyjechać w jakieś ładne miejsce, odpocząć, zresetować się.

– Pomyślę o tym – obiecał.

Po wyjściu siostry zaparzył sobie jeszcze jedną kawę, usiadł na kanapie w salonie i włączył laptopa. Otworzył projekt okładki do czwartego tomu przygodowej serii paranormalno-detektywistycznej dla młodzieży – dwa wilki, seksowna kobieta w szortach i wschodzące słońce nad meksykańską piramidą, czy też, jak to podsumował wydawca, „Lara Croft wśród wilkołaków” – i pracował nad nim aż do wieczora, wypróbowując różne układy obiektów oraz warianty kolorystyczne tytułu.

Tej nocy po raz kolejny przyśniła mu się Róża. Ubrana w różową bluzkę z dekoltem i swoje ulubione dżinsowe rybaczki, siedziała na pomoście nad jeziorem, w którym spoczywały dziesiątki utopionych strachów na wróble (garście namokniętej słomy wypłynęły z ich szmacianych ciał i unosiły się na wodzie, tu i ówdzie sterczały końce poczerniałych drewnianych tyczek albo wystawała smętnie głowa w brudnym kapeluszu), i karmiła piersią sine, martwe dziecko.

Nazajutrz rano, wstrzymując oddech, odważył się zajrzeć do sypialni. Portret jego żony nadal widniał w tym samym miejscu. Róża uśmiechała się zalotnie niczym Marilyn Monroe, mrużąc oczy o długich, pokrytych tuszem rzęsach. Dominik spojrział na nią jeden jedyny raz, po czym wyszedł pośpiesznie, trzaskając drzwiami tak mocno, że aż tynk posypał się znad framugi.

Trudno, nie muszę wchodzić do sypialni, będzie stała zamknięta i tyle. Zaśmiał się z rezygnacją, dostrzegając cały absurd sytuacji. Poszedł do kuchni i prawie nie zastanawiając się nad tym, co robi, łyknął hydroksyzyne.

Pieprzyć to, sprzedam mieszkanie, kupię drugie – pomyślał, ale szybko uświadomił sobie, że operacja organizacyjno-finansowa tego kalibru kompletnie go teraz przerasta. Już sama przeprowadzka, pakowanie wszystkiego w pudła, a potem wyciąganie i układanie z powrotem, byłaby ponad jego siły.

Usiadł na krześle przy oknie i siedział tak, bębniąc palcami w blat stołu (sosnowe kuchenne meble wybrała Róża, ona też zdecydowała, żeby ściany pomalować na blady, nijaki odcień błękitu). Po jakichś dziesięciu minutach wstał i machinalnie, z przyzwyczajenia nastawił ekspres. Potem poszedł po laptopa, czując, że po prostu musi czymś się zająć, inaczej zwariuje.

Otworzył plik, nad którym pracował poprzedniego wieczoru, i zdrętwiał.

Lara Croft wśród wilkołaków miała teraz twarz Róży.

Zwariowałem.

Zwariowałem, zwariowałem, zwariowałem.

Siedział nad kubkiem z resztką zimnej kawy i powtarzał to bezgłośnie, gapiąc się w okno. Sąsiadka z dołu właśnie wracała z dwiema ciężkimi siatkami pełnymi zakupów.

Co robić? Iść do psychiatry? Dzwonić do Asi? I co jej powiesz? – zapytał retorycznie sam siebie. – A może po prostu wyjeżdż stąd w cholere?

Wyjechać. To nie była głupia myśl. Zrobić tak, jak mu radziła Asia. Wyjechać dokądś na dwa albo nawet trzy tygodnie, obojętnie dokąd, byle mieli tam bezprzewodowy internet, żeby dało się pracować. Odpocznie trochę, zresetuje się mentalnie i może wyzdrowieje. Może mu przejdzie, a jeżeli nie, to po powrocie będzie się martwił, co dalej.

Włączył komputer i przez dobre pół godziny przeglądał strony z informacjami o ośrodkach wczasowych i gospodarstwach agroturystycznych w różnych częściach kraju, notując numery

telefonu oraz ceny noclegów. Zakreślił kilka, które wydały mu się najbardziej sensowne, po czym zabrał się do dzwonienia.

Zaświat

Hannes a porządek rzeczy

W Zaświecie wstaje świt, a Hannes idzie Ścieżką. Zakurzone buty, malowniczo złachmaniona odzież, zawadiacko przekrzywiony kapelusz. Gra na harmonijce zwawą melodię irlandzkiego tańca, patrząc w górę.

Ponad świerkami cwałują złotorożce, a ich oddechy malują niebo na piękny, czysty odcień błękitu. Wkrótce pupile Królowej Ostów zawisną dokładnie ponad wzgórzem, na którym stoi uwieńczona cierniami kamienna rzeźba, i zaśpiewają głosami, których nie sposób odróżnić od szumu wiatru, a wtedy wszędzie słońce.

Inne, niewidoczne teraz ze Ścieżki, gnają przez lasy, przez pola i łąki. Co rano malują cały Zaświat kolorami.

Doszedłszy na szczyt wzgórza, Hannes staje u stóp posągu i przez chwilę podziwia pejzaż: po lewej ciemne morze świerków, po prawej – kwitnące łąki, a na horyzoncie spowite mgiełką góry. Nieco dłużej zawiesza spojrzenie na widocznym nieopodal starym drewnianym domu wśród jabłoni. Potem wyciąga rękę, a niebo otwiera się przed nim jak drzwi.

Po drugiej stronie jest ulica w centrum sporego miasta z wiszącymi nad nią drutami trakcji trolejbusowej, sygnalizatory, latarnie, billboardy, kałuże. Siąpi deszcz. Na chodnikach roją się przechodnie, szarzy i nieciekawi jak wszystko wokół.

Wędrowiec w połataniej odzieży na moment przystaje na dachu centrum handlowego, patrząc w dół. Obok przejścia dla pieszych stoi chłopak oferujący przechodniom pęk czegoś kolorowego. Zaczepia ich nieśmiało, namawia, by spojrzeli. Większość odmawia mniej lub bardziej uprzejmie („Dziękuję, przepraszam, śpieszę się”), odpychają jego rękę, odchodzą pośpiesznie. Hannes kiwa głową z niejakim smutkiem – rzeczywistość ponownie okazała się zgodna z jego przewidywaniami.

„Ach, ta rzeczywistość” – myśli. Tyle możliwości, tyle ścieżek, światy jak bańki mydlane, pączkujące jedne z drugich. I Zaświat,

który tak naprawdę jest wieloma Zaświatami. Ale teraz interesują go tylko światy Olgi, sny Olgi i utkany z nich Zaświat Olgi.

Tylko jeden krok do tyłu przez iluzoryczną ścianę nieboskłonu i wędrowiec wraca na Ścieżkę, na wzgórze, gdzie stoi enigmatyczna kamienna figura. Ale tym razem słońce zachodzi, jego czerwony rąbek lada chwila zniknie za horyzontem. Cienie się wydłużają, pod drzewami już gęstnieje mrok, a z lesistych dolin podnosi się biaława mgła. Rozsnuwa się coraz szerzej, przesłania kolejne połączenia krajobrazu. Szare wypełzają spod ziemi, gdzie przespały dzień, i powoli rozłóżą się po Zaświecie, pochłaniając jego barwy. Jak co wieczór.

Hannes ponownie unosi harmonijkę do ust i uśmiecha się, patrząc na dogasające smugi zorzy. Zna tajemnicę Zaświata Olgi, Zaświata Królowej Ostów.

Olga

Nad jeziorem Szept

Gdy skończyłam dwadzieścia siedem lat, matka kupiła mi na urodziny poradnik Betty Beulenkampf *Znajdź mężczyznę swojego życia: 10 kroków do prawdziwej miłości*, czy jakoś tak.

Na okładce poradnika figurowała para: atrakcyjna pani w sukience koktajlowej oraz opalony niebieskooki pan w garniturze. Pani trzymała w ręku kieliszek szampana, a pan – pudełko z pierścionkiem. Prezentowane rady stanowiły mieszaninę komunałów z mądrościami sprzed czterdziestu lat („Pamiętaj, że kobieta z klasą nie żuje publicznie gumy i nie śmieje się zbyt głośno”). Najdłuższy rozdział poświęcono dbaniu o wygląd („Umiejętnie tuszuj defekty urody. Jeśli twoje nogi nie są szczupłe, zapomnij o krótkich spódnicach. Jeśli masz rzadkie włosy, noś dobrze dobraną peruczkę”). Inny, jakżeby inaczej, nosił tytuł: *Po co kupować krowę, kiedy możesz mieć mleko za darmo?* Pani Beulenkampf pouczała w nim nieszczęsne singielki, że: „W odpowiednim momencie trzeba powiedzieć nie po to, aby wkrótce potem móc powiedzieć *tak*”.

Po kwadransie lektury dzieło trafiło na dno szafki pod stosem starych egzemplarzy „Nowej Fantastyki”. Ale odtąd za każdym razem, kiedy patrzyłam w lustro, myślałam o delikatnych zmarszczkach, pojawiających się przy uśmiechu w kącikach oczu i ust, gdzie przed trzema laty ich nie było, i o tym, że jestem jak serek w sklepie, któremu jutro skończy się termin ważności, albo banan, który w środku wciąż jeszcze jest słodki, ale na jego skórcie zaczyna przybywać ciemnych plamek.

Po dwudziestych ósmych urodzinach temat mojej samotności z drażliwego zmienił się w Bombę Zamiecioną Pod Dywan. Za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu, mówiąc, że idę na sesję u Penumbry, czułam ciężar wyrzutu w spojrzeniu matki. Wiedziałam, że najchętniej wykrzyczałaby mi w twarz: „Dlaczego ciągle spotykasz się z Tymi Ludźmi, zamiast szukać męża?!”.

Po tym, jak Zygfryd wyemigrował do Irlandii, Ciri wyjechała na stypendium do Berlina, a Raistlin wrócił do rodzinnego Zamościa, ożenił się, zajął Dorosłym Życiem i przeistoczył nieodwołalnie w zwykłego Pawła Dąbrowskiego, programistę w małej firmie, ze starej paczki pozostało nas czworo – Penumbra, Bombur, Jaskier i ja. Średnio co drugą sobotę nadal spotykaliśmy się, żeby grać; innego życia towarzyskiego właściwie nie miałam, jeśli nie liczyć sporadycznych wizyt u przyjaciółki z liceum, Mańki (wtedy jeszcze) Kasprzak. W kim miałabym się zakochać, na litość? W Bomburze, którego uwielbiałam jako kumpla, ale jako facet miał tę zasadniczą wadę, że do złudzenia przypominał swój literacki pierwowzór? Czy może w nadwrażliwcu Jaskrze, młodszym ode mnie o cztery lata, który dodatkowo nie krył, że fascynują go szczuplutkie blondynki?

Mama w głębi serca zapewne hołubiła marzenie, że pewnego dnia zakocha się we mnie jeden z klientów księgarni, najlepiej jakiś przystojny lekarz albo prawnik. Cóż, takie cuda dzieją się głównie w komediach romantycznych, których, nawiasem mówiąc, nie cierpiałam od zawsze.

A potem, bach, na wiosnę przyszła wiadomość, że z końcem maja księgarnia zostanie zlikwidowana. Nie powiem, że spadło to na nas jak grom z jasnego nieba, bo sygnały ostrzegawcze było widać już od jakiegoś czasu. Zaczęłam krążyć po serwisach z ogłoszeniami o pracy i rozsyłać CV – bez większych nadziei, bo kryzys, kryzys globalny, wszędzie kryzys. Warszawska firma, w której pracował Artur, też miała kłopoty i redukowali etaty.

Pewnego dnia Penumbra podrzuciła mi link do ogłoszenia, z którego wynikało, że poszukiwani są opiekunowie na dwutygodniowy młodzieżowy obóz teatralny nad jeziorem Szept. Postukałam się w głowę, ale nalegała, że mam spróbować, więc zadzwoniłam na numer podany w ogłoszeniu, zgłosiłam się na rozmowę z głównym koordynatorem i – o cudzie – przyjęto mnie do ekipy. Tym sposobem w lipcu pojechałam nad jezioro Szept. Była to okazja do zarobienia paru groszy, ale przede wszystkim możliwość pobycia poza domem.

Pozostali opiekunowie, jak się okazało, stanowili interesujące towarzystwo. Eteryczna Sylwia, która grała u Leszka Mądzika, Marlena – psycholożka dziecięca, zawodowo zajmująca się teatrem

jako formą terapii, Grzegorz – wolny duch artystyczny, niespełniony aktor, no i oczywiście główny koordynator, siwobrody Jacek – „sor od polskiego” w jednym z lubelskich liceów. Sympatyczni ludzie, choć z nikim nie zaprzyjaźniłam się bliżej. Młodzież gimnazjalna trochę dawała nam popalić, ale nie tak, jak można by się obawiać – może dlatego, że nie była to przypadkowa zbieranina, tylko towarzystwo ze skrzywieniem artystycznym, przeważnie z inteligenckich rodzin. Mieszkaliśmy w domkach na polanie, sto metrów od brzegu jeziora; prysznic i toalety mieściły się w baraczkach, przed którym o najrozmaitszych porach dnia ustawiały się kolejki z ręcznikami i szamponami, a na posiłki chodziliśmy do stołówki pobliskiego ośrodka wczasowego Julia.

Od rana do obiadu oraz wieczorem, po kolacji, odbywały się warsztaty w grupach – recytacja, odgrywanie scenek, pantomima, trening głosu, dziwne ćwiczenia „na odblokowanie” wymyślone przez Jacka. Po obiedzie mieliśmy czas wolny: uczestnicy mogli grać w piłkę, pływać albo po prostu leniuchować. Trzeciego dnia pobytu postanowiłam przejść się do wsi, do sklepu spożywczego – w stołówkowym menu brakowało owoców, a mnie doskwierało uzależnienie od słodyczy. Dwie dziewczynki z mojej grupy, Gosia i Jagoda, powiedziały, że też chcą iść, i nie zniechęciła ich informacja, że to prawie czterdzieści minut spaceru.

Dzień był upalny, asfaltowa szosa przypominała piekarnik. Gdy dotarliśmy do wsi, zrezygnowałam z kupowania czegokolwiek, co zawiera czekoladę. Nabyłam kruche ciastka, jabłka, morele i wodę mineralną, a młode zaopatrzyły się w colę i chipsy.

Kiedy wracałyśmy, słońce paliło nam karki i podawałyśmy sobie nawzajem butelkę z niegazowaną nałęczowianką. Gosia i Jagoda wesoło paplały o jakimś serialu, a ja myślałam tęsknie o tym, że kiedy tylko dotrzemy do obozu, wskoczę w strój kąpielowy i pójde się moczyć w jeziorze.

Z ulgą skręciłyśmy z szosy w boczną leśną drogę. Minęła nas dwójka jeźdźców na koniach z pobliskiej stadniny, idących stępą. Dziewczyna siedząca na kasztanku miała kask jeździecki i wysokie buty, ale była bez bluzki, w samej górze od bikini. Brakowało jej tylko szyldu „restauracja dla gzów”. Mężczyzna, który jechał za nią

na gniadoszu, łysawy, podtatusiały, jawnie kontemplował jej opalone ciało.

Kawałek dalej od drogi odchodziła ścieżka. Opuszczała las i prowadziła skrótem przez łąki w stronę jeziora, potem biegła kawałek wzdłuż brzegu, przecinała mały sosnowy zagajnik i w końcu docierała do naszego obozu. Wychodząc z cienia drzew, wszystkie trzy zmrużyłyśmy oczy. Słońce, słońce, żar lejący się z nieba. Bzyczenie owadów, słodkawy zapach kwitnienia, lepka ściana upału i tafla wody siejąca odbłaskami.

– O, artysta – powiedziała Jagoda.

Kiedy szłyśmy w tamtą stronę, łąka była pusta, ale teraz w cieniu krzaków rzeczywiście siedział człowiek szkicujący coś w dużym bloku. Mimo upału miał na sobie bojówki i koszulę z długim rękawem, niemiłosiernie wymiętą, a na głowie zielony kapelusz, spod którego opadały długie szpakowate włosy.

– Ćśś – szepnęłam, ale widocznie usłyszał, bo odwrócił głowę.

Pięć lat wcześniej wrzuciłabym go w szufladkę „stary”. Teraz pomyślałam „hm”. Był szczupły, nieogolony i choć nie wyglądał jak Keith Richards, miał w sobie coś z wychudłego, dekadentckiego rockmana. Odrobinię. Uśmiechnął się do nas, nie przerywając pracy.

– Ej, ale nie przeszkadzajcie panu – rzuciłam, bo dziewczynki podeszły blisko, gapiąc mu się przez ramię.

– Nie przeszkadzają – zapewnił.

Sięgnął po gumkę, wytarł coś i znów zaczął rysować szybkimi pociągnięciami grafitu. Nie opanowałam ciekawości i też podeszłam, żeby spojrzeć.

Rysunek zaskoczył mnie. Tak jak się spodziewałam, przedstawiał taflę jeziora i trzciny, ledwie zaznaczone chaotycznymi kreskami, ale z wody wystawał na wpół zanurzony kształt w łachmanach. Dziurawy kapelusz, sterczące spod niego źdźbła słomy, kij wystający z rękawa połatanej kurtki...

– A to kto? – spytałam.

– Strach na wróble – odparł długowłosy. – Utopił się.

Kusiło mnie, żeby zadać następne pytania i nawiązać rozmowę, ale po pierwsze, było mi głupio, a po drugie – słońce prażyło jak diabli, zaś wizja kąpieli w jeziorze kusiła. Stanowczym tonem powiedziałam dziewczynkom, że musimy iść.

Dwie godziny później, kiedy już do woli nachlapałam się na płyciźnie i przebrałam, a do kolacji zostało jeszcze trochę czasu, zdałam sobie sprawę, że ciągle myślę o człowieku w zielonym kapeluszu. Żałowałam, że nie spytałam, dlaczego na obrazku widnieje utopiony strach na wróble, czy na przykład ma coś wspólnego z Marzanną. W końcu poszłam z powrotem na łąkę, ale nikogo już tam nie było.

Nazajutrz poranne zajęcia dłużyły mi się niemiłosiernie. Ćwiczyłam z moją grupą odgrywanie krótkiego występu na podstawie jednego z opowiadań Mrożka, ale myślami byłam zupełnie gdzie indziej. Wczesnym popołudniem po obiedzie znów powędrowałam na łąkę w nadziei, że spotkam tam artystę. I rzeczywiście. Był.

Tym razem, zamiast rysować ołówkiem w szkicowniku, malował akrylami na blejtramicie ustawionym na małych przenośnych sztalugach. Uśmiechnął się na mój widok.

– Witam panią.

Podeszłam bliżej. Przyjrzawszy mu się uważniej, teraz byłam skłonna obstawiać, że nie ma jeszcze czterdziestki. To te siwiejące włosy i zarost postarzały go o dziesięć lat.

– Można popatrzeć?

– Jasne.

Zamoczył pędzel w niebieskiej farbie i wznowił pracę. Obrazek przedstawiał brzeg jeziora i zarośla oraz zarys postaci, na razie ledwie nakreślonej kilkoma plamami.

Usiadłam na trawie w cieniu krzaków i oddałam się kontemplacji otoczenia. Otaczały mnie jaskry oraz coś kwitnącego drobno, białe. Wiatr szemrał w trzcinach, po tafli jeziora sunął samotny łabędź. Malarz najwyraźniej nie był z tych gadatliwych, a ja nie chciałam mu przeszkadzać. W końcu cofnął się i krytycznie zlustrował swoje dzieło.

– Na dzisiaj wystarczy, musi podeschnąć – stwierdził. Potem ku mojemu zaskoczeniu sięgnął po aparat fotograficzny leżący na trawie obok sztalug. – Mam prośbę, czy mogę pani zrobić zdjęcie z tymi kwiatami? Robię teraz okładkę do powieści młodzieżowej i pasowałyby mi taka postać.

Trochę mnie to zaskoczyło, ale i sprawiło, że uśmiechnęłam się mimo woli. Mańka Kasprzak w tym momencie zaczęłaby się zastanawiać, co obcy facet może zrobić z jej zdjęciem – na przykład skleić obsceniczny fotomontaż i puścić w net – ale artysta rysujący utopione strachy na wróble nie wyglądał mi na kogoś, kto może wywinąć taki numer. Poza tym musiałyby mieć doprawdy dziwny gust, żeby wykorzystać do drożnych celów fotkę pulchnej dziewczyny ubranej jak żywa reklama Nuclear Blast Records. Miałam na sobie czarny męski T-shirt z wielkim zielonym logo tej wytwórni, dzinsowe szorty z wystrzępionymi u dołu nogawkami i ćwiekowaną obrózkę na szyi.

– Mam zdjąć okulary? – spytałam.

– Poproszę.

Posłuszna jego poleceniom, upozowałam się tak, jak należało: nie w cieniu i nie pod słońce, z podwiniętymi nogami, opierając dłoń o ziemię. W pewnej chwili syknęłam i possałam ukłuty palec – wśród trawy, niezauważona przeze mnie, rosła kępka ostów.

– Głowa lekko w bok... O tak. Proszę patrzeć na jezioro. Z taką zamysloną miną.

Pstryknął z dziesięć ujęć, po czym poprosił o uśmiech, spojrzenie prosto w obiektyw i zrobił dziesięć dalszych.

– A mogę je dostać na maila? – zapytałam, kiedy skończył.

– Jasne, nie ma problemu.

Miałam przy sobie długopis – zawsze noszę – a w kieszeni szortów znalazłam zmięty kwit ze sklepu spożywczego. Przedarłam go na pół i na jednej połowie zapisałam mail artysty, na drugiej własny. Powiedział, że nazywa się Dominik Budrewicz.

Zaczął pakować farby i pędzle do kasety. Zaoferowałam, że pomogę mu się zabrać z całym kramem, po czym wzięłam blejtram z niewykończonym obrazkiem, on złożył sztalugi i poszliśmy ścieżką do ośrodka wczasowego Julia. Zanim tam dotarliśmy, byłam już Olgą, nie panią. Dowiedziałam się też, że Dominik pochodzi spod Krakowa, teraz mieszka w Warszawie, na co dzień pracuje jako grafik i robi praktycznie wszystko – od okładek, przez materiały do gier komputerowych, po plakaty konferencyjne i projekty logo dla firm – a maluje hobbystycznie.

I tyle. Łącznie może z kwadrans rozmowy. Pożegnaliśmy się przed drzwiami ośrodka, oddałam mu blejtram i odeszłam różnym krokiem.

Przez resztę dnia nie mogłam przestać o nim myśleć. Na warsztatach dla młodszych uczestników obozu, które po kolacji prowadziłyśmy z Marleną, prawie się nie udzielałam. Dopadła mnie spirala smętnych rozważań, że kiedy już raz na sto lat spotykam delikwenta w moim typie, to jest ode mnie sporo starszy i pewnie albo żonaty, albo co najmniej w stałym związku. Poza tym jak niby miałabym nawiązać z nim bliższą znajomość? Flirtowanie nigdy nie było moją mocną stroną, oględnie mówiąc.

Nazajutrz po obiedzie znowu poszłam na łąkę. Dominika tam nie było i humor momentalnie mi się popsuł.

Zdjęłam sandały, zesłam nad jezioro i zaczęłam brodzić w wodzie. Pomiędzy drzewami widziałam naszych obozowiczów kąpiących się kilkaset metrów dalej, przy pomoście, słyszałam ich pokrzykiwania i śmiechy. Nagle cholernie zaciążyła mi świadomość, w jakim bagnie tkwię, zupełnie jak tamten utopiony strach na wróble. I kompletnie nie wiem, jak to zmienić.

Wróciłam na brzeg, usiadłam na trawie i siedziałam tak, gapiąc się przed siebie.

– Hej – usłyszałam nagle.

Dominik usiadł na trawie kawałek dalej, w takiej odległości, w jakiej sama bym siadła obok kogoś obcego. Nie odezwał się, ja też nie, więc siedzieliśmy tak, nic nie mówiąc i wpatrując się w rozmigotaną taflę wody.

– Dlaczego strach na wróble utopił się w jeziorze? – zapytałam po dobrych pięciu minutach milczenia.

– Bo tak jest ciekawiej, niż gdyby stał na polu.

Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć. Podniósł kamyk i wrzucił do jeziora.

– Ale jeszcze nie wiem, czy go zostawię w tej wodzie – kontynuował. – To był tylko roboczy szkic.

– Do okładki?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Szykuję dwanaście obrazów ze strachami na wróble, brakuje mi jeszcze czterech. Jak już będą gotowe, to w październiku zrobi się wystawę.

Zapytałam, z jakimi wydawnictwami współpracuje. Od słowa do słowa musiałam się przyznać, że jestem z wykształcenia polonistką. Okazało się, że redagowałam co najmniej jedną z tych książek, które ukazały się z zaprojektowaną przez niego okładką (zgodziliśmy się ze śmiechem, że była to bardzo ładna okładka do bardzo kiepskiej książki). Nie wiedzieć kiedy rozmowa zeszła na fantastykę, potem na zainteresowania muzyczne i okazało się, że mamy w tych dziedzinach wystarczająco dużo wspólnych tematów, żeby rozmawiać choćby do jutra.

Sama nie zauważyłam, kiedy zrobiła się osiemnasta i musiałam pośpieszyć na kolację do Julii. Obozowicze już siedzieli w stołówce, złowiłam kilka zdziwionych spojrzeń, kiedy wbiegłam tam spóźniona.

Przez cały następny tydzień, rezygnując z chlapania się w wodzie, w każde popołudnie szłam na łąkę, gdzie Dominik albo szkicował w bloku, albo malował, albo po prostu przesiadywał w cieniu. Kiedy nie miał ze sobą sztalug, szliśmy się przejść wzdłuż jeziora. Rozmawialiśmy o książkach, filmach, muzyce i życiu; zawsze o dwa kroki od siebie, równie neutralnie, jak mogłabym rozmawiać z Grzegorzem albo Jackiem, tyle że ani Grzegorz, ani Jacek nie przyprawiali mnie – banalnie mówiąc – o szybsze bicie serca. A Mariusz – co olśniło mnie dopiero teraz – twierdził wprawdzie, że nikt nie potrafi go zrozumieć tak jak ja, ale tego, co sama mu opowiadałam o sobie, nigdy nie słuchał uważnie.

Poczucie, że spotkałam bratnią duszę, zarazem uskrzydlało mnie i bolało jak drzazga wbita pod paznokieć, bo nie śmiałam dopuścić do siebie myśli, że z takiej wakacyjnej znajomości mogłoby coś wyniknąć. Byłam przekonana, że Dominik ma kogoś, może nawet jest żonaty, tylko nie nosi obrączki, ale nie chciałam tego usłyszeć wprost. No więc nie pytałam. Bo po co, prawda?

A potem nadszedł przedostatni dzień obozu. Upalny, duszny. Tym razem zamiast wędrować wzdłuż jeziora, poszliśmy w głąb lasu. Zasugerował to Dominik, a ja w normalnych okolicznościach może zawahałabym się, czy na pewno powinnam iść na długi spacer po odludnym terenie z człowiekiem, którego tak krótko znam. Ale po pierwsze, ta część mnie, która pokaleczyła się żyletką po zerwaniu z Mariuszem, nie miałaby absolutnie nic przeciwko temu, żeby

Dominik okazał się wilkiem z baśni i mnie zabił. A po drugie, intuicja i zdrowy rozsądek podpowiadały, że to ostatnia rzecz, jakiej można się po nim spodziewać. Był tylko spokojnym, introwertycznym marzycielem jak ja, fanem Tolkiena i Sapkowskiego, Theriona i Avantasii. Moją cholerną bratnią duszą.

Szliśmy jakiś czas, oganiając się od gzów, aż zawędrowaliśmy do jaru za brzozowym gajem, gdzie w gęstwinie chaszczyciurkał strumyk. Rosły tu maliny, więc zaczęliśmy je zrywać. Rozmowa zdryfowała na Mariusza, na rozstanie i po raz kolejny miałam wrażenie, że Dominik zna mnie i rozumie jeszcze lepiej niż ja sama.

W końcu zesliśmy nad strumień, żeby opłukać twarze i postać chwilę po kostki w zimnej wodzie. Nawet tu, w lesie, upał dawał się we znaki. Wilgotne włosy lepiły mi się do karku, na koszulce miałam mokre plamy. Dominik należał do tych mężczyzn, którzy bojkotują perfumowane kosmetyki, i bynajmniej mi to nie przeszkadzało, niestety.

Jesteśmy ssakami i choćbyśmy nie wiem jak temu zaprzeczali, dobieramy się w pary po części według węchu. Nieświadomie wysyłał mi sygnały, że jego geny są wysoce kompatybilne z moimi.

I mogło mi się od tego wyłączenie zrobić smutno.

Marzyłam jak głupia, żeby móc się do niego przytulić, ale po raz kolejny nie dałam po sobie niczego poznać, żeby się nie zbłaźnić. Nie miałam złudzeń, byłam tylko niską, grubawą okularnicą, choćby nawet z oczami Włoszki i biustem, na który faceci lubili patrzeć.

– Powinam wracać – powiedziałam w końcu. – Za godzinę zaczyna się ognisko pożegnalne.

Ruszyliśmy z powrotem. Rozmowa jakoś przestała się kleić. Słońce zniżyło się, rzucało teraz prawie poziome smugi blasku między pniami drzew.

– Może dasz się namówić jeszcze na jeden spacer wieczorem, po ognisku? – zapytał Dominik.

– Nie sądzę. Będzie trzeba pilnować menażerii. Uczestników, znaczy. To zielona noc, cholera wie, co im może strzelić do głowy.

W oczach Dominika pojawiły się iskierki.

– Nie chcę cię martwić, ale jak ja byłem młody i jeździłem na obozy, to w zieloną noc robiło się różne ciekawe rzeczy.

– Na przykład?

– Kartka na drzwiach stołówki „Nieczynne, bo Freddie Krueger je kolację” – teraz uśmiechał się szeroko, a mnie coś ukłuło w sercu, gdy sobie uświadomiłam, jak lubię patrzeć na ten uśmiech – kukła w masce Freddiego podłożona do łóżka wychowawczynie z liścikiem miłosnym, od tej kukły oczywiście, keczup rozmazany na szybie z karteczką pod spodem „Tu byłem. Freddie Krueger” i dziesięć sedesów wysmarowanych pianką do golenia.

– Ty byłeś pomysłodawcą?

– Nie inaczej.

– A wychowawczynie co zrobiła, pourywała wam głowy?

– Nie, śmiała się. Musieliśmy wszystko sami posprzątać, ale było warto. Na innym wyjeździe wychowawca był dupkiem i ostatniego dnia obudził się cały w paście do butów, ale ja nie przyłożyłem do tego ręki.

– Znaczy, podburzyłeś kolegów, a sam nie ryzykowałeś! Ty draniu!

Żartobliwie pociągnął mnie za kucyk.

– Widzę, że już znasz moją niecną naturę na wylot. Słuchaj – pstryknął palcami – a dasz się wyciągnąć na nocną przechadzkę, jak już cały wasz obóz będzie spał? Wyślij mi tylko SMS-a, obojętnie o jakiej porze.

– Będzie środek nocy – uprzedziłam.

– Toteż właśnie mówię: nocną przechadzkę, nie wieczorną. To jak?

– Wyślę ci SMS-a – obiecałam.

Teoretycznie naszych nieletnich podopiecznych obowiązywała prohibicja, ale w praktyce nikt się nie łudził, że będą jej przestrzegać. Zapowiedzieliśmy towarzystwu, że jeśli oni zachowają rozsądny umiar, to my nie będziemy się czepiać i przetrząsać im manatków w poszukiwaniu alkoholu. Kiedy pożegnalne ognisko dobiegło końca, jeszcze przez trzy godziny dyskretnie patrolowaliśmy teren obozu, sprawdzając, czy nikt nie postanowił wywinąć niczego bardziej szalonego niż wypicie ukradkiem paru piw i wysmarowanie śpiącego kolegi pastą do zębów. Koło drugiej w nocy Grzegorz i ja zrobiliśmy dla pewności ostatni obchód domków, konstatując, że młodzież albo padła spać, albo (garstka

najwytrwalszych) nuci piosenki przy gitarze. Potem Grzegorz poszedł się położyć, a ja wysłałam wiadomość Dominikowi. Po chwili przyszła odpowiedź.

„Bede za 7 min przy pomocy”.

Na moim zegarku dochodziło wpół do trzeciej, kiedy poszliśmy na pożegnalny spacer wzdłuż jeziora.

Noc była bezwietrzna, tchnąca wonią siana ze skoszonych łąk i mulistym, zgniławym zapachem zarośniętych trzciną płycizn. Księżyc oraz widoczne w oddali latarnie wokół Julii wystarczyły, żeby widzieć ścieżkę – tam, gdzie panowały zupełne ciemności, przyświecaliśmy sobie ekranami komórek.

Szliśmy brzegiem wody, aż oddaliliśmy się na tyle od ośrodka i kempingów, by mieć pewność, że jesteśmy zupełnie sami.

Nad jeziorem Szept, w przeciwieństwie do niedalekiego Krasnego, z niewiadomych powodów w ogóle nie było komarów. W dzień na łąkach cięły gzy, ale w nocy nie.

– Usiądziemy? – zaproponował Dominik, kiedy mineliśmy dużą kępę krzewów i wyszliśmy na łączkę.

Kawałek dalej za kilkoma sosnami rozpościerała się migocząca srebrzyście płaszczyzna wody. Żaby rechotały jak szalone.

Usiedliśmy. Przedtem rozłożyłam bluzę, chociaż po tygodniach suszy trawa była niska i podeschnięta, a rosy niewiele. Wiatr szeptał w trzcinach.

Siedzieliśmy tak, nic nie mówiąc, i czułam, jak z każdą sekundą w powietrzu tężeje nieuchwytnie napięcie. Ale nie potrafiłam wykrztusić słowa. To Dominik przerwał milczenie.

– Mogę cię pocałować? – spytał, jękając się lekko.

Przytaknęłam. Serce biło mi szybko, a dłonie się pociły.

Dominik się nachylił i nasze usta spotkały się w pocałunku – nie tak, jak na filmach, delikatniej, bardziej nieśmiało. Przed oczami nieoczekiwanie stanął mi Mariusz, tak że poczułam nagły ucisk w gardle. Ale chwilę później istniały już tylko dotyk i oddech, dłonie głaszczące mnie po szyi, rozpinające mi bluzkę i lekki, słodkawy

zapach potu, przyprawiający mnie o przyjemne dreszcze poniżej pępka.

Żaby rechotały.

Dominik poprosił, żebym rozpuściła włosy, i wyszeptał mi do ucha, że jestem piękna. Najbardziej ograny komplement, jaki można sobie wyobrazić, a i tak nie ma chyba kobiety, której by nie poruszył. Przynajmniej troszeczkę. Potem zdjął koszulę i wtedy otrzeźwiła mnie myśl, że nie, wszystko super, ale ciąży to ja ryzykować nie będę. Szepnęłam mu to. Zaśmiał się cicho.

– Tak jest w porządku. – Pocałował mnie w szyję.

Później zastanawiałam się ironicznie, co bym zrobiła, gdyby w tamtym momencie wyciągnął z kieszeni prezerwatywy – czy rozczarowałabym się, czy wprost przeciwnie. Ale był moją cholerną bratnią duszą, więc nie wpadł na to, żeby psuć romantyzm chwili czymś tak przyziemnym jak gumki. Chyba wyczuł, że się waham, bo pocałował mnie ponownie.

– Tak jest w porządku – powtórzył.

Może też czuł się lekko spięty tym, że jesteśmy dla siebie jeszcze na wpół obcy. Ponieważ darowaliśmy sobie konsumowanie znajomości, pierwsza fala pożądania szybko wypaliła się w nas jak koniak, którym oblewane są podpalane desery, pozostawiając jedynie słodycz.

Chociaż nie powinnam porównywać, porównywałam. Mariusz był krępy, solidnie zbudowany, już na studiach walczył na siłowni z zaczątkami brzuszka. Dominik, trochę wyższy i znacznie szczuplejszy, ewidentnie należał do tych szczęśliwców, którzy przez całe dorosłe życie noszą ten sam rozmiar ubrań. Tulił mnie, głaskał po karku i było to tym miłsze, im dłużej trwało; zdawało się, że najprzyjemniej byłoby mi rozpląnąć się w jego ciepłe i dać się wchłonąć. Z Mariuszem wszystko wyglądało zupełnie inaczej – oboje byliśmy młodzi, niezgrabni i ciekawscy, a Mariuszowi lepiej wychodziła zgrywa niż czułość.

Niespecjalnie mi zależało, żeby po tej nocy było jakieś „potem”. Leżałam, obracając w ustach te ostatnie kwadransy jak pastylkę od kaszlu, ssaną powoli, żeby starczyła na jak najdłużej. Doskonale wiedziałam, ile są warte. Trochę pieścizot, trochę komplementów – urocze, lecz bez konsekwencji. Jak księżycowe światło, które nie

ogrzewa i nie utrzymuje przy życiu roślin. Ale to i tak było więcej, niż spodziewałam się dostać.

Leżałam i myślałam, że nie mam po co wracać do Lublina, że nic tam na mnie nie czeka. Będę szukać pracy do czasu, aż utknę na nudnej biurowej posadzie, a potem pełznąć przez dorosłe życie jak mucha z oderwanymi skrzydełkami, coraz grubsza i coraz bardziej zdziwaczała – przejrzała ciocia gotka w czarnych swetrach, glanach i prostokątnych okularach.

Mógłby mnie zabić, byle tak, żebym tego nie poczuła. Pogrzebać w płytkim jarze, przykryć warstwą suchych liści. Chciałam go spytać, czy nieśmiała, pulchna okularnica posmakowała mu jak ta kasza gryczana, którą zachwycali się zblazowani arystokraci w *Lalce* – po latach jadania wykwintnych potraw wydała się im rarytasem po prostu dlatego, że była czymś zupełnie innym.

Ale ostatecznie nie powiedziałam nic, ani słowa.

Dziwne, ale zupełnie nie pamiętam pożegnania. Nie pamiętam, czy obiecałam Dominikowi, że napiszę do niego maila, czy uznałam za oczywiste, że będziemy w kontakcie.

Gdy wróciłam do obozu, była czwarta rano, świtało. Niezauważona przez nikogo poszłam wziąć szybki prysznic, a potem cichutko wsunęłam się do domku, gdzie w dwóch pokojach spały uczestniczki, a w trzecim Sylwia, Marlena i ja. Marlena poruszyła się i zapytała sennie, co się dzieje – uspokoiliłam ją, że nic.

A gdy zasnęłam, śniły mi się osty. Osty i osty, cała równina ostów pod pośepnym, zachmurzonym niebem.

Kiedy wróciłam do Lublina, matka niby to żartem spytała:

– I co, nie poznałaś tam kogoś na tym obozie?

Serce zabiło mi szybciej, ale roześmiałam się tak swobodnie, że aż nienaturalnie (choć ona, rzecz jasna, tego nie zauważyła).

– Tak, jeden czarujący dżentelmen nawet mi się oświadczył. Miał trzynaście lat.

Nazajutrz po powrocie wysłałam Dominikowi krótką, sympatyczną, niezobowiązującą wiadomość. Przez następne dwa tygodnie z biciem serca sprawdzałam pocztę, codziennie po kilka razy, a każde piknięcie SMS-a sprawiało, że podrywałam się z krzesła – ale odpowiedzi nie było. Tak jakby Dominik zapomniał,

że dostał mój mail, numer komórki i numer telefonu stacjonarnego. I że miał mi wysłać zdjęcia znad jeziora.

Po długiej walce ze sobą napisałam jeszcze jednego, dość neutralnego SMS-a. Jednego jedyne. Nie chciałam sprawiać wrażenia, że się narzucam.

Nadal nie było odpowiedzi. Gdy w końcu zrozumiałam, że się nie doczekam, ogarnął mnie pałacy wstyd.

Pozwoliłam się uwieść w wakacje, na tyle naiwna, żeby uwierzyć długowłosemu artyście w wieku praktycznie średnim, pozującym na wrażliwego słuchacza. Kto wie, ile takich szarych, nieśmiałych Olg już oczarował.

A potem w pierwszej połowie sierpnia wydarzyło się coś, co zepchnęło wszelkie myśli o Dominiku na dalszy plan. Mama, która od kilku tygodni męczyła się z suchym kaszlem i twierdziła, że to uczulenie na krzewy, które kwitną pod oknami jej biura, nagle zaczęła płuć krwią i dopiero to ją zmotywowało, żeby pójść do lekarza. Po prześwietleniach i bronchoskopii diagnoza była bezlitosna: dwie do trzech paczek papierosów dziennie razy trzydzieści osiem lat równa się sześciocentymetrowy guz w prawym płucu.

W tej sytuacji wyprowadzka do innego miasta, o której marzyłam, przestała wchodzić w grę; trzeba było się zająć mamą, którą czekała wstępna chemioterapia, wycięcie zajętej części płuca – na szczęście nowotwór kwalifikował się do zoperowania – a potem więcej chemii i naświetlania. Rokowania przy tym, podobno agresywnym, typie raka nie były dobre, ale mogły być gorsze – pocieszano nas, że nie ma przerzutów, że przy odrobinie szczęścia mama „pożyje jeszcze parę lat”. W sieci doczytałam, jak naprawdę wyglądają statystyki. Faktycznie, pewien odsetek pacjentów w tym stadium choroby przeżywał pięć lat od diagnozy. Ale nie był to duży odsetek.

Matka zamknęła się w sobie – zawsze energiczna i pierwsza do krytykowania, po fazie niewiary, a potem wściekłości na lekarzy i cały świat przygasła, straciła energię i paradoksalnie dzięki temu było mi łatwiej. Pierwsze cykle chemii zniosła nieźle, a prześwietlenie przed operacją wykazało, że guz się zmniejszył. Lobektomia na szczęście przebiegła bez powikłań. Kiedy mama wracała do siebie po operacji, codziennie odwiedzałam ją

w szpitalu, przynosiłam domowe jedzenie, owoce, świeże koszule nocne, kosmetyki i czasopisma. Podczas rekonwalescencji jej przygaszona rezygnacja stopniowo przeszła w pełen determinacji optymizm, który dla mnie miał smutny posmak cieszenia się każdym dniem, gdy nie wiadomo, ile ich jeszcze pozostało. Potem, gdy rozpoczęto chemioterapię, woziłam ją na kolejne tury leczenia, znów odwiedzałam na oddziale onkologicznym w ciągu tych trzech dni, kiedy podawano jej dożylnie koktajl świństw o dziwacznych nazwach, gotowałam to, co była w stanie jeść (dostawała leki przeciwwymiotne, ale twierdziła, że na mdłości nie pomagają w ogóle, poza tym doskwierały jej bolesne nadżerki w jamie ustnej), zajmowałam się domem i wszelkimi organizacyjnymi sprawami. Teraz naprawdę przydało się prawo jazdy, z trudem wyrobione rok wcześniej. Mama była osłabiona, w czasie przerw między cyklami chemii zdarzały się dni, kiedy praktycznie nie wstawała z łóżka – powiedziano nam, że to normalne, że organizm traktowany toksycznymi lekami tak właśnie będzie reagował. Artur dwukrotnie przyjechał z Warszawy na weekend, żeby mnie trochę odciążyć, ale obie jego wizyty skończyły się awanturą (za pierwszym razem kłóciliśmy się ściszonymi głosami w kuchni, żeby nie zbudzić śpiącej mamy, za drugim mama nie spała i wzięła stronę Artura), więc przestał przyjeżdżać.

Równolegle usiłowałam jakoś wepchnąć swoje życie zawodowe na sensowny tor. Początkowo liczyłam, że uda mi się znaleźć pracę jako nauczycielka polskiego. Okazało się to naiwnie optymistycznym założeniem, a niż demograficzny brutalnie odarł mnie ze złudzeń.

Następne miesiące upływały w poczuciu narastającej beznadziei. Było dokładnie tak, jak wtedy w Warszawie, po licencjacie. Kolejne rozsyłane CV, do szkół, wydawnictw, do firm. W większości przypadków nie dostawałam odpowiedzi. Parokrotnie zapraszano mnie na rozmowy kwalifikacyjne, ale dwie minuty po przywitaniu się z rekruterką już wyczuwałam, że nic z tego nie będzie. Nie umiałam udawać entuzjastycznego i pełnego energii szczura, który tylko czeka, żeby wskoczyć na korporacyjne kółko.

Tymczasem z braku lepszych pomysłów robiłam to, co miałam w zasięgu ręki.

Zintensyfikowałam współpracę z internetowym zinem, dla którego od pierwszego roku studiów pisałam recenzje i redagowałam teksty, i nawiązałam kontakt z drugim w nadziei, że choć trochę wzbogaci to moje CV.

Zrobiłam korektę dwóch oddawanych z opóźnieniem prac magisterskich i jednego literackiego samizdata – powieści science fiction tak bezwstydnie kiepskiej, że dostarczyła mi trochę radości w niezbyt przyjemnym tygodniu, kiedy mama dostała gorączki i wylądowała w szpitalu, bo jej zmaltretowany chemią szpik kostny tymczasowo odmówił współpracy.

Napisałam kilka artykułów, starając się, żeby były łatwo przyswajalne – o życiu osobistym Witkacego (moja praca magisterska traktowała o Witkacym), o prozie Sapkowskiego i Catherynne M. Valente, a nawet o tym, co jest nie tak z siódmym tomem Harry’ego Pottera. Jeden, ten o Valente, po poprawkach przyjęto mi do druku i dostałam do podpisania umowę na czterysta złotych. Pozostałe ukazały się w sieci za darmo.

Założyłam bloga o książkach i życiu, ale zraziłam się po kilkunastu wpisach, widząc, że mało kto go czyta, a nikt nie komentuje.

Sporo czasu, przyznaję, spędzałam na bezproduktywnym krążeniu po sieci. Portale dla szukających pracy, fora o fantastyce, blogi, Facebook, artykuły o psychologii, darmowe psychotesty, portale dla szukających pracy, Facebook... Sama dobrze wiedziałam, że kręcę się bez sensu wokół własnego ogona.

Potem – co za radość – w styczniu odezwało się Duże Wydawnictwo i zaproponowało mi zlecenie. W efekcie omal nie osiwiiałam, redagując powieść Doświadczonego Autora, który cierpiał, jak się okazało, na ewidentną dysleksję, dysortografię oraz rozpaczliwy przerost ego. No i byłabym zapomniała – pieniądze miałam dostać dopiero po ukazaniu się książki drukiem, a data premiery nie została jeszcze ustalona.

Ale przynajmniej przybył kolejny wpis w CV.

A w lutym nieoczekiwanie skontaktował się ze mną brat Bombura, który czasem prowadzi dla nas sesje Warhammera, gdy jeszcze studiowałam – aktualnie doktor socjologii, zatrudniony w Warszawie. Zaproponował pracę przy grantie na umowę o dzieło.

Wstępnie chcieli tę robotę dać jakiemuś doktorantowi, który w ostatniej chwili zrezygnował. Po wysłuchaniu szczegółów zgodziłam się z miejsca. Miałam pracę na co najmniej dwa miesiące, niegłupią, do wykonywania w domu. Trzeba było pospisywać ze sterty kaset wywiady przeprowadzone w terenie kilkanaście lat wcześniej, potem przepisać niemal taką samą ilość świeżego materiału nagranego jako pliki mp3 i wynotować z tego wszystkiego pewne konkretne informacje, które pomogą w przeprowadzeniu analiz i sporządzeniu statystyk (tym miał się już zająć kto inny). Materiały dotyczyły zaginięć, a konkretnie reakcji rodzin na zaginięcie dziecka.

Wszystkie wywiady były pokrótce opisane na oddzielnej liście i szybko się zorientowałam, że opisy zawierają błędy. Codziennie spędzałam sporo czasu w serwisie Fundacji Itaka, żeby zweryfikować istotne informacje, takie jak wiek zaginionego dziecka oraz datę i miejsce zaginięcia. Za którymś razem, przeglądając zamieszczone tam zdjęcia, zeszywniałam, widząc na jednym z nich znajomą twarz.

Był gładko ogolony, włosy miał zaczesane do tyłu i się nie uśmiechał, ale i tak rozpoznałam go od razu. Kliknęłam, wstrzymując oddech, nie wierząc własnym oczom. W miarę czytania ogarniał mnie chłód.

Dominik Budrewicz

(sprawa nr.....)

Aktualny wiek: lat 37

Data zaginięcia: 2010/07/18

Wiek w dniu zaginięcia: lat 37

Wzrost: 178 cm

Kolor oczu: zielone

Znaki szczególne: tatuaże na przedramionach (skrzydlate węże)

Ostatnie miejsce pobytu: ośrodek wczasowy Julia nad jeziorem Szept (woj. lubelskie)

Kraj: Polska

Zanim sens tego wszystkiego w pełni do mnie dotarł, w sąsiedniej zakładce już otworzyłam Google, a palce wpisywały słowa kluczowe: zaginiony Dominik Budrewicz. Jedno kliknięcie później miałam przed sobą od pioruna wyniki wyszukiwania. Sprawdziłam pierwszy z brzegu artykuł zamieszczony w jednym z lubelskich serwisów informacyjnych, zastanawiając się, jakim cudem mogłam przeoczyć tę historię, spędzając codziennie tyle czasu w sieci. A jednak.

Kwadrans później wiedziałam już wszystko, co internet mógł mi powiedzieć. Nie było tego dużo, bo informacje zamieszczone w różnych serwisach się powtarzały.

Policja szuka zaginionego Dominika Budrewicza Płetwonurkowie przeszukują jezioro Szept Dominik Budrewicz przepadł jak kamień w wodę

„W poniedziałek policjanci po raz kolejny przeczesywali lasy w okolicach jeziora Szept w województwie lubelskim, w których zaginął 37-letni Dominik Budrewicz, grafik z Warszawy...”.

„W poszukiwaniach wykorzystano helikopter z kamerą termowizyjną oraz psa tropiącego...”.

„Ustalono, że Dominik Budrewicz po raz ostatni widziany był 18 lipca około południa nad jeziorem Szept przez wędkarzy, z którymi rozmawiał. Następnie udał się ścieżką w głąb lasu. Pies policyjny nie podjął tropu...”.

„Telefon komórkowy Dominika pozostaje wyłączony od dnia zaginięcia...”.

„Dno jeziora zostało przeszukane przez płetwonurków. Wykluczono utonięcie...”.

„Dominik Budrewicz ma 178 cm wzrostu, jest szczupłej budowy, ma długie siwiejące włosy i zielone oczy. W dniu zaginięcia ubrany był prawdopodobnie w bojówki koloru oliwkowego, sandały i koszulę z długim rękawem...”.

„Siostra zaginionego mówi, że w przeszłości leczył się na depresję, ma za sobą próbę samobójczą w trzeciej klasie liceum...”.

„Jest możliwe, że ciało poszukiwanego znajduje się w lesie – mówi anonimowy policjant...”

„Policja bierze pod uwagę różne wersje, włącznie z opuszczeniem kraju...”.

Siedziałam przed monitorem, przygryzając wargę, i w nieskończoność przeglądałam te same doniesienia prasowe od nowa, czytałam komentarze pod nimi, a w głowie mi huczało. Osiemnasty lipca... Czyli rankiem nazajutrz po tym, jak się pożegnaliśmy.

W przeszłości leczył się na depresję... Miał problemy rodzinne? Rozwód w toku? Choroba? Nie, przecież o czymś takim napisaliby w pierwszej kolejności.

Pod artykułem zamieszczonym w serwisie Koziolak.pl (**Nad jeziorem Szept wciąż szukają Dominika**) komentarzy było ponad dwadzieścia, a poziom intelektualny komentujących zróżnicowany.

„Chyba kojarzę tego człowieka, na deviantarcie wisi parę jego prac. Smutna historia. Mam nadzieję, że się odnajdzie”.

„Policja jak zwykle sobie nie radzi, znajdą kości po roku”.

„niestety zwykle odnajdują się martwi... szkoda gościa”

„napewno w tym lesie sie powiesil!!!!!!!!!!”

„Leży w jeziorze i nie znaleźli go, przecież takie jezioro to szmat powierzchni. Facet jak facet, ale szkoda rodziny :(”

„a gdzie detektyw krzysztof rutkowski niech szuka”

I dalej w podobnym duchu.

Zamknęłam przeglądarkę, odruchowo zerkając na zegar: pierwsza dwadzieścia w nocy. Poszłam do kuchni, jak automat zapaliłam gaz pod czajnikiem, nasypałam do kubka herbaty „Chwila przy kominku” (prezent urodzinowy od Mańki – kiedy wzięłam do ręki paczuszkę, przypomniałam sobie, że Mańka w maju wychodzi za mąż za tego beznadziejnego Damiana Jaworskiego), usiadłam przy stole i patrzyłam tępo przed siebie, czekając, aż woda się zagotuje.

I dopiero nad kubkiem naparu, który uspokajająco pachniał pomarańczami, goździkami tudzież cynamonem (w nocce na

opakowaniu napisano, że to zapach świątecznych wypieków – nie pamiętam go z dzieciństwa, bo mama nigdy nie miała czasu piec ciast na święta), zaczęłam cicho płakać.

Zaświat

Królowa Ostów

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami, pośrodku morza ostów, w podziemnej twierdzy o kolczastych ścianach jak zwykle panuje cisza. Królowa Ostów siedzi na cierniowym tronie, oczy ma zamknięte, lecz widzi wszystko, co dzieje się w Zaświecie: lasy, pola i wioski, wstęgę Ścieżki i dom Arola.

Widziany przez nią krajobraz pomału, pomalutku zasnuwa się mlecznym oparem, tak jakby ktoś chuchał na lustro. Mgła podnosi się z dolin, mgła, w której płyną pozbawione twarzy szare kształty.

Królowa Ostów ze smutkiem kręci głową. Tak musi być, nie ona to sprawiła. Tak musi być, mgła spływa dziś na Zaświat, złotorożce sfruwają z nieba, choć do zachodu słońca jeszcze daleko. Szare wypełzają spod ziemi, by objąć w posiadanie całą krainę – będzie bezbarwnie, posępnie i zimno, będzie tak jak wtedy, kiedy młodsza Olga unikała wracania do domu po szkole, żeby nie słyszeć od siwowłosego pana Antoniego, jaka jest gruba i brzydka. Ale to nie wina Królowej, nie jej wina, że Olga znalazła artykuł i przeczytała o zaginięciu trzydziestosiedmioletniego grafika z Warszawy.

Mgła wypełza spod ziemi, spowija osty szeleszczące zeschniętymi liśćmi, rozsnuwa się coraz szerzej. Szare wyłazą na świat z zakamarków kolczastej twierdzy, wznoszą się coraz liczniej niczym pasma dymu z tłącej się hałdy, rozpełzają się na wszystkie strony.

Wyspa wśród mgły

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami Olga pakuje torbę, żeby pojechać do mamy do szpitala. A tymczasem przez pola i lasy Zaświata pełzną, pełzną, pełzną szare. Rozpaczliwie spragnione czegoś, co ożywi ich pustą i zimną naturę, wysysają barwy ze wszystkiego, co napotkają. Drogi, drzewa, wioski bledną

i rozmywają się, nikną w szarości, która sunie naprzód powoli, lecz nieubłaganie.

W starym wiejskim domu na skraju lasu czas płynie nieśpiesznie, odmierzany tykaniem starego zegara. Wewnątrz we wszystkich pomieszczeniach panuje nieład: nikt już nie ściera kurzu osiadającego delikatną warstewką na meblach, nie odnosi na miejsce książek wyjętych z regału, nikt nie myje na kłęczkach skrzypiących drewnianych schodów, nie poleruje poręczy, nie szoruje kuchennej podłogi, nie zmywa naczyń i nie wyrzuca śmieci. Ład, o który tak wytrwale walczyła Olga/Greta, powoli, lecz nieubłaganie zamienia się w chaos.

W pracowni Arola pachnie kadzidłem. Katarynka milczy, drewniane figurki stoją bez ruchu. Łapacz snów, paproć, wypchane jaszczury, mandragorowe laleczki – wszystko trwa na swoim miejscu. Nie ma tylko właściciela.

Petr siedzi przy stole, na którym leżą karty rozłożone jak do pasjansa. Marszcząc brwi, zamienia miejscami króla kier i królową pik.

Tymczasem z kuchni dobiega ciche szuranie i tupot. To domowiki spod pieca spakowały manatki i teraz biegną truchcikiem wzdłuż ściany, niosąc swój dobytek zapakowany w kawałki szmatek – starsze przodem, młode za nimi. Skik, skik, już są na ławie i wspinają się do uchylonego okna. „Prędko, prędko – ćwierka najstarszy – szybciej, zanim ktoś nas zauważy!”. Szur, szur – już są na parapecie, jeden za drugim zeskakują do ogrodu. Już ich nie ma, tylko trącony duży liść chrzanu chwieje się jeszcze, aż w końcu nieruchomieje. Ciszę ogrodu mąci teraz tylko brzęczenie pszczoł.

W pracowni Petr zniecierpliwiony nagle zrywa się od stołu i w gorączkowym pośpiechu zaczyna działać. Przynosi z półki ciężką księgę w mosiężnych okuciach, kartkuje ją prędko, mamrocząc pod nosem. Wybiega, a po chwili wraca, niosąc Felicite. Kotka strzyże uszami i spogląda na niego z niepokojem.

Petr stawia ją na stole, wkoło zakreśla krąg kredą, rysuje kilka znaków. Kotka zamiera w bezruchu. Uczeń czarodzieja zdejmuje z półki z mandragorami małe gliniane puzderko w kształcie ząby i szepcząc coś, posypuje Felicite szczyptą proszku.

Trzask, błysk – i oto na miejscu kota o szylkretowym umaszczeniu siedzi dziewczynka w brązowej sukience. Ciemne włosy ma splecione w warkocze, a na jej szyi, karku i policzkach widnieją brzydkie plamy blizn. Rozgląda się przestraszona, przeciera oczy, z niedowierzaniem ogląda swoje ręce.

– Felicita – mówi Petr, a ona kiwa głową.

– Ffelicita – powtarza niewyraźnie. – Jessem... Ffelicita.

– Chodź. – Petr bierze ją za rękę. – Pójdziemy na dół.

Schodzą po schodach, on pierwszy, ona za nim, niepewnie, jakby z lękiem. Idą do zamkniętego pokoju, gdzie znajduje się portal do jednej z wielu możliwych rzeczywistości. Petr otwiera drzwi, za którymi jest pomieszczenie o nagich ścianach, pełne gratów okrytych zakurzoną folią – pamiątek po dawnych lokatorach domu nad rzeką.

– Idź – szepcze. – Znajdź Olgę i nakłoń, żeby tu wróciła. Potrzebujemy jej.

Dziewczynka kiwa głową, po czym bierze głęboki oddech i przestępuje próg. Petr zamyka za nią drzwi. Z westchnieniem opiera się o ścianę.

Blask słoneczny wpadający przez okna przygasa, pochłonięty przez rozsnuwającą się na zewnątrz mgłę, która wznosi się coraz wyżej, zasłaniając niebo. Szare już tu są, już otoczyły dom i wężą w poszukiwaniu szpar, którymi mogłyby wnikać do środka. Ale zakłęcia, którymi Aroldo Gazza osnuł swoją siedzibę, zanim zniknął, na razie wystarczą, by im to uniemożliwić.

Petr wraca do pracowni swojego mistrza. Siada na podłodze i zamiera w bezruchu, wpatrując się w drewniane figurki, które nie zatańczą, dopóki ktoś nie nakręci mechanizmu.

Wokół domu mgła, mgła, mgła, gęsta jak śmietana, pochłaniająca wszelkie dźwięki. Nic nie mąci ciszy, jakby cały Zaświat wstrzymał oddech.

Olga

Koc i rzeka

Jest drugi września, a mama nadal leży w szpitalu. W weekend dostała gorączki i drastycznie pogorszyły jej się wyniki prób wątrobowych – nie wiadomo, czy przez nowotwór, czy źle zareagowała na któryś z leków. Rozmawiałam z nią rano, leży pod kroplówką, słaba, ale przytomna. Usłyszałam, że kiedy umrze, mamy ją pochować w fioletowym kostiumie i nie zapraszać na stypę babci Ady. Jedno i drugie było chyba próbą zażartowania; choroba sprawiła, że mama niekiedy przejawia czarny humor. Tak naprawdę panicznie się boi. Bólu, niesprawności i tego, co będzie dalej. Próbowałam ją delikatnie podnieść na duchu i o dziwo, udało nam się nie pokłócić. Zawsze to jakaś pociecha.

Deszcz bębni w szyby, a ja siedzę w fotelu z laptopem na kolanach, robiąc korektę kolejnego przewodnika turystycznego, tym razem po Iranie.

Mało prawdopodobne, abym kiedykolwiek odwiedziła stolicę tego kraju, ale teraz już wiem, że Teheran leży na zboczu góry i w jego północnych, chłodniejszych dzielnicach znajdują się wille urzędników, biznesmenów i bogatych kupców, południowe zaś zamieszkuje biedota.

Bębnienie kropel przybiera na sile. Poprawiam dwa dywizy na myślники, a „Tehran” na „Teheran”. Próbuję sobie wyobrazić ulice zapchane trąbiącymi samochodami, kobiety w czarnych chustach, żar słońca lejący się na kamienne płyty, smak jogurtu z czosnkiem, ryżu barwionego szafranem i przysmażonej jagnięciny. Zawodzący głos muezina wzywającego wiernych do modlitwy. Ale przede wszystkim słońce, upał, oślepiająco błękitne niebo.

Oczy boleśnie pieką od wpatrywania się w ekran. Szukam na biurku buteleczki ze sztucznymi łzami i wkraplam po dwie chłodne krople do każdego oka. Rozpaczliwie potrzebuję przerwy od literek, myślników i przecinków, chociaż pół godziny. Mój wzrok pada na ciuchy wiszące na krześle i raptem przypominam sobie, że już

dawno miałam zrobić porządek w szafie – trzeba przejrzeć ubrania, z których wytyłam, i zdecydować, które wynieść do kontenera, a które zostawić, może jakimś cudem schudnę i będę je nosić.

Matka latami bezskutecznie usiłowała we mnie obudzić zainteresowanie modą. Nieustająco ubolewała, że nigdy nie nauczyłam się nosić szpilek, eleganckich bluzek z dekoltem, zwiewnych letnich sukienek, dopasowanych trenczy i zgrabnych kapelusików, by następnie podbijać w nich męskie serca. W liceum byłam zahukaną kluseczką noszącą męskie sztruksowe koszule, na początku studiów zaczęłam się ubierać subkulturowo i od tamtej pory w mojej szafie przeważała czerń. Nie potrafiłam też, jako żywo, docenić frajdy, jaką prawdziwej kobiecie powinno sprawiać kupowanie ubrań. Kiedy mamie już udało się prośbą i groźbą wyciągnąć mnie na zakupy, co zdarzało się góra raz na kwartał, mijałam niekończące się rzędy wieszaków bez choćby iskielki entuzjazmu, a każda wizyta w przymierzalni była tylko okazją do stwierdzenia, że w dowolnym ciuszkę wyglądam jak knedel.

Z zaciśniętymi zębami mierzę kolejne przyciasne bluzki i spodnie, a obrzydzenie wzbiera mi w gardle falą mdłości. Własne ciało wydaje się nabrzmiące, niezgrabne, ohydne: uda szczelnie wypełniają nogawki, biust wzdął się jak napompowany, pasek dzieli brzuch na dwie brzydkie fałdy. Od ubiegłego roku przybyło bite dziesięć kilogramów Olgi. Staram się nie myśleć o tym, ile będę ważyła za rok. Nie mam teraz siły na diety, liczenie kalorii, powstrzymywanie się od jeszcze jednej kromki chleba i chrupanie marchewek, aby oszukać apetyt na słodczy – tylko po to, by trzeciego, najdalej czwartego dnia jednak się złamać i zjeść najpierw jedno ciastko, potem pięć dalszych, a później w poczuciu klęski pochłonąć na przykład pół opakowania ptasiego mleczka albo cały kubełek lodów.

Dwie pary bojówek, stare letnie szorty, w których nie jestem w stanie nawet dopiąć zamka, czarna spódnica brzydko uwydatniająca brzuszki... Po dłuższym namyśle przeznaczam do oddania jedynie szorty, choć właściwie należałoby spojrzeć prawdzie w oczy i pozbyć się wszystkich tych rzeczy, zajmują tylko miejsce w szafie.

Odkładałam na bok niby-wojskową koszulę, która padła ofiarą rozchlapanego sosu pomidorowego i nadaje się wyłącznie na szmaty, po czym biorę do ręki dżinsowe szorty, które nosiłam wtedy nad jeziorem Szept. Mają już co najmniej pięć lat, są poprzecierane na szwach i oczywiście za ciasne. Mimo to chowam je z powrotem do szafy.

Z lustra po wewnętrznej stronie drzwi spogląda na mnie gruba, potargana i zmęczona kobieta o podkrążonych oczach, ze zmarszczkami w kącikach ust. Próbuję odsunąć od siebie myśl o tym, co musiałabym zrobić, żeby schudnąć, ile rzeczy nie jeść, ile potu z siebie wycisnąć, biegając wieczorami. Wiem, że choćbym zaczęła kolejną dietę, nie będę miała siły wytrwać nawet tygodnia. Jestem grubasem, nie żadną puszystą czy pulchną dziewczyną, tylko wstrętnym, ohydny grubasem, rzygać mi się chce od patrzenia na siebie i najchętniej rozwalilibym lustro pięścią.

W nagłym przypływie wściekłości wywalam z szafy wszystko, co jeszcze zalega na dnie – dżinsy, zimowe sztruksy, dwie zwinięte hinduskie spódnice... Razem z nimi na podłogę wypada wypchana czymś miękkim reklamówka. Momentalnie zapominając o złości, wyciągam z niej zwinięty koc uszyty z różnokolorowych kwadratów. Wciąż jeszcze czuć go spalenizną.

Koc, który niecałe dwa lata temu zrobiłam w prezencie dla mamy.

Robić na drutach nauczyłam się na studiach. (Ściegi pokazała mi Daria, koleżanka z grupy, która nosiła własnoręcznie farbowane sukienki i kolorowe piórka we włosach, była wielbicielek poezji Edwarda Stachury, a dziś, z tego co wiem, uczy polskiego w małej miejscowości gdzieś pod Chełmem i dzieciaki ją uwielbiają). Odkąd opanowałam tę sztukę na tyle, żeby nie gubić oczek i nie plątać włóczki, na szafce koło mojego łóżka zawsze leżały druty z jakąś niedokończoną robótką. Wieczorne dzierganie stwarzało iluzję, że zajmuję się czymś konstruktywnym. Bywało, że robiłam na zamówienie czapki, szaliki czy dziecięce kaftaniki dla dalszych znajomych, a raz na wspólną Gwiazdkę przygotowałam po sweterku dla każdego z dzieci Artura. Kiedy mama rozpoczęła chemioterapię i większość czasu spędzała albo w łóżku, albo na kanapie, przyszło mi do głowy, żeby wydziergać dla niej koc.

Zajął mi to trzy miesiące. Najpierw powstawały pojedyncze kwadraty, różowe, niebieskie, fioletowe i zielone, które później zszywałam ze sobą w losowej kolejności, byle tak, żeby dwa w tym samym kolorze nigdy nie sąsiadowały ze sobą. Gdy koc był gotowy, podarowałam go mamie pod choinkę. To było pierwsze Boże Narodzenie po zaginięciu Dominika. Zgodnie z życzeniem mamy, osłabionej chemią i naświetlaniami, spędzałyśmy je tylko we dwie – Artur miał nas odwiedzić z żoną i dziećmi dopiero po Nowym Roku. Przygotowałam skromniutką dietetyczną namiastkę wieszki wigilijnej: bez śledzi, bo ich zapach mamę brzydził, bez uszek, bo bała się jeść kupne, tylko barszcz, gotowany karp, kiszona kapusta na ciepło bez grzybów, z samym majerankiem, i kompot z suszu. Barszcz wyszedł mi trochę za kwaśny, a karp za mało słony, ale kto by się tym przejmował.

Dla mnie to były najprzyjemniejsze święta od lat. Ani słowa krytyki pod moim adresem, ani jednego komentarza na temat mojej figury, pracy czy stanu cywilnego. Mama jadła jak ptaszek – miseczka barszczu, kawałeczek karpia, kilka łyżek kapusty. Od operacji schudła piętnaście kilogramów. Nosila ciemną perukę, przez co wydawała się jeszcze bledsza, a puder nie mógł ukryć tego, że oczy ma podpuchnięte – któryś z przyjmowanych przez nią leków powodował zatrzymanie wody w organizmie. Gdy nalewała sobie barszcz, ręce lekko jej drżały, purpurowy płyn chlapnął na obrus; to nic, zaleje się wrzątkiem i plama zniknie.

Rozmawiałyśmy o tym i o owym, w pewnej chwili bąknęłam, że może by tak na wiosnę rozważyć remont łazienki. Mama machnęła ręką.

– E tam, nie warto. Kiedy umrę, pewnie sprzedasz to mieszkanie i kupisz mniejsze.

– Nie mów tak – zaprotestowałam.

Zobaczyłam w jej oczach łzy, mnie też ścisnęło w gardle; cienka skorupka spokoju i normalności groziła rozprysnięciem się lada chwila, ale jakoś dyplomatycznie udało mi się zmienić temat. Wrócił spokój, wróciły uśmiechy, katastrofa zażegnana.

Powynosiłam brudne talerze i sztuce do kuchni, przyniosłam kompot, a potem wymieniliśmy się upominkami. Patrzyłam z uśmiechem, jak mama odwijają paczuszkę.

– Ojej, to dla mnie? Sama go zrobiłaś? Nie, niemożliwe, żartujesz...

Uściskała mnie serdecznie i reszta wieczoru upłynęła w atmosferze rodzinnego ciepła. Herbata dla niej, kawa dla mnie, głos Enyi sączący się cichutko z głośników wieży zamiast kolęd – półzartem skłamałam, że to kolędy, tyle że po irlandzku.

A nazajutrz z samego rana pokłóciłyśmy się o to, czy jest sens, abym szła na kurs prawa autorskiego dla redaktorów, który zdaniem mamy był mi absolutnie niezbędny. Szybko zeszło na to, że nie mam etatu ani męża, przez kwadrans krzyczałyśmy na siebie, aż w końcu wyszłam z domu, trzaskając drzwiami. Rozpaczliwie potrzebowałam się przewietrzyć i ochłonać.

Ulice były puste, zaśnieżone – kto żyw spał do późna albo dojadł na śniadanie resztki z wigilijnej wieczerzy. Gdy mijalam zaścielony nieskazitelną warstwą bieli skwer, zobaczyłam, że ktoś udekorował rosnącą pośrodku kępę tuj kolorowymi lampkami. Obok tatuś z małym synkiem lepili bałwana – może wyszli na dwór, żeby mama mogła się w spokoju zająć szykowaniem świątecznego obiadu. Z nagłą nawiedziło mnie wspomnienie sprzed dwudziestu kilku lat. Artur grający z ojcem w szachy przy choince, podczas gdy ja im kibicowałam, jeszcze za mała, żeby pojąć reguły. Choinka jak co roku była naturalna, oszczędnie ozdobiona w stylu ludowym, bo mama nie uznawała błyszczącego kiczu – na gałązkach leżała wata udająca śnieg, wisały słomkowe aniołki, papierowe łańcuchy i zaledwie kilka czerwonych bombek. Dwunastoletni Artur grał w szachy na tyle dobrze, że partie toczyły się długo, nawet po kilka dni, ale zwykle kończyły się zwycięstwem ojca.

Kiedy przechodziłam obok przystanku, akurat podjechał autobus, więc z braku lepszego pomysłu wsiadłam, podjechałam do centrum i poszłam na deptak. Tu również było pustawo, na wystawach zamkniętych sklepów migotały kolorowymi światełkami świąteczne dekoracje, z otwartych drzwi kościoła płynęła grana na organach melodia kolędy *Wśród nocnej ciszy*. Ani nasz ojciec, ani mama nie byli religijni, nie mieli nawet ślubu kościelnego. Artur i ja zostaliśmy ochrzczeni tylko dlatego, że nalegała na to babcia Ada, mama taty. Nigdy, nawet w Boże Narodzenie, nie chadzaliśmy całą rodziną do kościoła, nie mówiąc o śpiewaniu kolęd. Kolędy

kojarzyły mi się głównie z Mariuszem: raz jeden, jako jego oficjalna narzeczona, dostałam zaproszenie na wigilię u jego rodziców, taką tradycyjną, polską, z dwunastoma potrawami, zakończoną rodzinnym kolędowaniem. (Oczywiście byłam onieśmielona i prawie się nie odzywałam, więc nie zrobiłam na obecnych dobrego wrażenia – czego Mariusz nie omieszkał mi później wypomnieć – ale mniejsza o to).

Opuściłam deptak, przecięłam ulicę Kapucyńską i zobaczyłam, że na rogu tuż za przejściem dla pieszych stoi chłopak nagabujący przechodniów. Najpierw pomyślałam, że rozdaje ulotki, i zdziwiłam się, że w święto. Gdy się zbliżyłam, podszedł do mnie i wtedy zobaczyłam, że to, co trzyma w ręku, jest pękiem barwnych plecionych bransoletek.

– Pani kupi amulet – powiedział prosząco.

Amulet? Wytrzeszczyłam na niego oczy. Był drobniutki, mojego wzrostu. Przethuszczane kosmyki ciemnych włosów spadały mu na czoło, wyglądał biednie i niechlujnie w dzinsach, które bardzo dawno nie oglądały wnętrza pralki, starej kurtce i zniszczonych butach sportowych, kiepsko dostosowanych do zimowej pogody. Cerę miał smagłą, ale akcent, z jakim mówił, wskazywał raczej na Polaka niż na rumuńskiego Cygana.

– Po ile? – spytałam zaniepokojona. Z tak kreatywną formą zebrania jeszcze się nie spotkałam.

– Cztery złote.

Wygrzebałam z kieszeni portmonetkę. Na pijaka ani narkomana nie wyglądał, więc niech ma, cztery złote to tyle co kilka bułek, czterema złotówkami mogę wspomóc chorego psychicznie, który ma tyle cierpliwości, żeby pleść bransoletki – z włóczki, nie z muliny, pewnie dlatego, że mulina jest droższa. A włóczkę na upartego można pozyskać nawet za darmo, prując stare swetry wyproszone od ludzi albo wywleczone z kontenera PCK.

Wręczyłam chłopakowi dwie dwuzłotówki i pozwoliłam, żeby zawiązał mi bransoletkę na przegubie.

– Będzie panią chroniła przed szarymi – oznajmił z powagą.

Chciałam zapytać, czym są szare, ale on już wypatrzył zbliżającą się starszą panią i podszedł do niej, machając bransoletkami. Starsza pani wyglądała na taką, która litościwie wspomogłoby zebrzącego

i jeszcze pomodli się za niego, ale przemknęło mi przez głowę, że tylko patrzeć, kiedy jakiś zniecierpliwiony przechodzień powiadomi straż miejską, która wlepi chłopakowi mandat. No cóż, nie moje zmartwienie, ja spełniłam dobry uczynek.

Zaczynałam już marznąć, zły humor ustąpił pragnieniu znalezienia się z powrotem w ciepłym mieszkaniu, więc skierowałam kroki z powrotem na przystanek, a ponieważ najbliższy autobus miał się pojawić dopiero za godzinę – ruszyłam piechotą na Czechów. Włóczkowa bransoletka lekko łaskotała mi przegub.

W domu przyjrzałam się jej uważniej. Była upleciona według najprostszego wzoru – kolejno następujące po sobie paseczki różnych kolorów. Czterech, jeśli chodzi o ścisłość. Ze zdziwieniem uświadomiłam sobie, że skądś znam te barwy. Wyjęłam spod biurka reklamówkę, w której trzymałam resztki włóczek pozostałe po zrobieniu koca dla mamy, i z rosnącym niedowierzaniem porównywałam każdy kolor po kolei. Różowy, niebieski, fioletowy i zielony. Włóczki nie były podobne – były identyczne.

Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć ten przedziwny zbieg okoliczności. Poszłam nawet do drugiego pokoju, żeby sprawdzić, czy koc nie zniknął z mieszkania. Nie zniknął – mama siedziała w fotelu, otulona nim. Spytała, czego szukam – skłamałam, że nożyczek.

Nazajutrz przed południem znów pojechałam do miasta i poszłam na róg Kapucyńskiej pod centrum handlowe, lecz chłopca z bransoletkami już tam nie było. Jakiś czas krążyłam po deptaku, rozglądając się za nim, ale wypatrzyłam tylko ulicznego muzyka, starszego jegomościa z kosią bródką, który grał kolędy na skrzypcach, wspomagając się rzewnym akompaniamentem z playbacku.

Włóczkową bransoletkę po jakimś czasie oddałam Mańce Jaworskiej, która czasem nosiła takie hipisowskie ozdóbki. Koc, niestety, nie przetrwał długo, bo padł ofiarą przykrego wypadku. Mama nadal popalała papierosy, nawet rak nie zdołał jej zmotywować do definitywnego pożegnania się z nałogiem. Z dwóch paczek dziennie zeszła do jednej, ale kompletne zerwanie z nikotyną okazało się ponad jej siły. Ponieważ bała się przeziębici – przy jej

fatalnej odporności groziło to zapaleniem płuc – teraz w zimie, zamiast wychodzić na balkon, paliła po kryjomu w sypialni za zamkniętymi drzwiami. I pewnego dnia na początku marca nastąpiła katastrofa. Kroiłam właśnie warzywa na zupę, kiedy usłyszałam wołanie:

– Olga! Szybko, przynieś wody, koc się pali!

Złapałam plastikową butelkę z wodą do podlewania kwiatów i pobiegłam do pokoju. Śmierdziało tam spalenizną, było siwo od dymu, a mama usiłowała zdeptać tłący się koc. Zalałam żarzącą się włóczkę, dziękując Bogu, że ta konkretna mieszanka wełny z czymś sztucznym nie była łatwopalna. Smród wiercił w nosie i drapał w gardle, więc otworzyłam na oścież okno. Mama zaniósła się swoim okropnym, głuchym, mokrym kaszlem i powłokła się do łazienki, żeby odcharknąć flegmę. Ja tymczasem oceniałam zakres zniszczeń. Trzy kwadraty – fioletowy, różowy i zielony – były teraz zbrązowiałe, nadtopione i częściowo zwęglone, z dziurą pośrodku.

– Nic się nie stało, naprawię go – obiecałam, kiedy mama wróciła do pokoju i zaczęła się ze wstydem tłumaczyć, że upadł jej niedopałek, że nie zauważyła w porę...

Ale w kolejnych tygodniach i miesiącach wciąż brakowało czasu, żeby wydziergać trzy nowe kwadraty na miejsce spalonych. Zaczęłam dostawać do korekty materiały z wydawnictwa publikującego przewodniki turystyczne – stawki były marne, a terminy napięte, ale przynajmniej płacili. Co wieczór wędrowałam teraz po uliczkach Wenecji, Reykjavíku, Pekinu czy Rio de Janeiro, tropiąc literówki i błędy interpunkcyjne. Śmierzący spalenizną koc został upchnięty do dużej reklamówki i schowany na dnie szafy z kurtkami oraz zimowymi płaszczami.

Nadeszła wiosna. Chemioterapia dobiegła końca, naświetlania zakończyły się już wcześniej. Mama trochę przybrała na wadze, odzyskała energię, zaczęła regularnie wychodzić na spacer. Stopniowo odrastały jej włosy, gęstsze i sztywniejsze niż przed chorobą, ale prawie zupełnie siwe. Nie chciała ich farbować ze strachu, że znowu wypadną. W listopadzie skończyła sześćdziesiąt lat (leżała wtedy w szpitalu po lobektomii; urodziny zostały uczczone ciastem i czekoladkami przyniesionymi na oddział) i ze zwolnienia lekarskiego płynnie przeszła na emeryturę. Teraz,

w miarę jak wracał jej animusz, zaczęła dorabiać w domu i raz w tygodniu wychodziła na kawę z koleżankami z byłej pracy. Znow zaczęła mieć zastrzeżenia do tego, jak się ubieram („Kto to widział, masz prawie trzydzieści lat, a ciągle nosisz bojówki”), opowiadała mi też, co robią dorosłe dzieci jej znajomych, z ledwie zamaskowaną nutką pretensji („Córka Joli jest już zastępczynią dyrektora banku”) i oczywiście w każdej chwili gotowa była służyć życzliwą radą, przekonana, że wie najlepiej, jak należy naprostować moje życie zawodowe i osobiste (przez pewien czas namawiała mnie nawet, żebym koniecznie skorzystała z usług biura matrymonialnego, dzięki któremu czterdziestoletni syn jej przyjaciółki wreszcie Kogoś Sobie Znalazł).

A ze mną zaczęło się dziać coś złego, tak jak tamtej zimy, kiedy mama spotykała się z panem Antonim. Może to był skutek siedzenia w domu, może samotności, a może ciągłych kłótni o to, że nie mam normalnej pracy, męża i dzieci. W mojej głowie znow puchła zgnilizna, złe myśli obsiadały mnie jak muchy, własna twarz w lustrze wydawała się ohydna niczym padlina w pełnym słońcu. Szukałam pocieszenia w słodkościach, myśląc, że i tak przecież nikogo już nie poznam, Mariusz mnie zostawił, Dominik zaginął i nieprawda, że do trzech razy sztuka – nie miałam ochoty próbować po raz trzeci po to, aby znow potem płakać. Było mi wszystko jedno, czy będę ważyć siedemdziesiąt kilo czy osiemdziesiąt, czy sto, skoro słodczyce sprawiały, że przez chwilę czułam się lepiej, i niczego nie chciały w zamian.

Kupowałam batoniki, gorzką czekoladę, kruche ciastka, markizy, moje ukochane ptasie mleczko i podjadałam to wszystko w czasie pracy przy komputerze, a niekiedy również w nocy, po kryjomu, przy zgaszonym świetle. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Czasem, kiedy dopadała mnie spirala czarnych myśli, zastanawiałam się, czy skończę tak, jak ci ludzie, o których w Wielkiej Brytanii i USA kręci się programy dokumentalne – jako góra oklapłego cielska spoczywająca na kanapie i przeżuwiająca przekąski.

Któregoś dnia pod koniec maja wróciłam do domu z zakupami i zobaczyłam, że mama siedzi w fotelu z laptopem na kolanach. Wpatrywała się w ekran z dziwnie martwym wyrazem twarzy. Chciałam spytać, czy coś się stało, ale odezwała się pierwsza.

– Dzwoniła babcia Ada – powiedziała. – Twój ojciec nie żyje.

W pierwszej chwili treść jej słów nie do końca do mnie dotarła – tępo obracałam je w głowie, jakby były przedmiotami, których przeznaczenia nie umiałam się domyślić.

– Zmarł na serce – dodała, a ja nagle poczułam, że w oczach wzbierają mi łzy.

Uciekłam do swojego pokoju i tam się rozpłakałam.

Przez te wszystkie lata od rozwodu nie miałam z ojcem kontaktu. Kilka miesięcy po tym, jak wyjechał za granicę, mama dostała od kogoś jego adres i powiedziała nam, żebyśmy spróbowali napisać do taty. Napisałyśmy, Artur krótki list, ja długi, i wysłaliśmy je w jednej kopercie. Czekaliśmy niecierpliwie na odpowiedź, ta jednak nie nadeszła. Potem tata chyba się przeprowadził, bo kolejny list wrócił ostemplowany szwedzką pieczęcią, która musiała oznaczać „adresat nieznan”. Ojciec jeszcze przez dwa lata płacił alimenty i parę razy zadzwonił do mamy, kiedy my byliśmy w szkole. A potem nagle przestał płacić, przestał dzwonić i wszelki śluch o nim zaginął. Mama bąknęła kiedyś, że podobno ożenił się drugi raz – ze Szwedką – ale dodała zaraz, że znajoma, która jej to powiedziała, nie ma pewności, czy nie chodzi o innego emigranta z podobnym nazwiskiem. Wiedzieliśmy tylko, że tata żyje, bo babcia Ada – która raz do roku, w Wigilię, zawsze dzwoniła złożyć nam z chłodną uprzejmością życzenia i zapytać, jak się miewamy – poinformowałaby nas, gdyby zmarł. Po latach, gdy upowszechnił się internet i pojawiły się serwisy społecznościowe, próbowałam wytropić go przez sieć, ale żaden Olgierd Pańkowski nie udzielał się ani na Facebooku, ani na Naszej Klasie, nie publikował też artykułów w żadnym polskojęzycznym periodyku sieciowym.

A teraz już wiadomo, że nie stanie się cud i ojciec nie zadzwoni do mnie pewnego dnia; ja nigdy nie pojedę odwiedzić go w Szwecji, on nie przyjedzie do Polski. Nawet jeśli idiotycznie było się karmić złudzeniami po tylu latach, teraz nie pozostało mi już nawet to.

Siedziałam tak, płacząc, i w pewnym momencie poczułam, że nie jestem w stanie wytrzymać w domu, muszę wyjść, bo inaczej pętla wspomnień mnie zadławi. Poszłam do przedpokoju, przetykając łzy, włożyłam buty i kurtkę. Wzięłam ze stojaka parasol, bo na dworze kropił deszcz. Mamie skłamałam, że jadę do Penumbry oddać

pożyczone książki. Zamiast tego pojechałam na drugi koniec miasta. Coś ciągnęło mnie nad Bystrzycę, tam gdzie w czasach studenckich często spacerowaliśmy całą paczką z Ciri, Bomburem i resztą i gdzie chadzałam na randki z Mariuszem.

Zmierzchało, miasto tonęło w szarości, auta sunęły przez nią jak duchy. Pachniało mokrą majową zielenią. Zaparkowałam samochód w osiedlowej uliczce, wysiadłam, rozłożyłam parasol. Szłam przed siebie bez celu, aż w końcu dotarłam nad rzekę, na most. W dole było widać płynącą wodę, w której odbijały się światła sodówek. Gdzieś w pobliżu kwitł bez, pachnąc upajająco. Stałam tak pod parasolem i gapiłam się w leniwy nurt, nadal myśląc o ojcu, a łzy same płynęły mi z oczu.

Nagle pomyślałam ironicznie, że mogłabym skoczyć do Bystrzycy jak te bohaterki dziewiętnastowiecznych powieści, które topiły się pod wpływem zawodu miłosnego. W czasie WF-u na studiach katowano nas obowiązkowymi zajęciami na basenie, ale nawet energiczna trenerka o lekko sadystycznej osobowości nie zdołała mnie nauczyć, jak utrzymać się na powierzchni wody dłużej niż przez dwadzieścia sekund.

Nie, nie skoczyłabym, nie zrobiłabym tego mamie. Ale myśl, że mogłabym się znaleźć na dnie rzeki, w mule, zimnie i ciemności, i pozostać tam już na zawsze, przez chwilę wydawała się tak cholernie kojąca.

Tak cholernie kojąca.

– Proszę, nie rób tego – usłyszałam nagle.

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam, że zaraz za mną stoi chłopak od bransoletek.

Spróbował mnie wziąć za rękę. Wyrwałam się i cofnęłam o dwa kroki. Pojednawczo uniósł dłonie, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma złych zamiarów.

– Mogę cię odprowadzić do domu – powiedział nieśmiało.

– Dziękuję, nie trzeba – uciełam zdenerwowana.

Odwróciłam się na pięcie i odeszłam szybkim krokiem, kierując się w stronę jasno oświetlonej ulicy i domów. Co jakiś czas zerkałam przez ramię, ale ku mojej uldze nie podążył za mną, został na moście.

Wróciłam do miejsca, w którym zostawiłam zaparkowane auto,
i pojechałam do domu.

Królowa Ostów

Stłuczone lustro

Opowieści są jak rzeki, meandrują, a czasem rozwidlają się. Rzeka wygląda inaczej z perspektywy tego, kto stoi na brzegu, inaczej dla kogoś, kto płynie łodzią, a jeszcze inaczej, gdy śledzimy jej bieg na mapie.

Lubię przyglądać się mapom.

Choć moim domem jest cierniowa twierdza, mój wzrok sięga daleko poza jej mury. Nawet kiedy wiem, co się wydarzy za następnym zakrętem rzeki, mimo wszystko zabawnie jest patrzeć.

Tam, w prawdziwym, nieśnionym świecie jest wrześnie, dość ciepłe przedpołudnie. Zmęczona po zarwanej nocy, z przekrwionymi, piekącymi oczami (kończyła „na wczoraj” korektę trzystustronicowej powieści), Olga robi zakupy w Stokrotce. Najwięcej czasu spędza w dziale owocowo-warzywnym, gdzie starannie wybiera najładniejsze brzoskwinie, śliwki w pożądanym stadium dojrzałości oraz takie jabłka, które na pewno nie będą kwaśne. Przechodząc obok półek z ciastkami i słodyczami, waha się, ale ostatecznie w jej koszyku ląduje paczka cytrynowych markiz Mafijnych, potem duża tabliczka gorzkiej czekolady i kilka wafelków.

Przy kasie Olga jest spięta, nie patrzy na kasjerkę, gdy ta zaczytuje kody kreskowe z opakowań słodyczy. Boi się złośliwego komentarza. Ale kasjerka, koścista kobieta w średnim wieku, też wygląda na zmęczoną, i jedyne, co mówi, to:

– Trzydzieści siedem złotych i dwanaście groszy. Polecam w promocji kostki rosółowe firmy Kucharek.

Wychodząc ze sklepu, Olga zastyga w pół kroku, gdy z peugeot, który dopiero co zajechał na parking, wysiada mężczyzna o długich, związanych z tyłu szpakowatych włosach. Przez moment zdawało jej się... Ale nie, ten facet jest od Dominika wyższy, grubszy i znacznie starszy, z siwym wąsem. Za nim z auta wysiada kobieta w zbliżonym wieku, mocno umalowana, w białych spodniach i zbyt

obcisłej bluzce, pod którą odznaczają się wałeczki tłuszczu. Olga mija ich, rejestrując w przelocie fragment rozmowy („...ale ten hotel na Majorce był jednak lepszy”).

Wraca do mieszkania, zdejmuje w przedpokoju buty i zanosí zakupy do kuchni. Po drodze zagląda do salonu. Matka leży na kanapie, otulona pledem, wpatrując się obojętnym wzrokiem w telewizor. Leci jakiś western z Clintem Eastwoodem w jednej z głównych ról.

– Mamo, kupiłam owoce. Umyć ci brzoskwinie? Ładne są.

Przeczące mruknięcie.

– To może jabłko ci obiorę? Jabłko zjesz? Lobo?

– Może później.

Trzeba ją namawiać, prosić, a czasem szantażować, żeby jadła. Wywołane przez chemię bolesne nadżerki w ustach dawno się wygoiły, mdłości i wymioty też są już tylko wspomnieniem, ale apetyt nie wraca. Jedna malutka kanapka z szynką i trzema plasterkami kiszzonego ogórka, dwa herbatniki, parę świeżych owoców – to wszystko, co udaje się w nią wmusić po intensywnych negocjacjach.

– Zaparzyć ci herbatę? Nastawiam wodę.

– Herbatę możesz zrobić.

Matka wzdycha i poprawia się na kanapie. Na ekranie źli galopują na koniach, a Clint Eastwood celuje, strzela, przeładowuje broń, mruży oczy i znów strzela.

Podczas gdy czajnik elektryczny mruczy, a potem szumi coraz głośniej, Olga zjada jedną z przyniesionych świeżych bułek oraz jabłko, właściwie tylko po to, żeby „na deser” móc schrupać wafelka w czekoladzie. A potem, po chwili wahania, drugiego.

Zanosí matce herbatę, wraca do kuchni i budzi z uśpíenia leżącego na stole laptopa, żeby sprawdzić pocztę. Niemal nieświadomie rozrywa przy tym opakowanie markiz.

Żadnych nowych wiadomości. No jasne, jakżeby inaczej.

Trzy cytrynowe Mafijne później herbata jest wypita, a Oldze kleją się oczy. Ponieważ najlepiej pracuje jej się po nocach, przyzwyczaíła się do spania w dzień. Myje zęby, idzie do swojego pokoju, kładzie się na łóżku i przykrywa kocem. Zasypia szybko i śni jej się, że

spaceruje sama nad jeziorem Szept, patrząc na zbierające się burzowe chmury i zastanawiając się z niepokojem, czemu na wodzie unoszą się potopione strachy na wróble.

Potrząśnięcie za ramię wyrywa ją ze snu. Olga przeciera oczy... i drętwieje, widząc nad sobą twarz, która nie jest twarzą matki, a znajomą dziecięcą buzię, zeszeconą przez plamy różowawych, nierównych blizn na policzkach i koło ust.

– Wróśś do Zaśsiatu – mówi Felicita, wymawiając słowa tak, jakby jej język z trudem radził sobie ze zgłoskami ludzkiej mowy. – Poszszebujemy...

– Jak mam wrócić? – Olga wpatruje się w nią w oszołomieniu.

– Chośś se mną.

Olga zamyka oczy. To sen – myśli z rezygnacją. – Znów te głupie sny. Ale dziewczynka nie daje za wygraną. Wyciąga pobliznioną dłoń i szarpie koc, którym Olga jest przykryta.

– Chośś!

Rada nierada, Olga wstaje. Idzie do salonu. Telewizor nadal jest włączony, tylko z przyciszonym dźwiękiem. Na ekranie leci już inny film, coś sensacyjnego z lat dziewięćdziesiątych – właśnie trwa dzika gonitwa na motocyklach przez centrum miasta, gdzie wznoszą się szklane wieżowce. Gra dramatyczna filmowa muzyka, lektor beznamiętnie czyta kwestie dialogowe.

– Mamo, wychodzę.

Cisza. Matka śpi w fotelu z głową odchyłoną do tyłu, pochrapując przez rozchylone usta.

– Chośś – ponagla Felicita, więc Olga prędko wkłada buty i opuszczają mieszkanie.

Felicita rusza przodem, narzucając szybkie tempo. Olga idzie za nią, nie protestując, tak jak szła zimą (ale to był sen, to był sen, przecież mama jeszcze żyje) za starszą damą imieniem Zofia. Przelotnie rozważa zaproponowanie, że mogą pojechać autem, ale potem przychodzi jej do głowy, że matka gotowa się zbudzić na odgłos silnika i wyrzecz przez okno.

Dziewczynka prowadzi ją na przystanek i oznajmia, że muszą chwilę poczekać. Olga próbuje pytać, co się stało w Zaświecie, jakim sposobem Felicita zdołała tutaj dotrzeć i dlaczego, czy to Aroldo ją przysłał, czy... Ale wszystkie pytania zostają zignorowane.

Przyjeżdża autobus, normalny miejski przegubowiec (Olga przez moment czuje się rozczarowana, że nie zjawił się pojazd rodem z baśni, na przykład taki uroczy kotobus jak w filmie *Mój sąsiad Totoro*, który wzbiłby się w niebo i zawiózłby je prosto do Zaświatu). Wsiadają. Olga wyjmując z portmonetki dwa bilety i kasuje je, bo jest prawie pewna, że gdyby tego nie zrobiła, to zgodnie ze złośliwą logiką snu na następnym przystanku pojawiłby się kontroler. Felicita przysiadła na pierwszym wolnym miejscu, beztrudnie majtając bosymi stopami. W swojej staroświeckiej brązowej sukience, z włosami splecionymi w dwa warkocze rzucałyby się w oczy nawet bez blizn, ale żaden z pasażerów nie zwraca na nią uwagi.

Jazda dłuży się nieznośnie. Autobus pełźnie przez miejski ruch, hamując na światłach. Opuszcza centrum, mija skupiska bloków z poprzedniej epoki, budynki Politechniki Lubelskiej, zielone skwery oraz szeroki wąwóz z jego ścieżkami spacerowymi. Olga domyśla się, gdzie wysiądą, i rzeczywiście – gdy za oknem pojawia się osiedle Skarpa, Felicita pociąga ją za rękaw.

– Chośś.

Wysiadają. W bladym wrześnieowym słońcu rzeczywistość wygląda tak jak zawsze: drzewa, auta, pierwsze żółte liście na chodniku, przechodząca obok kobieta z niemowlęciem w wózku. Ale to jest sen, Olga wie, że to sen. Śniła go już wcześniej.

Przechodzą na światłach na drugą stronę jezdni i Felicita przyspiesza kroku, prawie biegnie, tak jakby liczyła się każda minuta, mimo że do Bystrzycy i ciągnącej się wzdłuż niej ścieżki rowerowej jest już stąd bardzo blisko. Olga czuje dreszcz, bo doskonale pamięta drogę do opuszczonego domu, przemierzała ją w końcu wiele razy. Zachodzi w głowę, co takiego stało się w Zaświecie, że rozpaczliwie potrzebują jej z powrotem.

(A może to ty rozpaczliwie potrzebujesz tam wrócić?).

Już, już, przed nimi wydeptana dróżka przez zarośla, już widać ogrodzenie z zardzewiałej siatki i pokrzywy, i zabite deskami okna, i ściany, z których odpada tynk, już za moment będzie wiedziała, co się stało tam, po drugiej stronie.

Widok zabałaganionej, brudnej kuchni w domostwie Arola sprawia, że Olga zrezygnowana przysiadła na ławie.

– Co wyście tu narobili? To ja się tak męczyłam...

– Odeszłaś – odpowiada z wyrzutem Petr. On nie zmienił się nic a nic. – Odeszłaś, zostawiłaś nas. Nie raczyłaś się nawet pożegnać.

– Nie odeszłam! To Hannes... – Milknie w pół słowa, doszedłszy do wniosku, że tłumaczenie i usprawiedliwianie się przerasta jej siły. – Petr, co się tu u was stało? Gdzie Aroldo?

Uczeń czarodzieja bezradnie rozkłada ręce.

– Aroldo zniknął, a szare opanowały nasz świat. – Wskazuje okno, za którym szarzeje jednolita ściana mgły. – To dlatego kazałem, żeby Felicita przyprowadziła cię tu z powrotem. Musisz naprawić to, co się popsuło w Zaświecie.

– A co ja mogę zrobić? – Olga patrzy na niego tak, jakby poprosił, żeby pomogła im napisać podanie o dotację unijną.

– Pamiętasz, jak odprawiliście rytuał przywołujący wiosnę? Teraz musisz sprowadzić Arola z powrotem.

– Ale co ja mam zrobić? Nie jestem czarodziejką! Nie znam reguł tego... głupiego snu! – Olga chwyta się za głowę. – Chcę wrócić do domu! Słyszysz, Petr? Chcę do domu!

Ale on odpowiada tylko:

– Pomogłaś Aroldowi przywołać wiosnę. – Brzmi to niemalże jak wyrzut.

Zapada milczenie, przerywane jedynie bzyczeniem muchy, która obija się o szybki zamkniętego na zasuwkę okna. Olga z nieodgadnionym wyrazem twarzy wpatruje się w mleczną nicość na zewnątrz. W końcu mówi cicho:

– W porządku... spróbuję. Chodźmy do jego pracowni.

Pracownia Arola na pierwszy rzut oka wygląda tak samo jak kiedyś. Dopiero po uważniejszym przyjrzeniu się widać, że meble pokrywa warstwa kurzu, a zbrązowiałe, na wpół zwiędłe liście paproci zwisają smętnie. Tafla barokowego lustra jest pociemniała, jakby okopcona. Olga staje przed zwierciadłem i bierze głęboki oddech. Ponieważ nic innego nie przychodzi jej do głowy, niepewnym głosem mówi:

– Pokaż mi Arola.

Nic się nie dzieje. Rozczarowana Olga spogląda na Petra, który wzrusza ramionami. Jego gest mówi jasno: na mnie nie licz.

Z zadowoleniem obserwuję, jak wyraz jej twarzy ulega zmianie, niepewność stopniowo ustępuje miejsca zniecierpliwieniu, które przeradza się w zaciętość.

– Pokaż mi Arola! – Teraz jej głos brzmi stanowczo, rozkazująco.
– Pokaż mi Arola!

Przez moment nic się nie dzieje. Potem ciemna tafla powoli zaczyna się żarzyć dziesiątkiem cieniutkich zygzaków rozbiegających się we wszystkie strony, tak jakby z tyłu za nią płonął ogień, a różnica temperatur pomału zaczynała przekraczać wytrzymałość szkła.

I nagle słychać trzask niczym huk gromu, przemieszany z brzękiem. Ogłuszona, oszołomiona Olga kręci głową, z niedowierzaniem przeciera oczy.

Odłamki rozbitego lustra zaścielają podłogę. Nie wytrzymały również szybki w staroświeckich oknach – w ołowianych ramkach trzymają się już tylko ich resztki. Z dworu ciągnie chłodny powiew o zapachu stęchlizny i bagien, a mgła faluje jakby w podnieceniu. Wyraźnie słychać szepty – szmer wielu widmowych głosów, wzbierający jak morze.

W następnej chwili rozlega się trzaśnięcie drzwi, a na schodach słychać oddalający się tupot – to Petr uciekł. Zastygła w bezruchu Olga stoi, gapiąc się na rozsypane na deskach podłogi szkło, którego okruchy migoczą niczym gwiazdny pył.

Obmywa ją lodowato zimna fala szarości. Mgliste stwory napływają do środka przez rozbite okno, mijają ją, sunąc w kierunku strzaskanego lustra, i jeden za drugim znikają w ciemnym otworze.

– Coś ty narobiła?! – Znajomy, wściekły głos sprawia, że Olga kuli się jak kociak. Aroldo Gazza, który pojawił się nie wiadomo skąd, jest odziany od stóp do głów w czerń, w rozwianą pelerynę, w dłoni trzyma cieniutką różdżkę. Jego zwichrzone włosy sterczą niemal pionowo, a między nimi pełgają iskierki elektryczności. Grymas gniewu wykrzywia smagłą twarz. – Przez ciebie szare odnalazły drogę do tamtego świata!

Olga chce się tłumaczyć, usprawiedliwiać, ale nie potrafi wydać z siebie głosu. Ostatnie, spóźnione mgliste kształty przemykają obok

nich, kiedy Aroldo chwytą ją za kark i wpycha w dziurę ziejącą wewnątrz barokowej ramy, która nagle rozszerzyła się do ogromnych rozmiarów, a dalej jest już tylko ciemność. Olga wpada w tę czarną czeluść i spada, wirując, spada, spada, spada jak kamień wrzucony w studnię, jak strącony z nieba anioł.

Czasem rzeki na pewien czas znikają z powierzchni ziemi, by płynąć pod nią.

Patrzę. Jestem Królową Ostów. Widzę to, co dzieje się wysoko i nisko, daleko i blisko, pod słońcem i pod księżycem, a także pod podszewką rzeczywistości, u korzeni snów.

W jednym z pokoi na parterze opuszczonego domu chłopak leżący na legowisku ze szmat otwiera oczy. Siada gwałtownie, zrzucając okrywający go koc zszyty z włóczkowych kwadratów – różowych, fioletowych, niebieskich i zielonych.

– Jak się czujesz? – pyta stara kobieta o rozczochranych siwych włosach, zakutana w liczne warstwy niezbyt czystej odzieży. Zamyka drzwiczki piecyka, do którego przed chwilą dołożyła patyków i gazet.

Chłopak rozgląda się w oszołomieniu, jakby nie wierzył własnym oczom. Ujmuje w dłoń rąbek koca, przesuwa go między palcami. Gdy te natrafiają na brązową plamę w miejscu, gdzie ogień zniszczył wzór, na jego twarzy po raz pierwszy odmalowuje się strach.

– Ja... Skąd się tu wziąłem?

– Spałeś – odpowiada staruszka, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

– Masz, napij się. – Podaje mu obtłuczony kubek z parującym płynem.

Herbata jest niesmaczna, z powtórnego zalania tej samej torebki, ale chłopak pije ją, wdzięczny za rozpuszczoną w gorącym naparze porcję cukru. Rozgląda się zdezorientowany, przeciera oczy, chyba z nadzieją, że wszystko zaraz okaże się snem. W końcu spogląda po sobie. Ogląda swoje dłonie oraz brudne ubranie, tak jakby widział je po raz pierwszy.

Przytłoczony, garbi się i zaczyna płakać, a ja wiem dlaczego. Wiem, że w jego pamięci jest tylko szarość i zawieszona w niej migoczące drobinki gwiazdowego pyłu.

– Kim ja jestem? – pyta bezradnie, siąkając nosem. Nadal ogląda swoje dłonie, jakby chciał z nich wyczytać odpowiedź.

– Nazywasz się Piotr. – Staruszka sękatą ręką delikatnie gładzi go po rozognionej twarzy, ścierając z niej ślady łez. – Cśśś... Już dobrze.

Piotr

Dziewczyna na moście

Szare wygrywają.

Nie zdołam dłużej walczyć. Już prawie cały koc spruty, brakuje włóczki, by pleść kolejne bransoletki, brakuje sił, by bronić się przed zwątpieniem. Mglista zaraza zasnuwa miasto, pochłaniając je po kawałku. Szare roją się w zapadającym zmierzchu jak szczury, przemykają obok oświetlonych wystaw sklepowych, podbiegają do nieświadomych niczego przechodniów i obwążują ich.

Niemal doszczętnie wykrwawiony z barw, nie mam już żadnych wspomnień, wszystkie obrazy uleciały. Zawieszony w niekończącej się terażniejszości, dryfuję jak zerwana z uwięzi łódka. Straciłem całą energię. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem. Zostały mi cztery bransoletki, a gdy się ich pozbędę, nie będę już miał żadnego powodu, żeby wstać z legowiska. Może będę leżał w starym domu do czasu, aż umrę z głodu. A może szare przyjdą po mnie wcześniej.

Zmierzcha, zapalają się latarnie. Idę przed siebie, nie myśląc, wokół mnie usypiające miasto, pustoszejące ulice, anonimowi ludzie, przestrzeń bez słów, bez imion, bez pragnień, bez pamięci. Idę nad rzekę, ciemna woda wydaje się przyzywać jak przepaść, obiecuje spokój i zapomnienie.

Dochodzę do mostu i w blasku sodowych latarni widzę, że stoi na nim samotna, niewysoka postać. Dziewczyna.

Podchodzę bliżej, wstrzymując oddech. Skądś znam jej sylwetkę w niby-wojskowej kurtce i bojówkach, jej pociągłą, smutną twarz o dużych ciemnych oczach.

Przechyliła się przez poręcz i nagle uświadamiam sobie, że jeszcze chwila, a wpadnie do wody. Ten widok przywraca mi energię oraz chęć działania. Podbiegam przestraszony.

– Proszę, nie rób tego – mówię, a ona prostuje się, piorunując mnie gniewnym spojrzeniem wielkich ciemnych oczu.

Próbuję ostrożnie wziąć ją za rękę. Wyrzywa dłoń, patrząc na mnie nieufnie, więc się cofam.

– Mogę cię odprowadzić do domu – mówię.

– Dziękuję, nie trzeba.

Okreca się na pięcie i odchodzi szybkim krokiem. Znika w mroku, a ja zostaję, patrząc za nią z niejasnym poczuciem bezsilności i zawodu.

Słyszę, że ktoś nadchodzi, więc odwracam się prędko. Nieznajomy wyłania się z cieni po drugiej stronie mostu, a ja zastanawiam się, czy stał tam od dłuższej chwili, obserwując cały incydent.

– Pora wracać – oznajmia. – Już zbyt długo się tu ukrywasz.

Nie wiem, o czym mówi. Zdezorientowany i przestraszony, czuję, jak budzi się we mnie gniew.

– Co to znaczy? – pytam ostro, cofając się, a on tymczasem podchodzi nieśpiesznie, przyjaźnie uśmiechnięty.

W malowniczo wyświechtanej, połataniej odzieży oraz turystycznych butach, w starym kapeluszu, spod którego opadają sięgające ramion włosy, wygląda nie tyle jak włóczęga, ile jak aktor z teatru grający włóczęgę.

– Jestem Hannes – oznajmia, a ja się wzdrygam, bo dociera do mnie, że skądś znam to imię. – Chodź. Zabiorę cię z powrotem.

Wyciąga rękę, a mnie raptem ogarnia niewytłumaczalna, szalona panika.

Rzucam się do ucieczki. Uciekam, uciekam, uciekam, biegnę tak długo, aż zaczyna mi brakować tchu, a w boku odzywa się bolesne klucie. Przystaję, dysząc ciężko, i oglądam się do tyłu. Nie widać ani nie słysząc pogoni, ale na wszelki wypadek biegnę jeszcze kawałek, do momentu, gdy nogi i płuca definitywnie odmawiają dalszej współpracy. Zadyszany i spocony, zwalniam do marszu. Potem zatrzymuję się gwałtownie. Sto metrów dalej, obok podświetlonej witryny nieczynnego już sklepu spożywczego, unoszą się dwa mgliste kształty. Odruchowo sięgam pod koszulę, chcąc dotknąć talizmanu – i ogarnia mnie lodowate zimno, bo na szyi nie mam nic.

Zgubiłem talizman.

Zgubiłem mój styczniowy talizman.

Łańcuszek musiał się rozpiąć lub zerwać. Rozglądam się, cofam o kilkanaście kroków, ale tam, gdzie pada blask latarni, na chodniku nic nie leży. Przepadło, straciłem talizman, straciłem i już go nie

odzyskam. Nie mogę zawrócić, żeby go szukać, bo przecież gdzieś tam wśród nocy krąży obcy, który zna moje imię.

Rozglądając się płochliwie, czy z ciemności nie wychynie postać w kapeluszu, przecinam parking przed sklepem i cichymi osiedlowymi uliczkami wracam w pobliże Bystrzycy. Przechodzę pod wiaduktem kolejowym, zanurzam się w mrok wśród zarośli i pokrzyw. Dziesięć minut później jestem już przy starym domu. Wstrzymując oddech, wchodzę do środka i zamykam drzwi na łańcuch. Dopiero wtedy zapalam kupioną przed paroma tygodniami tanią latarkę na baterie i sprawdzam każdy kąt, by się upewnić, że nigdzie nie czai się żaden intruz. Ale dom jest pusty, pusty i cichy, tylko z oddali dolatuje dźwięk przejeżdżającego pociągu. Nagle czuję, jak spływa na mnie przytłaczające zmęczenie. Zdejmuję buty, gaszę latarkę, zagrzebuję się w legowisku i natychmiast zasypiam.

Olga

Wtedy. Szklana kula

Budzę się nad ranem zdezorientowana. Znów śnił mi się niesamowity, obłądnie pogmatwany sen i chętnie przypomniałabym sobie, o co w nim chodziło, ale obrazy umykają, gdy usiłuję przywołać je z powrotem, rozpryskują się jak bańki mydlane.

Budzik pokazuje czwartą z minutami. W gardle mi zaschło, więc idę do kuchni napić się wody. Cisza miękko otula całe mieszkanie. Mama znów w szpitalu – wyniki badań krwi fatalne, z wątrobą też kiepsko. Fizycznie i psychicznie jest w coraz gorszym stanie. Ma duszności, nogi odmawiają jej posłuszeństwa i doktor Czyż zdołała ją w końcu przekonać, żeby przełamała się w kwestii morfiny.

Wiem z doświadczenia, że jeśli chcę ponownie zasnąć, muszę coś zjeść, i to najlepiej coś słodkiego, nawet jeśli wszystkie kalorie pójdą w brzusek. Rzut oka do lodówki mówi mi, że serki waniliowe najlepiej smakują nad ranem.

Łyzeczka za łyżeczką opróżniam dwustugramowe opakowanie serka, poprawiam bananem i miseczką płatków z mlekiem, a potem – po krótkim wahaniu – trzema ostatnimi kawałkami ptasiego mlecza z otwartego przedwczoraj pudełka.

Nastawiam wodę w czajniku i czekając, aż się zagotuje, myję zęby. Nasza łazienka jest mała, wykafelkowana na biało, z błękitnym szlaczkiem wzdłuż sufitu – wykańczana tanim kosztem w połowie lat dziewięćdziesiątych. Patrząc na te siermiężne kafelki, jakoś tak mimo woli zaczynam wspominać.

Kiedy miałam piętnaście lat, zmarł ojciec mamy, dziadek Łukasz – stary zatwardziały komunista, o którym ciocia Marysia powiedziała kiedyś w żartach, że gdyby rodzina sprowadziła mu księdza na pogrzeb, niechybnie wstałby z grobu. Mama wykorzystała pieniądze ze spadku, żeby kupić lepsze mieszkanie – też trzypokojowe, ale większe, na peryferiach miasta, na nowym, budowanym dopiero osiedlu. Za blokami rozciągał się wielki plac budowy, ogrodzony siatką, rozjeżdżony przez maszyny. W dni powszednie rozbrzmiewał

okrzykami robotników i turkotem betoniarek, ale w soboty i niedziele dzieciaki zakradały się tam, żeby wspinać się po hałdach ziemi zarośniętych pokrzywami i nawłocią.

Przygotowania do przeprowadzki trwały dość długo. Codziennie po szkole pomagałam mamie pakować ubrania, książki, naczynia, dziesiątki mniej i bardziej potrzebnych przedmiotów. Uporządkowana struktura naszego życia ulegała stopniowej dekonstrukcji, przemieniając się w kontrolowany chaos zamknięty w kartonowych pudłach, których rzędy rosły w przedpokoju. Pamiętam zwłaszcza weekend, kiedy Artur przyjechał do domu, żeby pomóc w pakowaniu. Pracowaliśmy wtedy we dwójkę, bez mamy. Zabraliśmy się do dużego pokoju i niczym para archeologów drążyliśmy coraz głębiej, odkrywając zapomniane skarby zachomikowane po szafach i szufladach, przygniecione warstwami wszystkiego, co się nagromadziło przez lata, niczym skamieliny w kredzie. Książeczki dziecinne pobazgrane kredkami, muszelki w glinianym dzbanku, które zbieraliśmy z Arturem podczas wakacji w Bułgarii, niemodne już ubrania szyte przez znajomą krawcową – kolorowe bluzki ze sztucznego jedwabiu, rozkloszowane spódnice na talię węższą niż moja. Mama naprawdę była kiedyś taka szczupła? I cepeliowska szkatułka pełna biżuterii. Wyobraziłam sobie mamę na przyjęciu sylwestrowym pod koniec studiów: trwała, pantofle na wysokim obcasie, makijaż niczym u Elizabeth Taylor. Pasek ze sprzączką podkreślający talię, duże kolczyki w uszach, na szyi złoty łańcuszek. (Ojciec nie hołdował krzykliwym modom – preferował ciemne garnitury, krawaty gładkie lub z dyskretnym wzorem, zawsze nieskazitelnie ostrzyżony. W lecie nosił koszulki polo i jasne spodnie, w zimie tweedową marynarkę. Tak go zapamiętałam. W żadnej szafie nie uchowała się choćby jedna jego rzecz: wszystko, czego nie zabrał, wyprowadzając się, mama oddała krewnym ze wsi).

Czajnik gwizdze. Parzę melisę i wracam z kubkiem do pokoju. Na dworze świta, ćwierkają ptaki. Siedząc po turecku na łóżku, czekam, aż parujący napar przestygnie, i wspominam dalej.

Gdy wielkie pakowanie już dobiegało końca, mnie przypadło w udziale opróżnienie komody stojącej w małym pokoju, pełnej starych ciuchów, nienoszonych od lat. Wyjmowałam z niej

zmechacone, zalatujące naftaliną swetry, niemodne bluzki, biustonosze z zepsutymi zapięciami, nieużywane czapki i szaliki. Aż w końcu na dnie dolnej szuflady, pod starymi kalendarzami i skoroszytem pełnym niewykorzystywanych przepisów na ciasta, znalazłam niepozorną tekturową teczkę, którą otworzyłam zaciekawiona. Była pełna czarno-białych zdjęć.

– Zostaw – powiedziała mama. – Kiedyś trzeba będzie je posortować i włożyć do albumów, ale nie teraz, nie ma czasu, zostaw.

Zdjęcia rodzinne sprzed piętnastu, dwudziestu, trzydziestu lat. Niektóre pożółkłe, z ozdobnie wycinanymi brzegami. Ze szkolnych uroczystości, z urodzin, komunii i bierzmowań, z wyjazdów. To wujek Radek, to ciocia Iza, ta, co mieszka teraz w Katowicach, to ciocia Marysia... a to mama w czasach studenckich, na plaży we Władysławowie, w letniej sukience z rozkloszowanym dołem i pantoflach na wysokim obcasie. Jako dwudziestolatka rzeczywiście była szczupła – szczupła i śliczna, o ognistych czarnych oczach. Czy to nie podczas tamtych wakacji poznała ojca?

– Mówiłam, zostaw. – Mama wyjęła mi teczkę z rąk i spytała z irytacją, czy skończyłam już pakować swoje ubrania.

Prawie skończyłam. Do spakowania pozostała zawartość jednej szafki. Dni brzydkiego peerelowskiego mebla z brązowej sklejki były już policzone – drzwiczki się nie domykały, a bok został uszkodzony podczas któregoś przemeblowania. Kiedy będziemy się wyprowadzać, szafka zostanie oddana; może wezmą ją sobie studenci wynajmujący mieszkanie na trzecim piętrze, a może ktoś inny.

Wyjmowałam i układałam w pudle T-shirty, bluzy, sztruksowe koszule, ulubioną czarną tunikę i legginsy w lamparci wzorek (wiem, wiem, nic nie mówcie, miałam piętnaście lat). Kilka zepchniętych do tyłu ciuszków, z których nieodwołalnie wyrosłam i wytyłam od ubiegłego roku, włożyłam do reklamówki – odda się do PCK.

Kiedy po raz ostatni sięgnęłam w głąb szafki, moje dłonie namacały coś twardego, zaokrąglonego i chłodnego. Coś mgliście, niepokojąco znajomego. Wstrzymując oddech, ostrożnie wyjęłam zagadkowy przedmiot.

Znalazłam zapomnianą zabawkę. Szklaną kulę. Przez chwilę wodziłam palcami po gładkiej, przezroczystej powierzchni, zastanawiając się, skąd się tu wzięła, aż w mojej pamięci z opóźnieniem zaskoczyły trybiki. To moja kula, jak mogłam zapomnieć, no jasne, dostałam ją od taty na szóste urodziny. Moja urodzinowa kula – ale czemu tu leży, schowana w szafce pod ubraniami?

Potrząsnęłam nią. Płatki sztucznego śniegu zawirowały wokół czterech plastikowych sylwetek, z których powoli złaziła już farba. Mama, tata, synek i córka na zimowym spacerze.

Moja urodzinowa kula. Chłodny, gładki ciężar w dłoni. Siedziałam, patrząc na nią, a wspomnienia napływały nieproszone: Tata uczy mnie jazdy na rowerze na dużym osiedlowym placu zabaw, tata pokazuje sztuczki z kartami, idzie z nami w niedzielę na lody, klei wspólnie z Arturem duży latawiec. Przystrzyga sobie przed lustrem wąsik upodabniający go do Clarka Gable'a. Stukot maszyny do pisania dobiega przedpołudniami z pokoju rodziców, zza zamkniętych drzwi.

Powoli, z ociąganiem odłożyłam kulę do pudła między swetry. A potem zmieniłam zdanie. Pośpiesznie wsadziłam ją na samo dno reklamówki z rzeczami przygotowanymi do oddania, a tę wyniosłam do przedpokoju i postawiłam obok kilku innych, wypchanych starymi, niepotrzebnymi ciuchami mamy i Artura.

Nie ma już szklanej kuli.

Mała Olga jest dużą Olgą. Spakowała przeszłość do kartonowych pudeł i dobrze wie, że nie powinna rozmyślać o rzeczach, których nie można zmienić.

Dopijam melisę, czując, że w połączeniu z jedzeniem zrobiła swoje – oczy mi się kleją. Na zewnątrz już prawie jasno, ale mogę się teraz położyć i spać do późna. To jeden z niewielu plusów pracy w domu – wybudzanie się przed świtem nie jest tak kłopotliwe, jak byłoby, gdybym musiała iść do biura na ósmą. Kładę się, przykrywam kołdrą, a senność wchłania mnie jak ciepła, błogosławiona toń.

Dominik

Im dalej w las

Kiedy Dominik wrócił nad ranem do ośrodka Julia, miał sprecyzowane plany na resztę dnia. Prawdę mówiąc, decyzję podjął znacznie wcześniej. Pozostało jedynie wcielić ją w życie – teraz, kiedy już nie miał powodu, żeby to odkładać.

Te dni, kiedy przesiadywał w słońcu nad jeziorem, malując, były jak pożegnalny prezent – jak ostatnia garść jeżyn i ostatnie zdjęcie gór przed zejściem ze szlaku. Znalazłszy się tutaj, już pierwszego dnia pojął, że nie będzie w stanie wrócić do Warszawy – do mieszkania z zamkniętą sypialnią i portretem na ścianie. Sama myśl, że miałyby tam znowu przebywać całymi dniami, jeść i spać, a raczej zmuszać się do jedzenia i przewracać się bezsennie na kanapie (i myśleć, myśleć, myśleć) wywoływała lodowaty ucisk w żołądku.

Dlatego nie zamierzał wracać.

W ostatnich sekundach przed zaśnięciem przemknęło mu przez głowę, że pewnie przyśni mu się Róża. Ale nie. Tej nocy śniły mu się osty. Osty i osty, bezkresna równina zarośnięta kolczastymi, wybujalnymi pędami, która mgliście skojarzyła mu się z pracami Jacka Yerki.

Obudziły go promienie słońca wpadające przez okno. Szykował się kolejny bezchmurny dzień, wymarzona pogoda dla tych wszystkich wczasowiczów, którzy smażyli się na brąz wokół Krasnego, Białego i reszty okolicznych jezior, ignorując ostrzeżenia przed dziurą ozonową tudzież rakiem skóry. Dochodziła dziesiąta i w małym jednoosobowym pokoju na poddaszu ośrodka już zdążyło zrobić się gorąco. W lesie będzie chłodniej – pomyślał Dominik i odsunął od siebie wspomnienie tego, jak zrywali z Olgą maliny nad strumieniem. Dręczyły go wyrzuty sumienia, których nie potrafił uciszyć.

Sięgnął po telefon, żeby jeszcze raz przeczytać jej SMS-y. Krótkie, neutralne. Właściwie trudno, żeby były inne – on też komunikował

się z nią zwięźle i po koleżeńsku, bo na tym etapie znajomości nie umiał inaczej.

I tak by nie wyszło. Powtarzał w myślach tę usprawiedliwiającą mantrę, zarazem usiłując odpychać od siebie wspomnienie rozbebeszonej sypialni oraz pozostawionego przez Różę listu. Wyłączył telefon, a potem wyjął z niego baterię, bo wiedział, że później może o tym zapomnieć.

Był głodny – niezależnie od stanu ducha ciało domagało się swoich praw. W pokoju miał trochę prowiantu – wybrał wariant zakwaterowania bez posiłków, częściowo dla oszczędności, częściowo dlatego, że nigdy nie lubił jeść w stołówkach, wśród gwaru i szczęku sztukców – i zjadł śniadanie przy oknie, starając się za bardzo nie kruszyć na stolik, na którym stało pudełko z farbami i walały się różne drobiazgi. Jego turystyczne śniadania, obiady i kolacje wyglądały tu niemal identycznie. Szybko czerstwiejący chleb z wiejskiego sklepiku, puszka makreli w oleju, ser topiony, dwa pomidory, jabłko i kilka herbatników. Przezornie przywiózł w bagażu mały czajnik elektryczny i teraz zaparzył sobie kawę po turecku.

Z kubkiem w ręku podszedł do niedokończonego obrazu, który stał na sztalugach w kącie pomieszczenia, i przyjrzał mu się z namysłem. Zaczynał malować z niejasnym przeświadczeniem, że skończy na tyle szybko, by móc jeszcze ofiarować Oldze pożegnalny prezent. Ale szybko przestał uważać to za dobry pomysł.

Olga... Właściwie nie wiedział, co o niej myśleć. Z jednej strony stanowiła miłą niespodziankę – nie przypuszczał, że tak szybko spotka sympatyczną dziewczynę, z którą będzie miał tyle wspólnych tematów. Ale za każdym razem, kiedy na nią patrzył, przed oczami stawała mu Róża. Z Różą też kiedyś było pięknie, prawda?

Pijąc kawę, przetrawiał tę myśl. Cierpki wewnętrzny głosik szepnął mu, że nawet jego matka na początku była zafascynowana Budrewiczem seniorem, co podkreślała po latach: wyszłam za mąż z miłości. Jasne, czasem można trafić los na loterii, jak Asia, mimo że ciągle narzeka na tego swojego Michała. Ale liczenie, że z krótkiej wakacyjnej znajomości może wyniknąć coś, co nie rozpadnie się do następnego lata, wydawało mu się teraz równie naiwne jak nadzieja, że grając w totolotka, można zarobić na spłatę

kredytu mieszkaniowego. Olga była z innego miasta, z rozbitej rodziny, miała własne problemy i kompleksy, a on nie przyznał jej się właściwie do niczego – ani do rozwalonego małżeństwa, ani nawet do tego, że jest wdowcem.

W końcu popatrzył na zegarek i zmusił się do działania. Wyrzucił do śmieci fusy oraz skórki z pomidorów i poszedł do łazienki, żeby umyć talerzyk, kubek, sztućce i puszkę po makreli, którą następnie postawił obok kosza na śmieci na papierowej serwetce, żeby obeschła.

Myjąc ręce, żeby pozbyć się irytującej tłustości i zapachu ryby, po raz kolejny wyobraził sobie, jak to będzie. Ciepła krew wsiąkająca w mech wśród lasu żyjącego swym cichym leśnym życiem – mrówki biegające po opadłym igliwiu, żywica sącząca się lepko z pęknięć w korze świerków, grzyby wyrastające ze ściółki.

W końcu pewnie go znajdą. Może po kilku miesiącach, może dopiero po paru latach. Niezbyt przyjemny widok, ale cóż. *Memento mori*, w każdym człowieku pod cienką, nietrwałą warstewką ciała tkwi wyszczerzony szkielet. Cała prawda o nas: umrzemy.

(Przestań, nie możesz tego zrobić Asi).

(Żyletka wyślizgująca się pomiędzy ubabranych czerwienią palców i ciepła krew wsiąkająca w mech).

Zakręcił kran. Podniósł wzrok i w lustrze zobaczył twarz Róży. Patrzyła na niego wyzywająco spod idealnie równej platynowej grzywki, mrużąc oczy podkreślone fioletowymi cieniami, których nigdy nie lubił.

– Pierdol się – powiedział zmęczonym tonem. – Już się ciebie nie boję.

Kiedy kwadrans po jedenastej wyszedł z ośrodka, na dworze panował lepki, męczący upał, a zamglone niebo i gromadzące się nad sosnami cumulusy wróżyły popołudniową burzę. Na tarasie Julii opalały się na leżakach dwie korpulentne starsze panie, którym widocznie nie chciało się przejść tych kilkuset kroków nad wodę albo nie lubiły towarzystwa innych wczasowiczów. Dominik włożył kapelusz, upewnił się, że zabrał wyłączony telefon, i wsunął rękę do drugiej kieszeni, żeby dotknąć żyletki.

Nad jeziorem zamienił kilka słów z wędkarzami („Co, nie maluje pan dzisiaj?”), po czym z ulgą zagłębił się w las. Szedł przed siebie, najpierw piaszczystą drogą, potem na wpół zarośniętymi ścieżkami, aż zawędrował do wąwozu nad strumieniem. Lekki wiatr poruszał listkami brzoź, między którymi przeświecało niebo. Owady bzyczały, ptak ukryty w krzakach wyśpiewywał fantazyjne trele. Naokoło obojętna przyroda chłoneła wodę z gleby, prowadziła fotosyntezę, węszyła, polowała, metabolizowała pochłonięte składniki odżywcze albo rozkładała się cichutko w warstwie próchnicy, obojętna na Dominikowy weltszmerc.

Wyjął z kieszeni bojówek iPoda i słuchawki. Playlistę ułożył sobie kilka dni wcześniej. Zaczynała się od piosenki Avantasii *The Scarecrow*, później szła przeplatanka utworów Metalliki, Theriona i Type O Negative. Wcisnął guzik i położył się na wznak na pniu zwalonego drzewa.

Ze słuchawek popłynęły znajome dźwięki skrzypiec, potem rozpoczął się śpiewany dialog. Sammet i Lande, przesywający, wściekły tenor i ochryply baryton, krzyčili do siebie głosami osamotnionego, wyobcowanego artysty oraz Mefistofelesa, który go kusi. Dominik patrzył na gałęzie brzoź i widoczne za nimi niebo, na którym gromadziło się coraz więcej chmur. Wspominał.

Kiedy poznał Różę, miał dwadzieścia siedem lat. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, była jego pierwszą dziewczyną tak na serio. No, jeśli nie liczyć krótkiego, nieudanego eksperymentu na początku studiów, to znaczy paru spotkań na mieście z koleżanką z grupy (trudno powiedzieć, czy zasłużyły na miano randek). Ewa była energiczna, trochę przy kości, z dużym biustem, który ładnie odznaczał się pod obcisłymi bluzkami. Rozmawiali głównie o studiach i o filmach, bo więcej wspólnych tematów jakoś nie mieli. Dominik nie pokusił się o przełamanie bariery dotyku; chociaż nigdy nie powiedział tego na głos, zawsze uważał, że całowanie się na ulicy i chodzenie za rękę to obciach, banalne godowe rytuały. W końcu Ewa zakomunikowała mu podczas przerwy między zajęciami, że lepiej, aby Pozostali Tylko Przyjaciółmi, on przytaknął (bo co miał zrobić), po czym więcej nie zamienili na uczelni nawet dziesięciu słów.

Później pojawiła się koleżanka z pewnej listy dyskusyjnej, występująca pod nickiem Strzyga. Po tym, jak wdali się w ostrą wymianę zdań w wątku dotyczącym uzależnień, napisał do niej na priva z przeprosinami. Zaczęli korespondować, maile stopniowo stawały się bardziej osobiste i w pewnym momencie coś wyraźnie zaiskrzyło na łączach. Ale Strzyga była od niego parę lat starsza i mieszkała w Gdańsku. Przesłała zdjęcie, na którym prezentowała się sympatycznie: okrągła buzia, okulary, duże ciemne oczy (jego prywatna słabość, każdy facet ma jakąś). Potem, kiedy w jakichś tam sprawach rodzinnych przyjechała do Warszawy, wykorzystali okazję i umówili się na spotkanie. Okazało się, że Strzyga na żywo wygląda znacznie starszej niż na zdjęciu – zmęczona kobieta z pofarbowanymi na czarno włosami, wyskubanymi bez sensu brwiami i cerą zniszczoną przez papierosy. Dominikowi zrobiło się głupio, że wyobrażał ją sobie zupełnie inaczej, i w zasadzie najchętniej by uciekł, gdzie pieprz rośnie. Poszli na herbatę, pogadali trochę o książkach i życiu, ale nie miało to nic wspólnego z nieuchwytną magią, która wcześniej czała się między wierszami w pozornie zupełnie neutralnych, przyjacielskich mailach. Po tym spotkaniu ich korespondencja ochłodziła i w końcu umarła śmiercią naturalną. Dominikowi było później trochę wstyd i usprawiedliwiał się sam przed sobą, że przecież nie oczekiwał Angeliny Jolie. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czego się spodziewał. Ale tego nie dostał.

No i była jeszcze Karolina, kuzynka szwagra, z którą próbowała go spiknąć pełna dobrych intencji Asia, ale skończyło się na jednym wyjściu do kina we troje. Karolina miała wprawdzie niebieskie oczy, ale też cięte poczucie humoru, nogi do samego nieba i skończyła architekturę krajobrazu, więc teoretycznie powinni mieć o czym ze sobą rozmawiać. Jednak Dominik wyczuł z jej strony tak kompletny brak zainteresowania, że zniechęciło go to do prób kontynuowania znajomości.

Lata mijały, wokół niego ludzie łączyli się w pary, kłócili się i rozstawali – on się w to nie bawił i w sumie nawet nie żałował. Gdzieś głęboko miał zakodowane, że związki albo rozpadają się szybko, albo powoli psują od środka. Małżeństwo – chociaż nie umiałyby zdefiniować sprawy w ten sposób – kojarzyło mu się

z rozmemłaniem, żoną snującą się w papilotach i kłótniami przy kuchennym stole.

A potem, tak jak po zimie przychodzi wiosna, w jego życiu pojawiła się Róża Bielecka.

Poznali się w najzupełniej konwencjonalnych okolicznościach – na ślubie. Żenił się młodszy brat Michała, męża Asi, zaś Róża, przyjaciółka panny młodej jeszcze z lat szkolnych, była świadkiem. Wesele – tradycyjny polski koszmar na siedemdziesiąt osób – zorganizowano w zabytkowym dworku pod Warszawą, a Dominik został na nie zaproszony jako fotograf. W tej roli mógł pójść absolutnie wszędzie, mógł nawet włożyć marynarkę, byle mu nie kazano tańczyć ani pić wódki.

Mniej więcej o trzeciej nad ranem sala częściowo opustoszała – część gości rozjechała się do domów albo do hotelu, ale najwytrwalsi jeszcze bawili się w najlepsze. Zespół grał przeboje Budki Suflera, jakiś brzuchaty wujek wywijał szalone piruety z nieco tylko chudsza ciotką. Wodzirej, który za dużo wypił, coś tam bredził do mikrofonu, odpowiadały mu wybuchy śmiechu. Dominik umówił się z Asią i Michałem, że odwiozą go do domu, i właśnie czekał, aż pożegnają się z rodziną, kiedy ku jego zaskoczeniu zagadnęła go świadkowa, która zeszła z parkietu i przysła do stołu ugasić pragnienie fantą. Była zarumieniona, lekko wstawiona, wesola jak szczygiełek. Najpierw oznajmiła ze śmiechem, że już dzisiaj nie potańczy, bo złamała obcas. Potem zainteresowała się, czy sfotografował dekoracje (serca z balonów i różowe bibułkowe girlandy, sto procent kiczu w kiczu), wreszcie zapytała o model aparatu. Zapytana potwierdziła, że interesuje się fotografią. Dominik rozmawiał z nią lekko speszony tym, jaka jest ładna, i próbował nie zerkać na jej dekolt. Dowiedział się, że Róża jest od niego o trzy lata młodsza, mieszka w Warszawie, ma magisterium z kognitywistyki (bał się pytać, co to w ogóle jest) oraz licencjat z grafiki komputerowej i pracuje jako asystentka w biurze projektowym, ale rozgląda się za czymś ciekawszym. Od słowa do słowa, zapaliła się do pomysłu, aby Dominik pokazał jej kilka fachowych patentów na efektowne zdjęcia. Wkrótce potem spotkali się ponownie.

Miał wtedy fazę na fotografowanie ponurych klimatów industrialnych. Przełożenie przez płot z siatki, żeby dostać się na

teren opuszczonej fabryki, brodzenie tam w błocie i polowanie na ciekawe ujęcia betonowych ścian tudzież zardzewiałych rur były dokładnym przeciwieństwem romantycznej randki („Ty to potrafisz zapewnić kobiecie atrakcje” – skomentowała Róża, kiedy rozdarła sobie spodnie o drut kolczasty), ale miały uroczy smak przygody z podwórkowych czasów. Po jednej z takich wypraw poszli się ogrzać do knajpki i tam, nad kawą, rozmowa zesłała na sprawy życiowe, a także osobiste. Od tego momentu Dominik stał się dyżurnym uchem do wysłuchiwania zwierzeń o Romanie z Łodzi, starszym o kilkanaście lat, z którym Różę „coś” łączyło, ale tamten facet twierdził, że potrzebuje wolności, i równolegle utrzymywał bliskie kontakty z innymi kobietami. To była pokrętna i nie do końca zrozumiała historia. Róża plątała się w zeznaniach, raz deklarowała: „On mnie zniszczy, ale nie umiem bez niego żyć”, kiedy indziej: „Chciałabym się uwolnić, ale on mi nie pozwoli”. Dominik zawsze był dobrym słuchaczem. Kiwał głową i współczująco mruzczał „Mhm” w odpowiednich miejscach, nawet jeśli nie miał pojęcia, co powiedzieć.

A później Róża przypadkowo dowiedziała się, że Roman jest żonaty, i otrzeźwiała na tyle, żeby zerwać z nim wszelki kontakt. Wkrótce potem ona i Dominik płynnie przeszli do statusu pary. Dla niej była to naturalna, oczywista kolej rzeczy. Dla niego – nowe i dość przerażające doświadczenie.

Zaczął się od tego, że postanowił (on!) urządzić imprezę z okazji swoich dwudziestych ósmych urodzin. Imprezę... On. Śmiech na sali. No i wyszło, jak wyszło. Miało przyjść paru znajomych, ale wszyscy wymówili się w ostatniej chwili (Asia wpadła z wizytą kilka godzin wcześniej po drodze z pracy, zostawiła prezent i pojechała prowadzić życie rodzinne). O ustalonej godzinie zjawiała się tylko Róża, przynosząc butelkę tokaju. Spędzili wieczór we dwoje, pili wino, oglądali *Mroczne miasto* i *Edwarda Nożycorękiego*, później trochę w żartach zaczęli się całować i... nie, nie znaleźli się w łóżku, ale stało się jasne, że o byciu Tylko Przyjaciółmi zasadniczo mogą zapomnieć. Dokładniej – nazajutrz Dominik uświadomił sobie, że jeśli teraz wycofa się rakiem, przeprosi i skłamię, że za dużo wypił, to mimo wszystko nie będzie potrafił definitywnie zakończyć tej

znajomości, więc prędzej czy później zrobi to Róża, kiedy pozna kogoś nowego i będzie chciała być fair.

Musiało upłynąć kilka miesięcy, zanim w ogóle uwierzył, że to się dzieje naprawdę, że Róża nie znudzi się lada dzień i nie zerwie z nim tak po prostu.

Bał się, co będzie, kiedy zostanie przedstawiony jej rodzicom. Jak się okazało, niepotrzebnie. Państwo Bieleccy wprawdzie nie należeli do ludzi, z którymi Dominik mógłby odnaleźć wspólny język – taktownie unikał zwłaszcza wdawania się w dyskusje o religii i polityce – ale nie palili się do tego, żeby ingerować w prywatne sprawy córki. Mieli poważniejsze zmartwienia, absorbowwała ich opieka nad niepełnosprawnym młodszym synem, a co do Róży – chcieli po prostu, żeby Ułożyła Sobie Życie i Była Szczęśliwa. W imię tego skłonni byli zaakceptować nawet długowłosego artystę bez stałej pracy i z tatuażami (zafundował je sobie na ostatnim roku studiów, żeby zamaskować szramy na przedramionach).

Przeprowadziła się do niego dosyć szybko, jeszcze na fali pierwszego zakochania. Nawet nie musieli się specjalnie docierać – Dominik nie należał do pedantów, niewiele rzeczy było w stanie go zirytować, a Róża akurat wtedy znalazła tę swoją wymarzoną lepszą pracę, zahaczyła się w agencji reklamowej i kiedy wracała wyczerpana po dziesięciu czy dwunastu godzinach harówki, nie miała już najmniejszej ochoty robić mu rewolucji porządkowej na jego terenie.

Pobrali się po dwóch latach od zamieszkania razem – Dominikowi nie śpieszyło się (prawdę mówiąc, wolałby w ogóle nie formalizować związku), ale dla Róży ślub był warunkiem odziedziczenia dość dużej kwoty po dziadku. Wzięli zatem cichy, szybki ślub cywilny. Wersja oficjalna brzmiała, że „kiedyś” odbędzie się taki „prawdziwy”, kościelny, z białą suknią i weselem, na który zaprosi się bliższą i dalszą rodzinę. Oczywiście „kiedyś” w praktyce miało oznaczać „nigdy”, oboje byli zgodni w tej kwestii.

Zachodził teraz w głowę, kiedy w ich małżeństwie coś zaczęło się psuć. Z uporem godnym lepszej sprawy roztrząsał tę kwestię, tak jakby dotykał językiem bolącego zęba. Choć wiedział, że to bez sensu, nie mógł przestać.

Może chodziło po prostu o najbanalniejszą z możliwych kwestii, o pieniądze. Dominik mniej więcej od połowy studiów, odkąd zaczął zarabiać, biorąc zlecenia, wiedział jedno: praca na etacie nie jest dla niego. I tego się trzymał. Był sam sobie panem, nie musiał się zrywać skoro świt i znosić humorów szefostwa. Nie miał dużych potrzeb i nie uważał, aby niższe zarobki oraz brak płatnego urlopu były wygórowaną ceną za życie bez ściskającego żołądek stresu.

Zarabiał nieregularnie – zlecenia były, problem tkwił w wiecznie spóźniających się płatnościach – więc starał się to żonie wynagradzać, biorąc na siebie większą część obowiązków w domu. Ale do pedantów, jako się rzekło, nie należał. Kiedy Róża wracała z pracy, zdarzało jej się zrobić awanturę o głupstwo – brudny kubek zostawiony na biurku albo niewyrzucone śmieci. Wtedy błyskawicznie przechodziła do oskarżeń, że nie jest „taki, jak sądziła”, że oczekiwała po nim więcej, że jej nie wspiera, nie dojrzał do małżeństwa i że jest zmęczona. Kiedy krzyczała to wszystko, Dominik nie potrafił wykrzyczeć odpowiedzi, więc milkł i nie odzywał się tak długo, dopóki w domu panowała nerwowa atmosfera. Czasem po godzinie czy dwóch Róża przeproszała z płaczem, czasem następowało parę dni ograniczenia wzajemnej komunikacji do warknięć i pomruków. Potem sytuacja stopniowo wracała do normy i wszystko znowu było dobrze.

Róża marzyła o dziecku. Starali się, ale długo nic z tego nie wychodziło. Potem, żeby uczcić czwartą rocznicę ślubu, pojechali na kilka dni do Pragi, a gdy wrócili, na teście ciążowym objawiły się wymarzone dwie kreski. Róża wpadła w euforię, zaczęło się wybieranie imienia („Jak chłopczyk, to będzie Rafał po moim tacie, a jak dziewczynka, to Wiktoria... nie, lepiej Klara... a może Maja, Dominik, jak sądzisz?”), kupowanie ubranek (bał się delikatnie powiedzieć, że może to za wcześnie). A trzy i pół miesiąca później doszło do poronienia.

Po powrocie ze szpitala Róża tydzień przeleżała w łóżku, patrząc w ścianę. Mało co jadła i prawie nic nie mówiła. Ósmego dnia Dominik, już zaniepokojony nie na żarty, zadzwonił do teściowej. Pani Bielecka przyjechała od razu. Przez kilka godzin rozmawiała z córką w sypialni, za zamkniętymi drzwiami. Dominik był prawie pewien, że efektem będzie zorganizowanie wizyty u psychiatry (sam

nie odważyłby się tego zasugerować, to teściowa od razu powiedziała rzeczowo, że zna świetnego lekarza). Jednak po tej rozmowie stał się cud. Róża, jak Łazarz, powstała z martwych. Wzięła prysznic. Ubrała się i umalowała. Pojechała z matką do fryzjera, wróciła z włosami obciętymi krótko i utlenionymi na zabójczy platynowy blond. Zadzwoiła do swojego szefa, a nazajutrz wstała bladym świtem i jakby nigdy nic poszła do pracy. I na kilka miesięcy życie tak jakby wróciło do normy.

(Pamiętasz, łudziłeś się jak głupi, że wszystko jest dobrze).

Aż do września, do tamtej paskudnej historii z Maćkiem, jej młodszym bratem. I do rozmowy na szpitalnym korytarzu, w czasie której roztrzęsiona, zapłakana Róża przypadkowo – przypadkowo! – dowiedziała się, czemu właściwie Dominik ma tatuaże na rękach. Bo nigdy jej tego nie powiedział – przyznał się do ojca alkoholika, ale nie do tego, że jako osiemnastolatek podciął sobie żyły i trafił do czubków. Dowiedziała się po ponad czterech latach od ślubu, po tym, jak jej brata ledwo odratowano po próbie samobójczej. I to właśnie był ten moment, kiedy mleko nieodwracalnie się rozlało, filiżanka się stłukła.

Teraz, patrząc wstecz, Dominik był pewien, że to wtedy Róża postanowiła zamknąć rozdział pod tytułem „pani Budrewicz”. Nie wiedział – i nie miał ochoty się zastanawiać – czy od samego początku żałowała decyzji o ślubie. W każdym razie zatajenie przez niego prawdy ewidentnie potraktowała jak rozgrzeszenie z tego, co zamierzała zrobić: wymiany męża na nowy, lepszy model. Taki bez wad ukrytych. Bo właśnie od września, od tamtej rozmowy, zaczęła go traktować jak uciążliwy, zbędny element w swoim życiu. Coraz większy chłód („Straciłam do ciebie zaufanie” – wyjaśniła zwięźle, kiedy próbował delikatnie wypytać, co się dzieje), obojętność przeplatana wybuchami rozdrażnienia i zostawanie w pracy do późnego wieczora, także w soboty.

(Jak mogłeś się w porę nie połapać, w jakim świecie żyłeś?).

A potem, no cóż, wszystkie jego złudzenia, nadzieje i zamki na piasku (planował, że latem pojedą razem w Bieszczady, jak za narzeczeńskich czasów, tam z dala od codziennego kieratu nie będą się kłócić i Róża znowu zacznie być taka jak dawniej – śmiech na sali) zostały zmiecione przez bezgłośny wybuch bomby zawartej

w liście. Bomba spadła w połowie grudnia. Dominik pojechał wtedy na weekend do matki – rzadko ją odwiedzał, najwyżej trzy razy do roku, Asia jeździła tam częściej. Po powrocie zastał w sypialni wybebeszoną szafę oraz komodę, na łóżku rozrzucone ubrania, których Róża nie uznała za stosowne zabrać, a na kuchennym stole kartkę.

Pozew rozwodowy przyszedł pocztą dwa tygodnie później. Po jego przeczytaniu Dominik w pierwszej chwili nie wiedział, w czyje zdrowe zmysły zwątpić, własne czy Róży. Prawnik wyjaśnił mu później, że pozew z orzekaniem o winie oraz wysrane z palca oskarżenia, obowiązkowo z powodu „przemocy domowej” i „zaburzeń psychicznych”, to klasyczna zagrywka, gdy chce się jak najwięcej ugrać przy podziale majątku.

– Mówiłem, że spotkamy się w lesie.

Znajomy zachrypnięty głos przyprawił go o dreszcz, a równocześnie czyjaś sylwetka przesłoniła światło. Dominik podniósł wzrok. Wyłączył muzykę i usiadł.

Śniady mężczyzna w wytartych dżinsach oraz wyszarzałej czarnej bluzie z wizerunkiem Dio przysiadł obok na zwalonym pniu i zaczął jeść z dłoni uzbierane maliny.

– Viggo Mortensen zjadł różę – powiedział Dominik po długiej chwili milczenia, autentycznie ciekaw, czy Zły okaże się choć trochę obeznany z wizerunkami, jakie mu stworzyła popkultura.

– Słucham?

– Kiedy grał Lucyfera. W *Armii Boga*.

– Ach, faktycznie. – Szatan wsunął do ust ostatni owoc, przeżuł go i przełknął. Potem rozejrzał się, pstryknął palcami. Dobiegające z góry ptasie trele urwały się, coś zaszeleściło w gałązkach i pacnęło ciężko na mech u stóp Dominika. Martwy ptak. – Mogę zjeść tego drozda, jeśli to pomoże ci uwierzyć, że jestem prawdziwy.

Znów pachniał dymem, a także potem i ziemią, z lekka zwierzęco. Nieogolony, chudy jak Dio albo Iggy Pop, z włosami niedbale związanymi na karku i niepokojącą, jakby wygłodniałą twarzą. Bez trudu można było go sobie wyobrazić, jak stoi w łunie płonących ognisk w noc Kupały i patrzy tymi czarnymi, prastarymi oczami na pary kopulujące na trawie w frenetycznym szale pogańskiego święta.

– Co, czyli jednak przyszedłeś tu z żyłką? – zagadnął jakby nigdy nic. – Jakie utwory zachowałeś sobie na koniec? Pewnie *Fade to Black* Metalliki, mam rację?

– Pieprz się. – Już mówiąc to, Dominik pożałował, że nie przyszło mu do głowy nic bardziej inteligentnego.

– Muchy – ciągnął Zły takim tonem, jakby prowadzili przyjacielską pogawędkę – składają jajeczka na zwłokach już w ciągu trzech godzin od śmierci. Po tym, jakie gatunki owadów żerują na ciele i ile pokoleń larw zdążyło się przepoczwarzyć, patolog jest w stanie poznać, jak dawno nastąpiła śmierć.

– Nigdy nie byłem dobry z biologii.

Dominik wsunął dłoń do kieszeni, dotykając żyłki. Zerknął na zegarek: dochodziła druga. Uznał, że lepiej będzie odejść trochę dalej od ścieżki. Głębiej w zarośla.

Maliny kłuły, czepiały się odzieży. Przedzierał się przez nie z trudem, a szatan podążał za nim krok w krok. Suche liście i gałązki trzeszczały pod podeszwami zniszczonych martensów z popękany, zakurzonym licem.

– Koniecznie chcesz wszystko oglądać z bliska? – nie wytrzymał w końcu Dominik.

– Oczywiście, to moja praca. – Zły błysnął w uśmiechu zaskakująco ładnymi, równymi zębami. – Skoro o pracy mowa, odesłałeś ostatnie zlecenie?

– Wczoraj po południu.

– A strachy na wróble? Wystawa nie dojdzie do skutku.

– Oj tam, wystawa w osiedlowym domu kultury. Pies z kulawą nogą by się nie zainteresował.

Dominik syknął, kiedy kolczasta gałązka zahaczyła mu o włosy. Odplątał ją z trudem. Rozejrzawszy się, doszedł do wniosku, że nie ma sensu pchać się głębiej w malinowy gąszcz.

Usiadł, opierając się plecami o pień drzewa. Wyjął z kieszeni żyłkę i powoli wysunął ją z papieru, w który była opakowana. Szatan patrzył na niego drwiąco.

– Nie przyszło ci do głowy, jak nieekologicznie jest gnić w ubraniu i butach? W sumie niewiele się to różni od wywiezienia śmieci do lasu.

– No cóż – Dominik zmusił się do prychnięcia z udawaną nonszalancją – przynajmniej nie przyszedłem tu w gumiakach.

Przesunął palcem wzdłuż podłużnej szramy na przedramieniu, zgrabnie wkomponowanej w fantazyjny wizerunek skrzydlatego węża owiniętego wokół piki.

(To łatwe, już raz to zrobiłeś. Ciach, ciach i już. Tym razem ojciec nie zadzwonił po pogotowie w ostatniej chwili).

– A wiesz – odezwał się nagle Zły – mam dla ciebie ciekawą informację. Kiedy robiono sekcję zwłok twojej żony, wiesz, co odkrył lekarz?

– Nie mam pojęcia.

I chyba nie chcę wiedzieć – dodał w myślach, ale szatan podjął:

– Była w ciąży. Piętnasty czy szesnasty tydzień.

– Z tamtym facetem, tak? – spytał Dominik po dłuższym milczeniu.

– Skąd mam wiedzieć? Nie zapisałem w kalendarzu, kiedy przestaliście ze sobą sypiać, a na badania DNA już trochę za późno.

– Teraz Zły uśmiechał się od ucha do ucha.

Dominik zwalczył przemożną chęć przyłożenia mu pięści.

– Czemu nikt mi o tym nie powiedział? Tam w prokuraturze...

– A czemu mieliby? Pewnie zakładali, że wiesz.

– No cóż. – Dominik przełknął, po czym wzruszył ramionami. – To już i tak bez znaczenia.

Uniósł żyletkę, przyłożył ją do odsłoniętego nadgarstka...

(to łatwe)

...i się zawahał. Teraz, kiedy przyszło co do czego, wcale nie czuł się gotowy. Właściwie, jeśli miałyby być szczery, nagle poczuł się jak idiota.

– Tak – odezwał się szatan, najwyraźniej czytając mu w myślach.

– Nie przeczę, dokładnie tak się zachowujesz. Wiesz, po czym można poznać prawdziwego mężczyznę? Po tym, że wie, czego chce.

Dominik zacisnął żyletkę w palcach. Zamknął oczy i kilka razy głęboko naciął wnętrze dłoni, wzdrygając się z bólu. Chciał, żeby bolało. Za wszystkie kłótnie z Różą, za jej pozew, za szefa, z którym się pieprzyła w biurze. I za Olgę, z którą nie miało prawa wyjść, bo z Różą też na początku (kurwa) było pięknie. Zdrową ręką sięgnął do kieszeni bojówek po chusteczki higieniczne, wyciągnął je

z opakowania i zacisnął w pokaleczonej dłoni. Czuł, jak krew w niego wsiąka, jak cienka ligninowa warstewka lepi się do skóry. Dobrze.

Potem, łamiąc gałęzie i depcząc pędy malin, które czepiały się jego ubrania i drapały po twarzy, zszedł nad strumień i cisnął żyletkę do wody. Błysk, plusk i wpadła między kamienie, stracił ją z oczu.

– I co teraz? – zapytał szatan. – Wrócisz do domu? Olga napisze do ciebie maila, ale nie odpiszesz, prawda? Mogę ci dać namiary na dobry portal randkowy.

Dominik bez słowa odwrócił się do niego plecami. Gdy odchodził ścieżką w głąb lasu, gonił go ochryply śmiech kusiciela.

Wtedy. Styczniowy talizman

Mama wróciła ze szpitala. Leży w domu, trochę chodzi z chodzikiem. Drastycznie schudła, żyje praktycznie powietrzem, a przy tym jest bardziej warkliwa i niemila niż kiedykolwiek.

Łyka jakieś naturalne suplementy, witaminy, ziołowe kapsułki detoksyfikujące, jakby to mogło cokolwiek pomóc, zwłaszcza na tym etapie. Papierosy oczywiście popała nadal, choć zeszła do połowy paczki dziennie, bo mówi, że przestały jej smakować, choć tyle dobrego.

W ten weekend Artur przywiezie dzieciaki, żeby spotkały się z babcią Janką, dopóki babcia jeszcze ma siłę na wizyty. Będą opowiadać o tym, co tam słyszą w szkole. Najstarsza Iza jest wzorową uczennicą, wdała się w ojca. Dziesięcioletni Darek oceny ma takie sobie, ale trenuje karate i ostatnio zdobył jakąś nagrodę na zawodach. Mały Filip, trochę łobuziak, ulubieniec babci, poszedł teraz do drugiej klasy.

Dziadka Olgierda, jak sędzę, nie znają nawet ze zdjęć. Czasem chodzi za mną smutna myśl, jedna z wielu, że gdyby wszystko ułożyło się inaczej, ojciec pewnie cieszyłby się z wnuków, kleiłby z nimi latawce i opowiadałby im na dobranoc dziwne baśnie.

Kiedy byłam małą, zajmował się mną głównie on, nie mama, bo pracował w domu, podczas gdy ona wychodziła do biura i nie było jej przez większość dnia, a Artur po szkole chodził na różne zajęcia pozalekcyjne. To tata szykował mi rano śniadanie, prowadził do przedszkola, przyprowadzał z powrotem, zabierał mnie na popołudniowe spacerunki do parku, żebym mogła pokarmić łabędzie. I to tata opowiadał mi bajki na dobranoc.

Sypiałam w najmniejszym pokoju, za parawanikiem malowanym w koty, na dzieciennym łóżeczku zrobionym przez zaprzyjaźnionego stolarza. O dziewiętnastej trzydzieści, zaraz po dobranocce, mama mówiła: „Olga, do łazienki”. Nalewała wody do wanny, pilnowała mnie, kiedy się kąpałam, potem pomagała włożyć piżamkę –

niecierpliwio ją patrzenie, jak niezgrabnie robię to sama – ale kiedy już się położyłam, pałeczkę przejmował tata. Siadał przy moim łóżku i zaczynał opowiadać.

Wymyślał fantastyczne historie o dalekich krainach i dziwnych istotach – o złotorożcach, których ciała błyszczą jak słońce; o staruszce ze starego młyna, która mieli śnieg i sieje wiatr; o królowej, która mieszka w twierdzy z kolczastych łądyg; o wędrowcu w zielonym kapeluszu, który przemierza różne światy i czasy. Mamę denerwowały te wieczorne opowieści.

– Niepotrzebnie rozbudzasz jej wyobraźnię – mówiła – a potem się dziwisz, że dziecko nie może zasnąć.

Gdy tylko tata gasił światło, cienie w pokoiku ożywały, a ja bałam się zamknąć oczy. Wyobrażałam sobie, że za zasłonami mieszkają potwory, wielkie, tłuste szcziropajaki z opowieści taty, które wypełzną, gdy tylko zasnę, i zaczną mi chuchać w twarz, a kiedy się zbudzę, ja także będę potworem ukrytym pod maską człowieka. Kręciłam się i wierciłam, próbując opanować strach, aż w końcu nie byłam w stanie dłużej wytrzymać, i biegłam prosić, żeby mi postawili przy łóżku lampkę nocną. Mamę to denerwowało, bo wyczytała gdzieś, że zasypianie przy świetle jest szkodliwe dla oczu. Wpadła na pomysł, żeby mi podawać na noc walerianę, ale rozpuszczone w wodzie krople smakowały obrzydliwie, płakałam i nie chciałam ich pić. Kategoriecznie zażądała też, żeby tata skończył z opowiadaniem mi „tych swoich wymysłów”, a zamiast tego czytał na głos normalne książeczki dla dzieci. Ponieważ jego jedyną reakcją było: „Janeczko, nie wygłupiaj się”, doszło do tego, że poskarżyła się dziadkowi Łukaszowi podczas niedzielnego obiadu. Wybuchła kłótnia zakończona stłuczeniem salaterki z truskawkami (ojciec), dwóch szklanek (dziadek) i histerycznym płaczem (mama). Po tej awanturze tata już nigdy więcej nie opowiedział mi żadnej zmyślonej historii, rozpoczęła się era czytania na dobranoc. Czasem robił to ojciec, częściej Artur, bo ojca czytanie na głos na dłuższą metę nudziło. Nie dziwiło mnie to – po jego opowieściach te czytane historie wydawały mi się jakieś płaskie, dziecinne i pozbawione uroku. Uważałam, że Kubuś Puchatek jest głupi, Fizia Pończoszanka nie wzbudzała mojej sympatii, a z Muminków lubiłam tylko Włóczykija.

Potworów bałam się nadal. Mama stwierdziła kategorycznie, że mam nie wyczyniać cyrków, jestem już duża i muszę się nauczyć zasypiać bez lampki. Pewnej nocy po zgaszeniu światła zastawiła drzwi fotelem, żebym nie mogła ich otworzyć, i zapowiedziała, że jeśli spróbuję „narobić hysterii”, dostanę w skórę. Zaczęłam płakać, ona wyszła, płakałam dalej, wróciła i dała mi klapsa, ojciec na nią nakrzyczał, znów wybuchła awantura. Skończyło się tak, że ja zasnąłam splakana, podczas gdy rodzice dalej kłócili się w kuchni.

Nazajutrz wieczorem, kiedy skończyliśmy czytać *Dziadka do orzechów*, tata sięgnął do kieszeni i zapiął mi na szyi mały srebrny wisiorek.

– To styczniowy talizman – powiedział z tajemniczym uśmiechem, zniżając głos. – Przyniosłem go z Zaświatu. Dopóki masz go na szyi, żaden potwór cię nie skrzywdzi. Tylko nic nie mów mamie.

Tej nocy już nie bałam się zasnąć przy zgaszonym świetle. Następnego też nie.

Nosiłam styczniowy talizman jeszcze długo po tym, jak rodzice się rozwiedli. Zgubiłam go w piątej klasie podstawówki, gdy łańcuszek zerwał się podczas lekcji WF-u.

Kto szuka, znajduje. Przynajmniej czasami

Kiedy czerwone słońce dotknęło horyzontu, Dominik do reszty zwątpił w swoją zdolność orientacji. Sądził, że zna już tereny wokół jeziora Szept zupełnie dobrze, ale najwyraźniej było to mylne wrażenie.

Przez cały dzień błąkał się po lesie, kompletnie nie będąc w stanie ustalić, gdzie się znajduje, tak jakby nieznana siła umyślnie poplątała ścieżki. Czasem miał wrażenie, że rozpoznaje daną polankę czy rozwidlenie drózek, ale za każdym razem, gdy sądził, że już za moment znajdzie się w pobliżu ośrodka Julia, okazywało się, że trafia w zupełnie inne miejsce, niż się spodziewał. Był głodny i żałował, że nie zabrał nic do jedzenia.

Szedł dalej, przekonany, że prędzej czy później musi natrafić albo na zabudowania, albo na drogę, która zaprowadzi go z powrotem do cywilizacji. Ale nie było ani zabudowań, ani drogi, ani w ogóle żadnych śladów działalności człowieka. Ścieżka prowadziła teraz przez głęboki parów, częściowo zatarasowany przez omszałe zwalone pnie. Pachniało grzybami i zbutwiałym drewnem.

W pewnym momencie Dominik zdrętwiał, widząc w samym środku lasu stracha na wróble w obszarpanej kapocie i zielonym kapeluszu, ustawionego pod rozłożystym dębem. Znów te cholerne zwidy na jawie, czy kiedykolwiek się od nich uwolni? Obrócił się na pięcie i odszedł prędko, nie oglądając się za siebie, targany irracjonalnym strachem, że kukła ożyje i pobiegnie za nim.

Zapadał zmierzch, robiło się coraz ciemniej. Dominik przygotował się mentalnie na to, że czeka go nocleg w lesie. Jednak bynajmniej nie zamierzał nocować nisko w parowie, gdzie już teraz było chłodno, a od ziemi ciągnęło wilgocią. Uznał, że dopóki jest na tyle jasno, żeby cokolwiek widzieć, będzie szedł tak długo, aż znajdzie jakieś lepsze miejsce. Ścieżka opuszczała parów i wiodła w górę, więc piął się nią, aż w końcu drzewa zaczęły rzednąć.

Gdy wreszcie wyszedł z lasu, zatrzymał się jak wryty.

Stał na zboczu doliny, której dno zaścielały mgły. Miejsce wyglądało całkiem obco, a krajobraz był zdecydowanie niecharakterystyczny dla Wyżyny Lubelskiej, kojarzył się raczej z niższymi partiami gór w typie Beskidów. Ze wszystkich stron wznosiły się ciemne świerki, ciszę mącił tylko głośny szum potoku. A co najdziwniejsze – kawałek niżej w zapadającym zmierzchu majaczył stary drewniany młyn o dachu krytym strzechą, jakie widuje się już tylko w skansenach.

Dominik dłuższą chwilę kontemplował ten widok, zastanawiając się, dokąd, do cholery, udało mu się zawędrować i czy przypadkiem nie odbył niechcący podróży w czasie. W końcu zdecydował, że jeśli w młynie mieszkają jacyś ludzie, spyta o możliwość przenocowania, a jeśli budynek jest opuszczony, to tym lepiej – pewnie da się wejść do środka, na przykład przez wybite okno.

Gdy był już prawie przy drzwiach młyna, te otworzyły się ze skrzypnięciem. Z wnętrza wyszła staruszka wspierająca się na lasce, a za nią wybiegł mały chłopiec.

Piotr

Podróż z powrotem

W noc po tym, jak spotkałem na moście ciemnoooką dziewczynę, a później człowieka imieniem Hannes, przyśniło mi się, że Lublin został całkowicie opanowany przez szare.

Z wystaw i szyldów, z billboardów i znaków drogowych, z drzew i klombów wypite zostały wszystkie barwy; pod zachmurzonym niebem rozciągała się monochromatyczna panorama przywodząca na myśl stare filmy wojenne. Samochody, autobusy – wszystko zamarło w bezruchu, ani jeden gawron nie przefrunął nad parkiem, ani jeden gołąb nie spacerował po chodniku. Trupy mieszkańców spoczywały na ulicach niczym porzucone wylinki, wyschnięte i skurczone. Rozkład, stagnacja, pleśń i pył. W martwym krajobrazie poruszały się tylko szare. Przemykały w półmroku pod ścianami, równie mgliste i słabo widoczne co zawsze. Choć zwycięskie, nie wyglądały na zwycięzców.

A potem niebo rozpękało się na całej długości, ze szczeliny chlusnął ognisty blask, zagrział coraz bliższy tętent i zaczęły się stamtąd wyłaniać złotorożce – złotopłowa nawała zniszczenia, grzywiasta apokalipsa. Pędziły cwałem, roztrzaskując kopytami dachy, obalały drzewa, burzyły domy. Nim zdążyłem ochłonąć, na moich oczach zawałiła się Brama Krakowska, potem Wieża Trynitaraska złamała się wpół jak zapałka i runęła w chmurach pyłu. Złotorożce gnały hen, przed siebie, znikwały w dali, lecz z serca niebios wyłaniały się kolejne i kolejne, zaś miasto, zamrożone pod warstwą szarości, kruszyło się pod ich kopytami i rozsypywało w nicość...

Ocknąłem się w środku nocy i poderwałem przerażony, widząc, że w drzwiach pokoju stoi postać z latarką w ręku. Policja – przemknęło mi przez głowę, lecz to był Hannes.

– W końcu cię znalazłem – oznajmił. – Koniec z ukrywaniem się po ciemnych kątach. Pora wracać, chłopcze.

Oszołomiony, sparaliżowany świadomością, że teraz już nie mam dokąd uciekać, gapiłem się na niego z otwartymi ustami.

– Dokąd wracać? – wyjąkałem.

– Daleko i blisko. – Patrzył na mnie z tym swoim życzliwym uśmiechem, ewidentnie oczekując reakcji. – Wysoko i nisko. Tam, gdzie słońce wschodzi na zachodzie i gdzie z trzech ziaren rzuconych w trzy skiby wykiełkują trzy sny. Nic ci to nie mówi?

Zaprzeczyłem ruchem głowy, choć jego słowa przyprawiły mnie o dreszcz niepokoju. Czułem, że coś ożyło w moim umyśle, że zaczynam sobie przypominać, wróciły na wpół zatarte obrazy, skojarzenia... Gdy jednak spróbowałem się na nich skupić, uleciały, rozprysły się niczym bańka mydlana.

– Nieważne. Chodź. – Ponaglił mnie ruchem ręki. – Twój pociąg przyjeżdża niedługo.

Nagle ogarnęła mnie rezygnacja. Poczułem, że nie ma sensu się opierać. Właściwie po co miałbym tu dalej wegetować, na obrzeżach miasta pochłanianego przez szarość, z którą nie potrafiłem już walczyć? I czego się bałem? Wiedźma umarła, szare wysały ze mnie niemal wszystkie barwy, nie miałem już z czego pleść amuletów, nie miałem wspomnień ani styczniowego talizmanu... Nie pozostało mi nic do stracenia. Rozejrzałem się, próbując zdecydować, co z mojego skromnego dobytku powinienem zostawić, a co muszę zabrać. Schyliłem się, by zrolować koc, ale Hannes powstrzymał mnie ruchem dłoni.

– Zostaw. Niczego nie potrzebujesz. Chodź, nasi przyjaciele czekają.

Gdy wyszliśmy na ganek, poczułem w brzuchu chłód.

Wokół domu zgromadziły się szare. Czekały w milczeniu – setki, tysiące niewyraźnych sylwetek, stłoczonych niczym ludzie wokół sceny, na której zaraz odbędzie się występ. Nie miały oczu, rysów, tylko mgłę w miejscu twarzy, a mimo to czułem, że wpatrują się we mnie, śledzą przenikliwym, natarczywym, głodnym wzrokiem. Zadrzałem, dobrze pamiętając, że nie mam już styczniowego talizmanu, a zatem nic mnie przed nimi nie chroni.

– Chodź – powtórzył Hannes.

Ponieważ się nie poruszyłem, wyciągnął rękę. Wiedząc, że opór jest bezcelowy, ująłem jego dłoń i pozwoliłem się wyprowadzić na

podwórzu. Szare nie próbowały atakować, w milczeniu rozstępowały się przed nami. Czułem wionący od nich chłód. Zerknąłem przez ramię na stary dom, który tak długo służył mi za schronienie.

Gdy mineliśmy rozwalające się ogrodzenie z siatki, szare ruszyły za nami. Sunęły bezszelestnie niczym pełznący tuż nad ziemią opar.

– Dokąd idziemy? – odważyłem się spytać, gdy wyszliśmy na ścieżkę rowerową biegnącą wzdłuż Bystrzycy.

Hannes uśmiechnął się tajemniczo.

– Zobaczysz.

Noc była bezwietrzna, cicha, niebo czyste i wygwieżdżone. Procesja szarych postępowała za nami krok w krok. Po kilkuset metrach Hannes skręcił w dróżkę wiodącą przez chaszczę na nasyp kolejowy. Wspinaliśmy się po nim długo, aż zadyszałem się i rozboleły mnie nogi. Gdy w końcu stanęliśmy na górze, uświadomiłem sobie, że nasyp jest znacznie wyższy, niż powinien być – daleko w dole majaczyła mozaika świateł miasta, a my staliśmy wśród chmur, niemalże na wyciągnięcie ręki od księżyca, który zawisł na fioletowym niebie jak pękaty owoc. Nasze długie cienie kładły się na torach. Dwie srebrzyste linie wiodły w nieskończoną dal. Potem zobaczyłem, że szare, zamiast iść dróżką, jeden po drugim odrywają się od ziemi i wznoszą ku nam. Wkrótce otoczyły nas, otuliły jak mgła nadpływająca znad rzeki, skrytej za drzewami po drugiej stronie nasypu.

Patrząc na uśpione miasto, zadałem sobie pytanie, czy ktokolwiek poza mną był świadom plagi szarych i czy ktokolwiek odetchnie z ulgą, gdy wstanie nowy dzień, już wolny od ich mglistej obecności.

– To miasto nie jest miastem, za które je bierzesz – odezwał się Hannes, jakby czytając mi w myślach.

Poczułem ukłucie niepokoju, nie wiedząc dokładnie dlaczego. Potem usłyszałem dobiegający z oddali stukot pociągu. Na horyzoncie pojawiły się dwa jasne punkciki – światła lokomotywy. Przybliżały się, a stukot narastał do huku.

Odeszliśmy kawałek od torów. Chciałem zejść z nasypu, ale Hannes mi nie pozwolił.

– On się tu zatrzyma – powiedział. Nie dowierzałem, lecz przytrzymał mnie za ramię. – Czekałmy.

Światła pociągu rosły i już wkrótce elektryczna lokomotywa wyłoniła się z ciemności. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że kabina maszynisty jest oświetlona na błękitno. Potem rozległ się przeraźliwy pisk hamulców. Zatkaną uszy. Pociąg minął nas, stopniowo zwalniając, aż stanął. Drzwi wagonów otworzyły się zapraszająco.

Nim ochłonałem ze zdumienia, Hannes popchnął mnie lekko.

– No, wsiadaj.

Owiał mnie lodowaty ziąb i kątem oka spostrzegłem, że szare zalewają nasyp jak fala przyboju, sunąc w kierunku wagonów. Wlewały się do środka drzwiami i oknami.

– Dokąd jedzie ten pociąg? – znów odważyłem się spytać.

– Tam, dokąd musisz wrócić. Wsiadaj. – Hannes ponownie pchnął mnie ku drzwiom najbliższego wagonu.

Wsiadłem. Obok mnie przepłynęły dwa spóźnione szare. Wyjrzałem przez okno. Księżyc oświetlał puste zbocze nasypu i łąki daleko w dole. Ścieżka rowerowa przecinała je na ukos, a jeszcze dalej, wśród drzew, dostrzegłem dach opuszczonego domostwa.

Drzwi wagonów zatrzasnęły się, zabrzmiał gwizd niewidocznego konduktora i pociąg ruszył, stopniowo nabierając prędkości. Hannes położył mi rękę na ramieniu.

– Chodźmy do przodu. Powinieneś się przywitać z maszynistą.

Poszliśmy. Wagony były normalne, z przedziałami, w których teraz kłębiły się mgliste kształty szarych. Ich specyficzny chłód przyprawiał mnie o gęsią skórę, ale zupełnie nie interesowały się nami. W końcu dotarliśmy do lokomotywy. Hannes śmiało otworzył drzwi opatrzone tabliczką „Wstęp wzbroniony”. Na końcu ciasnego korytarzyka znajdowała się kabina, z której sączyło się dziwnie znajome błękitne światło.

Wewnątrz spodziewałem się ujrzeć nowoczesne pulpity sterownicze i człowieka w mundurze, który zapyta surowo, co tu robimy. Zamiast tego zobaczyłem błękitną latarnię.

Kołysała się na haku wbitym w sufit, siejąc lazurowymi błyskami, które odbijały się w każdej wypolerowanej metalowej powierzchni – a tych wokół nie brakowało. Mnóstwo staroświeckiej maszynierii – wielkie tryby, dźwignie, przekładnie, lśniące zimno w niebieskiej

poświacie – skrzypiało, zgrzytało, postukiwało i wypuszczało obłoczki pary.

Już nie znajdowaliśmy się wysoko wśród chmur. Za przednią szybą przesuwiał się nocny krajobraz; po prawej, za drzewami, umykały wstecz ostatnie bloki lubelskich osiedli.

W fotelu maszynisty, nonszalancko opierając stopy w martensach o deskę rozdzielczą, siedział szatan. Domyśliłem się od razu, że to on, choć dla niepoznaki przybrał postać drobnego mężczyzny o nastroszonych jasnych włosach, ubranego w dżinsy i ekstrawagancką kurtkę z galonami. Obrócił się w naszą stronę.

– Witaj, Olgo-Greto – powiedział, mierząc mnie uważnym spojrzeniem piwnych oczu. – Zmieniłaś się, odkąd ostatnio cię widziałem.

Dreszcz przeszył mnie jak iskra wyładowania elektrycznego.

– Nazywam się Piotr – wyjąkałem, lecz on pokręcił głową.

– Spójrz w głąb latarni, pokaże ci prawdę.

Zerknąłem na Hannesa, który potaknął. Tak więc, wstrzymując oddech, ostrożnie zdjąłem latarnię z haka. Lewą ręką złapałem się uchwyty przy bocznym oknie, w samą porę, bo lokomotywa zakołysała się, biorąc zakręt. Na zewnątrz przesuwwały się granatowoszare pola z ciemniejszymi plamami zadrzewień. Gdzieś błyskały światła: tu samotny dom, tam kilka aut stojących w kolejce przed szlabanem i migającym czerwono sygnalizatorem.

Szatan przesunął dźwignię i pociąg zaczął przyśpieszać do nieprawdopodobnej prędkości. Nocny pejzaż zamazał się, a stukot kół przeszedł w jednostajny szum, jakbyśmy nie jechali, a lecieli. Nie było już kołysania, w kabinie wyczuwało się jedynie delikatne wibracje, jak w samolocie.

Latarnia w mojej dłoni szarpnęła się niczym żywe stworzenie, więc zwróciłem na nią wzrok i ujrzałem, że w jej wnętrzu przesuwają się obrazy jak w małym telewizorze. Z początku monochromatyczne, w odcieniach błękitu, stopniowo nabrały kolorów.

Za oknami mieszkania świeci jesienne słońce, żółte liście opadają z drzew. Dziewczynka o ciemnych warkoczykach ma siódme urodziny i tata przynosi jej w prezencie to, o czym marzyła:

ślicznego szczeniaczka z kokardą na szyi. Dziewczynka cieszy się, skacze z radości, biegnie do kuchni, żeby obwieścić mamie wspaniałą nowinę: mam pieska, dostałam pieska! A mama łapie się za głowę i robi ojcu awanturę, kolejną z tysiąca awantur, że jest kompletnie nieodpowiedzialny, jak zwykle nie pomyślał, tylko narobił jej kłopotu – szczeniak poniszczy im meble i dywany, ktoś go będzie musiał karmić, wyprowadzać i sprzątać po nim...

Ojciec słucha bez słowa, zaciskając szczęki. Nagle obraca się na pięcie, zgarnia szczeniaka i wychodzi, trzaskając drzwiami. Matka z całej siły ciska o podłogę trzymanym w rękę garnkiem, zupa ogórkowa ochlapuje pół kuchni, a dziewczynka płacze, szlocha wniebogłosy, bo to wszystko jej wina, bo tak bardzo chciała dostać na urodziny pieska...

Fala wspomnień zwała się na mnie niczym tsunami burzące zapory, kruszące mury, zmiatające iluzje, by odsłonić prawdę.

Prawdę o mnie.

Jakkolwiek górnolotnie by to brzmiało.

Podniosłam głowę, przelękając łzy, i napotkałam wzrok Hannesa. W jego spojrzeniu wyczytałam współczucie.

– Witaj z powrotem, Olgo – powiedział.

Otarłam oczy, wciąż jeszcze zdezorientowana nagłą zmianą tożsamości. Nieufnie spojrzałam po sobie. Byłam ubrana w czarny sweter, który poprzedniej zimy zrobiłam na drutach, długą spódnicę, grube rajstopy i glany. Brudna flanelowa koszula i dzinsy bezdomnego chłopca rozwiały się wraz z poprzednim snem, snem, z którego właśnie wracaliśmy.

Zerknęłam nieufnie na szatana i tknęło mnie, że skądś chyba go znam. Potem przypomniałam sobie skąd. Lata temu, gdy we śnie zesłam do podziemnej komnaty pod starą kamienicą na Górnej, to właśnie on powitał mnie wewnątrz. Prawie się nie zmienił, tylko fryzurę miał inną. Uśmiechnęłam się w duchu, bo poczułam się jak w towarzystwie dwóch starych znajomych.

Dniało, a za oknami lokomotywy przesuwał się sielski wiejski krajobraz: pola, lasy i łąki, na których pasły się krowy, skupiska bielonych chałup krytych gontem. Nigdzie nie było widać asfaltowych dróg ani słupów wysokiego napięcia. Spojrzałam pytająco w stronę Hannesa.

- To Zaświat?
- A jak sądzisz?
- Myślę, że tak.
- To dobrze myślisz.

Gdy tak patrzyłam na jego ogorzałą twarz i życzliwy uśmiech, nagle tknęło mnie, że Hannes z kimś mi się kojarzy. Może przez zielony kapelusz i turystyczne buty, może przez ogólny sposób bycia. Niby wyglądał inaczej, głos też miał inny, a jednak przypominał mi... Bałam się zwerbalizować tę myśl.

W uszach szatana tkwiły słuchawki, z których dobiegało ciche brzęczenie muzyki. Kołysał głową, postukując palcami do rytmu. Pociąg wytracał prędkość, koła stukotały miarowo. W końcu wjechaliśmy do lasu, w zielony cień pod drzewami. Za oknami przesuwały się białe pnie brzoź, które po chwili ustąpiły miejsca sosnom rosnącym na piaszczystym gruncie. Szatan przesunął dźwignię; wśród zgrzytu i pisku hamulców ciężka maszyna zwolniła jeszcze bardziej, aż w końcu stanęła. Spojrzałam w lewo i w prawo: żadnego peronu, żadnej stacji, wokół nasypu tylko drzewa, wszędzie drzewa. Sosny o rzadkich gałęziach i szorstkich pniach, z których łuszczyła się kora, a nad nimi niebo, czyste i puste.

- Tu wysiadasz – oznajmił szatan. – Miłego dnia.
- A szare?
- Jadą dalej, do krainy ostów.

Zerknęłam w stronę Hannesa, lecz czekało mnie zaskoczenie i gorzkie rozczarowanie. Wędrowiec w zielonym kapeluszu zniknął, jakby nigdy go tu nie było. Coś ukłuło mnie w sercu. A więc znów zostałam sama.

Postanowiłam niczego po sobie nie pokazać, rezolutnie uniosłam głowę i ruszyłam ku drzwiom, ale głos szatana osadził mnie w miejscu.

- Czekaj! Zostaw latarnię. Oddam ją Królowej.

Posłusznie odwiesiłam latarnię na hak. Po chwili szarpania się z klamką otworzyłam drzwi kabiny, zeszałam po schodkach i zeskoczyłam na ziemię. Drzwi zatrzasnęły się, a pociąg ruszył. Gdy mijały mnie kolejne wagony, w oknach widziałam mgliste sylwetki szarych. Zdawało się, że spoglądają tęsknie na bujną zieleni Zaświata, pachnącego rosą i wiosną.

W końcu ostatni wagon zniknął w oddali, a stukot kół ucichł. Stałam sama na nasypie kolejowym pośrodku lasu. Wydeptana w trawie ścieżka prowadziła do drogi widocznej kawałek dalej, w prześwicie między drzewami. Gdy tam doszłam, zza sosen złościście wyblysnęło wschodzące słońce. W jego blasku poznałam, że stoję na Ścieżce.

Część III

*You're home – found asylum
In a world where the broken dance
On shards of glass*

Edguy, *Asylum*

Pierwsze wycięcie serca

Gdy szłam Ścieżką przez las, ani jeden podmuch nie poruszył liści; zdawało się, że cała przyroda wstrzymała oddech, zamarła w oczekiwaniu.

Minęłam łączkę, gdzie wieki temu natknęłam się na złotorożca, przeszłam przez wąwóz i wspięłam się na wzgórze. Gdy wyszłam spod osłony drzew, wiatr nagle dmuchnął z zaskakującą siłą, chłodny i pełen animuszu, mierzwiąc mi włosy. Niósł przyjemny zapach zaoranej ziemi. Ponad polami rozlegały się trele skowronków.

Kamienny posąg na szczycie wzniesienia trwał niewzruszenie na swoim miejscu, uwieńczony girlandą zdrewniałych, ciernistych łodyg, lecz miseczka na ofiary zniknęła i przed postumentem leżał jedynie pęk uschniętych kwiatów. Osłaniając oczy przed blaskiem wiosennego słońca, popatrzyłam tam, gdzie zza koron kwitnących jabłoni widać było dach starego wiejskiego domu. Czy Petr siedzi teraz w kuchni, popijając mocną kawę bez mleka i przekomarzając się z domowikami? Czy w pracowni Arolda biały szczur nadal biega w kółeczku, a wyrzezani z drewna tancerze i tancerki kontynuują swój taniec do wtóru katarynki i cichego zgrzytania trybów?

Z bijącym sercem skręciłam ze Ścieżki w dobrze mi znaną dróżkę biegnącą na skróty przez sad, teraz niemal niewidoczną wśród pokrzyw i innych chwastów, które najwyraźniej wyrosły bujnie po wiosennych deszczach. Wkrótce stałam już przed gankiem domu Arolda. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyłam, że wszystkie okiennice są pozamykane. Czyżby mieszkańcy wybrali się w podróż? A może Aroldo swoim zwyczajem zniknął gdzieś na noc, zaś Petr najzwyczajniej w świecie zasnął i chrapie jeszcze w swej izdebce tak donośnie, że aż papierowe żurawie obracają się na nitkach?

Podeszłam do drzwi wejściowych. Ku mojemu zaskoczeniu nie były zamknięte. Pchnęłam je i ostrożnie weszłam do sieni. Powitał mnie wszechobecny półmrok, woń kurzu i stęchlizny, dawno

niewietrzonych pomieszczeń. W smudze światła ujrzałam zwieszające się z sufitu welony pajęczyn. Jak długo mnie nie było? Czy ktokolwiek tu sprzątał pod moją nieobecność? Wyglądało na to, że nie: kurz zalegał na wszystkich widocznych powierzchniach, pokrywał podłogi, sprzęty i poręcze schodów. Stąpając ostrożnie po skrzypiącej podłodze, zostawiałam za sobą ciemne ślady.

– Petr! – zawołałam. – Felicita!

Żadnej odpowiedzi. Dom trwał w ciszy, która nagle wydała mi się przytłaczająca. Zapragnęłam wpuścić tu światło, powietrze. Spróbowałam pootwierać okna w korytarzu, ale nie potrafiłam odryglować okiennic.

Gdy weszłam do salonu, zadałam sobie pytanie, czy może pod moją nieobecność w Zaświecie wybuchła wojna i dom złupili obcy żołnierze. Ładne meble zniknęły, ich miejsce zajęły jakieś brudne graty. Z rozprutego siedziska starej, wytartej kanapy pokrytej zielonym pluszem wyłaziły pakuły. Staroświecka szafa na książki ocalała, ale straszyla pustymi półkami. Nie było też dywanu, a stan parkietu wołał o pomstę do niebios. W kącie dostrzegłam kilka opróżnionych butelek.

W kuchni nie było już zabytkowego kredensu, za to wszędzie piętrzyły się sterty brudnych naczyń z zaschniętymi resztkami jedzenia, jakby obiadował tu cały oddział wojska. Cuchnęło wstrętnie, na podłodze walały się odpadki, spod moich stóp z piskiem umknął szczur. Z żalem pomyślałam o domowikach, które pewnie już dawno wyniosły się z norki pod piecem, zde gustowane takim otoczeniem i towarzystwem.

Potem spostrzegłam, że wśród piętrzących się na stole garnków, misek i talerzy leży dobrze mi znany nóż do krojenia chleba, o dziwo, całkiem czysty. Niewiele myśląc, zabrałam go. Teraz, gdy wszystko się tu zmieniło, uzbrojona czułam się nieco pewniej.

Skonsternowana i przygnębiona ruszyłam schodami na górę, próbując stąpać jak najciszej, choć wysłużone deski i tak skrzypiały przy każdym kroku. Drzwi pracowni Arola były uchylone, lecz z wnętrza nie dolatywał nawet najłżejszy szmer.

– Hej, jest tam kto? – spytałam głośno.

Żadnej odpowiedzi. Wstrzymując oddech, przestąpiłam próg.

Tak jak się spodziewałam, powitały mnie zaduch i bałagan. Meble były powywracane, pod nogami chrzęściły odłamki szkła z rozbitych słoików, podłogę pokrywały ciemne zacieki śmierdzące formaliną i rozkładem. Nie było szczura w kółeczku ani drewnianych tancerzy. Zniknęły wypchane gady, zniknęła większość ksiąg, zniknęły laleczki z mandragorowych korzeni, które stały rządkiem na półce; na podłodze wałała się jedna zapomniana włóczkowa pelerynka. Z paproci ostało się ledwie kilka uschniętych liści sterczących smętnie ze zbrylonej ziemi w donicy, w której nieznanymi sprawcy pozostawili ze trzydzieści niedopałków. Na parapecie dostrzegłam jeden z deszczułkowo-bibułkowych modeli, a raczej to, co z niego pozostało – deszczułki były połamane, a bibuła porwana w strzępy, jakby ktoś z wściekłością go podeptał. Śmietnik, rozpad, gnicie i próchno, nigredo.

A potem go zobaczyłam.

Siedział w kącie częściowo zasłonięty przez szafę, dlatego nie spostrzegłam go od razu po wejściu. Z głową zwieszoną na piersi, oklapły i nieruchomy jak strach na wróble ze złamaną podpórką, w wymiętym, brudnym niebieskim surducie włożonym na jeszcze brudniejszą koszulę.

– Aroldo! – zawołałam.

Nie drgnął i nie odpowiedział.

Przykłękłam przy nim. Był martwy, tak martwy, jak tylko można być, z zastygłą, posiniałą twarzą. Zmętniałe oczy patrzyły w pustkę. Potem ujrzałam, że koszulę ma rozerwaną na piersi, a spod niej wyłazą pakuły i trociny. Śmierć ujawniła prawdziwą naturę Arolda. Był w połowie człowiekiem, w połowie kukłą.

Długą chwilę głowiłam się, co to znaczy i co powinnam teraz zrobić. Potem, pchana niewytłumaczalnym instynktem, powoli sięgnęłam w głąb rozdarcia i wśród szorstkich kłaków konopnej przędzy namacałam chłodny, okrągły przedmiot, dziwnie, przerażająco znajomy. Wstrzymując oddech, wyjęłam serce Arolda.

Szklaną kulę.

Potrząsnęłam nią i przez chwilę patrzyłam, jak białe płatki wirują wokół czterech postaci. Szczęśliwa rodzina na zimowym spacerze: mama, tata i dwoje dzieci.

Do rzeczywistości przywrócił mnie cichy, znajomy głos.

– Cieszę się, że znów cię widzę, Greto-Olgo.
Zdrętwiałam.

Stała w drzwiach ubrana w suknię utkaną z piór i strzępków, z gałązek, suchych liści, pajęczyn i dmuchawcowego puchu. Rozpuszczone ciemne włosy spływały jej na plecy, drewniana maska skrywała twarz.

– Przepraszam – powiedziała. – Wystraszyłam cię?

– Czego ode mnie chcesz? – spytałam, próbując opanować drżenie głosu. – Zrobisz ze mną to samo co z Aroldem?

Królowa Ostów podeszła powoli, stąpając z gracją. Zauważyłam, że jej stopy są bose, a ramiona nagie. W długich włosach kołysały się wplecione muszelki, koraliki i bryłki bursztynu.

– Nie ja skrzywdziłam Arola – odparła. – W Zaświecie dzieje się zawsze tylko to, co miało się stać.

Cofnęłam się o krok. Bałam się, choć bardzo nie chciałam tego okazać.

– Daj mi jego serce – poleciła Królowa, wskazując kulę.

– Dlaczego?

– Ponieważ cię proszę – odrzekła. – Odwdzięczę się.

Patrzyłam na nią nieufnie, z obawą.

– Daj mi jego serce – powtórzyła. – Tobie nie jest do niczego potrzebne.

Uświadomiłam sobie, że ma rację. Nie chciałam tej kuli, nie chciałam związanych z nią wspomnień, nie chciałam dłużej hołubić rojeń o ojcu, Olgierdzie Pańkowskim, niedoszłym literacie. Zostawił nas. Odszedł. Wyjechał do Szwecji, zaczął nowe życie, nie pisał, nie kontaktował się z nami, nie miałam od niego żadnych wieści przez kilkanaście lat. A teraz nie żyje.

– Dobrze, weź ją sobie – oznajmiłam drżącym głosem.

– Dziękuję – rzuciła.

Gdy nasze palce się zetknęły, przeniknął mnie dreszcz. Dłonie Królowej były równie drobne jak moje, o krótko obciętych, niepolakierowanych paznokciach, śniade i miękkie. Nagle poczułam pokusę, aby rzucić się naprzód i zderzyć maskę z jej twarzy, zobaczyć wreszcie, co kryje się pod spodem.

Królowa tymczasem wsunęła kulę w zanadrze. Jeśli odgadła, o czym myślę, niczego nie dała po sobie poznać.

Kątem oka dostrzegłam ruch koło uchylonych drzwi. Do pracowni wsunęła się Felicita w kociej postaci, z dumnie zadartym ogonem. Podeszła, omijając porozkładane na podłodze szpargały, i otarła się o moje kostki, po czym zamiauczała z wyraźną pretensją, spoglądając na mnie złotymi ślepiami, jakby pytała: „Czemu tak długo cię nie było?”. Przykucnęłam, żeby ją pogłaskać. Z jednego ucha pozostał tylko wywinięty kikut, ale blizny na grzbiecie prawie całkowicie zarosły gęstym, lśniącym szylkretowym futrem.

– Co się tutaj stało? – spytałam.

Zza maski dobiegł cichy śmiech.

– Nic takiego. Wybiła północ i rozwiały się iluzje.

– Ale...

Zdałam sobie sprawę, że nie umiem nawet sformułować pytania, bo nie wiedziałam, o co właściwie pytać. Moja dłoń na chwilę przerwała wędrowanie po kocim karku i grzbiecie, więc Felicita trąciła mnie łebkiem, głośnym mrużeniem domagając się dalszych pieszczot.

– Usiądź – powiedziała Królowa Ostów, wskazując mi jeden z foteli zapraszającym gestem.

Uśmiechnęłam się w duchu, widząc, że obicie z wytartego pluszu pokryte jest kłaczkami sierści i nosi ślady pazurów.

Podeszła do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając do zdemolowanej pracowni światło i świeże powietrze. Kurz zatańczył w smudze słonecznego blasku. Potem usiadła na drugim fotelu, podwijając pod siebie nogi. Felicita tymczasem wskoczyła mi na kolana i umościła się wygodnie, nadal mrużąc jak motorek.

– Wiesz, kim ona jest, prawda? – spytała Królowa ni w pięć, ni w dziewięć.

– Kotem? – zaryzykowałam.

Ponownie ten śmiech, ciepły, pobłażliwy, jakbym była dzieckiem, które niewiele rozumie z otaczającego świata, więc mimo woli udziela odpowiedzi, które dorosłym wydają się rozczulająco naiwne.

– Felicita jest częścią ciebie, Olgo. Podobnie jak Petr, Zofia... i ja.

Spojrzałam na poblížnionego kota, który prężył mi się na kolanach, doprowadzony głaskaniem do stanu bliskiego ekstazie, mrużąc ślepią i lekko wbijając pazurki w tkaninę spodni.

– Ale jak to: częścią mnie?

– Nie zastanawiaj się nad tym, po prostu uwierz, że tak jest. Tu, w Zaświecie – zatoczyła dłonią krąg – przebywasz w labiryncie luster, które cię odbijają, i symboli, które żyją własnym życiem. Lepszej odpowiedzi nie potrafię ci dać.

Zmarszczyłam brwi. Co oznaczały i co implikowały słowa Królowej? Na jawie czytałam *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni* Bettelheima, mgliście pamiętałam Freudowskie interpretacje baśni braci Grimm. Odrębne postacie uosabiające ego, superego i id, baśń jako narzędzie pozwalające scalić pozostające w konflikcie czy nieprawidłowo rozwinięte części osobowości...

Zamyśliłam się, usiłując sobie to wszystko poukładać w głowie, tak jakbym znalazła się z powrotem na studiach i siedziała na ćwiczeniach, próbując zinterpretować zawikłany utwór literacki.

Jeśli skrzywdzona kotka miałaby uosabiać jakąś część mnie, to przypuszczalnie tę kilkuletnią Olgę, która płakała w szafie, kiedy rodzice się kłócili. Ja też nosiłam blizny, mniej widoczne, lecz nie mniej bolesne.

Pewny siebie, nieco przemądrzały Petr, przeświadczony, że zawsze ma rację, z pozoru stanowił moje całkowite przeciwieństwo. Ale choć na jawie nie zdawałam sobie z tego sprawy, potrafiłam być równie uparta jak mama i Artur, inaczej nie kłóciłabym się z nimi.

Zofia pokazała mi drogę do baśniowej krainy, gdzie stałam się silniejsza. Jeżeli każda kobieta nosi w sobie trzy pierwotne symbole kobiecości – dziewicę, matkę i staruchę – to Zofia musiała być staruchą, wiedźmą umiejącą otwierać drzwi pomiędzy światami. Dawała siłę tej Oldze, która jeździła odwiedzać mamę w szpitalu i ze spokojem przyjmowała wszystkie pouczenia, pretensje oraz wybuchy złości.

– A Aroldo? – spytałam jeszcze.

– Myślę, że tego jesteś w stanie domyślić się sama.

Zamrugałam, by odgonić piekące łzy. Przez te wszystkie lata nosiłam w głowie obraz ojca, który tak naprawdę był mirażem, podkoloryzowanym zlepkiem wspomnień, wyidealizowanym przez tęsknotę i dziecinne rojenia. Marzyłam, by móc mieszkać z nim zamiast z mamą, prowadzić mu dom, razem z nim wymyślać dziwaczne baśnie... Rozumielibyśmy się nawzajem jak nikt – dwoje

odmieńców wędrujących przez życie z głowami w chmurach, śniących potargane sny.

Moje marzenie ożyło w Zaświecie tylko po to, by podzielić los większości mrzonek, a brudna kukła w rozerwanej koszuli pokazywała, ile było warte. Przełknęłam głośno z twardym postanowieniem, że nie, nie będę płakać. Dość już się w życiu napłakałam.

– Teraz możesz wrócić do swojego czasu – kontynuowała Królowa. – Portal na dole jest otwarty.

– I co dalej? – Spojrzałam prosto w jej ciemne oczy, widoczne w wycięciach maski. – Czemu to wszystko miało służyć?

Królowa roześmiała się dziewczęcym, perlistym śmiechem.

– Mnie o to pytasz? To twój sen, Olgo.

Felicita, jak to koty, znieńska uznała, że ma dosyć pieśczoć, zeskoczyła mi z kolan i powędrowała do Królowej. Wspięła się na oparcie jej fotela i usadowiła się tam.

– Co teraz robią twoje stwory? – kontynuowałam. – Pustoszą Zaświat? Wysysają z niego barwy?

– Moje stwory, jak je nazywasz, też są częścią ciebie. Krążą tylko po snach, które śniesz.

– Nie rozumiem... – wyjąkałam.

– Masz prawo. Ale to jedynie logiczny ciąg dalszy tego, co powiedziałam wcześniej. – Nie patrzyła na mnie, lecz w przestrzeń, od niechcienia bawiąc się pasmami splątanych włosów i wplecionymi w nie ozdobami. – Śniąc Zaświat, krążysz po labiryntach własnego wnętrza. Dojrzewasz i dorastasz. Błądząc w ciemności, prędzej czy później odnajdujemy rzeczy, o których nawet nie wiedzieliśmy, że powinniśmy ich szukać.

Patrzyłam na nią z otwartymi ustami, usiłując pojąć, o czym mówi. Łudząc się, że gdy później w samotności przeanalizuję jej słowa, uda mi się odnaleźć w nich sens, który teraz mi umykał.

– W zamian za serce, które mi dałaś – kontynuowała – coś ci się należy.

Wyciągnęła rękę, a z jej rękawa wypełził długi, falujący szary kształt, istota utkana z dymu, która zawisa pionowo w powietrzu. Żołądek ścisnął mi się od atawistycznego lęku, ale dzielnie stałam w miejscu, nie cofnęłam się. Zdałam sobie sprawę, że spoglądam

prosto w pozbawioną rysów twarz, łowią wzrokiem najłżejszy rozbłysk – ślad rozbłysku – tam, gdzie stworzenie musiało mieć ślepie.

– To ten, którego kiedyś poczęstowałam grzaniem piwem i kanapkami – powiedziała Królowa. – Pamiętasz?

Przypomniałam sobie lutowy jarmark w miasteczku. Zdawało się, że od tamtej pory minęły całe wieki.

Mglisty stwór podpłynął do mnie powoli, kurcząc się w oczach. Po chwili był już wielkości dużej koszuli, potem szalika, potem dziecięcego szaliczka.

– Nie bój się go. Nie skrzywdzi cię – zapewniła Królowa.

Bałam się podstępny, lecz co miałam zrobić? Uciekać?

– Schył głowę – usłyszałam.

Zaledwie zdążyłam wykonać polecenie, owionęła mnie chłodna szarość, która roziała się po chwili. Zdezorientowana dotknęłam włosów, lecz nic tam nie było.

– Będzie ci towarzyszył przez jakiś czas – oznajmiła Królowa. – Nie bój się, w żaden sposób nie odczujesz jego obecności. Gdy nadejdzie pora, wyświadczy ci przysługę.

– Wyssie ze mnie kolory? – Mimo woli podniosłam nerwowo głos.

– Jak w tym śnie, w którym byłam Piotrem?

Pokręciła głową.

– Szare, szczeropajaki i złotorożce... Powiedzmy, że nie są tym, czym myślisz. To nie gra RPG, w której walczy się z plagą zagrażającą fantastycznej krainie. Pamiętaj, szare nie są twoimi wrogami.

– A ty? – wypaliłam, nim zdążyłam się zastanowić.

Pokręciła głową, koraliki wplecione w jej włosy zastukały cicho.

– Ja też nie jestem twoim wrogiem, Greto-Olgo. Wkrótce przekonasz się, że ofiarowałam ci cenniejszy prezent, niż sądzisz. – Wstała. – Zejdź teraz na dół i wróć portalem do rzeczywistości. Ten sen dośniłaś prawie do końca, ale jeśli sama powrócisz do świata jawy, zachowasz w pamięci to, co się wydarzyło tutaj. Jeśli sen się urwie, nim przejdziesz przez portal, wszystko zapomnisz.

Teraz zauważyłam, że w pokoju zrobiło się ciemniej, jakby chmury przesłoniły słońce. Tknięta niesprecyzowanym podejrzeniem, wyjrzałam za okno. Tam, gdzie wcześniej było widać

kwitnący sad i zieloną trawę upstrzoną mleciami, rozsnuwała się mgła.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – powiedziałam pośpiesznie, z nadzieją, że uda mi się wytrwać w rzeczywistości Zaświatau tych kilka kluczowych sekund.

– Dobrze, ale szybciotko – odrzekła Królowa.

Jej postać stała się półprzezroczysta, wyraźnie widziałam zarysy znajdujących się za nią mebli. Znikała w oczach, rozplywając się w powietrzu niczym Kot z Cheshire. Felicita miauknęła, pobiegła do drzwi, precisnęła się przez szparę i już jej nie było.

– Gdzie jest teraz Dominik? – spytałam, nagle pełna rozpaczliwej pewności, że kto jak kto, ale ona na pewno zna odpowiedź.

– Jest – odparła powoli Królowa. – I nie jest. Nie dotrzesz do niego. Ścieżki się rozwidliły, a Dominik został w lesie.

– Czy to znaczy, że on nie żyje? – wykrztusiłam, znów usiłując stłumić płacz.

– Odnajdę cię po tamtej stronie – odparła widmowa sylwetka Królowej głosem tak cichym, jakby wiatr przynosił słowa z oddali – i powiem... dokąd musisz pójść...

Mgła zaczynała się sączyć do wnętrza pracowni przez szpary w okiennicach, zacierając kontury sprzętów. Wypadłam z pomieszczenia i pobiegłam schodami na dół, czując, że rzeczywistość snu zaczyna się zamazywać wokół mnie; dom Arola niknął w oczach, pochłaniany przez amorficzną szarą nicość. Wpadłam do pustego pokoju, do którego wieki temu wprowadziła mnie Zofia. Moje uszy wypełniło blaszane, zgiełkliwe dzwonienie, jakby olbrzym potrząsał metalową beczką pełną monet. Jeszcze dwa kroki... jeden... drzwi...

Ciemność spadła na mnie jak kapelusz na królika, a potem świat wywrócił się na nice. I oto leżałam we własnym łóżku, mrugając i łapiąc z trudem powietrze, podczas gdy budzik dzwonił i dzwonił. Wciąż jeszcze roztrzęsiona wyciągnęłam rękę, by go wyłączyć.

Dominik

Tylko jedna nić

– Gdzie ja jestem? – Powtarzał to pytanie najpierw z niedowierzaniem, potem z gniewem, wreszcie – ze strachem.

A staruszka odpowiadała z anielską cierpliwością:

– W Zaświecie, piaskomyślny.

– Ale gdzie to jest?!

– Daleko i blisko. – Mówiła to zapatrzona w przestrzeń, z lekkim uśmiechem, niczym pomarszczony sfinks. – Wysoko i nisko. Tam, gdzie słońce wschodzi na zachodzie i gdzie z trzech ziaren rzuconych w trzy skiby wykiełkują trzy sny.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy złapać się za głowę.

– A mieszka tu Królowna Śnieżka? Siedem krasnoludków? A może Aslan?!

– Nigdy o nich nie słyszałam.

Przedstawiła się jako Młynarka, a gdy się dowiedziała, skąd przywędrował, ze wzruszeniem ramion oznajmiła:

– Nie pierwszy ty, synku, i nie ostatni.

Zaczął wypytywać, co miała na myśli, ale dowiedział się tylko tyle, że piaskomyślni czasem wychodzą tą właśnie dróżką z lasu. O ile staruszka mówiła prawdę. Czy mógł jej ufać? Kim była? Wyglądała niczym stereotyp Baby-Jagi – zgarbiona, poruszająca się o lasce, z ogorzałą twarzą, wygarbowaną przez słońce i wiatr, i haczykowatym nosem.

Zaprosiła go do domu i poczęstowała kolacją. Dominik z rozbawieniem odegnał skojarzenie z baśnią o Jasiu i Małgosi. Potem naszła go obawa, czy jedząc tutejsze pożywienie, niechcący nie uniemożliwi sobie powrotu – jak Persefona, która w Hadesie połknęła trzy ziarenka granatu, więżące ją odtąd pod ziemią na trzy miesiące każdego roku. Ale głód był silniejszy od wątpliwości. Jedzenie wydawało się najzupełniej zwyczajne: pieczony w domu chleb na zakwasie, jajecznica na maśle i zsiadłe mleko. Później staruszka zaprowadziła go do bocznej izdebki i pościeliła mu tam

łóżko. Zapytał, jak może się odwdzińczyć za gościnę; miał przy sobie trochę pieniędzy, ale Młynarka tylko się roześmiała.

– Tutaj to papierki bez wartości – powiedziała. – Jak chcesz, synku, możesz mi jutro naprawić dach w kurniku.

Dominik nie miał wprawy w przybijaniu desek – parę razy w życiu zdarzyło mu się składać meble z Ikei i to wszystko. Ale obiecał, że spróbuje.

Mimo zmęczenia tej nocy długo przewracał się z boku na bok na twardym sienniku, nasłuchując, jak myszy skrobią na stryszku, a za oknem szumią drzewa. Gdy w końcu zasnął, nie przyśniło mu się nic.

Po przebudzeniu przez chwilę leżał z zamkniętymi oczami, mając nadzieję, że gdy je otworzy, zobaczy pokój w ośrodku Julia i będzie mógł z ulgą stwierdzić, że zarówno błędzenie po lesie, jak i nocleg w starym młynie były jedynie snem. Niestety, rzeczywistość wyglądała dokładnie tak samo jak poprzedniego wieczoru, z tą tylko różnicą, że za oknem jaśniało poranne słońce i ćwierkały ptaki. Na podwórko wyszedł wnuczek Młynarki z sitem i zaczął z niego sypać ziarno kurom, które dziobały łapczywie.

Właściwie dopiero teraz Dominik na serio się zaniepokoił. Mając dwanaście lat, na pewno byłby zachwycony, że trafił do obcej, baśniowej krainy – czy może po prostu niechcący przeniósł się w czasie – ale teraz zastanawiał się tylko nad tym, jak wrócić. Do wszystkich niezamkniętych spraw i obowiązków, które na niego czekały, do mieszkania na Ursynowie, do zleceń i obrazów ze strachami, do Asi.

Kiedy wszedł do kuchni, stary zegar akurat zaczął wybijać siódmą. Staruszka gotowała mleko z porannego udoju. Uśmiechnęła się do Dominika bezzębnie i spytała, czy dobrze spał, po czym zaprosiła go do stołu. Na śniadanie były: owsianka na mleku, chleb, masło oraz szczypiorek i rzodkiewki z ogrodu.

Dominik od razu zapytał, czy Młynarka wie, gdzie w lesie znajduje się przejście z jednego świata do drugiego. Zaprzeczyła.

– W takim razie czy ktoś może mnie tam zaprowadzić? Pomóc mi wrócić?

– Gdzie? Na tamtą stronę?

Potaknął. Staruszka pokiwała głową, patrząc na niego ze współczuciem.

– Nie wrócisz, synku. Już przepadło, musisz tu zostać.

– Ale jak to? – Dominik starał się stłumić narastający niepokój.

– Spędziłeś noc po tej stronie granicy. – Staruszka jakby nigdy nic zabrała ze stołu talerz po owsiance. – To znaczy, że nie odnajdziesz powrotnej drogi, choćbyś chciał. Tak mówi nasze prawo, prawo Zaświatu.

– Zaświatu? – powtórzył.

– Ano. Kto przybędzie z zewnątrz, a tu spędzi noc, z nastaniem świtu umiera dla tamtego świata i pozostaje tutaj – wyrecytowała, jakby cytowała tekst wyuczony na pamięć.

Dominik odłożył niedojedzoną kromkę chleba. Czyli nie żyję – pomyślał z chłodnym spokojem, zastanawiając się, czy to możliwe, że jednak podciął sobie te cholerne żyły w lesie, tak jak pierwotnie zamierzał, a wszystko, co zdarzyło się później, było przedziwnym pośmiertnym zwidem. Potem przed oczami stanęła mu Asia, tak że musiał zamrużyć, żeby odegnąć łyzy.

Ale nie, to niemożliwe – olśniło go po chwili i uczeplił się tej myśli jak liny. – Jak mogę być martwy, wczoraj przyszedłem tu głodny i zmęczony, jem i piję, nawet broda mi rośnie...

Odruchowo potarł się po podbródku, wyczuwając dwudniową szczecinę.

No i co z tego – odpowiedział sobie ponuro – a co ty wiesz o życiu pozagrobowym? W końcu w starożytności wierzono, że dusze zmarłych należy karmić.

Znowu pomyślał o siostrze. Poprzedniego dnia było mu wszystko jedno, ale teraz już nie. Teraz nie potrafił się opędzić od myśli o Asi, która nie będzie potrafiła uwierzyć w jego śmierć, zrobi wszystko co w ludzkiej mocy, poruszy niebo i ziemię, żeby go odnaleźć. I mimo wszystkich wysiłków nie dowie się, co się stało z jej bratem, tak jakby pewnego dnia rozpułnął się w powietrzu.

Chyba że mój trup leży tam w malinisku i ktoś go w końcu znajdzie.

Matka jakoś to przeżyje – tak jak przeżyła wiele innych rzeczy – oschła, małomówna i niepodatna na sentymeny. Kiedyś powiedziała mu, że powinien być zostać malarzem pokojowym, wtedy zarabiałby

dwa razy więcej. Ale na samą myśl o siostrze Dominik czuł palące ukłucie wyrzutów sumienia.

A potem przypomniał sobie kusiciela o śniadym obliczu – i aż się wzdrygnął.

– Przykro mi, synku. – Młynarka położyła mu dłoń na ramieniu, chyba odgadując jego myśli.

– Nie jestem pierwszy, który tutaj gości, prawda? – spytał.

– Mówiłam już, nie pierwszyś ty i nie ostatni. – Zaczęła sprzątać ze stołu. – I nie pierwszy, który nie może uwierzyć, że Zaświat już go nie wypuści. Mogłam cię wczoraj ostrzec, synku, ale i tak byś nie odnalazł po ciemku powrotnej drogi. Nie trzeba było zabierać do lasu tej żyłki.

Dominik osłupiał.

– Wie pani o tym?!

Potaknęła ze znużeniem.

– Nie mieszkam tu od wczoraj. Ech, wy młodzi, czemu nie szanujecie życia? Życie to skarb.

Dominik nic nie odpowiedział. Głowił się gniewnie, jaka jest prawda. Może Młynarka kłamie? Właściwie czemu miałby jej ufać?

Jedno wydawało się pewne – te wszystkie pytania na dłuższą metę nic mu nie dadzą.

Po pierwszym szoku zaakceptował swoją sytuację, bo nie bardzo miał wybór. Zresztą – jak nie omieszkał ironicznie zauważyć – mógł trafić gorzej. Małe gospodarstwo na odludziu to w końcu nie każdy z płonąca smołą.

Zgodnie z obietnicą po śniadaniu zajął się dachem kurnika. Okazało się, że trzeba oderwać kilka spróchniałych desek i przybić nowe. Uwiął się z tym dosyć szybko. Potem, widząc stertę grubych gałęzi piętrzącą się obok pieńka, w który wbita była siekiera, zapytał staruszkę, czy nie przydałoby się ich porąbać, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zajął się tym. W końcu, uznawszy, że odpowiednio się odwdzieczył za gościnę, upatrzył moment, kiedy zarówno staruszka, jak i jej wnuczek byli poza zasięgiem wzroku, i chyłkiem wymknął się z gospodarstwa. Nawet jeśli intuicja podpowiadała mu, że Młynarka nie kłamała, musiał na własnej skórze przekonać się o prawdziwości jej słów.

Przez całe popołudnie błędził po lesie, najpierw po ścieżkach, później po bezdrożach, przedzierając się przez zarośla, depcząc wybudane niecierpki i przeskakując przez zwalone pnie. Ubłocił sobie spodnie, rozdarł koszulę, ale nie odnalazł ani jeziora Szept, ani ośrodka Julia. W końcu zawędrował w pobliże jakiejś wioski, gdzie stały kryte strzechą chałupy jak ze skansenu, a na piaszczystej drodze bawiły się umorusane dzieciaki. Zza płotów obszczeły go psy, złe, głodne wiejskie kundle.

Dopiero o zmierzchu udało mu się trafić z powrotem w pobliże starego młyna. Widząc go, staruszka pokiwała tylko głową. Potem jej pomarszczone usta rozciągnął znajomy, brzydki starczy uśmiech, ukazujący wilgotne dziąsła.

– A nie mówiłam?

Tej nocy Dominika znowu dręczyła bezsenność. Przewracał się z boku na bok w spranej lnianej pościeli, lekko pachnącej stęchlizną, licząc do stu, dwustu, trzystu i od nowa. A kiedy w końcu odpłynął w objęcia Morfeusza, oczywiście przyśnił mu się koszmar.

Szedł przez pole zarośnięte uschniętymi chwastami, pełne strachów na wróble, które złośliwie wlepiały w niego guzikowe oczy. Pośrodku pola stał manekin w ślubnej sukni z wysokim stanem, pod którą wyraźnie odznaczała się krzywizna ciężarnego brzucha. Twarz manekina, jakżeby inaczej, była twarzą Róży. Lekki wiatr poruszał kosmykami jej platynowych włosów. Dominik zbudził się, oddychając ciężko, zlany zimnym potem, i już do świtu nie zdołał zasnąć.

– Źle spałeś? – spytała rankiem Młynarka na widok jego podkrążonych oczu. – Sumienie cię gryzie?

Dominik odmruknął coś nieokreślonego. Był na nią trochę zły za moralizowanie.

– Już za późno. – Wyrzekła to z takim smutkiem, że spojrzał na nią uważniej, zastanawiając się, czy ona też nie trafiła do tego świata wbrew swojej woli. – Za późno na żal i za późno na poprawę. Synku – niespodziewanie zmieniła ton na cieplejszy – możesz u mnie zostać, jeśli chcesz.

Prawdę mówiąc, nie bardzo miał wybór. Mógłby ewentualnie udać się do wsi, ale nie wiedział, jak przyjęliby go tamtejsi

mieszkańcy. Młynarka była starą, schorowaną kobietą, a do pomocy miała tylko wnuczka, więc nie ulegało wątpliwości, że dorosły mężczyzna bardzo się w obejściu przyda. Dominik poczuł się trochę lepiej, mając świadomość, że z jego obecności tutaj przynajmniej wyniknie dla kogoś pożytek.

Stopniowo przyzwyczał się do spokojnej, sennej egzystencji, której rytm wyznaczały prace w ogrodzie i przy gospodarstwie.

Dni mijały, przemieniając się w tygodnie. Rąbał drwa, przynosił ze studni wodę, wyrzucał gnój z obory, karmił zwierzęta, razem z Młynarką pielł grządki i podlewał rośliny. Nauczył się nawet doić czarną krowę, chociaż ta łypała na niego koso, a bywało, że złośliwie trzepnęła go ogonem po twarzy.

Gdy miał czas, wychodził na długie spacerunki do lasu. W nieskończoność krążył po ledwo widocznych ścieżkach wydeptanych przez zwierzynę, wypatrywał saren, zbierał maliny i słuchał śpiewu ptaków. Miał wrażenie, że po tej stronie rzeczywistości ich głosy brzmią inaczej, lecz nie umiałby zdefiniować różnicy.

Chodził w ubraniach, które pozostały po zmarłym mężu Młynarki (pasowały, wystarczyło je pozwęzać tu i ówdzie), nauczył się nawet golić jego brzytwą, bo jedyną alternatywą byłoby zapuszczenie brody, z którą wyglądałby jak prozalny dziad.

Wieczorami siadywali we trójkę w kuchni przy piecu: on, staruszka i chłopiec, a Młynarka, która wzrok miała zbyt słaby, aby się zajmować ręcznymi robótkami (nie licząc zacerowania od czasu do czasu naprawdę skandalicznej dziury w przyodziewku wnuczka), przymykała oczy i opowiadała o swej młodości. O mężu pijaku, który ją przyprawił o wiele zgryzot, i o dzieciach, które wyjechały daleko. Uradowana, że ma słuchacza, mówiła i mówiła, zapatrzona w powietrze, zagłębiając się w kolejne dygresje, często tracąc wątek. Dominik słuchał tego wszystkiego jednym uchem, kiwając głową i potakując uprzejmie.

Dość szybko zateśnił za swoją pracą. Kiedy powiedział Młynarce, czym się zajmował przed przybyciem do Zaświatu, uśmiechnęła się i powiedziała, że w takim razie ma dla niego niespodziankę. Poszła do swojej izby i dłuższy czas szperała w skrzyniach. W końcu wróciła i z dumą sprezentowała Dominikowi teczkę pełną czystych,

tylko trochę pożółkłych arkuszy papieru oraz kilka ołówków. Wyjaśniła, że kiedyś wynajmowała pokój człowiekowi, który sporządzał mapy Zaświatu, a ten, wyjeżdżając, nie zabrał wszystkich swoich materiałów.

Odtąd, nie mogąc robić zdjęć ani malować, Dominik w wolnych chwilach rysował. Ustawiał na stoliku w swojej izdebce zaimprovizowane martwe natury – dzbanek z pękiem kwitnących traw, kromkę chleba na talerzyku, kilka jabłek – albo wychodził do ogrodu i szkicował roślinność, wykorzystując teczkę jako podkładkę. Wiedział, że te rysunki nie są szczególnie dobre ani odkrywcze, ale pozwalały mu czuć, że nadal jest Dominikiem Budrewiczem, grafikiem z Warszawy, a nie parobkiem Młynarki.

Często myślał o siostrze. Zastanawiał się ze smutkiem, czy Asia niestrudzenie rozwiesza plakaty, odbiera telefony i przegląda serwisy poświęcone zaginięciom, sprawdzając, czy żaden odnaleziony anonimowy NN nie przypomina jej brata. A może Młynarka się myli, może tam, po drugiej stronie, czas się zatrzymał i nadal trwa tamten lipcowy ranek, kiedy Dominik po rozmowie z wędkarzami zagłębił się w lesie i szedł, szedł, szedł przed siebie na oślep? Pewnego dnia, sam nie wiedząc kiedy, powróci jak z Narnii i zobaczy, że w prawdziwym świecie nie minęła nawet godzina.

A może to prawdziwy świat był snem, z którego przyszło mu się obudzić.

Prosta egzystencja w tym odizolowanym, malowniczym miejscu była właściwie jak niekończące się wakacje. Żadnych stresów, żadnego użerania się z klientami o to, czy odcień niebieskiego na plakacie jest wystarczająco optymistyczny i czy na okładce powieści młodzieżowej może się znaleźć zabytkowa katedra. Praca przy gospodarstwie nie była specjalnie uciążliwa – raczej przyjemnie męcząca, tak jak chodzenie po górach – a za cywilizacją, o dziwo, na razie zupełnie nie tęsknił. Gryzły go jedynie wyrzuty sumienia z powodu Asi. Czasami myślał też o Oldze, która nigdy nie doczeka się obiecanego maila, chociaż nie był pewien, czy gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdyby zamiast pójść wtedy do wąwozu, zmienił zdanie i wrócił nazajutrz do Warszawy, to zdecydowałby się do niej napisać.

Nieoczekiwanie dla samego siebie zaprzyjaźnił się z piegowatym wnuczkim Młynarki, Karolem. Chłopiec miał osiem czy dziewięć lat, rzadko się odzywał, a uśmiechał się jeszcze rzadziej. Nie był typem wisusa, tylko milczka, który raczej nie sprawia dorosłym kłopotów, żyjąc po trosze we własnym świecie. Dominik choćby tylko z tego powodu czuł doń sympatię.

Chodził z Karolem do lasu na grzyby albo po prostu powłóczył się po zarośniętych krzakami wąwozach, opowiadał mu o Indianach i podróżnikach, odgrzebuując z pamięci powieści dla młodzieży, które sam uwielbiał w wieku szkolnym – o Winnetou, przygodach Tomka Wilmowskiego i tak dalej. Nauczył go grać „w kapsle” kamykami, rysując tor w piasku na podwórku – to była jedyna zapamiętana przez niego podwórkowa zabawa, do której wystarczyły dwie osoby. Gdyby dysponował gumą, spróbowałby zmajstrować procę; gdyby miał zeszyt w kratkę, mogliby grać w okręty. Ale tu nie było ani gumy, ani zeszytów, ani piłki, ani samochodzików zwanych popularnie resorakami, ani plasteliny. Nieliczne zabawki Karola zostały wykonane albo z drewna, albo z wypalanej gliny: kij zakończony rzeźbionym końskim łbem, malowane zwierzątka i ptaki o uroczo prymitywnych kształtach.

Jeden okaz w tym cepeliowskim zwierzyńcu intrygował Dominika, bo nie przypominał żadnego znanego mu stworzenia. Gliniana figurka pokryta żółtą polewą przedstawiała istotę o kocim czy lwim ciele, absurdalnie wielkich szponach oraz ludzkiej głowie z podwójnym wieńcem rogów.

– To złotorożec – wyjaśnił Karol, kiedy Dominik spytał, co to za zwierzę. – Rano czasem widać je na niebie, jak gnają.

Ale więcej szczegółów nie udało się z niego wydobyć.

Dominik próbował chłopca dyskretnie podpytywać o rzeczy, o których nie mógł rozmawiać z Młynarką, bo albo uparcie milczała, albo odpowiadała wymijająco i zaraz zmieniała temat. Ale nigdy nie był mistrzem dyplomacji, a dwa najważniejsze pytania – czy Karol urodził się tu, w Zaświecie, czy też przeszedł przez niewidzialną granicę, oraz gdzie są teraz jego rodzice – nie chciały mu przejść przez gardło.

Młynarka, z natury niespecjalnie wylewna, hołubiła wnuczka tak, jak tylko babcie potrafią, a kiedy raz na jakiś czas szła na targ do

miasteczka sprzedać trochę jajek i masła, zawsze przynosiła mu stamtąd jakiś drobiazg – czy to piernik, czy trochę orzechów smażonych w cukrze, czy gliniany gwizdek w kształcie kogutka. Pewnego dnia Dominik zaproponował jej, że nauczy Karola czytać i pisać. Staruszka, która właśnie szykowała ciasto na kluski, tylko się roześmiała.

– Nie trzeba. Na nic mu się to nie przyda.

– Ale kiedy podrośnie...

– Nie podrośnie. – Sękaty, powykrzywiane artretyzmem dłonie Młynarki miarowo ugniatały żółtawą masę z mąki, jajek i odrobiny wody. – Tu jest Zaświat, synku. Tu dzieciaki nie rosną, a dorośli się nie starzeją. Jesteśmy jak to jezioro: nasz czas, zamiast płynąć, stoi w miejscu... No, nie zagaduj mnie już, lepiej idź i narwij sałaty.

Rozwałkowała ciasto, zwinęła je w rulon i sprawnie zaczęła go kroić ostrym nożem. Dominik nie kontynuował tematu.

Baśniowy neverland czy też kraina zmarłych – czymkolwiek był – Zaświat – na dłuższą metę okazał się nieco rozczarowujący, gdy chodzi o baśniowość, a raczej jej brak. Wędrując po okolicznych lasach, Dominik za każdym razem żywił skrytą nadzieję, że odkryje coś ciekawszego niżli ptasie gniazda i lisie nory, które pokazywał mu Karol. Ale nie było tu ani rusałek, ani utopców, ani smoków atakujących pasące się bydło. Były za to gąsienice zżerające kapustę i sałatę, pędraki zżerające korzonki roślin oraz ślimaki zżerające wszystko, co się dało; były świny Młynarki, które wyglądem przypominały dziki i łąziły luzem po lesie, a także czarna krowa z humorami, którymi dałoby się obdzielić kilka sztuk inwentarza.

Dominik wiele razy wpatrywał się w niebo, póki nie rozboleły go oczy, ale nigdy nie zdołał wypatrzeć tych tajemniczych złotorożców, o których mówił Karol. Zauważył jedynie, że chmury w Zaświecie jeszcze chętniej układały się w niezwykle trójwymiarowe kształty – budowli, zwierząt, potworów o wielu łbach – niżli chmury w świecie żywych.

Jednak najbardziej intrygująca zagadka, jak się okazało, nie kryła się ani w lesie, ani na niebie, tylko na wyciągnięcie ręki – w starym młynie. Dominik wpadł na jej trop w drugim lub trzecim tygodniu swojego pobytu w Zaświecie.

W mieszkalnej części młyna, na stolyczku w kącie sieni, stał bardzo stary, zakurzony aparat telefoniczny z zielonkawego bakelitu. Nie był do niczego podłączony, nie miał kabla, ale słuchawkę owszem, jak również obrotową tarczę do wybierania numerów. Zapytana, skąd tu się wziął, staruszka wzruszyła tylko ramionami. Czy służył jej do czegoś? Nie. Rupieć i tyle, stoi i zbiera kurz. Ale wyrzucić szkoda, może kiedyś się przyda. Dominik uśmiechnął się w duchu – znał ten sposób myślenia, jego babcia rozumowała tak samo. W efekcie gdy zmarła, z jej mieszkania trzeba było usunąć nieprawdopodobne ilości szpargałów, pustych opakowań, znoszonych ciuchów, tanio kupionych kiepskich powieści i tym podobnych skarbów.

Kiedy staruszka poszła do kuchni, Dominik wciąż jeszcze oglądał stary telefon, zachodząc w głowę, skąd Młynarka ma to ustrojstwo. Trudno powiedzieć, jaka myśl kazała mu w pewnym momencie przytknąć słuchawkę do ucha, ale ku swemu zdumieniu usłyszał sygnał ciągły.

W pierwszej chwili pomyślał, że ma zwidy. Przyłożył słuchawkę do drugiego ucha – to samo.

O jasna cholera. Poczuł, że zaczyna się pocić z emocji.

Na próbę wykręcił na chybił trafił jedną cyfrę. Sygnał ucichł, ale kiedy Dominik odłożył słuchawkę na widełki, a potem przytknął ją z powrotem do ucha, znowu usłyszał znajomy jednostajny dźwięk.

Sam nie wiedząc, czemu to robi, wybrał kierunkowy do Warszawy, a następnie numer domowy Asi.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza. Potem zabrzmiało:

Dryń... dryń... dryńń...

Zesztywniał.

Dryń... dryń... Dzwonienie powtarzało się, ale nikt nie odbierał. No tak, Asia jest teraz w pracy – uzmysłowił sobie Dominik. Odłożył słuchawkę, po czym po chwili wahania ponownie przytknął ją do ucha. Znowu usłyszał sygnał ciągły.

Tknięty nagłą pokusą spróbował sobie przypomnieć numer komórki Olgi, ale bez skutku. Potem uzmysłowił sobie, że dziwnym trafem pamięta numer telefonu stacjonarnego, który podała mu po ich ostatnim spacerze, bo ten był bardziej charakterystyczny.

Czemu nie spróbować? Wybrał kierunkowy do Lublina, później numer Olgi i wstrzymując oddech, słuchał, co będzie. Nie miał pewności, czy aby nie pomylił kolejności cyfr, więc przygotował się mentalnie na to, że odbierze ktoś obcy.

Dryń... dryń... Raptem zabrzmiał odgłos podnoszonej słuchawki.

– Olga Pańkowska, słucham? – przemówił znajomy głos, a Dominikowi momentalnie zrobiło się gorąco.

– Olgo? – spytał cicho. – Olgo, słyszysz mnie?

– Halo? – powtórzyła ostrzej, ze zniecierpliwieniem.

– Olgo! – krzyknął do słuchawki, cały rozdygotany.

– Halo?! – zawołała po raz ostatni, po czym się rozłączyła.

Dominik osunął się na zydel i przez dłuższą chwilę nie miał siły z niego wstać.

Tej nocy przyśniło mu się, że znowu mieszka w Warszawie i wszystko jest jak dawniej. No – właściwie to nie do końca. W tym śnie miał nową dziewczynę. Poznał ją na wernisażu swojej wystawy obrazów ze strachami, a rok później przeszli już do etapu mieszkania razem.

Miała ciemne włosy i oczy jak Olga, ale była wyższa i szczuplejsza. Nazywała się Emilia i pracowała w przedszkolu. Spokojna, może nieco pozbawiona wyobraźni, nadrabiała to innymi zaletami. Miała miły głos, śliczny uśmiech i dołeczki w policzkach. Dzieci ją uwielbiały. Ich rodzice zresztą też.

Pod wpływem jej namów Dominik w końcu zdecydował się porzucić niepewne życie wolnego strzelca. Przyjęto go na etat w agencji reklamowej, jeszcze większej i drapieżniejszej niż ta, w której pracowała Róża. Praktycznie codziennie zostawał po godzinach, ale przynajmniej ceniono go jako fachowca.

Gdyby Różę porównać do róży, to Emilia była jak koc z polaru, miękki i grzejący. Lubiła gotować, piekła smaczne ciasta. Miała jedną jedyną wadę: nie znosiła gór, była fanką smażenia się na plaży, ale Dominik marzył skrycie, że nawróci ją na Bieszczady.

Mówiła, że zależy jej na stabilizacji, czasem delikatnie poruszała temat ewentualnego ślubu, ale oboje zgadzali się, że to za wcześnie, nie są jeszcze pewni i nie ma sensu się śpieszyć.

A potem pewnego pięknego dnia Dominik wrócił z pracy i odkrył, że pod jego nieobecność Emilia spakowała wszystkie swoje rzeczy i wyprowadziła się, zostawiając na stole list.

Obudził się spocony i roztrzęsiony, a gdy dotarło do niego, że nadal znajduje się w Zaświecie, poczuł ulgę.

Zima. Penumbra

I znów nadszedł grudzień, znów prószy śnieg, a ludzie odliczają dni do Bożego Narodzenia. Już wiadomo, że mama nie dożyje świąt. Z Arturem omówiliśmy dziś przez telefon najważniejsze kwestie organizacyjne dotyczące pogrzebu i stypy, przy czym oczywiście nie obeszło się bez scysji i paru niemiłych słów. Teraz dochodzi dwudziesta pierwsza, siedzę u Penumbry i mogłabym się odprężyć, odsunąć od siebie to wszystko, ale myślami jestem przez cały czas w hospicjum. Z mamą nie ma już kontaktu – leży pod kroplówkami i tlenem, z pogłębiającą się niewydolnością wątroby i obrzękiem mózgu.

Rozglądam się po malutkiej kawalerce, którą rodzice kupili Penumbrze jeszcze w czasach studenckich. Na przestrzeni lat odbywały się tu niezliczone sesje Warhammera, imprezy, spotkania; nieraz wpadałam na herbatę po wieczornych zajęciach na uczelni, kiedy nie śpieszyło mi się do domu, gdzie czekały do pozmywania naczynia z całego dnia, zapach zastarzałego dymu papierosowego oraz zmęczona mama ze swoją litanią narzekań na pracę, polityków, świat i na mnie.

Penumbra – jak by powiedziała moja matka – nie ułożyła sobie życia. Była asystentką na historii, ale nie napisała doktoratu w terminie i musiała odejść; teraz pracuje w firmie telekomunikacyjnej, w dziale obsługi klienta. Utyka po nieudanej operacji kolana. Nie ma męża, nie ma dzieci. Na przestrzeni lat spotykała się z kilkoma mężczyznami, ale żaden z tych związków nie przetrwał dłużej niż rok.

Patrzę na nią teraz i myślę, jak bardzo się zmieniła. Już od dawna nie ubiera się na czarno. Po tym, jak kontuzjowane przed laty kolano definitywnie odmówiło posłuszeństwa, przestała ćwiczyć karate i mocno przytyła, a jej usta coraz częściej zastygają bezwiednie w skwaszonym grymasie.

– Jak się czuje twoja mama? – pyta ostrożnie Penumbra.

Mówię jej o hospicjum, o tym, że teraz to prawdopodobnie już kwestia dni. Kiwa głową, wyczuwam jej zakłopotanie. Nie wie, co mówić, czy wybąkać słowa jałowego pocieszenia, czy lepiej milczeć. Zmieniam temat i pytam, czy miała ostatnio jakieś wieści od Ciri.

Z naszej paczki Penumbra zawsze była tą, która najwięcej mówi i najgłośniej się śmieje. Była też z nas wszystkich najstarsza: kiedy ja chodziłam do drugiej klasy liceum, ona broniła magisterium. Wyższa ode mnie, ale niedużo, ostrzyżona na jeża i niesamowicie wysportowana – od podstawówki ćwiczyła wschodnie sztuki walki.

Ciri, moja rówieśniczka, dosyć przypominała prawdziwą Ciri: wysoka i szczupła, o długich ciemnoblonde włosach. Jako jedyna z nas trzech nie ubierała się na czarno, nie nosiła glanów i zdarzało się jej wkładać zwiewne kwieciste sukienki. Teraz można powiedzieć, że jako jedyna z nas trzech odniosła w życiu sukces. Wyrwała się za granicę, pracuje tam, świetnie zarabia, do Polski przyjeżdża raz do roku na święta. Jak dobrze pójdzie, może niedługo się zobaczymy.

Dopijam herbatę o korzenno-dymnej woni, ulubioną herbatę Penumbry. Jej smak przypomina mi tamte imprezy sprzed czternastu, dwunastu, dziesięciu lat – wszystkie hermetyczne dywagacje, żarciki, spontanicznie wygłaszane sentencje, których nikt nie notował, więc przepadły w mrokach niepamięci – i całonocne sesje Warhammera, po których wczesnym rankiem szłam, przecierając oczy, na przystanek koło placu Litewskiego. Dochodzi dwudziesta druga, więc żegnamy się; Penumbra musi rano wstać do pracy, mnie czeka wizyta w hospicjum.

Jadąc na Czechów w padającym coraz gęściej śniegu, dalej rozmyślam o minionych latach, o Penumbrze, Ciri, chłopakach i o tym, ile rzeczy niepostrzeżenie odeszło w przeszłość, choć kiedyś wydawały nam się taką samą oczywistością jak to, że słońce świeci. Życie zniszczyło te iluzje, tak jak wycieraczki zrzucają topniejące białe płatki z przedniej szyby.

Mieszkanie wita mnie ciszą i bałaganem, który nawarstwił się w ciągu ostatnich dwóch, jeśli nie trzech tygodni. Rozrzucone ubrania, książki, papiery, kurz na meblach, podłoga w kuchni zachlapana kawą, której nie miałam rano czasu porządnie wytrzeć.

Nienawidzę sprzątać. Zawsze nienawidziłam. Ale kiedy nagromadzony syf przekracza granicę mojej tolerancji, nawet ja się przełamuję, zmotywowana świadomością, że jutro będzie tylko jeszcze brudniej. Mama prawie nigdy nie sprzątała w domu, zasłaniała się zmęczeniem i brakiem czasu; sprzątał Artur, a potem, kiedy się wyprowadził, ja. Teraz patrzę na otaczający mnie chaos i raptem stwierdzam, że nie jestem w stanie go tolerować ani sekundy dłużej. Dochodzi dwudziesta trzecia, ale do hospicjum niekoniecznie muszę jechać na dziewiątą rano, mogę później, więc przebieram się w starą flanelową koszulę i spodnie od dresu, ciuchy przeznaczone do zdzierania w domu. Sprzątanie ma to do siebie, że najtrudniej jest zacząć, a później już jakoś leci.

Odkurzam trzy pokoje i przedpokój, ustawiam książki porządnie, wyrzucam walające się na stole kwitki, skasowane bilety i niepotrzebne już żółte karteczki-przypominajki z zapiskami w rodzaju „kupić mleko” i „wyczyść buty!!!”. Wynoszę śmieci. Wycieram z kurzu półki i parapety, myję zlew, umywalkę, potem podłogi w kuchni i łazience. W którymś momencie, wylewając do sedesu zawartość wiadra z brudną wodą, łapię się na tym, że przez cały czas podświadomie wyteżam słuch, spodziewając się telefonu z hospicjum, choć raczej nie dzwoniłoby o tej porze, poczekaliby do rana.

Zaraz potem – ponieważ – przypominam sobie, że sama miałam zadzwonić do brata. Trudno, zrobię to jutro. U Artura problemy: stracił pracę i próbuje zakładać własną firmę, a jego starszy syn choruje, czeka go operacja migdałków.

Płuczę i wyzynam ostatnią ścierkę, myję ręce. Lustro odbija bladą twarz, podkrążone oczy. Uświadamiam sobie, że w ostatnich tygodniach schudłam, nie wiedząc nawet, jak i kiedy, nie licząc kalorii, nie ćwicząc. Szary ukryty w moich włosach powoli wysysa ze mnie kolory.

Dzwonek telefonu rozrywa ciszę. Dopadam aparatu, a w głowie, jak ćma wokół lampy, orbituje jedna myśl: więc to już, stało się, koniec napiętego czekania i modlenia się o spokojny koniec, stało się, już po wszystkim.

– Olga Pańkowska, słucham – mówię, pilnując się, żeby głos mi nie zdrzął. Czekam sekundę, dwie, trzy, ale po drugiej stronie

słyszeć tylko ciszę. – Halo?

Kliknięcie, a potem włącza się sygnał ciągły. Znow te idiotyczne głucho telefony! Gwałtownie odkładam słuchawkę i ciskam o ścianę notesem, który leżał obok. Ale złość wyparowuje ze mnie równie nagle, jak się pojawiła. Nie mam siły frustrować się głupotami. Podnoszę notes, odkładam na miejsce i idę ścielić łóżko.

Jestem zmęczona. Tak cholernie zmęczona, że ledwo trzymam się na nogach. Ale później, gdy umyta i przebrana w piżamę kładę się spać, sen nie chce przyjść. Patrzą w mrok, nadal myśląc o Penumbry i naszej niegdysiejszej paczce, o tym, co było i co jest, i co mnie czeka w najbliższych dniach. O zleceniach, przez które brnę jak przez niekończący się ocean smoły, o samotnych śniadaniach, obiadach i kolacjach. O zdjęciu Dominika na stronie Fundacji Itaka i o mamie, skurczonej w hospicyjnym łóżku, podpiętej do pikającej aparatury, z maską tlenową na opuchniętej, ledwo rozpoznawalnej twarzy.

I nagle czuję, że wokół mnie zaczynają rosnać i splatać się kolczaste pędy. Nie widać ich w ciemności, lecz wiem, że gdybym tylko wyciągnęła rękę, ukłułabym się do krwi. Osty, osty, osty otaczają mnie ze wszystkich stron, zamykają w szczelnym kokonie.

Zasypiam w kolebce z ostów, by śnić szarość.

Głosy, głosy, głosy.

Szepcą w głowie, na granicy jawy i snu, podobne do szumu morza. (Powraca na wpeł zatarte wspomnienie wakacji dawno temu: Bułgaria, białe plaże, stopy grzęznące w nagrzanym piasku, smak dojrzałych melonów, opalony tata w kąpielówkach, uczący nas pływania). Rozklejam zmęczone powieki – w mieszkaniu mrok i cisza. Chłód, bo kaloryfery przykryte, w przeciwieństwie do mamy nigdy nie lubiłam spać w nagrzanym pomieszczeniach. Wzrok wyławia z ciemności fosforyzujące cyferki na tarczy budzika: jest czwarta dwadzieścia siedem. I nadal słyszę szepty. Szczypię się w dłoń, żeby sprawdzić, czy nie śpię.

„Ica... nica... nica... iwnica...”

„Piwnica” – szepcą fale głosem kobiety, głosem, który dobrze pamiętam.

Wyteżam słuch, a szmer/szept potężnieje, narasta, rozwarstwa się na echa. Słowa krystalizują się wśród nich niczym kształty wyłaniające się z pierwotnego chaosu, świat rodzący się z pramorza.

„Ica... nica... iwnica... nej... nej... órnej... inik... inik... minik...”.

Patrzę w półmrok i słucham, co szepcze moje drugie wcielenie spoza granicy jawy, Królowa Ostów.

Piwnica. Na Górnej. Dominik.

Zrozumienie przesywa mnie dreszczem. Zrywam się z łóżka i pośpiesznie, drżącymi rękami zaczynam się ubierać. Spodnie, bluzka z długim rękawem, sweter, ciepłe skarpety. Portmonetka do kieszeni, uczesać się szybciotko, byle jak. I do przedpokoju, prędko, prędeż, minęły trzy lata, więc teraz nie zmarnuję nawet minuty. Płaszcz, buty, szalik, czapka, rękawiczki, dokumenty, klucze.

Zamykam mieszkanie i wybiegam na ulicę, jeszcze rozgrzana od snu, przecierając oczy. Łapię pierwszy haust mroźnego powietrza, który powinien mnie otrzeźwić jak chluśnięcie zimną wodą. Ale nadal słyszę szepty, szemrzący refren na granicy percepcji, sprawiający, że wzdłuż kręgosłupa pełzną ciarki, a oddech więźnie w gardle.

„Dominik. Na Górnej. Piwnica. Dominik”.

To jest sen, to nadal sen, wiem, że śnię. Ale wiem też, że to nie ma znaczenia. A przede wszystkim wiem, dokąd muszę się udać.

Obraz i lustro

Tak jak na jawie auto stało przed domem i bez problemu dało się uruchomić. Ostrożnie jechałam pustawymi ulicami; po niebie rozlewał się szaroniebieskawy świt, przy krawężnikach piętrzyły się hałdy rozmokłego, topniejącego śniegu, koła rozchlapwały brudną wodę. Zaparkowałam na Hempla, obok sklepu z butami, i ostatni kawałek drogi przeszłam piechotą. Kamienica przy Górnej wyglądała jeszcze gorzej, niż zapamiętałam: okna na drugim i trzecim piętrze zabite były deskami, wyblakły szyld nieczynnego od dawna zakładu fryzjerskiego pokrywały zacieki rdzy. Jakiś

miesiąc wcześniej na jednym z lubelskich portali widziałam artykuł, z którego wynikało, że ten dom i dwa inne przeznaczone są do rozbiórki. Zrakowaciałe narośle, które miano wyciąć z tkanki miasta.

Na podwórzu piętrzyła się sterta połamanych desek, starych krzeseł, brudnych poduszek i rozłazających się od wilgoci kawałów sklejki. Drzwi pokryte łuszczącą się farbą nie były zamknięte, ustąpiły pod naciskiem dłoni. Wstrzymując oddech, weszłam na ciemną klatkę, gdzie śmierdziało stęchlizną i moczem, i nagle pożałowałam, że nie mam przy sobie styczniowego talizmanu.

Przyświecając sobie komórką, zesłam do piwnicy, w nieprzebity mrok. Niczym Orfeusz zstępujący do Hadesu. Niczym Iszta schodząca do królestwa swej starszej siostry. Schody skrzypiały pod moimi stopami. Na granicy świadomości nadal słyszałam szept Królowej Ostów, dodający mi odwagi. Z pewnością, którą można mieć tylko w snach, wiedziałam, że po raz pierwszy od trzech lat znalazłam się we właściwym miejscu we właściwym czasie.

Przecisnąwszy się między rupieciami, którymi zastawiony był wąski korytarzyk, odnalazłam drugie drzwi, *te* drzwi.

Były ciężkie, z litego drewna, ze staroświeckimi żelaznymi okuciami oraz wielką kołatką w kształcie żaby. Stojąc przed nimi, poczułam, że włoski na karku i przedramionach lekko mi się jeżą – owionął mnie powiew Nieznanego, przecucie Tajemnicy, przepaści, nad którą zamierzałam zatańczyć.

Wstrzymując oddech, ujęłam kołatkę i zastukałam trzykrotnie. Po chwili dał się słyszeć odgłos odsuwane rygla i drzwi otworzyły się powoli; dobrze naoliwione zawiasy nawet nie skrzypnęły.

– A więc przyszłaś – oznajmił szatan.

Za jego plecami złościście jarzyły się liczne świece, całe morze rozedrganych płomyków. Woń stearyny i swąd knotów napłynęły ku mnie wraz z podmuchem ciepłego powietrza, niosąc skojarzenia z cmentarzami w wieczór Wszystkich Świętych.

– Przyszłam – potwierdziłam, zerkając na niego z ciekawością.

Wyglądał niemal identycznie jak wtedy, gdy widziałam go w czarodziejskim pociągu. Był ubrany w przedziwną, długą do kolan aksamitną kurtkę z ozdobnymi obszyciami i dzinsy o rozszerzonych u dołu nogawkach, blond włosy miał zawadiacko nastroszone, a jego

twarz po raz kolejny wydała mi się irytująco znajoma. Kilkudniowy zarost, trzy poprzeczne zmarszczki na wysokim czole. Kolczyk w uchu, na szyi kilka łańcuszków i spory metalowy krzyż. Oczy piwne, podkrążone, o przenikliwym spojrzeniu.

– Przyszłam – powtórzyłam spokojnie.

Nie wydał mi się przerażający; zawędrowałam za daleko i miałam za mało do stracenia, żeby się bać.

– Wejdz. – Zaprosił mnie gestem do środka.

Pomieszczenie zalane migotliwą poświatą miało co najmniej taki metraż, jak całe mieszkanie mojej matki. Na zakurzonej podłodze z desek stały tysiące świec, świeczek, zniczy plastikowych i szklanych, z blaszanymi daszkami i bez. Jedne płonęły jasno, inne się dopalały, z wielu pozostały tylko osmolone, sterczące żałośnie knoty.

– Cóż za wyrazista symbolika. – Nie darowałam sobie. – Każda świeca to jedno ludzkie życie? Jak w baśniach?

– Nie inaczej. Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty, wina?

– Poproszę kawę – odparłam. – Nie co dzień ma się okazję wypić kawę z Księciem Ciemności.

– Z cukrem? Śmietanką?

– Piję czarną.

Uśmiech przemknął przez jego twarz jak odbłask słońca po powierzchni wody.

– I słusznie.

Poprowadził mnie w głąb sali/komnaty/krypty, która nie wiedzieć kiedy powiększyła się tak, że teraz jej ściany majaczyły gdzieś daleko na horyzoncie. Stąpałam ostrożnie, by nie przewrócić żadnej świecy, nie wdepnąć w kałużę roztopionego, zastygającego wosku i stearyny. Pośrodku morza płomyków widniała ciemna wyspa: krąg pustej podłogi, w którym stał stolik nakryty serwetą i dwa staroświeckie fotele o wyszarzałych obiciach. Serweta była żółta, płócienna, obszyta brązową szydełkowaną koronką. Na stoliku zobaczyłam przenośną elektryczną płytę grzejną (rozejrzałam się – kabel biegł w nieznaną, znikając wśród morza świec), czajniczek, mały metalowy ekspres, dispenser z wodą, ozdobne puszkę – zapewne z kawą i herbatą, cukiernicę, kubki...

Powiesiłam płaszcz na oparciu fotela po lewej, po czym usiadłam, splatając dłonie na kolanach. Szatan rozkręcił ekspres, nalał wody do dolnego pojemniczka i nasypał kawy do środkowego.

– Nie boisz się – zauważył. – Czemu?

To nie była jednak do końca prawda: strach pełzał gdzieś na granicy mojej świadomości niczym zwierzę trzymające się tuż poza zasięgiem światła. Szatan pstryknął włącznikiem, czerwona dioda zajarzyła się, sygnalizując, że płyta zaczęła grzać.

– Jesteś cieniem nas wszystkich – powiedziałam. – Ciemną stroną księżyca. Jesteś tym, co ujrzelibyśmy w dymiącym zwierciadle z azteckich mitów. Czemu miałabym się bać czegoś, co stanowi część mnie?

Znów ten uśmiech, odmładzający jego twarz, i nagle olśniło mnie, skąd znam te nastroszone włosy, śmieszna kurtkę i kolczyk. Tylko w moim śnie szatan może wyglądać jak Tobias Sammet¹ na zdjęciach z koncertów. Uśmiechnęłam się w duchu; przybierając postać Niemca, zgrabnie wpisał się w kanon kulturowy. Potem przebiegło mi przez myśl, że bardziej niepokojący byłby jako Till Lindemann².

– Bardzo rozsądnie powiedziane, Olgo-Greto. Jestem lustrem, które pokazuje różne rzeczy w zależności od tego, kto w nie patrzy. Ty nie musisz się bać, bo twój cień skrywa... – szczupła dłoń wyciągnęła się i zamarła w powietrzu centymetr od mojego policzka – tylko osty, osty i blizny. Powiedz, po co tu przyszedłeś?

– Ze względu na Dominika – odparłam, patrząc mu w oczy.

Westchnął.

– O trzy lata za późno.

– Wiem. – Mój wzrok powędrował ku świecom; teraz spostrzegłam, że jedne płomyki palą się ładnie, inne chwieją się, przygasają i kopcą. – Ale Królowa Ostów powiedziała... – Zająknęłam się. No właśnie – co na dobrą sprawę powiedziała mi Królowa?

– Powiedziała ci, dokąd musisz pójść – uzupełnił szatan-Sammet, uśmiechając się lekko. – I oto jesteś. Teraz powiedz, co chciałabyś osiągnąć?

Przełknęłam.

– Chcę się dowiedzieć, co się z nim stało. I – głos lekko mi zadrżał
– chcę dostać drugą szansę.

– Nie zmienisz tego, co już się dokonało. – Wolno pokręcił głową.

– Co minęło, minęło.

– Jesteśmy w moim śnie. Wszystko jest możliwe.

– W twoim śnie... – powtórzył, unosząc brew. – Śmiem zauważyć, że ja również go śnię.

– A coś to zmienia?

– To, że przynajmniej częściowo odpowiadam za reguły.

Ekspres zaczął perkotać – wrzący napar przelewał się do górnej części. Gdy dźwięk przycichł, szatan-Sammet rozlał ciemną ciecz do kubków; na jednym widniały dwa koty, na drugim – fragment któregoś z obrazów Blake’a. Podał mi ten z kotami. Chciwie wciągnęłam w nozdrza aromat kawy, jeszcze zbyt gorącej, żeby ją pić.

– Jeżeli odpowiadasz za reguły – powiedziałam powoli – to czy potrafisz je zmieniać?

Piwnie, podkrążone oczy Tobiego Sammeta zabłyśły. Oho – pomyślałam. – Tu cię mam, Księżę Ciemności. Na to czekałeś.

– Potrafię. Ale nie za darmo.

– A za jaką cenę?

– Uważaj, Olgo-Greto. – Zaśmiał się z cicha, a ja znów poczułam dreszczyk niepokoju. – Nie zapominaj, kim jestem. Handluję tylko z tymi, których z czystym sumieniem mogę oszukać.

– To znaczy, że masz sumienie? Co sądzą na ten temat teologowie?

– Nie pytałem ich o zdanie. – W zadumie pogładził się po nieogolonym podbródku. – A z czystej ciekawości, ile byłabyś skłonna zapłacić?

No właśnie. Ile? Baśnie uczą, że gdy próbujemy handlować z cieniem, zawsze okazuje się, że zapłaciliśmy więcej, niż nam się zdawało. Żeby zyskać na czasie, podmuchałam na zawartość kubka, potem upiłam łyček gorącego naparu.

– Powiedzmy, że jestem gotowa negocjować.

– W porządku, ale żeby negocjować, potrzebny jest punkt wyjścia. Powiedziałaś, co chciałabyś uzyskać, teraz powiedz, co byłabyś gotowa za to dać. Duszę? Życie? Coś innego?

– Zaraz, zaraz. Dopiero co powiedziałaś, że nie ma sposobu, by cofnąć to, co się dokonało.

– Zgadza się. Ale – z uśmiechem uniósł palec wskazujący – nie powiedziałem, że Dominik nie żyje.

Znów ogarnęły mnie wątpliwości. Czy ja śnię, czy nie, czy rozmawiam z szatanem śnionym przeze mnie czy prawdziwym, a może śnionym, lecz mimo to prawdziwym? Czy jeśli tu zdołam coś ugrać, ujrzę Dominika tylko we śnie czy naprawdę? Czy to możliwe, by Dominik nie był martwy? I czy zaprzędając tutaj duszę, zaprzędam ją już prawdziwie, ostatecznie? Zabawna sprawa – właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy w ogóle wierzę w istnienie duszy. Ale w baśniach jej sprzedawanie nigdy nie kończy się dobrze, bez względu na to, czy potraktujemy ten akt dosłownie czy metaforycznie.

Szatan-Sammet usiadł wygodniej i rozpiął kurtkę. Pod spodem nosił czarną koszulkę z dobrze mi znanym wizerunkiem podświetlonej ogniście maski czy też głowy Meduzy oraz napisem „Hellfire Club”.

– Mam tę płytę – powiedziałam. – Ale wolę *Theater of Salvation*. – Przełknęłam łyk kawy. Sparzyła mnie w język. Po raz kolejny pomyślałam o nieprzytomnej matce w hospicjum: rzadkie kosmyki włosów, zamknięte oczy, sine usta. – Nie powiem ci, co byłabym gotowa oddać, dopóki się nie dowiem, co mogę zyskać. Nie sprzedam duszy za samą możliwość dowiedzenia się, że Dominik żyje, ożenił się i mieszka teraz w Irlandii. Czy coś w tym guście.

– Rozsądna dziewczynka. – Upił łyk kawy. – Dobrze, nie będę cię okłamywał. Jedyne, co mogę ci ofiarować, to informacje. Dowiedziałaś się, czy Dominik żyje i gdzie teraz przebywa.

– To nie jest wiele warte. – Nadal patrzyłam mu w oczy.

– Nie? – Uniósł brwi. – A pamiętasz tamte wywiady o zaginięciach, które spisywałaś z kaset? Nic nie dręczy tak, jak brak pewności. Zresztą sama zdążyłaś już się o tym przekonać.

– Znam gorsze rzeczy. – Smród wymiocin na szpitalnej sali, przemieszany z wonią środków dezynfekcyjnych; ludzkie życie zredukowane do tego, co Kościół tak pięknie nazywa niesieniem krzyża. – Jeżeli nie masz do zaoferowania niczego więcej, to

pozostaje mi podziękować za spotkanie i się pożegnać. Rzeczywiście parzysz bardzo dobrą kawę.

Wypowiadając te słowa, wstrzymałam oddech, niepewna, czy w tańcu nad przepaścią nie dałam kroku zbyt blisko krawędzi. On jednak skinął głową, akceptując moją decyzję.

– Polecam się na przyszłość. – Zasalutował mi kubkiem. – Dobrze. Ale zanim odejdziesz, pozwól, że coś ci pokażę.

Począł, aż dopiję kawę, a potem poprowadził mnie przez morze świec. Obcasy martensów stuknęły o deski. Był drobnej postury, tak jak prawdziwy Tobi Sammet, ale zauważyłam, że cień, który rzuca, jest nadzwyczaj rozległy i porusza się niezależnie od właściciela, zmieniając kształty. Raz wydawał się cieniem postaci w pelerynie ze spiczastym kapturem, kiedy indziej – psa, ośmiornicy, ptaka o rozpostartych skrzydłach, stwora o wielu paszczach...

Szliśmy długo. Płomyki falowały i drgały, wydzielając stearynową cmentarną woń. Ciepłe powiewy przywodziły na myśl oddech potężnego zwierzęcia. Światło i ciemność, śmierć i życie, kawerna pod miastem, gdzie zbiegają się światy; samo przyjście tutaj stanowiło swego rodzaju przywilej. Przyłapałam się na tym, że z morza ogieńków wyławiam wzrokiem te, które lada chwila zgasną, zastanawiając się, czy któryś nie należy przypadkiem do mojej matki.

W końcu dotarliśmy do ściany, która, jak się zdawało, sięgała nieskończenie daleko w lewo i w prawo, pokrytej chropowatym, przybrudzonym tynkiem.

– Spójrz. – Szatan-Sammet wyciągnął dłoń, wskazując wiszący przed nami pojedynczy obraz.

Był duży, malowany akrylami. Niedokończony. Przedstawiał postać siedzącą wśród roślinności na tle jeziora. Tło stanowiło chaotyczną szarozieloną mazaninę wokół niebieskiej płaszczyzny oznaczającej taflę wody stykającą się z niebem. Nagle zdałam sobie sprawę, że kompozycja coś mi przypomina. Serce zabiło mi szybciej.

– Odwróć się – polecił szatan.

Usłyszałam i przeszły mnie ciarki. Kawerna skurczyła się nie wiedzieć kiedy. Teraz stałam w jej narożniku, a na ścianie naprzeciwko obrazu wisiało duże prostokątne lustro w staromodnej

drewnianej ramie. Jego tafłę wypełniała ciemność, nieprzebita czerń. Pierwotny chaos, szepnął ten głos w moich myślach, który czasem podsuwa skojarzenia z lektur czytanych w okresie studiów; prapoczątek i kres wszystkiego.

Przez chwilę spoglądałam w tę pozbawioną światła pustkę, a ona – czułam to – patrzyła na mnie, jak w słynnym cytacie z Nietzschego. Przyciągała mnie, tak jak ogień wabi ćmę. Otrząsnęłam się, cofnęłam o krok, odwróciłam głowę.

– Wiem, co jest po drugiej stronie – powiedziałam. – Ale jeszcze nie powinnam tam iść. Nie kuś mnie.

– Nie kuszę – zaprzeczył z uśmiechem szatan.

Już nie wyglądał jak trzydziestoparoletni rockman z Fuldy, lecz dużo starzej; włosy miał teraz posiwiałe, twarz wychudłą i pooraną zmarszczkami. Stał się tym podstarzałym fotografem, o którym kiedyś fantazjowałam. Poczułam, że się rumienię, choć mogłam się spodziewać, że śniąc mój sen, będzie o mnie wiedział wszystko – a potem uświadomiłam sobie, że tak naprawdę to były fantazje nie tyle o seksie, ile o śmierci.

– Chciałem tylko pokazać ci ten obraz. Ostatni, jaki Dominik zaczął malować tam, nad jeziorem Szept. Nie ukończył go.

Ponownie popatrzyłam we wskazanym kierunku. Rozpoznawałam pozę siedzącej kobiety, długie ciemne włosy, nawet ledwie widoczny zarys twarzy...

Z melancholijnego uśmiechu szatana wyczytałam odpowiedź na moje trzecie pytanie, które wstydziłam się wypowiedzieć na głos, chociaż nękało mnie przez te wszystkie lata: czy Dominikowi zależało na mnie choć odrobinę.

– Dziękuję – powiedziałam. Oczywiście miałam suche, ale wiedziałam, że gdy tylko wyjdę z krypty, zacznę płakać. Na razie smutek przyczaił się gdzieś na dnie świadomości, czekając, aż będę mogła bezkarnie porzucić fasadę spokoju. – Zdaje się, że jestem ci coś winna.

Potaknął ruchem głowy.

– Nie przeczę.

I wtedy – ponieważ już od dłuższej chwili czułam, jak niecierpliwie się wije, muskając mi kark chłodnym oddechem –

rozpuściłam włosy, wypuszczając ukrytego w nich szarego, którego ofiarowała mi Królowa Ostów.

Wzniósł się, podobny do węża utkanego z dymu, rozdziawiając bezoki pysk. Nadał się i powoli wydmuchnął mgiełkę wyssanych ze mnie barw, która rozpostarła się w powietrzu migotliwą zasłoną, po czym powoli opadła na obraz. Gdy jej pozostałości się rozwiały, nad jeziorem Szept pod błękitnym niebem siedziała kobieca postać ubrana w suknię szytą z piór i strzępków tkanin, z drewnianą maską na twarzy.

Szatan, który zdążył już z powrotem odmłodnieć, skinął głową z aprobatą.

– Ładna pamiątka. Dziękuję.

On dał mi odpowiedź na to z trzech pytań, którego nie zadałam, ja zaś zapłaciłam – i pozostałam wolna.

– Odprowadzę cię do wyjścia – dodał.

Przestąpiłam próg, wychodząc z krypty wyzłoconej blaskiem świec w cuchnący stęchlizną mrok. Ciężkie drzwi zamknęły się za mną z hukiem, którego echa jeszcze przez długą chwilę rozbrzmiewały wokół. Przemknęło mi przez myśl, że teraz powinnam się obudzić, ale nie – nadal stałam w ciemności wypełnionej wonią zawilgoconych murów, moczu, starego drewna i zakurzonych, zardzewiałych gratów, które pozostały po dawnych lokatorach kamienicy. W górze od czasu do czasu było słychać przejeżdżające samochody.

W końcu wyjęłam z kieszeni komórkę – mimochodem odnotowałam, że nie mam tutaj zasięgu, jakżeby inaczej – i przyświecając sobie jej ekranikiem, ruszyłam w górę niczym Orfeusz powracający z krainy zmarłych. Wspinając się po skrzypiących schodach, nie oglądałam się za siebie.

Schody były długie, znacznie dłuższe, niż zapamiętałam. Ciągnęły się i ciągnęły, a ja pięłam się po nich mozolnie, coraz bardziej zmęczona, na bolących nogach. W końcu, gdy zaczynałam już podejrzewać, że szatan spłatał mi psikusa i będę się tak wspinać aż do końca świata, wysoko nad sobą ujrzałam kwadrat dziennego światła widocznego przez brudną, pękniętą szybę, zaklejoną plastrem.

Kiedy wyszłam z powrotem na ulicę, był dzień. Szary, deszczowy. Zamknęłam oczy, potem je otworzyłam, uszczypnęłam się w dłoń, lecz nic się nie zmieniło – nie obudziłam się. Na moją twarz nadal padały zimne krople, a ludzie mijali mnie obojętnie. Potem spostrzegłam, że na chodniku nie zalegają już hałdy rozmokłego śniegu. Czy to możliwe, żeby tak prędko stopniał? Pobiegłam w dół, w stronę skrzyżowania, i ujrzałam po lewej drzewa w żółtej jesiennej szacie. Kolana ugięły się pode mną. Jesień, jest jesień, choć jeszcze ubiegłej nocy był początek stycznia; czyżbym spędziła dziesięć miesięcy w krainie umarłych? Co się dzieje z mamą, z samochodem, z mieszkaniem? Czy uznano mnie za zaginioną, tak jak Dominika?

Nim jeszcze na dobre otrząsnęłam się z szoku, ktoś dotknął mojego ramienia. Obróciłam się i ujrzałam... siebie, ubraną w kurtkę o wojskowym kroju i kolorową pasiastą czapkę, która w tej chwili – nie, wróc, która dziesięć miesięcy temu leżała na komodzie jako nieskończona robótka wraz z drutami wbitymi w kłębek wełny.

– To nie jest twój czas – powiedziała druga Olga, a ja, stojąc tam z otwartymi ustami, mogłam jedynie skinąć głową i wyjąkać:

– Wiem.

– Rozmawiałaś z szatanem?

– Tak – szepnęłam.

Wspomnienie rozmowy wróciło i poczułam, że pieką mnie oczy, a w piersi zaczyna wzbierać fala szloch, równie niechciana i równie nieubłagana jak przyptyw mdłości.

– Co powiedział?

– Powiedział... – Usta mi zadrgały, skurcz wykrzywił twarz. Łzy popłynęły z oczu. – Powiedział, że nie da się... Nie da się cofnąć tego, co...

Teraz płakałam już otwarcie, bez wstydu, myśląc z rezygnacją: wiedziałam, że tak będzie. Na oślep sięgnęłam do kieszeni płaszcza, ale okazała się pusta. Druga Olga podała mi chusteczki.

– Chodź do samochodu – powiedziała. – Nie ma co tu moknąć.

Poprowadziła mnie w inne miejsce niż to, gdzie zaparkowałam dziesięć miesięcy wcześniej, i tak, czekało tam moje-jej auto. Powitałam jego widok z ulgą: a zatem moje-jej życie przez ten czas

toczyło się normalnie, w moim życiorysie nie brakowało kartek, nie zniknęłam pewnego dnia jak wytarta gumką cyfra.

Siadłam na fotelu pasażera, wytarłam nos i zapięłam pas.

– Dokąd pojedziemy? – spytałam.

– Do domu.

Mieszkanie na Czechowie czekało na nas. Ku mojej uldze drzwi nie były oklejone policyjną taśmą, a moja kopia jakby nigdy nic wyjęła z kieszeni klucze. Sprawdziłam w torebce, czy mam swój komplet. Miałam. Przelotnie zadałam sobie pytanie, czy pasują. Powinny, o ile druga Olga nie wymieniła zamków.

Gdy tylko przestąpiłam próg, już wiedziałam, że matka nie żyje. Na podłodze stały worki pełne ubrań i butów przygotowanych do oddania, a po kątach piętrzyły się luzem sterty nieposortowanych jeszcze rzeczy wywleczonych z szaf, szuflad i pawlacza – dokumenty, szpargały, pamiątki, skarby i śmieci nagromadzone przez lata.

– Chcesz coś do jedzenia? – zapytała druga Olga.

Potaknęłam skwapliwie. Dopiero teraz poczułam, że jestem wściekle głodna. Dziesięć minut później już zajadałam w kuchni jajecznicę, zagryzając chlebem z wędliną. Druga Olga zaparzyła herbatę dla nas obu i objęła dłońmi swój kubek, jakby chciała się ogrzać.

Odchrząknęłam.

– To co teraz porabiasz? – zagaiłam niepewnie, jakbym rozmawiała z dawno niewidzianą znajomą. – Co u ciebie słychać?

Uśmiechnęła się smutno.

– Wróciłam tam, do piwnicy. – Zgarbiła się z rezygnacją. – Nie wytrzymałam i wróciłam. Tydzień po śmierci matki. Musiałam poznać prawdę. On wiedział, że wrócę. Czekał na mnie.

– I co?

– Powiedział mi... – Zaczerpnęła tchu i otarła kciukiem łzę. – Powiedział, co się stało z Dominikiem.

– To znaczy? – Wyprostowałam się na krześle, odkładając widelec; jajecznica nagle przestała mi smakować. – Tylko nie waż się mówić, że to tajemnica! Mam prawo wiedzieć!

– Zaraz ci powiem, ale najpierw musisz sobie uzmysłować jedną rzecz. Nie jestem tobą, siostrzyczko. Jest wiele ścieżek.

– Co? – Nie zrozumiałam.

Uśmiechnęła się blado.

– Ja nie jestem tobą, a ty nie jesteś mną sprzed dziesięciu miesięcy. Jest wiele ścieżek. Wiele możliwych wariantów twojego... naszego życia. Rozumiesz?

Potaknęłam powoli. Tak, zaczynałam rozumieć. Na tyle, na ile można zrozumieć coś tak zawikłanego, nie znając się na fizyce ani filozofii.

– A Królowa Ostów jest węzłem łączącym te wszystkie nici?

– Mniej więcej. Teraz posłuchaj: musisz pojechać nad jezioro Szept i pójść do tego wąwozu, w którym rosną maliny. Pamiętasz to miejsce. Ktoś chce się tam z tobą spotkać. Możesz wziąć samochód, nie będzie mi już potrzebny. I koniecznie zabierz to. – Wyjęła spod stołu przedmiot, w którym ze zdumieniem rozpoznałam błękitną latarnię. – A także to. – Położyła obok ostry kuchenny nóż.

– Skąd masz latarnię?

– Od naszego znajomego z piwnicy. – Spuściła wzrok. – Poleciał, żebym ci ją przekazała. Tak ponoć będzie sprawiedliwie, ale nie pytaj mnie dlaczego.

– A po co mi nóż?

Z obawą pomyślałam, że jeśli miałyby mnie czekać walka, to moje szanse wyglądają marnie bez względu na to, czy będę uzbrojona, czy nie.

Jednak usłyszałam coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

– Gdzieś tu, w naszym świecie, ukryte jest serce Królowej Ostów. Musisz je odnaleźć i zwrócić właścicielce. Wtedy... – Druga Olga ponownie otarła łzę. – Wtedy telefony przestaną być głuche. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

Przełknęłam. Serce zabiło mi szybciej, ożywione nadzieją.

– A nic ci to nie mówi?

– Nie.

– Nie odbierałaś głuchych telefonów w ciągu ostatniego roku? Aparat dzwoni, podnosisz słuchawkę, a tam cisza, potem kliknięcie i sygnał ciągły?

– Nie. – Spojrzała na mnie zaciekawiona. – Mam rozumieć, że ty owszem?

Gdy potwierdziłam, druga Olga powoli skinęła głową.

– To dobrze – powiedziała wypranym z emocji głosem, który obudził we mnie złe przeczucia. – Może przynajmniej u jednej z nas coś się odmieni na lepsze.

– A czemu mówisz to tak, jakbyś zakładała, że u ciebie nie? – Zadając to pytanie, z ukłuciem chłodu zdałam sobie sprawę, że chyba znam odpowiedź.

Druga Olga znów uśmiechnęła się tym zmęczonym uśmiechem, który w swoim czasie często widywałam na innej znajomej twarzy.

– Dziś w nocy wrócę tam, na Górna. Muszę mu zapłacić.

Zapatrzyła się w upstrzoną kroplami szybę kuchennego okna. Na zewnątrz siąpił deszcz, przylepiając do chodników opadłe liście. Z widocznej za drzewami Stokrotki wychodzili ludzie obładowani zakupami, szli przez parking, wsiadali do samochodów i odjeżdżali. Na parapecie przysiadła wrona, strzepnęła mokre pióra i popatrzyła wprost na mnie czarnym paciorkowatym okiem.

Może podczas rozbiórki znajdą w piwnicy moje kości.

Drugie wycięcie serca

Cała półtoragodzinna jazda nad jezioro Szept rozmyła się w mojej świadomości niczym deszcz rozmazywany przez wycieraczki po przedniej szybie. Chmury niemal nie różniły się barwą od namakających ściernisk, na szosach praktycznie nie widziałam innych aut. Kiedy dojechałam na miejsce, do zmierzchu pozostała mniej więcej godzina.

Zaparkowałam na małym niestrzeżonym parkingu na skraju lasu, pustym o tej porze roku. Wzięłam z przedniego siedzenia zgaszoną latarnię – jej szkło miało teraz barwę ciemnego błękitu paryskiego, jako dziecko lubiłam malować tym kolorem plakatówek – wysiadłam, zatrzasnęłam i zablokowałam drzwi. Patrząc na zasnutę deszczowymi chmurami niebo oraz zaścielające ziemię jesienne liście, pomyślałam z cieniem ironii, że to idealna pora roku na odwiedzanie grobów.

A potem ruszyłam w głąb lasu wąską, gruntową drogą, którą dobrze pamiętałam, wiodącą do ośrodka wczasowego Julia. Jakieś

sto metrów przed budynkiem, który już zaczynał się wyłaniać zza bezlistnych drzew, skręcałam w ledwie widoczną ścieżynę zarosniętą perzem i przywiędłymi niecierpkami.

Serce zabiło mi szybciej, a latarnia w mojej dłoni ożyła, rozbłysła czarodziejskim światłem, rozpraszając półmrok. Ruszyłam żwawo przez las, który powoli brała w posiadanie noc, pachnący wilgocią i cierpkim jesiennym rozkładem, próchnem i grzybami. Opadłe liście szeleściły pod podeszwami butów.

Do przejścia miałam jakieś dwa kilometry, ale wiedziałam, że błękitna latarnia doprowadzi mnie bezpiecznie na miejsce.

Do jaru za brzozowym gajem, gdzie kiedyś zrywaliśmy maliny nad strumieniem.

Domyślałam się już, że właśnie tam, w malinisku, spoczywają kości Dominika, przykryte cienką warstwą ściółki i opadłych liści. Szkielet, pozostałości ubrania, sandały – zapleśniałe, zbutwiałe od wilgoci, ledwo rozpoznawalne.

Powiesił się lub podciął sobie żyły, samotnie, nawet nie w środku lasu – stosunkowo blisko ośrodka wczasowego, na litość, jakby *chciał*, żeby go znaleziono, bo przecież musiał wiedzieć, że będą szukać – a jednak nie znaleźli. Pewnie wszedł głęboko w gąszcz malin, których sprężyste, kłujące łodygi czepiały się ubrania i drapały skórę – wiedząc, że go osłonią, zakryją, przechowają w bezpiecznym schronieniu, niczym żywopłot z dzikich róż, który wyrósł wokół zamku śpiącej królowej.

Niczym mój kokon z ostów.

I tak się stało.

I las pomalutku, stopniowo go pochłonał, pożywił się miękkimi częściami jego ciała – larwy much, owady, leśne zwierzęta i diabli wiedzą, co jeszcze – a potem zakrył szczątki. I nikt po dziś dzień nie wie, co się stało z Dominikiem Budrewiczem, którego zdjęcie wisi na portalu Fundacji Itaka.

Mogłam tylko zgadywać, jakie demony nosił w sobie – z pozoru tak rozsądny, współczujący i ciepły; typ faceta, którego specjalnością jest cierpliwe wysłuchiwanie zwierzeń. O czym mi nie powiedział wtedy na spacerach, kiedy w nieskończoność opowiadałam mu o moich banalnych problemach, wątpliwościach i smutkach.

Gdy minęłam ostatni zakręt ścieżki i stanęłam u wylotu jaru, po plecach przebiegł mi dreszcz. Tak jak zapowiedziała druga Olga, ktoś na mnie czekał.

Ktoś siedział na pniu zwalonej brzozy, ubrany w stary, połatany wojskowy szynel, równie zniszczone bojówki, buty turystyczne i zielony kapelusz.

– To dobrze, że przyszedłeś z latarnią – oznajmił Hannes.

– Jesteś tylko wspomnieniem – odpowiedziałam powoli. – Moim wspomnieniem o Dominiku.

– Przykro mi cię rozczarować, ale nie – odparł z uśmiechem.

– Doprawdy?

– Nie jestem częścią ciebie i zdecydowanie nie mam nic wspólnego z Dominikiem. Ale dobrze ci życzę, Olgo. I tobie, i Królowej Ostów.

– W takim razie kim jesteś? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Definicje to bardzo problematyczna sprawa. Któryś z filozofów chyba ujął to zgrabniej i nawet uzasadnił.

– Przypuszczam, że więcej niż jeden – odrzekłam.

Wsunęłam dłoń do kieszeni kurtki, żeby po raz setny upewnić się, że mam przy sobie nóż, który dała mi druga Olga.

Hannes przestał się uśmiechać. Teraz patrzył na mnie z powagą i chyba, jak sobie uświadomiłam, ze współczuciem. A może tylko mi się zdawało.

– Jestem tu, żeby ci wyświadczyć przysługę – powiedział. – Pod warunkiem że będziesz wiedziała, o co poprosić. Czy wiesz?

Odchrząknęłam, nagle czując suchość w gardle.

– Moje serce jest sercem Królowej Ostów. Musisz je wyciąć. – Wyjęłam nóż i wyciągnęłam w jego stronę, uchwyt do przodu. – Proszę, użyj tego.

Hannes pokręcił głową.

– Nie potrzebuję noża, żeby ci wyjąć serce.

Skinęłam głowę, po czym odłożyłam nóż na ziemię. Zdjęłam kurtkę i ściągnęłam sweter, zostając w cienkiej bluzce, pod którą miałam jeszcze podkoszulek na ramiączkach.

Hannes wyciągnął dłoń, a ona przeniknęła przez dwie warstwy bawełnianej tkaniny i zanurzyła się w moim ciele jak w wodzie. Nie

poczułam bólu, ale gdy cofnął rękę, wzdrygnęłam się, widząc, że jego palce są ubabrane czerwienią. Rozwarł je.

– Twoje serce – powiedział cicho. – Serce Królowej Ostów.

Pochyliłam się, żeby spojrzeć.

Na jego dłoni spoczywała figurka z malowanej porcelany, niewiele dłuższa od mojego kciuka. Była umazana krwią. Hannes rozmotął chustkę, którą nosił na szyi, wytarł czerwone plamy, a wtedy poczułam nagły ucisk w gardle.

Figurka przedstawiała moją matkę w jej ulubionym bordowym kostiumie, czarnej bluzce i kolorowej apaszcze, z włosami pofarbowanymi na ciemny mahoń. Widać było nawet karminową szminkę na ustach i cienie na powiekach.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy rozpłakać. Jakiś cholerny psychoanalityk mógłby napisać doktorat na podstawie moich snów.

Hannes wsunął mi figurkę w dłoń i delikatnie zacisnął na niej moje palce.

– Chodź – zachęcił. – Zaprowadzę cię ponownie do Królowej Ostów.

Potem ujął mnie za rękę, a latarnia w mojej dłoni zabłysła jasno, jaśniej niż księżyc. Jej błękitny blask zalał nas, oślepił, pochłonął. Gdy się rozproszył, staliśmy na pustkowiu, które już znałam, wśród morza uschniętych ostów.

– Wyjaśnij mi coś – poprosiłam. – Te wszystkie miejsca w Zaświecie: dom Arola, Ścieżka, las, miasteczko... Wszyscy żyjący tam ludzie, Młynarka, leśna jędra, Zofia, Petr... Czy wszystko to istniało tylko dla mnie, tylko w moim śnie?

Hannes uśmiechnął się tajemniczo, jak to on.

– Są sny i sny, Olgo. Czemu zakładasz, że ten śniłaś tylko i wyłącznie ty? Teraz chodź. Musimy zdążyć, nim się obudzisz.

Długo wędrowaliśmy przez mokradła i cierniste zarośla, ciągnące się pod niebem barwy ołowiu. W mojej pamięci kłębiły się wspomnienia, które też przypominały błoto – te wszystkie dni, kiedy zabijałam czas w sieci, nie mając siły wysłać kolejnego CV, i czekanie w szpitalu, na korytarzach śmierdzących środkami dezynfekcyjnymi, i poranki, kiedy mama wymiotowała w łazience, a ja trzymałam jej głowę i pilnowałam, czy nie mdleje. Nie wiem,

czy ta wędrówka trwała godziny, czy może tygodnie, które w moim śnie przewinęły się niczym film odtwarzany w trybie *fast forward*.

Szliśmy. Hannes prowadził, ja w milczeniu podążałam za nim. Nic nie mogło nas powstrzymać, ani bagna, ani ciernie. Czasem widywaliśmy szczuropajaki, które węszyły w gęstwinie, ale traktowały nas z taką obojętnością, jakbyśmy byli powietrzem.

Zabłoceni, w podartych ubraniach, dotarliśmy w końcu do pagórka i czarnej bramy uplecionej z kolczastych łodyg, twardych jak żelazo, za którą rozpoczynał się korytarz wiodący pod ziemię. Bramy strzegły dwa złotorozce, lecz na widok błękitnej latarni cofnęły się bez słowa.

Zstąpiliśmy do podziemi, w wilgoć, chłód i ciemność. Długo szliśmy korytarzem, który wił się i zakręcał wielokrotnie, nasuwając skojarzenia z olbrzymią krecią czy też króliczą norą (przelotnie pomyślałam o *Alicji w Krainie Czarów*, w późniejszym dzieciństwie to była jedna z moich ulubionych książek). Jego ściany, również splecione z czarnych ni to korzeni, ni pnączy, jeżyły się cierniami. W końcu dotarliśmy do obszernej kawerny. Wejścia strzegł pojedynczy szczuropajak, który na nasz widok zasyczał cicho, ale usunął się z drogi.

Wewnątrz czekała Królowa Ostów.

Siedziała na posłaniu z futer, starych ubrań i zmiętych kartek, odziana w suknię z piór i strzępków tkanin, głaszcząc Felicję w kociej postaci, która wyciągnęła się na jej kolanach.

– Oddaję ci to – powiedziałam, wręczając Królowej porcelanowe figurkoserce.

Wsunęła je w zanadrze. Wtedy wyciągnęłam dłoń i bez lęku zdjęłam z jej oblicza drewnianą maskę.

Ani drgnęła. Ja również nie zadrżałam, spoglądając na znajomą kobiecą twarz, pociągłą, o smutnych ustach. Oliwkowa cera, cień wąsika nad górną wargą i wielkie ciemne oczy jak u Penélope Cruz.

– Dziękuję, Olgo – odezwała się Królowa Ostów, moje lustrzane odbicie, Olga pisana wspak, ta część Olgi, która rosła w mrok i w głąb, a kiedy bolało, sięgała po zyletkę.

Wiedziałam już, że nie powinnam się jej bać – była częścią mnie, jak mój biust i brzuch, pieprzyk na szyi i cienkie szramy na udach.

– Chcę, żebyś przywołała z powrotem wszystkie swoje stwory – powiedziałam, przypominając sobie szare, które opanowały najpierw Zaświat, a potem, gdy śniło mi się, że jestem bezdomnym Piotrem od bransoletek, cały Lublin. – Niech więcej nie nawiedzają moich snów.

– Jak sobie życzysz. – Wzruszyła ramionami z leciutkim uśmiechem. – Przywołam je i uspię. Ale to, czy kiedyś zbudzą się ponownie, czy też nie, nie ode mnie zależy, siostrzyczko.

Pomyślałam, że nigdy do końca nie zrozumiem, co w tej historii zrodziło się z mojej podświadomości, a co z nadprzyrodzonej logiki Zaświatu, ale właściwie nie było to ważne.

– Przywołaj je – powtórzyłam. – A potem pozwól nam stąd odejść.

– Dobrze.

Królowa Ostów ponownie sięgnęła pod suknię, w którą – jak sobie teraz uświadomiłam – wplecione były resztki wszystkich włóczek, jakie kiedykolwiek zużyłam, a także świstki papieru z wierszami, które pisywałam w liceum, oraz zasuszone róże, te wszystkie róże, które dostałam od Mariusza i później wyrzuciłam, i wyjęła drewniany flet. Przyłożywszy go do ust, zaczęła grać powolną, smutną melodię.

I wtedy, choć stałam w mroku głęboko pod ziemią, poczułam, że zarazem wznoszę się jak duch, przenikając przez warstwy splecionych korzeni i ziemi, by ujrzeć to, co działo się na powierzchni. Na równinie, w oddali, poruszały się rosnące w oczach punkciki. Szare, szczeropajaki i złotorożce nadbiegały ze wszystkich stron, posłuszne wezwaniu. Jedne spadały z burego nieba, inne wyrastały z grząskiej ziemi. Pędziły na cienkich, szcudłowatych odnóżach, gnały, łomocząc kopytami, lub szybowały w powietrzu niczym mgła – a przekroczywszy niewidzialną granicę dzielącą je od zamku, rozpływały się w nicość lub ciemniały, kurczyły się i upadały, przeistaczając się w suche liście, patyki i błoto. Na miejsce tych, które zniknęły, nadbiegały nowe, by podzielić ich los.

A Królowa grała dalej, zwoływała swe sługi z powrotem, wabiąc je obietnicą zasłużonego odpoczynku, upragnionego snu. Aż w końcu ostatni szary kształt się rozwiął, ostatnie pająkowane monstrum rozsypało się w proch, ostatnie złote skrzydło przeistoczyło się w martwą materię – i muzyka zaczęła przycichać.

Gdy umilkła ostatnia nuta, zdałam sobie sprawę, że po policzkach płyną mi łzy. Otarłam oczy rękawem.

Królowa Ostów powoli odjęła flet od ust i wsunęła go z powrotem w zanadrze. Zobaczyłam, że jej policzki również są mokre.

– Mam nadzieję, że już nigdy tu nie wrócisz – oznajmiła.

– A wy? – spytałam. – Co będzie z wami?

Felicita wstała, przeciągnęła się po kociemu – najpierw przednie łapy, potem tylne – po czym obróciła się, umościła wygodnie i znów przymknęła ślepią.

Królowa Ostów skłoniła głowę. Długie ciemne włosy – moje włosy – zalśniły, łowiąc poświatę świec.

– Pozostaniemy tutaj, w mroku i ciszy. Będziemy nucić kołysanki, spać i śnić o szklanych kulach i złotorożcach, o ciepłym mleku i domowikach pod piecem, i o tym, jak wszystko mogłoby wyglądać, gdyby Olgierd nie pokłócił się z Janiną i nie wybiegł z domu pewnego jesiennego ranka. – Wyciągnęła dłoń w zielonej włóczkowej rękawiczce, którą kiedyś zgubiłam w parku, jeżdżąc na sankach, i dotknęła mojego czoła. – Idź. Idźcie oboje – dodała, patrząc na Hannesa. – Zaprowadź ją z powrotem między żywych.

Hannes skłonił się bez słowa.

– Zostaw latarnię – szepnął. – Nie będzie ci potrzebna.

Odstawiłam ją ostrożnie. Jarzyła się teraz przyćmionym, tajemniczym turkusem, jak zaklęty klejnot z nienapisanej nigdy baśni. Coś ścisnęło mnie w gardle na wspomnienie nocy, gdy frunęłam z nią ponad zaśnieżonym lasem. Wiedziałam, że już wkrótce się obudzę, otworzę oczy i nie pozostanie mi nawet wspomnienie tego niewiarygodnego, piętrowego, czarodziejskiego snu.

– Dominik nie żyje – odezwałam się zduszonym głosem, gdy wspinaliśmy się z powrotem krętym korytarzem o ciernistych ścianach, oświetlonym przez świętojańskie robaczki. Im bardziej próbowałam nie myśleć o kościach spoczywających tam w lesie, płytko pod warstwą opadłych liści i ściółki, tym uporczywiej ich obraz wwierał się w moją świadomość. – Już nigdy go nie zobaczę. – Przełknęłam, usiłując powstrzymać łzy, które nieubłaganie napływały mi do oczu.

Hannes pokręcił głową.

– Wiesz tylko to, co wiesz – stwierdził enigmatycznie. – Wszystko będzie dobrze, Olgo.

Jego słowa wydały mi się równie puste, jak pocieszenia lekarzy zajmujących się mamą. Ale nic nie powiedziałam.

Korytarz przed nami rozwidlił się: jedna odnoga wiodła w dół, druga w górę. U szczytu tej drugiej było widać odległą, bladą plamkę dziennego światła. I wtedy zdałam sobie sprawę, że już za moment, za sekundę wrócę do świata jawy.

– Hannes – rzuciłam, w panice szukając odpowiednich słów, żeby mu zadać pytanie, uzyskać zapewnienie, że wszystko, co się wydarzyło, nie pójdzie na marne...

Ale jego uśmiechnięta twarz już zamazywała mi się przed oczami. Niewidzialna siła chwyciła mnie i zaczęła ciągnąć w górę; wszystko płynęło, płynęło, umykało...

Aż w końcu się obudziłam.

W skotłowanej pościeli, we własnym łóżku, w mieszkaniu matki. Za oknem szarzał zimowy świt.

Przewróciłam się na wznak, mrugając, by odpędzić łzy. Śniło mi się coś niewiarygodnego – tyle zdołałam zapamiętać – lecz w świadomości pozostały jedynie obrazy, które błyskawicznie bladły i zanikały, pozostawiając tylko ściskający gardło smutek.

Dziewczynka ze starego domu

Nieopodal młyna biegł trakt wyłożony kamiennymi płytami. Młynarka nazywała go Ścieżką – w sposobie, w jaki wymawiała to słowo, wyraźnie dawało się słyszeć wielką literę. Powiedziała Dominikowi, że Ścieżka biegnie przez cały Zaświat. Poradziła też, aby nie szwendał się po tym trakcie, bo gotów napytać sobie biedy.

– Podróżują nim ci, dla których Zaświat jest tylko mgłą. Wędrują przez nią dalej, dalej i dalej – powiedziała, zniżając tajemniczo głos i nie przestając postukiwać drutami, na których robiła czapkę dla wnuczka – wyrzutki, potępieńcy, ptaki bez piór, dusze gnane wiatrem... A także sny, których nie dośniono do końca, poszukiwacze nieistniejących prawd i wysłannicy z krainy ostów.

Zaintrygowany tym opisem, Dominik wcale nie trzymał się z daleka od traktu, wprost przeciwnie. Niemal codziennie, zwykle w południe lub przed wieczorem, wychodził na Ścieżkę i szedł nią na skraj lasu w nadziei, że w końcu ujrzy kogoś lub coś wyłaniającego się z oddali – może rycerza na koniu, może karoce w otoczeniu eskorty, a może smoka...? Ale droga nieodmiennie trwała pusta – rozprazona w sierpniowym upale lub zalana złotym, spokojnym światłem zachodzącego słońca i pocięta pręgami długich cieni. Za lasem wspinała się na wzgórze, na którego szczycie stał posąg, słabo widoczny z tej odległości. Kiedy Dominik miał trochę więcej wolnego czasu, a nie włączył się akurat po lesie z Karolem, czasami wspinał się na wierzchołek tego wzniesienia, bo roztaczała się stamtąd efektowna panorama, aż prosząca się o to, żeby ją namalować. Intrygowała go kamienna figura, nie wiedzieć czemu przyozdobiona wieńcem z cierni, przed którą stały puste naczynia, tak jakby składano tu ofiary. Młynarka nie chciała powiedzieć, co to za rzeźba, czy przedstawia jakieś bóstwo (jakie bóstwa mogli czcić mieszkańcy Zaświatu?) i czemu stoi właśnie w tym miejscu.

Drugim interesującym obiektem był stary dom wybudowany mniej więcej w połowie wysokości wzgórza, nieco w bok od drogi.

Stromy, kryty gontem dach górował ponad koronami drzew owocowych w zaniedbanym, zarośniętym chaszczami sadzie. Z daleka budynek zachwycał swoistą staroświecką elegancją – architekturą przypominał drewniane wille w Krynicy Górskiej. Z bliska jednak było widać, że wymaga generalnego remontu. Pewnego dnia Dominik postanowił sprawdzić, czy ktoś tam mieszka. Upewniwszy się, że nie musi się obawiać biegających luzem psów, podszedł aż pod ganek, gdzie w trawie smętnie rdzewiało wywrócone wiadro. Obok rachitycznych schodków rosły piękne wysokie malwy. Zielona farba łuszczyła się z pozamykanych okiennic i drzwi. Nigdzie żywej duszy.

– Halo! Hej! – zawołał. – Jest tu kto?

Odpowiedziała mu cisza. Lepki upał osiadał na zakurzonych liściach pokrzyw i perzu. Gałęzie jabłonek w sadzie zwisały nisko, obwieszane owocami. Bzyczały muchy.

Brodząc po kolana w chwastach, Dominik obszedł dom naokoło. Chwilę patrzył na ogród, a raczej na to, co z niego pozostało – mizerne krzaki róż, trochę floksów i łubinu, wszystko więdnące od upału i przygłuszone przez wszechobecne zielsko. Ciemny, chudy kot leżał pod drzewkiem wiśni, leniwie poruszając ogonem; na widok intruza czmychnął w zarośla.

Chłodna trawa w cieniu jabłoni kusila, żeby się położyć, ale Dominik wiedział, że powinien już wracać na obiad. Narwał papierówek, poupychał je w kieszeniach spodni, a po powrocie do młyna podzielił się owocami z Karolem. Zapytany, czy w starym domu ktoś mieszka, chłopiec zaprzeczył.

– To był dom czarodzieja – odparł. – Czarodzieja Arola, ale on już nie żyje.

Więcej nie umiał czy nie chciał powiedzieć, więc przy obiedzie Dominik zapytał o tajemnicze domostwo Młynarkę. Ta wzruszyła ramionami.

– Mieszkał tam ten magik, jakże mu było, Aroldo Gazza. Znałam go. Zmarł w zeszłym roku.

– Czym się zajmował?

– Spytaj raczej, czym się nie zajmował! – Machnęła ręką. – Pilnował, żeby po zimie nadchodziła wiosna i żeby granice pozostawały na swoim miejscu, a stwory z królestwa ostów nie

rozhułały się zanadto. A prócz tego zabawiał się tanimi sztuczkami, jak to magik.

Potem zamilkła i milczała jak zaklęta, choć Dominik usiłował z niej wyciągnąć jakieś informacje o tajemniczym królestwie ostów, o którym nie słyszał nigdy wcześniej. Rad nierad, zmuszony był w końcu dopisać tę intrygującą nazwę do listy zagadek Zaświatu, których nie potrafił zgłębić.

Od tej pory coraz częściej zachodził w pobliże opuszczonego domu. Przesiadywał w sadzie, pogryzając jabłka, rysował lub po prostu pozwalał myślom błądzić, podczas gdy senne godziny upalnego sierpnia sączyły się jak miód. Rozważał nawet włamanie się do domostwa, ale na razie brakowało mu odwagi. Zastanawiał się, kim był ów tajemniczy Aroldo Gazza i czym się zajmował – alchemią, astrologią czy też, jak sugerowały słowa Młynarki, prawdziwą magią? Jak wyglądała magia w Zaświecie?

Dominik przyzwyczyił się traktować sad jak swoją samotnię, dlatego zdziwił się i z lekka rozczarował, kiedy pewnego dnia znalazł w trawie wstążkę. Niebieską, wilgotną, bo w nocy padał deszcz. W tutejszych realiach najbardziej prawdopodobnym miejscem pochodzenia wstążki wydawał się czyjś warkocz, ewentualnie gorset.

Czy przychodziła tutaj jakaś dziewczyna ze wsi, żeby nazbierać jabłek, może posiedzieć chwilę w tym cichym, odludnym miejscu? Dominik rozejrzał się odruchowo, lecz sad, ogród i stary dom jak zwykle trwały w bezruchu i ciszy. Tylko białe motyle trzepotały nad zachwaszczonymi rabatami, a malwy pyszniły się różowymi kwiatami, strzeliste i dumne.

Tej nocy przyśniła mu się wędrówka. Szedł Ścieżką, która wiodła go przez wzgórza i doliny, przez pola, wąwozy, strumienie, zagajniki i łąki, aż dotarł do gigantycznego łąnu uschniętych ostów, ciągnącego się aż po horyzont. A z tego morza brązowawych, szeleszczących na wietrze kolczastych łądyg i siejących siwym puchem przekwitłych kwiatów wyszła Olga, ubrana w wielobarwną suknię szytą ze szmatek, piór i strzępków zapisanego papieru. Wyciągnęła ręce i wyszeptwała z natarczywą emfazą, od której ciarki przebiegły mu po plecach:

– Osty, osty. Tylko osty, Dominiku. Tylko osty...

Zbudził się przed wschodem słońca i poczuł, że już nie zaśnie. Wstał, ubrał się i cicho wyszedł na dwór. Młynarka, która wstawiała na długo przed świtem, krzątała się w oborze, ale nie zauważyła go.

W wilgotnym chłodzie poranka, idąc Ścieżką, Dominik nie wiedzieć czemu przypomniał sobie tamten ranek, kiedy Zły ukazał mu się w Warszawie, pod sklepem spożywczym. Od czasu przekroczenia granicy nie objawił się ponownie, może do tej krainy nie miał wstępu?

Szelest w zaroślach sprawił, że Dominik znieruchomiał, nagle pełen obaw, że zza drzew wyłoni się znajoma sylwetka kusiciela. Ale nie. Nieco dalej gałęzie poruszyły się i z krzaków leszczyny wyszedł na Ścieżkę dorodny jeleń, a za nim dwie łanie. Nie przejmując się obecnością człowieka, spokojnie przecięły trakt i zniknęły w lesie. Dominik uśmiechnął się mimo woli, patrząc za nimi.

Robiło się coraz jaśniej. Przyśpieszył kroku, bo pomyślał, że skoro już wyszedł na dwór, a niebo jest prawie bezchmurne, to warto byłoby obejrzeć wschód słońca ze szczytu wzgórza. Ale kiedy mijali stary dom, nagle zastygł w pół kroku, zapominając o wszystkim.

W ogrodzie ktoś był. Dziecko. Dziewczynka o ciemnych warkoczach. Ubrana w staroświecką brązową sukienkę, siedziała na obrośniętej pokrzywami stercie desek, machając bosymi nogami i gryząc jabłko.

Dominik długą chwilę stał bez ruchu, zastanawiając się, czy przypadkiem nie ma zwidów. Chciał zawołać do dziewczynki, pozdrowić ją życzliwie, ale nim to zrobił, podniosła głowę i zauważyła go.

Zamarła, a potem zeskoczyła na ziemię i rzuciła się do ucieczki. Dominik krzyknął za nią, żeby się nie bała, ale na próżno. W okamgnieniu zniknęła za domem. Zostało po niej tylko leżące w trawie nadgryzione jabłko – namacalny dowód, że nie była przywidzeniem.

Dominik wycofał się i czekał dłuższy czas w krzakach, mając nadzieję, że zobaczy ją ponownie, ale nie pojawiła się już.

Nazajutrz sytuacja powtórzyła się niemal co do joty, z tą różnicą, że tym razem wypatrzył małą za domem, gdzie zrywała porzeczeki. Gdy go zobaczyła, pobiegła w stronę muru otaczającego ogród,

zwinnie wspięła się na niego, zeskoczyła po drugiej stronie i tyle ją widział.

Zaintrygowany, zmienił taktykę. Zamiast przychodzić jawnie w pobliże starego domu, teraz zakradał się tam jak Indianin i czatował pod osłoną zarośli, wypatrując dziewczynki. Nie pojawiała się codziennie, widywał ją tylko w słoneczne dni, a i to nie zawsze. Wspinała się na drzewa, zbierała opadłe jabłka, plotła wianki z kwiatów, chwyciła motyle tylko po to, żeby je potem wypuścić.

Choć Dominik starał się zachowywać jak najciszej, zawsze w końcu orientowała się, że jest obserwowana – i uciekała. Czasem w głąb sadu, czasem przez mur i do lasu. Nigdy do wnętrza domu. Mimo to coś mówiło mu, że mała nie przychodzi tu się bawić, a po prostu mieszka. Sama jedna? Czy też stary dom miał jeszcze innych lokatorów, którzy nie pojawiali się na zewnątrz?

Nie wyglądało na to, aby prędko miał rozwiązać tę zagadkę.

Nie przybliżył się też do rozwiązania drugiej: w jaki sposób sprawić, żeby Asia lub Olga usłyszały jego głos w słuchawce telefonu. Dominik codziennie po kilka razy wykrecał ich numery, przeważnie wieczorem, bo doświadczenie mówiło mu, że wtedy zwykle są w domu. Wiedział, że pewnie przeklinają tego anonimowego natręta, który je nęka, ewentualnie pomstują na telemarketing albo problemy techniczne w TP SA. Ale nie potrafił się powstrzymać. Tak bardzo tęsknił za ich głosami.

Asia wkrótce przestała odbierać te telefony. Odbierał Michał, który po jednym sondującym „Halo?” natychmiast się rozłączał. Po tym, jak Dominik czwarty raz usłyszał po drugiej stronie linii głos szwagra, z ciężkim sercem dał za wygraną i przestał dzwonić do siostry.

Olga prawie zawsze odbierała po drugim, najdalej trzecim dzwonku, a w jej „Halo?” za każdym razem było słycać niepokój, czasem jawne rozdygotanie i strach. Co działo się teraz w jej życiu? Czego się bała?

Często o niej śnił: że znów spacerują nad jeziorem Szept; że kleją razem wielki latawiec, który potem nie chciał polecieć; że Olga przyjechała do niego z wizytą do Warszawy, przywożąc ze sobą psa, kota i (nie wiedzieć czemu) iguanę... Tylko raz przyśniło mu się, że

kochają się w lesie w pachnącą ciepłą noc, na gołej ziemi, jak w czasie obchodów sobótki. Ale obudził się nie tyle podniecony, ile pełen smutku.

Tego dnia robota w obejściu wybitnie mu nie szła. Kiedy rano doił czarną krowę, ta kopnęła skopek, wylewając większość mleka. Później, gdy Dominik znosił do kuchni porąbane drwa, zawadził łokciem o garnek z owsianką i zrzucił go z pieca. Musiał sprzątać efekty tej katastrofy i ugotować nową owsiankę, którą oczywiście przypalił. Po śniadaniu, pracując w ogrodzie, dostał od Młynarki burę za to, że nieumiejętnie piel, zostawiając korzonki chwastów w ziemi. Kazała mu iść i zrobić coś pożyteczniejszego, to znaczy skosić zielsko za młynem. Ponieważ nie miał jeszcze wprawy w posługiwaniu się kosą, długo trwało, zanim doprowadził bitwę z pokrzywami do chwalebного końca, kładąc je wszystkie pokotem. Kiedy stał, ocierając pot z czoła i patrząc na pobojuwisko, nagle usłyszał, że ktoś go woła zza płotu.

Dominik podszedł nieufnie, sądząc w pierwszej chwili, że to włóczęga, który chce poprosić o jedzenie lub pieniądze. Jednakże nieznajomy nie wyglądał na żebrzącego dziada. Jego odzież pochodziła ewidentnie z kilku epok: wojskowa kurtka mundurowa sprzed co najmniej stu dwudziestu lat, lniana chłopska koszula, a do tego współczesne bojówki i buty turystyczne. Na głowie miał zielony kapelusz, trochę przypominający nieśmiertelny urlopowy kapelusz Dominika, ale o szerszym rondzie i znacznie bardziej zniszczony, wyblakły od słońca i deszczu, strzępiący się tu i ówdzie.

Co najdziwniejsze – nieznajomy trzymał za rękę dziewczynkę ze starego domu.

– Witaj – rzekł z uśmiechem. – Dotąd nie mieliśmy okazji się poznać, ale cieszę się, Dominiku, że widzę cię zdrowego.

Dominik zeszywniał.

– Kim jesteś? – spytał ostrożnie.

– Wędrowcem, który przemierza drogi i bezdroża Zaświatu, a także, nie chwaląc się, wielu innych światów. Nazywam się Hannes. A to – przybysz wskazał dziewczynkę, która zerkała lękliwie na Dominika – jest Felicita. Felicito, przedstawiam ci Dominika.

Mała dygnęła niezgrabnie, a Dominik dopiero teraz zauważył na jej buzi i szyi nierówne różowawe blizny, wyglądające na ślady po oparzeniach. Zaskoczony i zasmucony, nie mógł od niej oderwać wzroku. W szkole podstawowej chodził do jednej klasy z dziewczynką, która mając dwa latka, ściągnęła na siebie garnek z wrzątkiem. Blizny Idy wyglądały znacznie gorzej, nie miała włosów na połowie głowy i nie potrafiła się normalnie uśmiechnąć, tylko krzywiła twarz. Inne dzieci dokuczały jej, przezywały, nie chciały z nią siedzieć w ławce. Felicity nikt by się nie wystraszył – miała skazy na skórze, ale jej rysy i mimika pozostały normalne. Byłaby ciekawym obiektem do fotografowania; Dominik odruchowo zaczął myśleć o tym, jak dobraćby oświetlenie, pod jakim kątem robiłby zdjęcia, żeby pokazać zarówno fakturę blizn, jak i dziecięcą delikatność jej buzi oraz smutne oczy.

– Jesteśmy tutaj, ponieważ wiem, że bardzo chciałbyś wrócić na drugą stronę granicy – kontynuował Hannes. – Tak się składa, że w domu, w którym mieszka Felicita, znajduje się portal do twojego świata.

– W domu Arola Gazzy?

– Tak. Widzę, że jesteś dobrze poinformowany.

– Nieprawda! Nic nie wiem. Kim był ten cały Aroldo? I kim jest... Felicita? – Dominik nadal wpatrywał się w dziewczynkę, ta zaś mierzyła go nieufnym spojrzeniem. Chętnie spytałby, czemu zgodziła się tutaj przyjść, skoro wcześniej tak się go bała.

– Aroldo był znawcą wiedzy tajemnej, ale już nie żyje. A Felicita... jest teraz jedyną mieszkanką jego domu. – Hannes lekko pogładził warkocze dziewczynki, a ona przywarła do niego, tak jakby Dominik nadal budził w niej strach. – Mniejsza z tym, to teraz nieistotne. Słuchaj! Mamy dla ciebie propozycję.

– Że co? Przysłał cię ten z czarnymi oczami?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie? – Dominik raptem poczuł gniew. – To może łaskawie mi wytłumaczysz, o co w tym wszystkim chodzi i co ja tutaj robię?

Hannes uśmiechnął się wyrozumiale, jakby był przyzwyczajony do pytań tego rodzaju.

– Obawiam się, że nie do mnie należy tłumaczenie takich rzeczy. Jeśli można, chciałbym ci przedstawić ofertę, z którą przyszedliśmy.

– Ofertę? Handlową?

– Poniekąd.

Dominik otworzył usta, żeby skomentować kąśliwie, ale zrezygnował. Wzruszył tylko ramionami.

– Mów.

– Felicita – Hannes znów pogładził włosy dziewczynki – może ci pomóc wrócić do twojego świata przez portal, o którym wspomniałem, ale najpierw musisz coś dla niej zrobić.

– Co mianowicie?

– Musisz narysować jej portret.

Dominik ledwie powstrzymał się od prychnięcia. Co to ma być? „Proszę, narysuj mi baranka”? Nie cierpiał *Małego Księcia*, zawsze uważał, że to pretensjonalna książka o pseudogłębi jeszcze płytszej niż powieści Coelho. Uznał jednak, że lepiej będzie tego nie mówić na głos, żeby nieopatrnie nie zaprzepaścić szans na powrót do domu. Powiedział tylko, że będzie musiał pójść do młyna po papier i ołówki i zaraz wróci.

– Poszszekam tu – wymamrotała dziewczynka.

Mówiła niewyraźnie, Dominik z trudem ją zrozumiał.

Przed młynem spotkał Młynarkę i opowiedział pokrótce, co go spotkało. Staruszka nie wyglądała na zdziwioną.

– Tak, Hannes czasem przychodzi do zagubionych – potwierdziła.

– Niektórych zabiera ze sobą, choć nie umiem ci powiedzieć dokąd. Może i na tamtą stronę, któż to wie?

– Kim on jest?

– Och, ja ci tego nie powiem. – Zaśmiała się smętnie. – Jestem tylko samotną starą kobietą, synku, nie znam sekretów Zaświatu. I co, posłuchasz go?

Potaknął nieśmiało, trochę obawiając się jej reakcji. Ale Młynarka jedynie pokiwała głową.

– Próbuj – odezwała się ze smutkiem. – Nie będziesz pierwszy ani ostatni. Wielu tu u mnie mieszkało i wielu odeszło. Tak już widać musi być...

Dominik nie wiedział, co odpowiedzieć. Odszedł w milczeniu, czując wyrzuty sumienia, choć wiedział, że jeśli tylko istnieje szansa na wydostanie się z Zaświatu – musi z niej skorzystać. Cieszył się, że staruszka to rozumie.

Kiedy wrócił na łąkę z teczką i przyborami do rysowania, Hannesa już nie było, ale Felicita cierpliwie czekała w cieniu starej lipy. Dominik spytał, czy wolałaby mu pozować tutaj, czy też chce, aby poszli w pobliże jej domu.

– Tak, chośmy – przytaknęła skwapliwie i od razu ruszyła przodem.

Gdy dotarli do sadu, Dominik poprosił ją, aby usiadła na trawie, w plamie słońca, i zapowiedział, że będzie musiała jakiś czas pozować bez ruchu. Przyglądał jej się długo, medytując z ołówkiem w ręku nad pustą kartką. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli narysuje dziewczynkę z lewego profilu – blizny na tym policzku były mniej widoczne.

Zrobił z dziesięć próbnych szkiców, zanim uznał, że wystarczy. Podziękował dziewczynce i obiecał, że przyjdzie nazajutrz. Felicita nic nie odpowiedziała, tylko kiwnęła główką, po czym zerwała się i pobiegła, znikając za domem.

Dominik męczył się nad portretem przez kilka dni – poprawiał i przerabiał dwie kolejne wersje, z których żadna nie zadowoliła go w pełni. Felicita cierpliwie mu pozowała, nic nie mówiąc. Dopiero za trzecim razem udało mu się uchwycić podobieństwo, nie popełniając jednocześnie żadnego irytującego, niemożliwego do usunięcia technicznego błędu. Blizny zaznaczył tylko symbolicznie. Kiedy pokazał dziewczynce efekt swoich wysiłków, spodziewał się entuzjastycznej reakcji, ale Felicita skrzywiła się i odsunęła rysunek.

– Co, nie podoba ci się? – spytał zawiedziony.

– To nie ja – oznajmiła tonem pełnym wyrzutu.

– Jak to nie ty?

– Nie ja – powtórzyła, patrząc na niego ciemnymi oczami, których powieki, rzęsy i brwi ocalały nienaruszone.

Dominik stłumił westchnienie. Zabrał rysunek i schował go do teczki.

– Przepraszam – powiedział, ale Felicita tylko wzruszyła ramionami i pobiegła gonić motyla, który trzepotał ponad trawą.

Za drugim razem sportretował ją *en face*, nie próbując w żaden sposób tuszować przykrew prawdy. Narysował Felicite taką, jaka była

– z plamami blizn na szyi i policzkach, z nierówną linią dolnej wargi, opadającym kącikiem ust i brakującym kawałkiem ucha.

Trochę się bał, jak mała zareaguje na gotowy obrazek, ale ona tylko zerknęła na kartkę i pokręciła głową.

– Nie. To nie ja.

– Jak to nie ty?! – wybuchnął. – Tak się namęczyłem...

– Nie ja – powtórzyła, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w głąb sadu, znikając wśród drzew.

Rad nierad, Dominik zmuszony był spakować rysunek do teczki i odejść. Czuł się pokonany przez wyzwanie, którego reguły przestał rozumieć.

Wróciwszy do młyna, opowiedział całą historię Młynarce, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Nie potrafiła mu nic doradzić.

Wieczorem Dominik zamknął się w swojej izdebce, położył dwa odrzucone obrazki na stoliku i długo się w nie wpatrywał, usiłując pojąć, o co tutaj chodzi. Rysowanie portretu pachniało mu teraz jakąś baśniową łąmigłówką, tak jak odgadywanie imienia zaklętej królowy.

Kwadransy mijały, ćmy trzepotały wokół ustawionej na stoliku świeczki, a on myślał.

Stopniowo zaczęło do niego docierać, że w rysach Felicity – na obu obrazkach udało mu się bezbłędnie uchwycić podobieństwo – jest coś znajomego. Te duże ciemne oczy, niespokojne, patrzące jakby z lękiem... Melancholijny wyraz ust... Przypominała mu kogoś. Jak cholera. Im dłużej wpatrywał się w rysunki, tym większej nabierał pewności, że nie jest to przypadkowe podobieństwo.

Dominik się uśmiechnął. Już wiedział, kogo powinien przedstawiać trzeci portret.

Ujął ołówek i w słabym, migotliwym blasku świeczki zaczął rysować.

Felicita jak zwykle czekała w sadzie. Tym razem leżała na wznak w trawie, z dłońmi splecionymi za głową, gryząc długie źdźbło. Za uchem zatknięty miała pęk kwiecica, a zamiast brązowej sukienki – niebieską. Również w warkocze wplotła niebieskie wstążki.

– I sso? – spytała na jego widok. Dominik, uśmiechając się szeroko, pomachał gotowym rysunkiem. Rozpromieniła się i usiadła.

– Pokaż!

Oglądała obrazek długo i uważnie, podczas gdy Dominik cierpliwie czekał na werdykt.

Narysował z pamięci twarz Olgi, wiedząc, że nie zdoła idealnie uchwycić podobieństwa, ale podejrzewał, że nie będzie to konieczne – liczyła się intencja. W trakcie pracy odkrył zresztą, że pamięta rysy dziewczyny lepiej, niż mu się wydawało. Prosty klasyczny nos, owal policzków, kąciaki pełnych ust lekko wygięte ku dołowi w wyrazie smutnego zamyślenia. Opadające swobodnie ciemne włosy i duże, melancholijne oczy jak u Penélope Cruz.

Felicita po raz ostatni popatrzyła na portret, zwinęła go w rulon i uśmiechnęła się, a Dominikowi serce забиło mocniej.

– Choś – powiedziała.

Weszła na ganek, wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi. Wstrzymując oddech, Dominik wkroczył za nią do starego domu.

Wewnątrz było ciemno, w powietrzu wisiał zapach stęchlizny. Z sufitu zwieszały się wielkie pajęczyny. Dziewczynka zaprowadziła go do jednego z pokoi na parterze. Stojąc w progu, Dominik dostrzegł w mroku zarysy sprzętów pookrywanych zakurzonymi płachtami.

– Wejś – poleciała Felicita.

Usłuchał, choć nie bez wahania. Wtedy drzwi bez ostrzeżenia zatrzasnęły się za nim. Znalazł się sam jeden w nieprzebitym mroku.

– Hej! – zawołał, ale nikt nie odpowiedział. Dominik zaklął.

Posuwając się po omacku, natrafił na ścianę. Ku swemu zaskoczeniu wymacał na niej kontakt. Nacisnął go bez większych nadziei.

Zapaliło się światło i zobaczył, że stoi we własnym mieszkaniu, w salonie. Podłoga ziębiła go w bose stopy. Miał na sobie piżamę, na kanapie leżała skłębiona pościel, a wspomnienie dziwnego, piętrowego, niewiarygodnie skomplikowanego snu już blakło i zacierało się w jego pamięci.

Learn to breathe, learn to crawl

Learn to stand, walk and fall

Learn to lose and to love, to believe, to rise above

Love is more than to love

Avantasia, Journey to Arcadia

Epilog I

Królowa Ostów

W cierniowej twierdzy panuje cisza.

Zgodnie z prośbą mej siostry wezwałam z powrotem szare, szczuropajaki i złotorożce; nakazałam im porzucić ścieżki i bezdroża, rzeczywistość i sny, i przybyć tam, skąd wzięły swój początek. Powróciły, posłuszne memu wezwaniu. Pokładły się wokół zamku i usnęły, przemieniając się na powrót w błoto, patyki i suche liście.

Leżę na legowisku ze strzępów pamiątek i wspomnień, bezpieczna za splotami kolczastych ścian. Felicita mruczy obok mnie.

Druga Olga, ta żywa, odeszła i tak powinno być. Jej serce bije, jej krew krąży. Nie spotkamy się, dopóki coś nie popchnie jej znów do przyjscia tutaj, przez bagna i ciernie, by ponownie stanąć ze mną twarzą w twarz.

Ilekcroć zamykam oczy, widzę ją. Widzę ją w dziesiątkach możliwych rzeczywistości – dziesiątki różnych Olg, wewnątrz których tkwię, ukryta głęboko.

Popatrzmy.

Oto jeden z możliwych wariantów. Z domieszką goryczy, ale nie tak gorzki, jak mógłby być. W tej rzeczywistości nie było artykułów o zaginięciu Dominika, bo do żadnego zaginięcia nie doszło; nie ma kości spoczywających w malinisku ani świec palących się w podziemnej krypcie, ani obrazu wykończonego za pomocą skradzionych barw.

Popatrzmy.

W Lublinie jest teraz początek sierpnia roku 2013. Widzę, jak – dopijając w przelocie kawę – Olga pakuje torbę, żeby pojechać do mamy do szpitala. Czysta koszula nocna i bielizna, dezodorant, kiść bananów, winogrona, karton soku pomarańczowego, „Viva”, „Polityka” i „Wysokie Obcasy”.

Jest w przedpokoju, szykuje się do wyjścia, kiedy dzwoni telefon. Olga, już w sandałach, biegnie do salonu, żeby odebrać.

– Halo?

W następnej chwili sztywnieje, słysząc znajomy, lekko zachrypnięty głos.

– Dzień dobry, mówi Dominik Budrewicz. – Chwila wahania. – Olga...?

Nie wiedziała, czy wierzyć własnym uszom, ale gdy się dowiedziała, że Dominik akurat jest w Lublinie, bo przyjechał na jakieś tam szkolenie, to ona pierwsza zaproponowała spotkanie. Nazajutrz o szesnastej zgodnie z umową czeka nad Zalewem Zemborzyckim, na bulwarze nad zaporą. Dzień jest pochmurny i wietrzny, dość chłodny – bardziej wrześniowy niż sierpniowy, ale wokół kręci się sporo ludzi. Sprzedawca waty cukrowej nie może narzekać na brak nieletniej klienteli, facet przebrany za kłowna handluje balonikami, ojciec z synkiem puszczają latawiec. Olga rozgląda się bez większych nadziei. Nerwowo zerka na zegarek. Nie przyjdzie – myśli. – Jeszcze pięć minut i idę, nie będę tu stała jak głupia.

Nagle wśród spacerowiczów rozpoznaje mężczyznę zbliżającego się energicznym krokiem i wbrew sobie czuje szybsze bicie serca.

– No cóż – mówi Dominik z lekko zakłopotaną miną, podchodząc. – Cieszę się, że znów cię widzę.

W jego włosach przybyło siwych pasm, ale poza tym praktycznie się nie zmienił. Ma na sobie wojskową kurtkę i zniszczone džinsy, na szyi aparat fotograficzny.

– Skoro już tu jestem, potrzebuję zdjęć kaczek i łabędzi na tle zalewu – wyjaśnia, więc idą polować na ładne ujęcia wodnego ptactwa.

Rozmowa z początku się nie klei, bo Olga milczy, a na pytania odpowiada krótko i mało konkretnie. W końcu – po kwadransie wysiłonego *small talku* – pyta wprost:

– Słuchaj, co cię nagle napadło, żeby się ze mną skontaktować?

On wzrusza ramionami.

– Tak jakoś... – Uśmiecha się jakby z zawstydzeniem. – Myślałem o tobie ostatnio i...

– Ale czemu teraz? – Olga patrzy na niego chłodno. – Czemu teraz, a nie trzy lata temu?

Dominik bierze oddech. Milczy chwilę, po czym stwierdza:

– Pisałem do ciebie kilka razy, wtedy w sierpniu. Nie odpisałaś.

– Niemożliwe. Nie dostałam od ciebie ani jednego maila.

On otwiera usta, zamyka je bez słowa.

– Ja też napisałam do ciebie wtedy, zaraz po powrocie – ciągnie Olga.

– Nie dostałem tej wiadomości. – Dominik patrzy jej prosto w oczy. – Naprawdę nie dostałem.

Brzmi to tak idiotycznie, jak próba usprawiedliwiania się ucznia podstawówki, że nie odrobił lekcji, bo po południu pojechali z tatą do cioci w Świdniku i zepsuło im się auto – przez dwa dni z rzędu. Olga wzrusza tylko ramionami. Idą dalej, mijają wędkarzy i unoszące się na wodzie kaczki. Wieje wiatr, trzciny szeleszczą. Dominik pierwszy przerywa milczenie.

– Sądziłem, że się rozmyśliłaś i nie chcesz, żebyśmy utrzymywali kontakt. – Milczy chwilę. – Przepraszam.

Olga kiwa głową i myśli chłodno, że prawda jest jasna jak słońce; nie napisał do niej ani jednej wiadomości, a jej maila zignorował. Pewnie po tamtej nocy nad jeziorem uznał, że sprawy zaszły za daleko, a on nie jest pewien, czy chce kontynuować tę relację, więc postanowił ją na wszelki wypadek uciąć.

A czemu teraz zmienił zdanie? Odpowiedź znów wydaje się oczywista.

(Próbowałeś się związać z inną kobietą, ale nie wyszło?).

Nie kontynuuje tematu, bo czuje się niezręcznie. A fakt, że za każdym razem, kiedy na niego patrzy, jej głupie, nierozsądne serce trzepocze się jak ptak na uwięzi, doprawdy nie pomaga.

Rozmowa urywa się i już w milczeniu idą wzdłuż zalewu. Dominik co kilkadziesiąt metrów przystaje, żeby pokombinować z ujęciami kaczek, trzciny i wody – czasem kładzie się z aparatem płasko na trawie, czasem wchodzi na skarpe. A Olga patrzy.

Patrzy na jego siwiejące długie włosy, na szarozieloną kurtkę z przetartymi mankietami i małą niemiecką flagą na ramieniu, dłonie trzymające lustrzaną, wesołe zmarszczki w kącikach oczu i myśli z goryczą, że jest głupia, głupia, głupia.

Ale gdy spacer dobiega końca, robi to, co od początku zamierzała zrobić.

Zaprasza go do siebie.

Zaprasza go do siebie, w myślach kwitując cierpko, że ostatecznie jest trzydziestodwuletnią singielką bez perspektyw i trudno stwierdzić, czy pozostało jej coś do stracenia.

Ma w lodówce leczo z cukinii z pomidorami i koperkiem, odgrzewa je. Jedzą, a później nad herbatą znów zaczynają rozmawiać. Olga, zapytana, co słyhać u mamy, wreszcie się przełamuje. Opowiada o chorobie matki, kłótniach z bratem, o tym, jak wyczerpana i zniechęcona się czuje. I w trakcie tej rozmowy coś stopniowo ulega zmianie, tak jakby niewidzialna szyba, która ich rozdzielała od początku tego spotkania, zniknęła.

Rozmawiają, patrząc na siebie przez stół w salonie, a w powietrzu pomalutku zaczyna tężeć nieuchwytnie napięcie – pragnienie, żeby położyć dłoń na jej dłoni, odgarnąć mu włosy z policzka, urwać w pół słowa i po prostu ją pocałować.

To, co dzieje się dalej, jest wypadkową różnych okoliczności – przebiegu rozmowy, choreografii gestów, spojrzeń i hormonów. W niektórych wariantach tej historii dzieje się tego samego wieczoru, w innych dopiero po tygodniu czy dwóch, po intensywnej wymianie maili i burzy skrywanych wątpliwości (po obu stronach).

Ale w końcu nieuchronnie dochodzi do skutku.

Jest wieczór. Pali się nocna lampka, zasłony (zielone w złote kwiaty, ulubione zasłony matki) są zaciągnięte. Na łóżku – czysta pościel.

Olga nie lubi być oglądana nago, ale słysząc wyrażoną wprost prośbę, nie odmawia. A Dominik, no cóż, patrzy na jej lekko śniadą skórę, krągłe biodra, pełne piersi o ciemnych sutkach z takim błyskiem w oku, że nawet ona musi to odnotować i przyjąć do wiadomości.

Znów jest tak czuły jak wtedy nad jeziorem, jakby czas magicznie cofnął się do tamtej nocy, kiedy odkrywali siebie po raz pierwszy i wszystko jeszcze było dobrze. To nie Hollywood, nie ma idealnego, niemal mistycznego zgrania dwóch ciał, ale Olga zamyka oczy i pozwala się dotykać, pozwala, żeby lód w niej topniał.

W drugiej połowie grudnia alejkami cmentarza powoli przesuwa się kondukt żałobny. Olga idzie w kropiącym deszczu obok Dominika, próbując ignorować zaciekawione spojrzenia, dyskretnie rzucane

w ich kierunku przez Artura i jego żonę, przez ciotki, kuzynki i dalszą rodzinę. Boi się, nie umie przestać się bać.

To straszne, lecz od śmierci matki oddycha swobodniej, jakby wracała do zdrowia po bolesnej, lecz koniecznej operacji. I choć przytłacza ją liczba spraw, którymi trzeba się zająć – od formalności spadkowych poczynając, a kończąc na rozdaniu ubrań – coś szepcze jej, że teraz będzie już tylko lepiej.

I że to dobrze, że Dominik tu jest.

Przyjechał nazajutrz po tym, jak Olga zadzwoniła i powiedziała, że z mamą jest bardzo źle. Nie mówił wiele, jak to on. Ale był przy niej, towarzyszył, wspierał. Pomagał załatwiać wszystko co konieczne: zdystansowany, spokojny, trzeźwo myślący.

Gdzieś głęboko Olga wie, że te ostatnie, najcięższe miesiące przetrwała głównie dzięki niemu. To był czas walki już nie o życie, a o to, żeby mama cierpiała możliwie mało – walki z jej chudnącym ciałem, literalnie zzeranym od środka, z bólem kości niszczonej przez ogniska nowotworowe, nieuchronną depresją i z obojętnością lekarzy. Potem przyszły kłopoty z orientacją, ataki drgawek, stopniowo rozwijający się paraliż połowy ciała, diagnoza: przerzuty do mózgu, i hospicjum. Po sterydach mama odzyskała kontakt z rzeczywistością, ale na krótko.

Olga wypycha z pamięci ostatnie dni, wykafelkowane korytarze hospicjum, mdlący zapaszek środków czystości oraz ludzkich wydalin. Gadatliwą pacjentkę z sąsiedniego łóżka – rak sromu, jedna wielka gnijąca rana w kroczu – którą morfina wprawiała w euforyczny nastrój. Młodą, zmęczoną lekarkę, która wypisywała akt zgonu i przez pomyłkę napisała „Joanna Pańkowska”, a potem bardzo przepraszała. Scysję z Arturem w domu pogrzebowym, gdy okazało się, że fioletowy kostium, który Olga przygotowała dla mamy do trumny, zdaniem brata jest nieodpowiedni.

Kątem oka zerka na Dominika i myśli o tym, że za parę godzin, gdy skromna stypa w pobliskiej restauracji dobiegnie końca, rodzina – ze szczególnym uwzględnieniem Artura – grzecznie się pożegna i rozjedzie, a oni dwoje wrócą do mieszkania. Zaparzą herbatę, usiądą w salonie i wtedy ona opowie Dominikowi historię o siódmym urodzinach i piesku, bo wówczas będzie mogła zacząć płakać, a kiedy się wyplacze, poczuje się lepiej.

Myśli o jego uśmiechu, o długich włosach, które za kilka lat będą zupełnie siwe, ale na pewno nie zostanie to uznane za powód, żeby je ścinać; o aparacie fotograficznym zabieranym wszędzie, bo nigdy nie wiadomo, gdzie nawinie się coś ciekawego do sfotografowania; a także o tatuażach po wewnętrznej stronie przedramion, zrobionych po to, żeby zamaskować pionowe szramy. I o tym, jak Artur ledwie zauważalnie marszczy brwi, ilekroć widzi Dominika. Dwa miesiące wcześniej brat odbył z nią Zasadniczą Rozmowę, w której padły takie sformułowania jak „niepoważny typ”, „prawie go nie znasz” i „mam nadzieję, że wiesz, co robisz”; później już nie wracał do tego tematu.

Kondukt dochodzi do grobu, trumna zostaje postawiona na płachcie. Deszcz kropi. Ksiądz wypowiada formuły, rodzina stoi ze spuszczoneymi głowami, Artur ściszone głosem karci młodszego synka, który bawi się wstęgą wieńca.

Myśli Olgi płyną, płyną, płyną daleko od cmentarza.

Dominik nie jest z tych, co kupują róże. Zasadniczo, gdyby czepiać się szczegółów, nigdy nie powiedział wprost, że ją kocha, a jedynie „zależy mi na tobie” – matka, gdyby żyła, na pewno nie uznałaby tego za deklarację godną mężczyzny. Ale jej zdanie – jakkolwiek okrutnie by to brzmiało – przestało być istotne, a Olga chwilowo odsunęła wątpliwości na dalszy plan. Po raz pierwszy w życiu grzeje się w ciepłe kogoś, kto patrzy na nią z uśmiechem i nie stawia wymagań.

Wyciąga ją na spacer. Czasem ni z tego, ni z owego rzuci głupi żart albo zmierzwi jej włosy.

Cierpliwie wysłuchuje zwierzeń.

Widział drabinkę cienkich blizn na jej udach, a usłyszawszy, skąd się wzięły, pokiwał tylko głową. Milczał długą chwilę, a potem, jękając się lekko, opowiedział, skąd wzięły się skrzydlate węże na jego rękach.

Sypia z nią. Szepcze do ucha słodkie komplementy i nie oczekuje od niej fajerwerków namiętności ani kochania się na żyrandolu głową w dół.

Naprawił zepsute „od zawsze” światło nad blatem w kuchni.

Przykręcił odpadające uchwyty od szafek.

Jest.

Dwukrotnie to ona go odwiedziła w Warszawie, w niedużym mieszkaniu na Ursynowie. To, co widziała, dałoby się podsumować krótko: sympatyczna normalność. Mieszkanie było schludne, minimalistycznie urządzone. Żadnych dywanów, mało mebli. Komputer, sprzęt grający, sztalugi. Na ścianach kilka tych jego dziwnych obrazów. Żadnych zdjęć byłych kobiet ani sterty magazynów pornograficznych pod łóżkiem (sprawdziła). Ani też (czego skrycie się obawiała) nawarstwionego syfu: kurzu, pajęczyn i śmieci, brudnych naczyń, zmiętych ubrań na podłodze i kartonów po pizzy.

Ale ona i tak się boi.

Dominik to rozumie i nie naciska. Jednak mimochodem zaproponował już, żeby wynajęła mieszkanie po matce studentkom, a sama przeniosła się do niego.

A Olga się boi.

Że ona się przeprowadzi, a za miesiąc mu się odmieni. Że to, co jest między nimi, to tylko zauroczenie, które szybko się wypali. Że on ma swoje przyzwyczajenia, ona swoje i nie dogadają się.

Że po niedługim czasie ona go zacznie drażnić i denerwować, a kiedy w końcu postanowią się rozstać, będzie bolało znacznie bardziej niż wtedy, kiedy zostawił ją Mariusz.

To są jej racjonalne argumenty, te, o których rozmawiała z nim otwarcie i szczerze (choć nie użyła zwrotu „kiedy w końcu postanowią się rozstać”). Ale ma też listę obaw, o których nie chce mówić, bo takich rzeczy przecież nie powie się głośno, prawda? Nie zapyta się o nie wprost.

Boi się, że Dominik coś przed nią ukrywa.

Że w sekrecie ma inną kobietę.

Albo długi niebotycznej wysokości.

Albo kłopoty psychiczne, z których właściwie nigdy się nie wyleczył. Poważne, poważniejsze niż to, o czym jej powiedział. Jest tak enigmatyczny, że kto wie, co tak naprawdę siedzi w jego głowie. Żona raczej nie chciała się z nim rozwieść bez powodu. Cholerny niezrównoważony artysta z próbą samobójczą w papierach.

Poza tym przecież wiadomo, jacy są mężczyźni.

Ksiądz rzuca garść ziemi na trumnę i grabarze zaczynają ją opuszczać. Dominik stoi w milczeniu, trzymając parasol. Ignoruje

spojrzenia rodziny lub – co bardziej prawdopodobne – w ogóle ich nie zauważa.

Olga patrzy na niego przez upstrzone deszczem okulary i tam, na cmentarzu, znienacka dzieje się rzecz zaskakująca: jej umysł zaczyna widzieć wszystko z innej perspektywy. Jak wtedy, kiedy patrząc na obrazki z testu Rorschacha, zaczynasz rozumieć, że czarne mazaje mogą się zmieniać, mutować, przybierać kształty zwierząt, przedmiotów i potworów, ale w rzeczywistości to tylko plamy atramentu, w których każdy może zobaczyć to, co mu podświadomość podsunie. I decyzja nagle okazuje się zaskakująco łatwa, tak łatwa, że Olga na moment zamyka oczy.

Powie mu wieczorem.

A co nastąpi dalej – czas pokaże. Może, jak w baśniach, będą żyli długo i szczęśliwie, radość Olgi będzie się sączyć do mnie jak strużki miodu, rok po roku – i uśpiona tą złocistą słodyczą w końcu usnę na dobre, a mech i osty przykryją moje kości. A może pewnego dnia zraniona, krwawiąca Olga wróci do mnie przez bagna z błękitną latarnią, żeby zastukać do drzwi cierniowego zamczyska, zejść w ciemność i stopić się ze mną w jedno.

W innym wariacie rzeczywistości umarli pozostają umarłymi; nikt z żywych nie wie, że w wąwozie za brzezina, parę kilometrów od ośrodka wczasowego Julia, spoczywają ludzkie szczątki. Nazwisko Budrewicz figuruje w bazie danych Fundacji Itaka wraz ze zdjęciem, na którym Dominik się nie uśmiecha i jest niepodobny do siebie, a Olga po śmierci matki wegetuje w Lublinie, z trudem wiążąc koniec z końcem.

Ponad cierniowymi murami mej siedziby hula wiatr, krzyczy o niespełnionych pragnieniach, utraconych szansach i zapomnianych snach. Felicita mruczy obok mnie, zwinięta w kłębek, z nosem wtulonym w puszysty ogon.

Zamykam oczy i sięgam wzrokiem w przyszłość, wędrując wzdłuż jednej z wielu nici, by w końcu zatrzymać się w punkcie, który nadejdzie ponad cztery lata po tym, co wydarzyło się nad jeziorem Szept w lipcu 2010 roku.

Jest pierwszy listopada, dziesiąta rano. Mimo wczesnej pory i nieprzyjemnej mżawki cmentarz na Majdanku roi się od

odwiedzających.

Olga, w kurtce o wojskowym kroju i kolorowej, własnoręcznie zrobionej na drutach czapce, podchodzi do grobu, gdzie na płycie widnieje napis: Janina Pańkowska, 1952–2013. Zmiata zmiotką suche liście, kładzie wiązanek chryzantem, wyjmując z reklamówki znicz i zapala go. Dłuższą chwilę stoi w milczeniu, wpatrując się w płomyk. W końcu odchodzi.

Wraca do zaparkowanego auta i jedzie w mżącym deszczu na Czechów. Z drzew rosnących przed blokiem sypią się żółte liście, zaścielają chodnik. Mieszkanie po matce, opróżnione z bibelotów, niepotrzebnych szpargałów i części starych mebli, wydaje się teraz przestronniejsze, ale jak zwykle panuje w nim nieład. Ściany wymagają odświeżenia, łazienka – remontu, lecz właścicielce na razie brakuje na to środków.

Szylkretowa kotka bez ucha, znajдка uratowana w zimie, z miauknięciem ociera się o kostki pani. Blizny po oparzeniach na jej grzbiecie już prawie zarosły sierścią.

Olga głaszcze kota, dosypuje chrupek do miseczki i nastawia wodę na herbatę. Potem siada na kanapie, zarzuca na ramiona polarowy koc i włącza laptopa.

W cierniowym zamczysku panuje cisza. Zamykam oczy. Dłoń głaszcze miękką sierść mojego młodszego, pobliźnionego ja, dziewczynki zranionej za nieswoje winy.

Już dobrze, już dobrze, już nic nie boli; ból ukołyszany do snu, bezpiecznie zamknięty w cierniowej kolebce (nie dotykaj, nie otwieraj), złożony na wieczny odpoczynek w cmentarnej ziemi.

Dla pewności po raz ostatni wypuszczam swoją jaźń poza kolczaste mury, lecz wszystko jest tak, jak być powinno. Równina ostów trwa w bezruchu pod burym niebem. Duch buntu i chaosu, śmiechu przez łzy i gorzkiej mądrości opuścił moje królestwo.

Czuję, jak się oddala, mknąc pomiędzy czasami i światami, po nitkach z myśli i marzeń rozpiętych w pustce. Jego postać traci materialność, nie widać już połatanej odzieży ani kapelusza, zielonych oczu ani uśmiechu. W miejscu twarzy przelewa się mrok.

Epilog II

Hannes

Frunę w górę, w górę, w górę. Jestem cieniem nawiedzającym myśli załęczonych, zagubionych i pełnych wątpliwości; żebrakiem, którego mijają na ulicy, odwracając głowę; Cyganką, która wróży im miłość i pieniądze; postacią w długim płaszczu, którą widują przez okno późnym wieczorem i czują dreszcz niepokoju, choć nie wiedzą dlaczego. Jednym przynoszę odpowiedź na pytania, których boją się zadać, innym – wolność, o której marzą, do której wyrrywają się jak ćmy do światła. Jestem wichrem zmian, rtęcią, która transformuje siarkę w kamień filozoficzny; toczącym się kłębkim wełny, błędnym ognikiem, który każe zagubionym wędrować coraz dalej – czasem na bezdroża, czasem do Arkadii.

Tysiąclecia temu przyszedłem do Perseusza, instruując go, jak zabić gorgonę Meduzę, i do Ulissesa, przynosząc mu chroniące przed czarami ziele moly. Czasy się zmieniły, stare imiona bogów rozkruszyły się wraz z marmurem, z którego wznoszono posągi; nikt już nie maluje na wazach mojego wizerunku w skrzydlatych sandałach, z oplecioną wężami laseczką w ręku. Nadal jednak przenoszę wiadomości pomiędzy światami, wskazuję zagubionym drogę na rozstajach, a kiedy prządka przecina nić, zjawiam się, żeby zamknąć oczy umarłym i odprowadzić ich dusze tam, dokąd muszą odejść.

Miasto, skąpane w poświęcie sodówek, pulsuje delikatnym rytmem nocnego życia, auta suną jego arteriami jak świecące krwinki. Stara kamienica, gdzie w piwnicy mieści się pracownia z lustrem, zostanie rozebrana w przyszłym roku – mury i stropy są w fatalnym stanie, a miasto nie ma pieniędzy na jej odnowienie. Na klatce schodowej leży mężczyzna w brudnej, śmierdzącej odzieży. Choć pogrążony w pijackim śnie, wzdryga się i jęczy, gdy go mijam.

Przenikam przez zamknięte drzwi sutereny. Wewnątrz – cisza i mrok, czuć swąd spalonych knotów. Na podłodze bezkształtna masa stopionego, zastygłego wosku, w której jak w plamie

Rorschacha można byłoby się dopatrywać różnych rzeczy. Ciało z bezładnie rozrzuconymi rękami? A może dwa ciała?

Skinieniem dłoni nakazuję jednej z ocalałych świeczek zapłonąć, ściany ozywają cieniami. Obraz przedstawiający dziewczynę w drewnianej masce i lustro wypełnione mrokiem wiszą naprzeciwko siebie niczym pomysłowa instalacja sztuki nowoczesnej.

Staję przed lustrem, a ono patrzy na mnie, jak zawsze, swym ślepym wnętrzem pełnym kłębiącej się czerni. Oboje wiemy, że mam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia.

Wyjmuję z zanadru figurkę kobiety w bordowym kostiumie i przez chwilę ogrzewam ją oddechem, a gdy jej kontury zaczynają drgać, rzucam ją w powietrze. Po chwili stoi przede mną Janina Pańkowska, nieżyjąca matka Olgi. Zerka na mnie niepewnie, ale bez lęku – wszak po tej stronie już nie musi się niczego obawiać.

Teraz widzi mnie w mojej prawdziwej postaci, w płaszczu, kapeluszu i skrzydlatych sandałach; wiecznego podróżnika, pośrednika między światem żywych i umarłych.

– Chodź, Janeczko – mówię. – Weź świecę – dodaję, bo wiem, że ze światłem będzie się czuła różnie.

– Dokąd pójdziemy? – pyta.

– Do domu – odpowiadam, ujmując ją za rękę.

Wkraczamy w ciemność po drugiej stronie lustra, pozostawiając za sobą krainę żywych: sny i marzenia, pieniądze i żyletki, błoto, kości i osty.

Epilog III

Olga (jedna z Olg)

Gdyby ktoś przed rokiem powiedział mi, że po śmierci matki nieprędko dojdę do siebie, myliłby się cholernie. Najcięższy był przedostatni tydzień, kiedy mama oscylowała na krawędzi śpiączki, co pewien czas odzyskując przytomność; pytała wtedy, co się dzieje, nie rozumiała, gdzie jest, skarżyła się mętnie, że ją boli, choć dostawała takie dawki morfiny, że stary, zaprawiony w bojach narkoman pewnie zadowoliliby się połową tego. Artur, który pojawił się w Lublinie cztery dni przed jej śmiercią, potem zaś przyjechał dopiero na pogrzeb, przeżywał wszystko znacznie bardziej (a że odreagowywał, kłócąc się ze mną, to inna sprawa). Ja pozostawałam tak spokojna, że ten spokój chwilami aż mnie niepokoił. Przynajmniej za dnia. Nocami... Nie, nie przewracałam się bezsenne na łóżku, sypiałam normalnie. Ale w czasie choroby matki i jeszcze przez kilka miesięcy po pogrzebie nawiedzały mnie przedziwne, piętrowo skomplikowane sny, po których czasem budziłam się z twarzą mokrą od łez, choć w tym okresie ani razu nie płakałam na jawie, i które teraz słabo pamiętam. Sądzę, że organizm w ten sposób odreagowywał stres.

Już od dawna ich nie śnię.

Życie toczy się dalej. Pracuję. Z samych zleceń dla wydawnictw na dłuższą metę bym nie wyżyła, ale udało mi się zaczepić w redakcji lokalnej gazety. Praca jest na umowę zlecenie, głównie zdalna – z szefem kontaktuję się mailowo i przez Skype’a. Zarabiam niewiele, ale na skromne życie wystarczy.

Moje kontakty z Arturem ograniczają się do zdawkowych rozmów przez telefon. Paczka definitywnie się rozpadła. Ciri i Raistlin sporadycznie odzywają się mailowo: ona mieszka teraz w Szwajcarii, wyszła za mąż za Niemca, on buduje dom na działce pod Zamościem i dochował się już trójki dzieci. Z Zygfydem kontakt dawno się urwał. Jaskier wyjechał do Gdańska. Bombur zmienił pracę, znalazł dziewczynę i nie sposób się z nim teraz

spotkać, notorycznie wymawia się brakiem czasu. Tylko z Penumbra nadal widuję się co tydzień. Penumbra dalej pracuje tam gdzie wcześniej, dalej użera się z klientami. Zmienił jej się szef, teraz ciągle narzeka na tego nowego. Czasem przebąkuje o wyjeździe za granicę, ale bez przekonania.

Od czasu do czasu, gdy mam fazę na bezproduktywne krążenie po sieci, wchodzę na stronę Fundacji Itaka, patrzę na zdjęcie Dominika i zastanawiam się, czy zagadka jego zaginięcia kiedykolwiek zostanie rozwiązana. Pewnie nie.

Ilekoć patrzę w lustro, myślę ze smutkiem o pogłębiających się zmarszczkach koło ust i o tym, że nawet jeśli udaje mi się teraz utrzymać rozsądną wagę – zawzięłam się i od Nowego Roku pozostaję na nieustającym odwyku od słodczy, jak alkoholik, któremu nie wolno wypić nawet jednego drinka – tak że ważę sześćdziesiąt kilo, ani grama więcej, to psu z kulawą nogą nie robi to różnicy.

Ale żyję. Sama w pustym mieszkaniu. Już prawie rok.

Dużo czytałam w sieci na temat żałoby i pięciu faz jej przeżywania. Ja nie doświadczyłam ani fazy zaprzeczenia, ani fazy gniewu. Był tylko smutek i, jakkolwiek strasznie by to brzmiało, ulga, że już po wszystkim.

Dzisiaj, wchodząc na cmentarz w dniu Wszystkich Świętych, czuję spokój.

Zdjęcie na nagrobku pochodzi jeszcze sprzed choroby, mama ma na nim bujną, starannie ułożoną fryzurę. Uśmiecha się ustami pociągniętymi szminką, która na mocno wykontrastowanej fotografii wydaje się czarna.

Zmiotam zmiotką suche liście z płyty, kładę wiązanek chryzantem, wyjmuję z reklamówki znicz i zapalam go. Dłuższą chwilę stoję w milczeniu, wpatrując się w płomyk. W końcu odchodzę.

Wracam do zaparkowanego auta i jadę w mżącym deszczu na Czechów. Z drzew rosnących przed blokiem sypią się żółte liście, zaścielają chodnik. Mieszkanie po matce, opróżnione z bibelotów, niepotrzebnych szpargałów i części starych mebli, wydaje się teraz przestronniejsze, nadal jednak panuje w nim nieład. Ściany

wymagają odświeżenia, łazienka – remontu, lecz na razie brak mi środków, żeby się tym zająć.

Szylkretowa kotka bez ucha, znajдка uratowana w zimie, z miauknięciem ociera się o moje kostki. Blizny po oparzeniach na jej grzbiecie już prawie zarosły sierścią.

Głaszczę ją, dosypuję chrupek do miseczki i nastawiam wodę na herbatę. Potem siadam na kanapie, otulam się kocem i włączam laptopa. Tym razem nie czeka na mnie korekta przewodnika turystycznego ani biografii jakiegoś celebryty, ani kolejna tandetna powieść do mozolnego zredagowania, tylko niedokończone opowiadanie – o krainie zwanej Zaświatem, leżącej tam, gdzie słońce wschodzi na zachodzie, gdzie z trzech ziaren rzuconych w trzy skiby wykiełkują trzy sny, i mieszkającej tam w starym drewnianym domu czarodziejce imieniem Greta. Zaczynam czytać to, co napisałam wczoraj, żeby się skupić, wczuć w klimat.

I wtedy dzwoni telefon.

¹ Wokalista, kompozytor i autor tekstów w zespole Edguy oraz projekcie muzycznym Avantasia.

² Wokalista zespołu Rammstein.

Redakcja: Anna Kańtoch
Korekta: Anna Sidorek, Anna Raczyńska
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © REKHA GARTON/Arcangel Images;

© Ruslan Grumble/shutterstock.com

Projekt okładki: Magdalena Palej

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3222-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo